

BRANDON SANDERSON



CALAMITY

Brandon Sanderson

# CALAMITY

Przełożył  
Zbigniew A. Królicki

---

**ZYSK I S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

---

# Spis treści

Okładka  
Strona tytułowa  
Strona redakcyjna  
Dedykacja  
Prolog  
Część I  
Część II  
Część III  
Część IV  
Epilog  
Podziękowania

*Dla Kaylynn ZoBell –*

*pisarki, czytelniczki, krytyczki i przyjaciółki,*

*która od dziesięciu lat uczestniczy w spotkaniach grupy rozgadanych pisarzy*

*i wciąż grzecznie podnosi rękę, kiedy chce coś powiedzieć,*

*zamiast nas wymordować.*

*(Dzięki za Twoją pomoc przez te wszystkie lata, Kaylynn!)*

# Prolog

Widziałem przerażające głębiny.

Byłem w Babilonie, Odrodzonym Babilonie. Niedysiejszym Nowym Jorku. Zjrzałem w płonącą czerwoną gwiazdę znaną jako Calamity i zrozumiałem — bez cienia wątpliwości — że coś się we mnie zmieniło.

Te głębiny uznały mnie za swojego. I chociaż je odepchnąłem, nadal noszę ich niewidoczną bliznę.

Uparły się, że znów będę ich.

---

---

# CZĘŚĆ I

---

---

## 1

Słońce wyglądało znad horyzontu jak łeb olbrzymiego radioaktywnego manata. Kuliłem się, ukryty w koronie — nie do wiary — drzewa. Nie pamiętałem tego przedziwnego zapachu.

— Wszystko gra? — szepnąłem do mikrofonu. Zamiast używać komórek, korzystaliśmy ze starych krótkofalówek, które połączyliśmy ze słuchawkami. Kiedy mówiłem, słyszałem w nich szumy i trzaski. Prymitywna technologia, ale niezbędna do wykonania tego zadania.

— Zaczekaj chwilkę — powiedziała Megan. — Cody, jesteś na pozycji?

— Jasne, że tak — zatrzeszczał w odpowiedzi z wyraźnym południowym akcentem. — Jeśli ktoś spróbuje się do ciebie podkraść, dzieciно, wpakuję mu kulkę w łeb.

— A fe! — nadała Mizzy.

— Ruszamy za pięć sekund — powiedziałem z mojej grzędy. Cody nazywał to „amboną”, lecz w rzeczywistości było to po prostu campingowe krzeselko przymocowane na wysokości dziesięciu metrów do pnia wiązu. Kiedyś myśliwi chowali się w ten sposób przed zwierzyną.

Przycisnąłem do ramienia gottschalka — nowiutki automatyczny karabin — i wycelowałem. Zwykle w takiej sytuacji celowałbym w Epika: jedną z tych obdarzonych nadprzyrodzonymi zdolnościami istot, które terroryzowały świat. Byłem Mścicielem, tak jak i reszta mojego zespołu zajmującego się unieszkodliwianiem niebezpiecznych Epików.

Niestety, istnienie Mścicieli przestało mieć sens mniej więcej dwa miesiące temu. Nasz przywódca, Profesor, też był Epikiem — i został uwikłany przez rywalkę

w skomplikowaną intrygę zmierzającą do wyłonienia sukcesora. Zmagając się ze swoją mocą, opuścił imperium Regalii w Babilarze, ale zabrał ze sobą jej twarde dyski oraz notatki i tajemnice. Zamierzaliśmy go powstrzymać. I to doprowadziło mnie tutaj.

Do tego wielkiego zamku.

Poważnie. Zamku. Sądziłem, że można je znaleźć tylko w starych filmach i obcych krajach, a jednak jeden z nich krył się w lasach Wirginii Zachodniej. I pomimo nowoczesnej stalowej bramy i zaawansowanego systemu alarmowego ta budowla wyglądała tak, jakby była tu na długo przed tym, zanim na niebie pojawiła się Calamity — kamienie pokrywał mech, a jedną z kruszejących ścian porastały pnącza.

Ludzie sprzed pojawienia się Calamity byli niesamowici. Godni szacunku — czego dowodem był ten zamek — jednak naprawdę niesamowici.

Oderwałem wzrok od tego widoku i zerknąłem na Abrahama, ukrytego w listowiu pobliskiego drzewa. Zdołałem go dostrzec tylko dlatego, że wiedziałem, czego szukać. Jego ciemny strój stapiał się z plamami cienia poranka, który — jak twierdził nasz informator — był najlepszą porą do ataku na ten obiekt: zamek Shewbrent, znany również jako Knighthawk Foundry. Główne źródło technologii Epików na tej planecie. Korzystaliśmy z ich broni i technologii, żeby walczyć ze Stalowym Sercem, a potem z Regalią.

Teraz zamierzaliśmy ich obrabować.

— Wszyscy mają wyłączone komórki? — zapytałem przez radio. — I wyjęte baterie?

— Pytałeś o to już trzy razy, Davidzie — odparła Megan.

— Pomimo to sprawdźcie.

Wszyscy potwierdzili, a ja nabrałem tchu. O ile wiedzieliśmy, byliśmy ostatnią komórką Mścicieli. Minęły dwa miesiące i nadal nie mieliśmy żadnych wieści o Tii, co oznaczało, że prawdopodobnie nie żyje. Tak więc ja objąłem dowodzenie — przy braku innych chętnych. Abraham i Cody roześmiali się, kiedy spytałem, czy chcą dowodzić, a Mizzy zeszywniała jak deska i o mało się nie zapowietrzyła.

Teraz wprowadzaliśmy w życie mój plan. Zwariowany, zuchwały, niewiarygodny plan. Szczerze mówiąc, byłem przerażony.

Mój zegarek zabrzęczał. Czas zaczynać.

— Megan — powiedziałem przez radio. — Zaczynasz.

— Się robi.

Znów przyłożyłem karabin do ramienia, zerkając przez gąszcz drzew tam, skąd Megan miała przeprowadzić atak. Czułem się jak ślepiec. Używając komórki, mógłbym podłączyć się do aparatu Megan lub przynajmniej wywołać mapę okolicy i obserwować na niej migające plamki przedstawiające członków mojego zespołu. Jednak nasze komórki były wyprodukowane i dostarczone przez Knighthawka — także zarządzający bezpieczną

siecią, w której działały. Korzystanie z nich do koordynowania ataku na instalacje Knighthawka byłoby równie mądre jak użycie pasty do zębów jako majonezu.

— Zaczynam — powiedziała Megan i zaraz potem ziemia zadrżała od dwóch eksplozji. Spojrzałem przez lunetę i dostrzegłem dwie smugi dymu unoszące się w niebo, ale nie zdołałem wypatrzeć Megan. Znajdowała się po drugiej stronie zamku. Miała przypuścić frontalny atak i te dwie eksplozje były wybuchami granatów, które wystrzeliła we frontową bramę.

Atak na Knighthawk Foundry był, oczywiście, czystym samobójstwem. Wszyscy o tym wiedzieliśmy, ale byliśmy zdesperowani, kończyły nam się zasoby i polował na nas sam Jonathan Phaedrus. Knighthawk nie chciał mieć z nami nic wspólnego i był głuchy na nasze prośby.

Mogliśmy spróbować załatwić Profesora bez wyposażenia albo przybyć tutaj i zobaczyć, co zdołamy ukraść. To drugie wydawało się mniejszym złem.

— Cody? — odezwałem się.

— Ona dobrze sobie radzi, chłopie — przekrzyczał trzaski zakłóceń. — Wszystko wygląda jak na filmie. Tamci wypuścili drony natychmiast po wybuchach.

— Wychwyć, co tylko zdołasz — powiedziałem.

— Przyjąłem.

— Mizzy? — rzuciłem. — Zaczynasz.

— Fajowo.

Zawahałem się.

— Fajowo? To jakiś szyfr?

— Nie wiesz, co... Na skry, Davidzie, czasem potrafisz być naprawdę tępy.

Jej słowa przerwała kolejna seria eksplozji, tym razem głośniejszych. Fale uderzeniowe zatrzęsły moim drzewem.

Nie potrzebowałem lunety, żeby dostrzec dym unoszący się po mojej prawej, z boku zamku. Zaraz po wybuchu stado dronów wielkości piłek do koszykówki — eleganckich i metalicznie lśniących, ze śmigłami na górze — wyleciało przez okna i pomknęło w kierunku smug dymu. Większe maszyny wytoczyły się z zacienionych nisz — smukłe automaty wielkości człowieka, każdy z ruchomym działkiem na górze i poruszający się na gąsienicach, a nie na kołach.

Patrzyłem na nie przez lunetę, gdy zaczęły strzelać w las, gdzie Mizzy rozmieściła mnóstwo rac mających dawać odczyty termiczne. Zdalnie obsługiwane karabiny maszynowe pogłębiały złudzenie, że kryje się tam duży oddział żołnierzy. Strzelaliśmy wysoko. Nie chcieliśmy, żeby Abraham dostał się w krzyżowy ogień, kiedy przyjdzie pora na jego ruch.



Obrona Knighthawka robiła dokładnie to, co widzieliśmy na filmie dostarczonym przez informatora. Jeszcze nikomu nie udało się tam wdrzeć, ale wielu próbowało. Jedna z tych grup, zuchwała paramilitarna organizacja z Nashville, nakręciła film, którego kopie zdołaliśmy zdobyć. Jak się domyślaliśmy, wszystkie te drony przeważnie znajdowały się wewnątrz i patrolowały sale. Teraz jednak ruszyły do boju.

Może to da nam szansę.

— W porządku, Abrahamie — powiedziałem do krótkofalówki. — Twoja kolej. Będę cię osłaniał.

— No to ruszam — cicho rzekł Abraham.

Ten opanowany, ciemnoskóry mężczyzna zjechał ze swego drzewa po cienkiej linie, a potem bezgłośnie przemknął po leśnym poszyciu. Chociaż miał szerokie bary i masywny kark, poruszał się zaskakująco zwinnie i niebawem dotarł do muru, wciąż ledwie widocznego w świetle wczesnego ranka. Dopasowany strój infiltrujący skrywał jego sygnaturę termiczną, przynajmniej dopóki działały pochłaniacze ciepła przy jego pasie.

Jego zadaniem było dostać się do Foundry, ukraść tyle broni i wyposażenia, ile się da, po czym wynieść się stamtąd przed upływem piętnastu minut. Od naszego informatora dostaliśmy podstawowe mapy pokazujące, że laboratoria i fabryki znajdujące się w podziemiach zamku są pełne towaru, który aż się prosi, żeby go zwinąć.

Nerwowo obserwowałem Abrahama przez lunetę — celując nieco na prawo od niego, żeby nie trafił go przypadkowo oddany strzał — upewniając się, że żaden dron go nie zauważył.

Drony go nie wykryły. Jedna samokurcząca się lina wciągnęła go na niski mur, a druga na dach zamku. Schował się za krenelażem, przygotowując następny ruch.

— Po twojej prawej jest wejście, Abrahamie — powiedziałem mu przez radio. — Jeden z dronów wyleciał z dziury pod oknem tej wieży.

— Fajowo — rzekł Abraham, choć to słowo zabrzmiało szczególnie dziwnie w jego ustach, wypowiedziane z miękkim francuskim akcentem.

— Proszę, powiedz mi, że nie ma takiego słowa — mruknąłem, a potem powiodłem za nim lufą karabinu, gdy ruszył w kierunku otworu.

— A dlaczego nie miałoby być? — spytała Mizzy.

— Bo po prostu brzmi upiornie.

— A te, które dziś wypowiadamy, nie brzmią upiornie? „Skry”? „Słońce”?

— One są normalne — powiedziałem. — Wcale nie upiorne.

W pobliżu przeleciał jakiś dron, ale na szczęście mój strój maskował także moją sygnaturę cieplną. I dobrze, bo ten podobny do skafandra pletwonurka kombinezon był cholernie niewygodny. Aczkolwiek mój nie był aż tak krępujący jak ten, który nosił

Abraham: z osłoną twarzy i innymi dodatkami. Dron rejestrował moją sygnaturę termiczną jako minimalną, typową dla wiewiórki lub podobnego stworzenia. Podstępnej i śmiertelnie niebezpiecznej wiewiórki.

Abraham dotarł do niszy, którą mu wskazałem. Na skry, ten gość umiał się skradać. Zaledwie na moment spuściłem go z oka, a już go zgubiłem i z trudem zdołałem ponownie zlokalizować. Na pewno przeszedł jakieś specjalne szkolenie.

— Niestety, są tu drzwi — rzekł ze swojej niszy Abraham. — Widocznie zamykają się po wylocie maszyn. Spróbuję przeciąć zamek.

— Świetnie — powiedziałem. — Megan, wszystko gra?

— Żyję — odparła, sapiąc. — Na razie.

— Ile widzisz dronów? — zapytałem. — Czy już wytoczyli przeciw tobie te większe? Możesz...

— Jestem trochę zajęta, Klęczko — warknęła.

Zamknąłem się, niespokojnie nasłuchując kanonady i wybuchów. Pragnąłem być tam, strzelać i walczyć, ale to nie miałoby sensu. Nie byłem równie zręczny jak Abraham ani... no cóż, nieśmiertelny jak Megan. Obecność w naszym zespole takiego Epika jak ona była niewątpliwą zaletą. Poradzą sobie z tym. Moim zadaniem jako dowódcy było trzymać się na uboczu i podejmować decyzje.

Parszywa robota.

Czy tak czuł się Profesor, nadzorując nasze misje? Zazwyczaj przeczekiwał je, kierując wszystkim zza kulis. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie to może być trudne. No cóż, jeśli nauczyłem się czegoś w Babilarze, to tego, że muszę trzymać na wodzy swoją porywczosć. Powinienem być... trochę mniej zapalczywy. Może niepalny?

Tak więc czekałem, podczas gdy Abraham robił swoje. Jeśli zaraz nie dostanie się do środka, będę musiał odwołać operację. Im dłużej trwała, tym większe ryzyko, że tajemniczy mieszkańcy Foundry odkryją, iż nasza „armia” składa się z zaledwie pięciu osób.

— Jaka sytuacja, Abrahamie? — zapytałem.

— Myślę, że zdołam je otworzyć — odparł. — Jeszcze chwileczkę.

— Nie... — zacząłem i urwałem. — Czeka, co to było?

Gdzieś w pobliżu dał się słyszeć cichy pomruk. Spojrzałem w dół i ze zdziwieniem zobaczyłem, że miękkie poszycie lasu wybrzusza się. Liście i mech odwinęły się, odsłaniając metalowe obrzeże otworu. Kolejne stado dronów wyleciało z niego i przemknęło obok mojego drzewa.

— Mizzy — syknąłem do mikrofonu. — Druga grupa dronów próbuje cię oskrzydlić.

— Kijowo — powiedziała Mizzy. Zastanowiła się. — Czy...

— Tak, znam to słowo. Może będziesz musiała rozpocząć fazę numer dwa. — Zerknąłem w dół na zamykający się z cichym pomrukiem otwór. — Przygotuj się. Wygląda na to, że Foundry ma tunele z wylotami w lesie. Będą mogli wysyłać drony z nieoczekiwanych miejsc.

Drzwi na dole znieruchomiały niedomknięte. Zmarszczyłem brwi i wychyliłem się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Najwyraźniej trochę ziemi i kamieni dostało się w tryby mechanizmu zamykającego. Pewnie na tym polega problem z umieszczaniem drzwi w środku lasu.

— Abrahamie — podekscytowany rzuciłem przez radio — drzwi tego otworu zacięły się. Możesz wejść tędy.

— Myślę, że to mogłoby być trudne — rzekł i znów spojrzawszy na zamek, zobaczyłem, że para dronów powróciła tam po serii eksplozji na flance Mizzy. Zawisły w powietrzu niedaleko pozycji Abrahama.

— Na skry — szepnąłem, a potem wycelowałem i dwoma strzałami trafiłem oba drony. Spadły — byliśmy wyposażeni w kule, które stapiały elektronikę trafionego celu. Nie wiedziałem, na jakiej działają zasadzie, ale ich zakup pochłonął wszystkie nasze fundusze, łącznie z tym, co dostaliśmy za kopter, którym Cody i Abraham uciekli z Newcago. I tak za bardzo rzucał się w oczy.

— Dzięki za asystę — powiedział Abraham, gdy drony spadły.

Pode mną mechanizm drzwi głośno zgrzytał, usiłując je zamknąć. Przesunęły się o kolejne centymetry.

— To wejście zaraz się zamknie — powiedziałem. — Wróć tu szybko.

— Niepostrzeżenie się nie da, Davidzie — odparł Abraham.

Zerknąłem na drzwi. Newcago było dla nas stracone. Profesor już zaatakował i splądrował tam wszystkie nasze kryjówki. Ledwie udało nam się przenieść w bezpieczne miejsce Edmunda — innego współpracującego z nami Epika.

Mieszkańcy Newcago byli przerażeni. W Babilarze było niewiele lepiej — mało zasobów, a dawni słudzy Regalii mieli to miejsce na oku, służąc teraz Profesorowi.

Gdyby ten napad się nie udał, bylibyśmy bankrutami. Musielibyśmy przycząć się gdzieś na rok, żeby spróbować odbudować struktury, a przez ten czas Profesor mógłby szaleć. Nie wiedziałem, co zamierza, dlaczego tak szybko opuścił Babilar, lecz ten fakt świadczył, że ma jakiś zamysł lub plan. Jonathan Phaedrus, trawiony teraz przez swoją moc, nie zadowoliliby się rządami nad jednym miastem. Był ambitny.

Mógł być najniebezpieczniejszym Epikiem, jakiego znał ten świat. Skręciło mnie na samą myśl o tym. Nie mogłem tolerować dalszej zwłoki.

— Cody — powiedziałem. — Widzisz Abrahama i możesz go osłaniać?

— Chwileczkę — mruknął. — Taak, widzę go.

— To dobrze — odrzekłem. — Ponieważ wchodzę do zamku. Przejmujesz dowodzenie.

## 2

Zjechałem po linie na leśną ściółkę. Przede mną drzwi otworu w końcu znów zaczęły się zamykać. Ze zduszonym okrzykiem pomknąłem w stronę otworu w ziemi i wskoczyłem doń, przelatując ślizgiem kawałek po niskiej pochylni, a drzwi za mną zamknęły się ze złowieszczym zgrzytem.

Byłem w środku. I prawdopodobnie w pułapce.

Zatem... co dalej?

Słabe światła awaryjne umieszczone w ścianach ukazywały lekko opadający tunel o zaokrąglonym sklepieniu, przypominający gardziel olbrzyma. Spadek nie był zbyt stromy, więc podniosłem się i powoli ruszyłem w dół, z karabinem przyciśniętym do ramienia. Przełączyłem przypiętą na biodrze krótkofalówkę na inną częstotliwość — jak miał zrobić każdy, kto dostanie się do Foundry — aby móc koordynować działania. Pozostali będą wiedzieli, jak nawiązać ze mną kontakt.

Mrok kusił, żeby włączyć komórkę i posłużyć się nią jak latarką, ale powstrzymałem się. Kto wie, jakie ukryte wejścia Foundry umieściła w oprogramowaniu aparatu? W istocie, kto wie, co te urządzenia naprawdę potrafią? Z pewnością były produktami technologii Epików. Telefony działające w każdych warunkach, uniemożliwiające przechwytywanie połączeń? Wychowałem się w podziemiu Newcago, ale nawet ja zdawałem sobie sprawę jakie to fantastyczne.

Dotarłem na sam dół i włączyłem funkcję noktowizora oraz detekcji termicznej w lunecie. Na skry, to był niesamowity karabin. Przede mną ciągnął się cichy korytarz, nic tylko gładki metal od podłogi po sufit. Zważywszy jego długość, ten tunel musiał biec pod murami Foundry aż do jej kompleksu; zapewne był to korytarz dostawczy.

Nielegalne zdjęcia wnętrza Foundry ukazywały wszelkiego rodzaju motywatory i urządzenia leżące na stołach roboczych. To skłoniło nas do zrealizowania tego planu. Wziąć, co się da i wiać, w nadziei, że zdobędziemy coś użytecznego.

Byłoby to jakieś urządzenie skonstruowane z ciał Epików. Zanim jeszcze odkryłem, że Profesor posiada nadnaturalne zdolności, powinienem był pojąć, w jak znacznym stopniu polegamy na Epikach. Zawsze chciałem, żeby Mściciele byli swego rodzaju czystą, wyzwolicielską siłą — zwykłymi ludźmi walczącymi z dysponującym nadnaturalnymi mocami wrogiem.

Tak jednak nie było, no nie? Perseusz miał swojego skrzydlatego konia, Aladyn lampę, a Dawid ze Starego Testamentu błogosławieństwo Jehowy. Chcesz walczyć z bogiem? Lepiej żebyś miał któregoś po swojej stronie.

W naszym przypadku odcinaliśmy kawałki tych bogów, zamykaliśmy je w pudełkach i wykorzystywaliśmy ich moc. Większość z nich pochodziła stąd. Knighthawk Foundry, tajna przetwórnia włók Epików na oręż.

Moje słuchawki zatrzeszczały, więc podskoczyłem.

— David? — Głos Megan popłynął po bezpiecznej linii. — Co robisz?

Skrzywiłem się.

— Znalazłem w poszyciu otwór wylotowy tunelu i udało mi się wejść do środka.

Chwila ciszy, a potem „na słońce”.

— Dlaczego? Bo to lekkomyślne?

— Na skry, nie. Bo mnie nie zabrałeś.

Huk eksplozji, gdzieś w pobliżu niej.

— Zdaje się, że masz niezłą zabawę — powiedziałem. Szedłem dalej z wycelowanym karabinem, bacznie wypatrując dronów.

— Tak, pewnie — odparła Megan. — Przechwytywanie minirakiet twarzą. Świetna zabawa.

Uśmiechnąłem się. Sam dźwięk jej głosu tak na mnie działał. Do diabła, wolałem, by krzyczała na mnie Megan, niż chwalił ktoś inny. Ponadto sam fakt, że ze mną rozmawiała, świadczył, że tak naprawdę żadna rakietka nie trafiła jej w twarz. Była nieśmiertelna w tym sensie, że jeśli umarła, odradzała się — ale można ją było zranić jak każdego. A ze względu na ostatnie problemy starała się ograniczać korzystanie ze swojej mocy.

Będzie to robiła głównie w tradycyjny sposób. Zygzakiem biec między drzewami, rzucając granaty i strzelając, osłaniana przez Cody’ego i Mizzy. Wyobraziłem sobie, jak klnie pod nosem, spocona, celując pewną ręką w przelatującego drona, skupiona...

Hm, no dobrze. Chyba powinienem się skoncentrować.

— Skupię na sobie ich uwagę — powiedziała Megan — ale uważaj, Davidzie. Nie masz pełnego kombinezonu szturmowego. Te drony wychwycą twoją sygnaturę termiczną, jeśli podlecą blisko.

— Fajowo — szepnąłem. Cokolwiek to znaczyło.

Przede mną w tunelu robiło się jaśniej, więc wyłączyłem noktowizor lunety i zwolniłem tempo marszu. Przez chwilę skradałem się, po czym przystanąłem. Tunel dochodził do dużego białego korytarza, który biegł w prawo i w lewo. Jasno oświetlony, z wykafelkowaną podłogą i metalowymi ścianami, był zupełnie pusty. Jak biuro, gdy

w sklepie po drugiej stronie ulicy dają pączki za darmo.

Wyjąłem z kieszeni nasze mapy, jakie mieliśmy, i spojrzałem na nie. Niewiele mi powiedziały, chociaż jedno ze zdjęć chyba przedstawiało ten korytarz. No cóż, powinienem znaleźć tu coś użytecznego, ukraść to i uciec.

Profesor lub Tia wymyśliliby lepszy plan, ale nie było ich tu. Tak więc na chybił trafił wybrałem kierunek i poszedłem dalej. Kiedy napiętą ciszę po kilku minutach przerwał odbijający się echem w korytarzu i przybliżający się świst, poczułem ulgę.

Pomknąłem w kierunku, z którego dochodził ten dźwięk. Nie zrobiłem tego dlatego, że pragnąłem jak najszybszej konfrontacji, ale ponieważ zobaczyłem drzwi w ścianie korytarza. Dotarłem do nich w porę, żeby je otworzyć szarpnięciem — na szczęście nie były zamknięte — i wśliznąć się do ciemnego pomieszczenia. Oparty plecami o drzwi, usłyszałem świst przelatujących korytarzem dronów. Odwróciłem się i spojrzałem przez szybkę w drzwiach. Zobaczyłem, jak śmigają białym korytarzem, a potem skręcają do tunelu.

Nie odczytały mojej sygnatury termicznej. Przełączyłem krótkofalówkę na otwartą linię i szepnąłem:

— Kolejne drony wylecą otworem, przez który wszedłem. Jaka sytuacja, Cody?

— Zostało nam jeszcze kilka sztuczek — odparł Cody — ale robi się gorąco. Jednak Abraham zdołał wejść przez dach. We dwóch powinniście złapać, co się da i zwiewać.

— Przyjąłem — powiedział przez krótkofalówkę Abraham.

— Rozumiem — rzuciłem, rozglądając się po pomieszczeniu. Było zupełnie ciemno, ale sądząc po zapachu środków dezynfekcyjnych, znalazłem się w jakimś laboratorium. Włączyłem noktowizor i pospiesznie popatrzyłem wokół.

Okazało się, że otaczają mnie ciała.

### 3

Stłumiłem okrzyk przestachu. Z karabinem przyciśniętym do ramienia i łomoczącym sercem ponownie obejrzałem pokój. Był pełen długich metalowych stołów i zlewów, pomiędzy którymi stały duże wanny, a półki zajmujące ściany od podłogi po sufit były zastawione rozmaitej wielkości słojami. Pochyliłem się, żeby lepiej przyjrzeć się tym na półce obok. Części ciała. Palce. Płuca. Mózgi. Wszystkie ludzkie, według etykiet. Widocznie w tym laboratorium ćwiartowano ciała.

Opanowałem mdłości i skoncentrowałem się. Czy trzymaliby motywatory w takim pomieszczeniu jak to? Wszystko, co wykorzystywało technologię Epików, potrzebowało

motywatora, żeby mogło działać — tak więc ta operacja byłaby fiaskiem, gdybym nie znalazł tu ich sterty.

Zacząłem ich szukać — byłyby w metalowych pudełkach wielkości baterii do komórki. Na skry. Wszystko było skąpane w zieleni noktowizora, a widziane przez lunetę mojego karabinu wyglądało jeszcze bardziej niesamowicie.

— Hej — powiedziała przez radio Mizzy, a ja znów podskoczyłem. — Davidzie, jesteś tam?

— Taak — szepnąłem.

— Kanonada po mojej prawej przesunęła się w kierunku Megan, więc mogę odetchnąć. Cody kazał mi sprawdzić, czy czegoś potrzebujesz.

Nie byłem pewny, co mogłaby zrobić z tak daleka, ale dobrze było usłyszeć czyjś głos.

— Jestem w jakimś laboratorium — rzekłem. — Są tu półki pełne słoików z częściami ciała... — Znów mnie zemdlilo, gdy skierowałem karabin w bok i przez lunetę uważnie przyjrzałem się pobliskim wannom. Każda miała szklane wieko i były pełne. Zakrztusiłem się i odskoczyłem. — Oraz pojemniki pełne pływających w nich kawałków. Jakby banda kanibali składała tu zapas jabłek. Mówię o jabłkach Adama.

Wyciągnąłem rękę i otworzyłem szafkę, w której znalazłem całą półkę z marynowanymi sercami. Gdy zrobiłem krok naprzód, nadepnałem na coś miękkiego i oślizłego. Znów odskoczyłem i skierowałem lufę w dół, ale to była tylko mokra szmata.

— Mizzy — szepnąłem — to cholernie upiorne miejsce. Myślisz, że mogę zapalić światło?

— Och, to byłoby bardzo mądre. Ludzie mający tak zabezpieczony bunkier i latające drony obronne na pewno nie umieszczają kamer w swoich laboratoriach. Skądże. Nie ma mowy.

— Zrozumiałem.

— Albo już cię odkryli i leci do ciebie eskadra śmiertelnych kopterów. Jednak na wypadek, gdybyś nie tkwił w pułapce i nie miał zaraz zginąć, optowałabym za zachowaniem ostrożności.

Powiedziała to wszystko wyniosłym, niemal podekscytowanym tonem. Mizzy bywała zabawniejsza niż stado naćpanych kofeiną szczeniaków. Zwykle było to krzepiące. Zwykle nie skradałem się przez sale pełne poćwiartowanych zwłok.

Przyklęknąłem i dotknąłem szmaty na podłodze. Była jeszcze mokra, co mogło świadczyć, że ktoś pracował tu w nocy i nasz atak go spłoszył.

— Jest tam coś, co mógłbyś zwinąć? — zapytała Mizzy.

— Nie, chyba że chcesz sobie pozszywać z kawałków nowego chłopaka.

— A fe. Słuchaj, łap, co się da i wynoś się stamtąd. To już za długo trwa.

— Racja — powiedziałem, otwierając następną szafkę. Narzędzia chirurgiczne. — Pospiesz się. To... czekaj chwilkę.

Zastygłem, nasłuchując. Czyżbym coś usłyszał?

Tak, jakiś stukot. Staralem się nie wyobrazić sobie trupa wychodzącego z jednej z wanien. Dźwięk dobiegał od drzwi, przez które wszedłem, i nagle na podłodze w pobliżu nich zamigotała smuga światła.

Powoli przesunąłem się ku niej. Był to mały dron, płaski i owalny, z wirującymi szczotkami na spodzie. Wjechał przez zakryty klapką otwór w pobliżu drzwi — coś jak otwór dla kota — i zamiatał podłogę.

Odpreżyłem się.

— To tylko robot sprzątający — rzuciłem do mikrofonu.

Robot natychmiast znieruchomiał. Mizzy zaczęła coś mówić, lecz nie dosłyszałem jej słów, gdyż mały automatyczny sprzątacznik znów zawarczał i pomknął do swoich drzwiczek. Rzuciłem się na podłogę i udało mi się go złapać, zanim zdążył odchylić klapę na zawiasach i czmychnąć.

— Davidzie? — zapytała Mizzy, zaniepokojona. — Co to było?

— To ja okazałem się idiotą — odparłem, krzywiąc się. Stłukłem sobie łokieć, padając na podłogę. — Robot zorientował się, że coś jest nie tak i próbował uciec. Jednak zdążyłem go złapać. Mógłby kogoś ostrzec.

— I tak mógł to zrobić — zauważyła Mizzy. — Mógł być połączony z systemem alarmowym.

— Sprzężę się — obiecałem, wstając. Położyłem robota sprzątającego do góry kołami na półce obok woreczków z krwią wiszących w małej chłodziarce ze szklanymi drzwiczkami. Kilka innych woreczków leżało na blacie szafki. Fuj. — Może niektóre z tych części ciała należą do Epików — powiedziałem. — Mógłbym je wziąć i mielibyśmy próbki DNA. Przydałyby się nam?

— Do czego?

— Nie mam pojęcia — przyznałem. — Żeby zrobić z nich jakąś broń?

— Taak — sceptycznie mruknęła Mizzy. — Przyczepię stopę do lufy mojego karabinu w nadziei, że w ten sposób zmienię go w laser albo coś podobnego.

Poczerwieniałem w ciemnościach, ale nie widziałem w tym niczego zabawnego. Gdybym ukradł jakieś cenne DNA, moglibyśmy wymienić je na sprzęt, no nie? Chociaż trzeba przyznać, że te części ciała zapewne do niczego się nie nadawały. Ważne fragmenty DNA Epików szybko się rozkładały, tak więc musiałbym znaleźć zamrożone tkanki, gdybym chciał mieć coś, co mógłbym sprzedać.

Zamrażarki. Gdzie znajdę zamrażarki? Sprawdziłem jedną z wanien, podniósłszy



szklaną pokrywę, ale woda w niej była zimna, nie lodowata. Opuściłem pokrywę, rozglądając się po sali. Na końcu znajdowały się drzwi, naprzeciw tych, które prowadziły na korytarz.

— Wiesz — powiedziałem do Mizzy, idąc w kierunku tych drzwi — to miejsce jest dokładnie takie, jak można się było spodziewać.

— Spodziewałeś się pomieszczenia pełnego poćwiartowanych ciał?

— Taak, coś w tym rodzaju — rzekłem. — No wiesz, szaleni naukowcy robiący broń z martwych Epików. Dlaczego nie mieliby mieć sali pełnej kawałków ciał?

— Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz, Davidzie. Poza zszokowaniem mnie.

— Jedną chwileczkę.

Dotarłem do drzwi, które okazały się zamknięte.

Musiałem kopnąć w nie kilka razy, zanim puściły. Nie przejmowałem się hałasem — jeśli ktoś był w pobliżu, już usłyszał moją szamotaninę z małym dronem. Drzwi otworzyły się, ukazując ciemny korytarz, mniejszy od poprzedniego i zupełnie nieoświetlony. Nasłuchiwałem przez chwilę, ale niczego nie usłyszałem i postanowiłem sprawdzić, dokąd prowadzi.

— W każdym razie — ciągnąłem — zaczynam się zastanawiać, jak oni robią broń z Epików.

— Nie mam pojęcia — oznajmiła Mizzy. — Umiem ją naprawiać, kiedy już ją mamy, ale motywatory to nie moja liga.

— Kiedy Epik umiera, jego komórki natychmiast zaczynają się rozpadać — przypomniałem. — Każdy o tym wie.

— Każdy nerd.

— Nie jestem...

— W porządku, facet — rzekła Mizzy. — Pogódź się z tym. Bądź sobą i w ogóle. W zasadzie wszyscy jesteśmy nerdami, tylko w różnych dziedzinach. Poza Codym. Myślę, że on jest geekiem albo jakoś tak... nie mogę sobie przypomnieć odpowiedniego określenia. Coś związanego ze zjadaniem kurzych łbów.

Westchnąłem.

— Kiedy Epik umiera, możesz pobrać próbki jego komórek, jeśli się pospieszysz. Podobno ważne są mitochondria. Zamrażasz te komórki i możesz je sprzedać na czarnym rynku. W jakiś sposób produkuje się z nich potem różne rzeczy. Sęk w tym, że Znikający pozwolił się zoperować Regalii. Widziałem blizny. Zrobili bombę, wykorzystując jego moc.

— A zatem...

— A zatem po co była ta operacja? — zapytałem. — Mógł po prostu oddać trochę krwi, no nie? Dlaczego Regalia wezwała jakiegoś wybitnego chirurga?

Mizzy zamilkła.

— Hmm — mruknęła.

— Taak.

Prawdę mówiąc, zakładałem, że Epik musi być martwy, żeby sporządzić coś, co wykorzysta jego moc. Regalia i Znikający dowiedli, że się myliłem. Jeśli jednak można wytwarzać urządzenia z żywych Epików, to dlaczego Stalowe Serce nie stworzył legionu niezwycięzonych żołnierzy? Może nie pozwoliła mu na to jego paranoja, ale z pewnością mógł stworzyć setki kopii Epika zarządzającego jego miastem.

Dotarłem do załomu ciemnego korytarza. Wyrzałem zza niego, używając podczerwieni w lunecie i wypatrując zagrożenia. Noktowizor pokazał niewielkie pomieszczenie z kilkoma dużymi zamrażarkami. Nie widziałem żadnych wyraźnych źródeł ciepła, ale zegar na wyświetlaczu lunety ostrzegał mnie, że powinienem już wracać. Tylko że gdybym poszedł i Abraham także nie znalazłby niczego, bylibyśmy skończeni. Musiałem coś znaleźć.

Stałem tam zaniepokojony tym, że kończy mi się czas — oraz tym, co widziałem. Oprócz kwestii produkowania motywatorów z żywych Epików był jeszcze inny problem. Kiedy ludzie mówili o technologii wykorzystującej Epików, zakładali, że wszystkie urządzenia są wytwarzane w podobny sposób. Czy to możliwe? Broń tak różniła się od różdzek, które pozwalały nam wykrywać Epików. Obie ogromnie się różniły od spyryla, urządzenia wykorzystującego moc Epików, które pozwalało mi latać na hydronapędzie.

Nie byłem nerdem, ale wiedziałem dość, by pojmować, że wszystkie te urządzenia działają w zupełnie różny sposób. Do konia nie wzywasz specjalisty od małych zwierząt — jednak jeśli chodzi o technologię opartą na mocy Epików, to wyglądało, że znajomość jednego wystarczała do wytworzenia rozmaitych produktów.

W duchu przyznałem, że te kwestie były prawdziwym powodem, dla którego znaleźliśmy się tutaj, w Knighthawku. Profesor miał swoje sekrety, jeszcze zanim uległ pokusie swej mocy. Miałem wrażenie, że w tej sprawie nikt nigdy nie był ze mną całkiem szczery.

Szukałem wyjaśnień. Zapewne były gdzieś tutaj. Może znajdę je za tym stadem zautomatyzowanych dronów wojennych, które celowały we mnie z za zamrażarek.

Och.

szczęście zauważyłem je w porę i zdążyłem się schować za załomem korytarza, zanim któryś mnie trafił.

Odwróciłem się i pobiegłem z powrotem korytarzem. Palba ścigających mnie dronów zagłuszała głos Mizzy w słuchawkach. Każdy z nich miał kwadratową stopę z wielokierunkowymi kółkami i szkieletowy korpus zwieńczony karabinkiem automatycznym. Doskonale mogły manewrować w umeblowanych pomieszczeniach i korytarzach, lecz, na skry, ucieczka przed nimi była upokarzająca. Bardziej przypominały karaluchy niż maszyny wojenne.

Dotarłem do drzwi laboratorium z częściami ciał i przebiegłem przez nie, wyhamowałem poślizgiem i rąbnąłem plecami o ścianę. Stuknięciem palca przełączyłem obraz z lunety na odchylany ekranik gottschalka, co pozwoliło mi wystawić karabin zza narożnika i wystrzelić, nie ryzykując, że mnie trafią.

Roboty pędziły jak stado błyszczących moteli na kółkach. Osobiście wstydzilibym się konstruować tak głupio wyglądające roboty. Wystrzeliłem serię, nawet nie celując, ale korytarz był tak wąski, że to nie miało znaczenia. Powaliłem kilka robotów i spowolniłem pozostałe, które musiały się przedostać przez stertę złomu. Kiedy rozwaliłem jeszcze kilka, wycofały się z pola ostrzału do pomieszczenia z zamrażarkami.

— Davidzie? — Zdenerwowany głos Mizzy w końcu zwrócił moją uwagę. — Co się dzieje?

— Nic mi nie jest — powiedziałem. — Jednak zauważyły mnie.

— Zjeżdżaj.

Zawahałem się.

— Davidzie?

— Tam coś jest, Mizzy. Ten pokój był zamknięty i pilnowany przez drony. Założę się, że przyleciały tam, jak tylko rozpoczęliśmy atak. Albo to pomieszczenie jest zawsze strzeżone, co oznacza...

— Och, na Calamity. Zrobisz to, co zawsze, no nie?

— Dopiero co powiedziałaś mi, żebym, cytuję, „był sobą i w ogóle”. — Wystrzeliłem kolejną serię, dostrzegłszy jakiś ruch na końcu korytarza. — Zawiadam Abrahama i pozostałych, że zostałem zauważony. Wycofaj wszystkich i przygotujcie się do odwrotu.

— A ty?

— Ja zamierzam odkryć, co jest w tym pomieszczeniu. — Zawahałem się. — Może w tym celu będę musiał dać się postrzelić.

— Co takiego?

— Na moment się rozłączę. Przepraszam.

Odpiąłem krótkofalówkę i słuchawki, a potem wcisnąłem guzik przy kolbie i z łoża

karabinu wysunął się niewielki trójnóg. Ustawiłem broń wycelowaną w metalową ścianę tunelu, mając nadzieję, że rykoszetujące kule trafią parę robotów, ale przede wszystkim odwrócą ich uwagę. Mogłem zdalnie sterować ogniem za pomocą lekko nadtopionego pilota, którego wyjąłem ze skrytki w kolbie.

Pospiesznie przemknąłem przez pokój, strzelając krótkimi seriami, aby wydawało się, że wciąż prowadzę wymianę ognia z dronami. Światło ich reflektorów było dostatecznie jasne, żeby odbijać się od szkła i metalu w tym pomieszczeniu, oświetlając mi drogę. Wziąłem z półki małego robota sprzątającego, a z szafki woreczek z krwią i rolkę przylepca, którą wcześniej zauważyłem w szufladzie.

Oderwałem kawałek przylepca i przymocowałem woreczek do robota, po czym przebiłem plastik nożem. Podszedłem do drzwi wejściowych, uchyliłem je i wypuściłem maszynę na zewnątrz. Pomknęła białym korytarzem, zostawiając za sobą szeroki krwawy ślad, równie dyskretny jak nagła solówka na tubie na koncercie rapera.

Doskonale. Teraz miejmy nadzieję, że zdołam udać postrzelonego. Złapałem następny woreczek z krwią i dźgnąłem go nożem. Nabrawszy tchu, pobiegłem do drzwi na drugim końcu pokoju, gdzie drony strzelały do mojego gottschalka.

Roboty zrobiły pewne postępy, spychając na bok uszkodzone i podchodząc bliżej. Schowałem się, gdy tylko zaczęły do mnie strzelać, a potem wrzasnąłem i ochlapałem kawałek ściany krwią z woreczka. Następnie pomknąłem ku jednej z wanien, pozostawivszy krwawy ślad prowadzący w kierunku wyjścia.

Ponieważ teraz nie używałem lunety, więc niemal nie widziałem, co się znajduje w wannie, ale otworzyłem ją, zacisnąłem zęby i wszedłem do środka, dotykając jakichś śliskich kawałków, które moim zdaniem były wątrobami. Zanurzając się w lodowaty płyn, doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, jakie to wszystko jest obrzydliwe. Na szczęście przywykłem do tego, że realizując moje plany, zawsze w jakiś sposób się upokarzam. Tym razem robiłem to celowo. Zawsze to jakiś postęp!

Staralem się nie ruszać w nadziei, że chłodzenie i niska temperatura wanny ukryją mnie przed detektorami ciepła używanymi przez roboty. Niestety, żeby nie rzucać się w oczy, musiałem zamknąć wieko wanny i wstrzymać oddech. I tak leżałem tam w oślizłych kawałkach ciał, patrząc na migające nade mną światła, gdy roboty ze swymi reflektorami wleciały do laboratorium. Niewiele widziałem przez warstwę wody i szkła, ale mimowolnie wyobrażałem sobie roboty gromadzące się wokół wanny i patrzące na mnie, rozbawione moimi nieudolnymi próbami ukrycia się.

Wstrzymywałem oddech, aż zaczęło mi się zdawać, że zaraz pękną mi płuca. Moja twarz, niezakryta przez kombinezon szturmowy, zamarzała. Na szczęście światła w końcu zgasły. Zdołałem wytrzymać tam jeszcze chwilę, po czym uniosłem pokrywę

i dygocząc, zejrziałem się po laboratorium. Było w nim ciemno jak w grobie.

Roboty najwyraźniej połknęły przynętę. Wytarłem płyn z oczu i wydostałem się z pojemnika. Na skry. Jakby to miejsce nie było niesamowite, zanim postanowiłem schować się przed śmiercionośnymi robotami w stercie wątroby. Potrząsnąłem głową i podszedłszy, podniosłem krótkofalówkę i broń. Założyłem słuchawki, ale upaprałem je krwią i chyba się zepsuły.

Musiałem użyć krótkofalówki w tradycyjny sposób.

— Już wróciłem — cicho powiedziałem do aparatu, wciskając przycisk transmisji.

— Davidzie, jesteś stuknięty — odpowiedział mi głos.

Uśmiechnąłem się.

— Cześć, Megan — mruknąłem, wchodząc do wąskiego korytarza. Przetruchałem obok rozwalonych robotów. — Wszyscy się wycofali?

— Wszyscy mający rozum.

— Ja też cię kocham — powiedziałem. Przystanąłem w miejscu, z którego wcześniej ostrzelałem roboty i spojrzałem. W pomieszczeniu było ciemno jak przedtem. Zarzuciłem taśmę karabinu na ramię, a następnie sprawdziłem przez lunetę, czy nie czają się tam roboty. — Prawie skończyłem. Dajcie mi jeszcze kilka minut.

— Przyjęłam.

Nastawiłem krótkofalówkę tylko na nadawanie, żeby jej trzask nie ostrzegł znajdujących się w pobliżu wrogów. Niestety, nie miałem czasu na podjęcie innych środków ostrożności. Mój podstęp z mylnym tropem wkrótce zostanie odkryty. Jakby potwierdzając zagrożenie, odległy wybuch wstrząsnął budynkiem.

Obmacałem ścianę i zapaliłem światło, a potem przeszedłem przez pokój do jednej z tych dużych stojących zamrażarek. W pokrywie z nierdzewnej stali odbiła się moja twarz z dwutygodniowym zarostem. Pomyślałem, że wyglądam jak bandyta. Megan lubiła z tego żartować.

Z mocno bijącym sercem otworzyłem pierwszą zamrażarkę i odchyliłem jej pokrywę, wypuszczając falę lodowatego powietrza. Wewnątrz znajdowały się niezliczone rzędy zamrożonych szklanych fiolek z kolorowymi zakrętkami. Nie motywatory, których szukałem, ale najprawdopodobniej próbki DNA Epików.

— No cóż — szepnąłem — przynajmniej nie są to mrożonki na obiad.

— Nie — rzekł jakiś głos. — Trzymam je w innej zamrażarce.

Stałem zupełnie nieruchomo i zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Odwróciłem się, przezornie nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, i odkryłem, że, niestety, przeoczyłem jednego robota schowanego w ciemnym kącie pomieszczenia. Jego tyczkowaty korpus nie wyglądał groźnie, ale zamocowany na końcu zmodernizowany karabin szturmowy FAMAS G3 to zupełnie inna bajka.

Zastanawiałem się, czy spróbować go rozwalić, ale stałem do niego bokiem. Musiałbym obrócić karabin i wystrzelić, zanim robot mnie trafi. Szanse na to były niewielkie.

— Naprawdę trzymam żywność w tej drugiej — ciągnął głos przekazywany przez robota. Męski tenor, łagodny. Zapewne jednej z tych tajemniczych osób, które kierowały Foundry. Większość tych dronów wydawała się autonomiczna, lecz ich panowie z pewnością obserwowali rozwój sytuacji — każdy miał zamontowaną kamerę. — Jednak nie mrożonki. Steki. Trochę soczystych żeberek pozostałych z dawnych dobrych czasów. Brak mi ich bardziej niż czegokolwiek innego.

— Kim jesteś? — spytałem.

— Człowiekiem, którego próbujesz obrabować. Jak oszukałeś moje drony?

Przygryzłem wargę, próbując ocenić czas reakcji drona, patrząc, jak przesuwana lufa, gdy obróciłem się nieznacznie. Na skry. Miał doskonały układ śledzenia; broń przez cały czas była wycelowana we mnie. Z jego głośników wydobyło się nawet ostrzegawcze tykanie. Znieruchomiałem.

Pytanie tylko, czy miał pełną swobodę ruchów?

— A więc do tego doszedł potężny Jonathan Phaedrus — powiedział głos. — Posyła swoich ludzi, aby mnie okradli.

Phaedrus? Oczywiście. Ten pracownik Knighthawk Foundry myślał, że wciąż pracujemy dla Profesora. Nie rozgłaszaliśmy tego, że uległ pokusie swojej mocy; większość ludzi nawet nie wiedziała, że jest Epikiem.

— Musieliśmy tu przyjść — powiedziałem — ponieważ nie chcieliście z nami handlować.

— Tak, to bardzo honorowo z waszej strony. Dajcie nam, co chcemy, albo weźmiemy to siłą. Spodziewałem się czegoś lepszego po jednym z doborowych zespołów Jonathana. Ledwie zdołaliście... — Głos ucichł, a potem ciągnął nieco ciszej: — Jak to, jeszcze jeden? Ukradli coś? Skąd w ogóle wiedzieli, gdzie one są, do licha?

Nie zrozumiałem cichej odpowiedzi. Spróbowałem się przesunąć, ale dron znów zatykał ostrzegawczo, tym razem głośniejsze.

— Hej, ty! — rzucił głos, znów skupiając uwagę na mnie. — Wezwij swoich przyjaciół. Powiedz im, żeby zwrócili to, co wziął ten drugi, albo cię zabiję. Masz trzy sekundy.

— Hmm...

— Dwie sekundy.

— Ludzie!

Ściana po mojej prawej stopiła się w strumieniu żaru, ukazując majaczącą za nią postać.

Dałem nura i wbrew instynktowi przeturlałem się w kierunku drona. Zdążył wystrzelić, ale — tak jak się spodziewałem — kiedy znalazłem się za blisko, nie mógł skierować lufy w dół pod takim kątem, żeby mnie trafić.

To oznaczało, że oberwałem tylko raz.

Trafił mnie w nogę, kiedy się turlałem. Nie wiem, jak mu się to udało, ale bolało jak diabli.

Robot próbował się cofnąć, lecz złapałem go, ignorując okropny ból nogi. Kiedy ostatnio mnie postrzelono, w pierwszej chwili nawet tego nie czułem, ale tym razem z trudem zniosłem ból. Pomimo to zdołałem uniemożliwić robotowi powtórny strzał, wyciągając rękę i szarpiąc dźwignię mocowania karabinka. Upadł na podłogę.

Niestety, gdy to robiłem, od sufitu oderwały się ponad dwa tuziny dronów — dotychczas udających panele — i opadły niżej jak małe śmigłowce. Nie byłem tu tak bezpieczny, jak przypuszczałem, chociaż teraz całą uwagę skupiły na postaci, która wyszła z roztopionego fragmentu ściany — człowieka z płomieni, ciemnoczerwonych jak stopiona skała. Pożar przybył. Szkoda, że nie był rzeczywisty.

Ściskając zranione udo, rozejrzałem się wokół, szukając Megan. Kryła się w kącie korytarza prowadzącego do laboratorium. Ten ogień nie był realny, nie całkiem, ale też nie był złudzeniem. Pożar był cieniem z innej rzeczywistości, innej wersji naszego świata. Nie przybył tu, żeby mnie uratować. Megan tylko nałożyła na nasz świat krąg rozchodzący się z tamtego świata, tworząc iluzję jego obecności.

To zmyliło drony. Naprawdę czułem żar bijący ze stopionej ściany i czułem woń dymu w powietrzu. Gdy drony otworzyły ogień, sięgnąłem do otwartej zamrażarki i chwyciłem tuzin fiolek. Potem pokuśtykałem przez pokój, do Megan, która dołączyła do mnie, gdy tylko się zorientowała, że jestem ranny.

— Na słońce — mruknęła, podtrzymując mnie i ciągnąc za załom korytarza, po czym wepchnęła do kieszeni fiołki, które zabrałem z zamrażarki. — Zostawiam cię samego na pięć minut, a ty natychmiast dajesz się postrzelić.

— Za to mam dla ciebie prezent — powiedziałem, opierając się plecami o ścianę, gdy pospiesznie opatrywała moją ranę.

— Prezent? Te fiołki?

— Mam dla ciebie nowy karabin — odparłem, zaciskając z bólu zęby, gdy mocno wiązała bandaż.

— Mówisz o tym FAMAS-ie, który zostawiłeś tam na podłodze?

— No.

— A wiesz, że każdy z tych prawie stu dronów, które zestrzeliłam na zewnątrz, miał taki sam? Teraz moglibyśmy z nich zbudować fort.

— Cóż, kiedy już skończysz układać z nich fort, będziesz potrzebowała jednego, żeby z niego strzelać. Zatem bardzo proszę! Jest do niego... — Skrzywiłem się z bólu. — Jest do niego nawet salka pełna śmiercionośnych robotów. I może kilka steków. Nie wiem, czy mówił prawdę, że je tam ma.

Za nią Pożar wyraźnie nie przejmował się ostrzałem, gdyż kule topiły się, nie dolatując do niego. Chociaż nie było tak gorąco, jak powinno było być, jakby ten ogień palił się gdzieś daleko, a my czuliśmy tylko jego słaby podmuch.

Nie całkiem rozumieliśmy działanie jego mocy. Drony, które spalił, tak naprawdę nie zostały zniszczone, a w ścianie nie powstał otwór. Zdolność tamtego świata do oddziaływania na nasz była tylko przelotna. Kiedy nasze światy się złączyły, przez minutę wszyscy tkwiliśmy w zakrzywieniu rzeczywistości, lecz po chwili wszystko miało wrócić do normalnego stanu.

— Nic mi nie jest — oznajmiłem. — Musimy ruszać.

Megan nie odpowiedziała, tylko znów mnie podtrzymała. Fakt, że nie odezwała się oraz to, że zaprzestała walki, żeby opatrzyć moją ranę, powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Byłem ciężko ranny i mocno krwawiłem.

Powlekliśmy się korytarzem w kierunku laboratorium. Idąc, zerknąłem przez ramię, aby sprawdzić, czy nie lecą za nami drony. Nie leciały, ale zauważyłem niepokojący widok: Pożar znów na mnie patrzył. Przez płomień zakrzywionej rzeczywistości spojrzała na mnie para czarnych oczu. Megan przysięgała, że on nie widzi naszego świata, a jednak wyciągnął do mnie rękę.

Wkrótce znikliśmy mu z oczu. Huk wystrzałów ścigał nas, gdy wtoczyliśmy się do laboratorium pełnego organów. Usunęliśmy się na bok zaniepokojeni, gdy obok przemknęła kolejna grupa dronów. Nawet nie zwróciły na nas uwagi. Miały Epika do pokonania.

Przeszliśmy przez salę i jasno oświetlony korytarz. Zostawiałem na podłodze ślady jak najbardziej prawdziwej krwi.

— Co tam było? — spytała Megan. — Czy w tych słojach były serca?

— Taak — mruknąłem. — Ludzie, jak boli...

— Cody — powiedziała Megan z niepokojem w głosie. — Czy Abraham wyszedł? W porządku, dobrze. Uruchomcie dzipy i przygotujcie zestaw pierwszej pomocy. David jest ranny.

Cisza.



— Nie wiem, jak to zrobimy, Mizzy. Miejmy nadzieję, że uda nam się odwrócić ich uwagę zgodnie z planem. Przygotujcie się.

Skupiłem się na maszerowaniu, nie zważając na ból. Skręciliśmy w korytarz prowadzący do ukrytego wejścia, którym się tu dostałem. Za nami strzelanina nagle ucichła.

Zły znak. Pożar znikł.

— Nie mogłaś go skłonić, żeby za nami poszedł? — zapytałem.

— Muszę odsapnąć — odrzekła, patrząc przed siebie i zaciskając zęby. — Z trudem radziłam sobie z tym nawet dawniej, kiedy nie przejmowałam się, co to ze mną robi.

— Chcesz powiedzieć... — zacząłem.

— To tylko ból głowy — odparła. — Tak jak wczoraj, tylko większy. Tak jakby... cóż, jakby ktoś tłukł w moją czaszkę, próbując dostać się do środka. Tworzenie tak dużego zniekształcenia rzeczywistości prawie mnie wykańcza. Miejmy nadzieje, że...

Urwała. Grupa dronów zebrała się w tunelu transportowym przed nami, zagradzając nam drogę do wyjścia. Ten otwór kusił mnie. Znajdował się kilkaset metrów dalej, ale widziałem, że drzwi zostały wysadzone i do tunelu sączył się słoneczny blask. Zapewne tak Megan dostała się do środka, ale z tymi dronami stojącymi nam na drodze wyjście równie dobrze mogłoby się znajdować w Australii.

Nagle, bez ostrzeżenia, zawalił się sufit. Wielkie kawały metalu padały wokół nas, a tunel zatrzęsł się od silnej eksplozji. Wiedziałem już dość, żeby dostrzec w tym coś nienaturalnego. Może kawałki metalu nie brzęczały tak głośno, jak powinny, pewnie przez sposób, w jaki dygotał korytarz. Albo dlatego, że te kawały metalu spadły tuż przed nami, zasłaniając nas przed dronami, które zaczęły strzelać, ale gruz nie przysypał ani mnie, ani Megan.

Było to następne zmiennoprzestrzenne złudzenie, choć wystarczająco silne, by zwalić mnie z nóg. Upadłem z jękiem, usiłując przetoczyć się na bok, żeby ochronić zranioną kończynę. Korytarz zawirował mi w oczach i przez moment czułem się jak konik polny przyszpilony do frisbee.

Gdy przekazywany przez moje oczy obraz otoczenia nieco się ustabilizował, odkryłem, że kulę się za jednym z tych kawałów metalu. W tym momencie wydawał mi się najzupełniej realny. Tutaj, w stworzonym przez Megan zbiegu dwóch światów, złudzenie było rzeczywistością.

Moja krew przesączyła się przez bandaż i plamiła dno tunelu, jakby ktoś przetarł je mokrą szmatą. Megan klęczała przy mnie z pochyloną głową i słyszałem jej oddech.

— Megan? — zapytałem w trzasku wystrzałów oddawanych przez drony. Na skry... wkrótce nas dopadną, pomimo tego rumowiska.

Megan miała szeroko otwarte oczy i rozchylała wargi, odsłaniając zaciśnięte zęby. Pot spływał jej po skroniach.

Z czymkolwiek się zmagala, gdy ostatnio korzystała ze swojej mocy, teraz atakowało ją szczególnie silnie.

## 6

To nie powinno się zdarzyć.

Odkryliśmy sekret, sposób, w jaki Epicy uodparniają się na zabójcze działanie swojej mocy. Jeśli stawisz czoło swoim najgłębiej skrywanym obawom, zmusisz ciemność do odwrotu.

Powinno już być po wszystkim. Megan wbiegła do płonącego budynku, żeby mnie ocalić, pokonując własne lęki. Powinna być wolna. A jednak jej twarz bezsprzecznie zdradzała niepokój — zaciśnięte zęby, zmarszczone brwi. Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Czuję go, Davidzie — szepnęła. — Próbuje się dostać.

— Kto?

Nie odpowiedziała, ale wiedziałem, o kim mówi. Calamity. Ta czerwona plama na niebie, nowa gwiazda, która obwieściła przybycie Epików... i sama była Epikiem. W jakiś sposób wiedziałem, że Calamity była potwornie rozzłoszczona tym, że odkrywszy związek obaw Epików z ich słabością, zdołaliśmy przewyciężyć jej wpływ na Megan.

Drony przestały strzelać.

— To rumowisko jest jakiegoś rodzaju złudzeniem, no nie?! — zawołał głos, który słyszałem wcześniej, odbijając się echem w korytarzu. — Którego Epika zabiliście, żeby zdobyć taką technologię? Kto wam powiedział, jak skonstruować motywatory?

Przynajmniej gadał, a nie strzelał.

— Megan — odezwałem się, chwytając ją za ramię. — Megan, spójrz na mnie.

Skupiła na mnie wzrok i to chyba pomogło, choć w oczach wciąż miała szaleństwo. Kusilo mnie, żeby się odsunąć i pozwolić, aby straciła kontrolę. Może to by nas uratowało.

Dobrze jednak wiedziałem, że to by oznaczało zgubę. Gdy Profesor poddał się ciemnościom wyzwalanym przez jego moc, bez zmrużenia oka zabijał przyjaciół. Człowiek, który przez całe życie bronił innych, teraz stał się niewolnikiem swojej mocy.

Nie mogłem pozwolić, żeby to samo stało się z Megan. Sięgnąłem do kieszeni na udzie i — krzywiąc się, gdy poruszyłem zranioną nogą — wyjąłem zapalniczkę. Trzymając ją przed oczami Megan, zapaliłem.

W pierwszej chwili odsunęła się, a potem syknęła i zdusiła płomień, parząc sobie rękę. Kawaly metalu, za którymi się kryliśmy, zafalowały, a następnie znikły. Sklepienie naprawiło się. Ogień nadal był słabym punktem Megan i nawet gdy stawała w obliczu swych największych obaw, ta słabość negowała jej moc. I zapewne tak będzie zawsze.

Na szczęście dopóki chciała stawiać czoło tej słabości, najwyraźniej mogła odpędzić ciemność. Odprężyła się i z westchnieniem opadła na ziemię.

— Wspaniale — wymamrotała. — Teraz boli mnie głowa i ręka.

Uśmiechnąłem się blado i odepchnąłem od siebie karabin, a potem to samo zrobiłem z bronią Megan. Podniosłem rękę, gdy otoczyły nas drony. Większość z nich poruszała się na gąsienicach, ale było też kilka latających. Miałem szczęście — wstrzymały ogień.

Jedna z tych maszyn podjechała bliżej. Z jej podstawy wyłonił się ekranik, a na nim pojawił się kontur postaci.

— To był obraz Pożara z Newcago, prawda? Zupełnie zwiódł moje sensory — powiedział głos. — Żadne zwykłe złudzenie nie zdołałoby tego dokonać. Jakiej technologii używacie?

— Powiem ci — rzekła Megan. — Tylko nie strzelaj. Proszę.

Wstała i podnosząc się, odrzuciła coś piętą.

Jej słuchawki. Wciąż leżąc na boku, przytrzymałem je dłonią i nakryłem własnym ciałem, maskując ten ruch zaciskaniem rany w nodze. Nie sądziłem, żeby któryś z dronów to zauważył.

— No? — ponaglił głos. — Czekam.

— Cienie różnowymiarowe — odparła Megan. — To nie złudzenia, lecz kręgi rozchodzące się z innego stanu rzeczywistości.

Stała twarzą do armii robotów, zasłaniając mnie swoim ciałem. Większość z nich celowała w nią, lecz gdyby ją zabiły, odrodziłyby się.

Doceniałem ten jej obronny gest, lecz, na skry, odradzanie mogło mieć dla niej nieprzewidziane skutki, szczególnie że jej moc ostatnio objawiała się w tak dziwny sposób. Nie umarła, od kiedy byliśmy w Babilarze, i miałem nadzieję do tego nie dopuścić.

Musiałem coś zrobić. Skuliłem się, wciąż ściskając nogę. Ból był rzeczywisty. Mogłem tylko mieć nadzieję, że drony nie zwracają uwagi na trzęsącego się i krwawiącego przeciwnika. Położyłem głowę na słuchawkach i zacząłem szeptać do mikrofonu.

— Mizzy? Jesteś tam? Cody? Abraham?

Żadnej odpowiedzi.

— Niemożliwe — powiedział mężczyzna do Megan. — Niezliczoną ilość razy próbowałem uwięzić tego rodzaju moc w motywatorze, a wątpię, by ktoś dysponował wiedzą pozwalającą zrobić to, czego mnie się nie udało. Różnowymiarowe przesunięcie jest zbyt złożone, za silne, by...

Zerknąłem na Megan, która stała dumnie wyprostowana przed armią robotów, chociaż wiedziałem, że głowa jej pęka z bólu. Wcześniej przemówiła pokornie jak pokonana, ale jej postawa mówiła coś innego. Świadczyła o odmowie odwrotu, ugięcia kolan i kłaniania się komukolwiek i czemukolwiek.

— Jesteś Epikiem, prawda? — zapytał głos nieco groźniejszym tonem. — Nie ma żadnej technologii ani motywatora. Zatem Jonathan werbuje was? Teraz, gdy przeszedł na drugą stronę?

Nie zdołałem powstrzymać jęku. Skąd wiedział o Profesorze? Chciałem zażądać wyjaśnień, ale nie byłem w sytuacji, która by na to pozwalała. Oparłem głowę o dno tunelu, nagle senny. Ile krwi straciłem?

Gdy głową dotknąłem słuchawek, zatrzeszczało w nich i usłyszałem głos Mizzy.

— Megan? Na skry, mów do mnie! Czy jesteście...

— Jestem tu, Mizzy — szepnąłem.

— David? Wreszcie! Słuchaj, rozmieściłam ładunki, by wysadzić tunel. Dacie radę wydostać się? Mogę go wysadzić, gdy przejdziecie.

Ładunki. Spojrzałem na otaczające nas drony.

*Iluzje Megan...*

— Zrób to teraz, Mizzy — szepnąłem.

— Jesteś pewny?

— Tak.

Przygotowałem się.

Wybuch nastąpił nad nami i wydał mi się głośniejszy przez to, że się go spodziewałem. Kawały metalu runęły dokładnie tam, gdzie przedtem, padając kilkanaście centymetrów od miejsca, gdzie się kulilem — ale ja pozostałem nietknięty i Megan też.

Natomiast roboty zostały doszczętnie zniszczone, jak młodzieńcze marzenia.

Megan w mgnieniu oka znalazła się przy mnie, z bronią wyjętą z kabury na udzie, strzelając do pozostałych dronów. Ja zdołałem wyjąć z pochwy na łydce nóż i podnieść go, otrzymując spojrzenie Megan mówiące: „Poważnie?”

— Przynajmniej nie jest to jakiś głupi miecz samuraja — wymamrotałem, opierając się plecami o gruzy. Gdy rozwiął się kurz, Megan zestrzeliła ostatniego drona, który wirując, runął.

Stałem na nogi — a raczej nogę — i pokuśtykałem przez rumowisko w kierunku mojej broni.

— A to skąd się wzięło? — zapytała Megan, wskazując na rozwalone sklepienie. Ładunki Mizzy nie spowodowały całkowitego zawalenia się tunelu — w istocie, na ile mogłem to ocenić, zniszczenia były identyczne jak złudzenie wykreowane przez Megan.

— Mizzy powiedziała, że może wysadzić tunel po naszej ucieczce.

— A zamiast tego kazałeś jej zwalić go na nas? — fuknęła Megan, podnosząc moją broń.

Podawała mi ją, po czym sięgnęła po swój karabin.

— Pomyślałem, że twoje złudzenia pochodzą z alternatywnej rzeczywistości, no nie? I im bliższa ta rzeczywistość jest naszej, tym łatwiej je sprowadzić. Byłaś bardzo zmęczona...

— Nadal jestem.

— Tak więc doszedłem do wniosku, że użyłaś rzeczywistości bardzo podobnej do naszej. Wybuch nad nami. Mizzy rozmieściła ładunki. Odgadłem, że wszystko wydarzy się w taki sam sposób.

Megan znów podparła mnie i pomogła kuśtykać po rumowisku. Ustrzeliła drona, który próbował wydostać się spod przygniatającego go głazu.

— To mogło się nie udać — powiedziała cicho. — Sprawy nie zawsze układają się tak samo w różnych rzeczywistościach. Mogłeś zostać zmiażdżony, Davidzie.

— No cóż, nie zostałem — odparłem. — I na razie jesteśmy bezpieczni...

Urwałem, gdy z oddali za nami nadleciały odbijające się echem dźwięki. Metaliczne. Warkot kopterów. Chrzęst metalu.

Megan spojrzała na mnie, a potem na wylot tunelu, wciąż znajdujący się trzydzieści metrów dalej.

— Pospieszmy się — powiedziałem, wlokąc się naprzód.

Zamiast to zrobić, Megan zdjęła moją rękę ze swego ramienia i oparła ją o ścianę, żebym mógł się przytrzymać.

— Będziemy potrzebowali trochę czasu, żeby się wydostać — oznajmiła.

— Dlatego powinniśmy się pospieszyć.

Megan przyłożyła karabin do ramienia i skierowała go w głąb tunelu.

— Megan!

— To miejsce za rumowiskiem nadaje się do obrony — powiedziała. — Mogę je powstrzymać przez dłuższą chwilę. Idź dalej.

— Ale...

— Davidzie, proszę. Po prostu idź.

Złapałem ją za ramię, a następnie obróciłem do siebie i pocałowałem. Wykręciłem przy tym nogę i ból przeszył cały mój bok, ale co tam. Pocałunek Megan był tego wart.

Puściłem ją. A potem odszedłem, jak mi kazała.

Czułem się jak tchórz, lecz częścią działania w zespole jest umiejętność zrozumienia, kiedy ktoś inny może lepiej wykonać zadanie niż ty. A mężczyzna musi się nauczyć czasem pozwolić swojej nieśmiertelnej dziewczynie na bohaterские czyny.

Wróćę po nią, martwą czy nie. I to szybko. Nie ma mowy, abym pozwolił, by jej ciało znalazło się w jednej z tych wanien. Potykając się, szedłem w górę, usiłując nie myśleć, co może się stać z Megan. Może będzie musiała się zastrzelić, gdy otoczą ją drony, gdyż nie mogła ryzykować, że zostanie schwytana.

Za mną Megan zaczęła strzelać i huk wystrzałów odbijał się echem w stalowym tunelu. Drony rozpiechły się ze szczękiem. Potem otworzyły ogień z broni automatycznej.

Niemal dotarłem do wyjścia, lecz w słonecznym świetle zobaczyłem jakieś cienie. Miałem dość dronów. Krzywiąc się, wycelowałem broń. Na szczęście cienie przeistoczyły się w krępego czarnoskórego mężczyznę w obcisłym ciemnym kombinezonie, z noktowizorem na czole i z bardzo dużym karabinem w rękach.

Abraham zaklął na mój widok, z ledwie słyszalnym miękkim francuskim akcentem.

— Jak się masz? — zapytał, zbiegając po krótkim zboczu. — A Megan?

— Osłania nasz odwrót — odparłem. — Chce, żebyśmy jechali bez niej.

Napotkał moje spojrzenie, a potem kiwnął głową i odwrócił się, żeby przejść ze mną kilka ostatnich metrów.

— Drony na zewnątrz wróciły do kompleksu, kiedy wykryły twoją obecność — powiedział. — Wszyscy są w dżipach.

Zatem mieliśmy szansę.

— Ona jest Epikiem.

Podskoczyłem, rozglądając się wokół. To był ten sam głos. Czyżby znalazł nas jakiś dron?

Nie. Jeden panel ściany zamienił się w ekran. Pojawił się na nim ten sam kontur postaci spoglądającej na nas.

— Davidzie? — rzekł Abraham, stojąc w słonecznym świetle otwartego luku. — Chodźmy.

— Ona jest Epikiem — powiedziałem do ekranu.

Ta postać... czyżby znajoma?

Nagle zapaliło się światło, rozpraszając mrok i ukazując krępego starca o okrągłej głowie, łysej, jeśli nie liczyć kilku kępek siwych włosów sterczących niczym korona. Rzeczywiście, już kiedyś go widziałem. Raz. Na zdjęciu Profesora, zrobionym przed laty.

— Widziałem dziś coś niewiarygodnego — oświadczył. — Coś, co mnie zaniepokoiło. Ty jesteś tym, którego nazywają Zabójcą Stalowego Serca, prawda? Tak... tym chłopakiem z Newcago. Czyż nie zabijasz Epików?

— Tylko tych, którzy na to zasługują — odrzekłem.

— A Jonathan Phaedrus?

— Jonathana Phaedrusa już nie ma — rzekł cicho Abraham. — Pozostał tylko Epik

Limelight. I zrobimy to, co trzeba zrobić.

Nic nie powiedziałem. Nie żebym nie zgadzał się z Abrahamem, ale trudno mi było to przyznać.

Mężczyzna za nami bacznie nam się przyglądał. Nagle strzelanina za nami ucichła.

— Odwołałem moje maszyny. Musimy porozmawiać.

W odpowiedzi na to zemdlałem.

## 7

— Nie byłoby tego problemu, gdybyś chciał się z nami dogadać.

Głos Megan. Mmm... Leżałem w ciemnościach, ciesząc się tym dźwiękiem i byłem zły, gdy okazało się, że następny głos nie należał do niej.

— A co miałem zrobić? — Był to głos tamtego mężczyzny, tego z Knighthawka. — Najpierw słyszę, że Phaedrus zmienił strony, a zaraz potem wy zgłaszacie się do mnie i żądacie broni. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

— Mogłeś się domyślić, że będziemy z nim walczyć — rzekł Abraham. — Mściciele nie przyłączyliby się do tyrana tylko dlatego, że kiedyś był naszym przywódcą.

— Nie rozumiecie — odparł mężczyzna. — Nie odprawiłem was z kwitkiem, ponieważ myślałem, że pracujecie dla niego. Zrobiłem to, bo nie jestem kompletnym idiotą. Phaedrus za dużo o mnie wie. Nie zamierzam go drażnić ani niczego mu sprzedawać. Nie chciałem mieć z wami nic wspólnego.

— To dlaczego nas tu zaprosiłeś? — zapytała Megan.

Jęknąłem, z trudem otwierając oczy. Bolała mnie noga, ale nie aż tak bardzo, jak się spodziewałem. Kiedy nią poruszyłem, poczułem tylko lekki ból. Lecz, na skry! Byłem wykończony.

Zamrugąłem, próbując skupić wzrok i po chwili pojawiła się nade mną głowa Megan, okolona złocistymi włosami.

— Davidzie? — zapytała. — Jak się czujesz?

— Jak kromka chleba na rockowej imprezce.

Wyraźnie uspokojona, odwróciła się.

— Nic mu nie jest.

— Kromka czego? — zapytał mężczyzna z Knighthawka.

— Kromka chleba — powiedziałem, z trudem siadając. — Na rockowej imprezie. No wiesz, ponieważ na takiej imprezie nikt nie chce jeść chleba. Przychodzą się pobujać. Dlatego rzucają chleb na podłogę i depczą po nim.

— To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

— Przykro mi — zjeżyłem się. — Zwykle jestem bardziej elokwentny, kiedy mnie postrzelą.

Znajdowałem się w mrocznym pomieszczeniu z nadmierną ilością kanap i leżałem na jednej z nich. Przed inną — długą, czarną i toporną, pod przeciwległą ścianą — stał niski stół z rzędem monitorów i innym sprzętem komputerowym, jak również stosem brudnych talerzy. Facet z Knighthawka siedział na jeszcze innej kanapie, bliżej mnie, obok nocnego stolika, na którym stały dwa puste plastikowe kubki i piętrzyły się łupiny po orzeszkach ziemnych. Obok niego siedział manekin wielkości człowieka.

No, naprawdę. Manekin. Taki, jaki można znaleźć w starym domu towarowym do eksponowania odzieży. Miał pozbawioną rysów drewnianą twarz, a na sobie strój elit Newcago: kapelusz z szerokim rondem i garnitur w paski. Usadowiono go w zrelaksowanej pozie, z nogą założoną na nogę i splecionymi dłońmi.

No cóż...

Abraham z założonymi na piersi rękami stał przed kanapą, wciąż w swoim maskującym kombinezonie. Zdjął maskę, która teraz wisiała mu u pasa, lecz nadal miał zawieszoną na plecach swoją budzącą respekt grawatoniczną miniarmatę P328. Poza Megan był jedynym obecnym w tym pokoju członkiem mojego zespołu.

— Ładny wystrój — powiedziałem. — Zakładam, że cała kasa poszła na to świrnięte laboratorium?

Mężczyzna prychnął.

— Laboratorium musi pozostać czyste ze względu na pracę, jaką tu wykonuję. Zaprosiłem cię do mojego domu, młody człowieku. To rzadki zaszczyt.

— Przepraszam, że nie przyniosłem w darze trochę okruchów zleżalej pizzy — warknąłem, ruchem głowy pokazując brudne talerze. Wstałem chwiejnie, ale przytrzymałem się podłokietnika kanapy i zdołałem nie upaść. Moja noga boleśnie pulsowała i spojrzawszy na nią, odkryłem, że spodnie rozcięto, żeby dostać się do rany.

Była zasklepiona i wyglądała tak, jakby goiła się od tygodni, a może miesięcy.

— Hmm — mruknął mężczyzna. — Przykro mi, że jeszcze nie całkiem się zagoiła. Moje urządzenie nie należy do najwydajniejszych.

Skinąłem głową Megan na znak, że nic mi nie jest. Nie podtrzymała mnie, nie w obecności nieprzyjaciela, ale pozostała w pobliżu.

— Gdzie jesteśmy? — zapytałem.

— Pod moją Foundry — odrzekł mężczyzna.

— A kim ty jesteś?

— Jestem Dean Knighthawk.



Zamrugalem.

— Poważnie? To twoje nazwisko?

— Nie. Moje nazwisko głupio brzmiało, więc używam tego.

Cóż, punkt dla niego za szczerść, chociaż ciarki mnie przeszły na myśl o porzuceniu swojego nazwiska. Nie lubiłem nawet przydomku, jaki nadali mi ludzie, Zabójca Stalowego Serca. David Charleston było wystarczająco dobre. Miałem je po moim ojcu. Teraz chyba tylko to mi po nim zostało.

Knighthawk istotnie był tym człowiekiem, którego widziałem na zdjęciu Profesora w Babilarze. Teraz był starszy, bardziej łysawy i brzuchaty, z obwisłymi policzkami przypominającymi płaty sera spływające z kromki chleba w mikrofalówce.

Najwidoczniej znali się z Profesorem i wiedział, że ten jest Epikiem — wiedział to od dawna.

— Należałeś do pierwszego zespołu Profesora — odgadłem. — Tego, do którego należeli również Regalia i Murkwood, kiedy wszyscy stali się Epikami.

— Nie — zaprotestował Knighthawk. — Nie ja. Moja żona.

Otóż to. Przypomniałem sobie, że było ich czworo, tak mówił Profesor. Kobieta imieniem... Amala? Z jakiegoś powodu była ważna, ale nie mogłem sobie przypomnieć dlaczego.

— Byłem zaciekawionym obserwatorem — powiedział Knighthawk. — Naukowcem, lecz nie z rodzaju „Hej, dzieciaki, patrzcie, jak zamrozę ten owoc płynnym azotem”, tak jak Jonathan. Prawdziwym naukowcem.

— I prawdziwym biznesmenem — dodał Abraham. — Stworzyłeś imperium z martwych ciał.

Manekin obok Knighthawka szeroko rozłożył ręce, jakby mówiąc: „Przyznaję się do winy”. Podskoczyłem i spojrzałem na Megan.

— Tak — szepnęła. — On się rusza. Nie mam pojęcia, jak to możliwe.

— Mizzy i Cody? — spytałem szeptem.

— Zostali na zewnątrz na wypadek, gdyby to była pułapka.

— Jestem pionierem technologii motywatorów — zwrócił się Knighthawk do Abrahama.

— I owszem, czerpałem z tego korzyści. Tak jak i wy. Więc nie wytykajmy się palcami, panie Desjardins.

Abraham zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, ale z pewnością nie był uszczęśliwiony, że Knighthawk wymienił jego nazwisko. Nawet ja nie wiedziałem, jak brzmi; niewiele rozmawialiśmy o naszej przeszłości.

— To wspaniale — powiedziałem, a potem przeszedłem obok Abrahama i opadłem na kanapę naprzeciwko Knighthawka oraz jego upiornego manekina. — Ponownie pytam,

dlaczego nas tu zaprosiłeś?

— Ten Epik — rzekł Knighthawk i jego manekin wskazał na Megan — to Pożar, czyż nie? Przez cały czas działa wielowymiarowo?

To niezupełnie tak. Kiedy Megan mówiła o Pożarze, to jako o czymś zewnętrznym — istocie z innego wymiaru, która umiała sprowadzać do naszego, przelotnie. Nie uważała siebie za Pożar, chociaż to niewielka różnica.

— Tak — rzuciła Megan, podchodząc i po chwili namysłu siadając obok mnie. Położyła rękę na oparciu kanapy, odsłaniając kaburę pod pachą, do której w ten sposób łatwo mogła sięgnąć. — To nie wszystko, ale zasadniczo... tak. Jestem taka, jak mówisz.

Położyłem dłoń na jej ramieniu. Megan potrafiła działać na zimno, co było zarówno cechą jej osobowości, jak i chęcią trzymania na dystans ludzi, ponieważ... no cóż, znajomość z Epikami bywała niebezpieczna. Ja potrafiłem dostrzec coś więcej, napięcie, z jakim spoglądała na Knighthawka, nieznacznie poruszający się kciuk, jakby odciągający kurek wyimaginowanego rewolweru. Na dłoni miała duży czerwony pęcherz w miejscu oparzonego przez płomień zapalniczki.

Umieliśmy trzymać w ryzach naszą ciemność, ale ta wojna nie została jeszcze wygrana. Megan niepokoiła się tym, co przydarzyło się jej wcześniej. Szczerze mówiąc, ja też.

Manekin Knighthawka pochylił się, przybierając zadumaną pozę i zsunął do tyłu kapelusz, bardziej odsłaniając swoją pozbawioną rysów twarz.

— To, co zrobiłaś w laboratorium, młoda damo — rzekł Knighthawk — zwiodło wszystkie moje czujniki, kamery i programy. Nie jesteś zwyczajnym Epikiem, ale bardzo potężnym. Moje roboty meldują o uszkodzeniach ścian tego pomieszczenia, a niektóre moje drony zostały zniszczone. Całkowicie. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

— Nie dostaniesz mojego DNA — powiedziała Megan.

— Hmm? — zdziwił się Knighthawk. — Och, już je mam. Zebrałem tuzin różnych próbek, zanim wy dwoje dotarliście do korytarza transportowego. Myślicie, że można wejść tu w innym stroju jak hermetyczny kombinezon i uciec, nie zostawiając mi kilku komórek skóry? Jednak nie musicie się obawiać, nie zamierzam tworzyć motywatora opartego na twoich genach. Jest w tym więcej, niż... powszechnie się przypuszcza.

Manekin nadal gestykulował, gdy Knighthawk mówił. Jednak zauważyłem, że Knighthawk wcale się nie poruszał. A te grube wyścielenia kanapy i poduszki sprawiały wrażenie, jakby w nich utknął. Dean Knighthawk był przynajmniej częściowo sparaliżowany. Wprawdzie mówił — wypowiedane przez niego słowa padały z jego własnych ust — lecz mógł poruszać tylko głową.

Jak to możliwe, że był sparaliżowany? Jeśli dysponował urządzeniem, które zagoiło moją ranę, to dlaczego nie mógł wyleczyć siebie?

— Nie — rzekł Knighthawk, wciąż zwracając się do Megan. — Nie chcę teraz wykorzystywać twojej mocy, ale chcę ją zrozumieć. To, co zrobiłaś wcześniej, było imponujące. Niewiarygodne. Manipulowanie rzeczywistością to nie drobnostka, młoda damo.

— Nie miałam pojęcia — odparła sucho. — Do czego zmierzasz?

— Zamierzałaś się poświęcić — ciągnął Knighthawk. — Zostałaś, żeby inni mogli uciec.

— Taak? — mruknęła Megan. — To nic wielkiego. Mogę przetrwać wiele.

— Ach... zatem należysz do Elity Epików? — rzucił Knighthawk, a jego manekin wyprostował się. — Mogłem się domyślić.

Megan zacisnęła wargi.

— Przejdź do sedna sprawy, Knighthawk — uciałem.

— Sedno sprawy — powtórzył, a jego manekin pomachał do nas. — To ta rozmowa. Takie gwałtowne wykorzystanie mocy tej kobiety powinno wywołać u niej niechęć, gniew i agresję skierowaną ku wszystkim w jej otoczeniu. Jonathan jest jedynym z wielu znanych mi Epików, który potrafi kontrolować tę mroczną stronę mocy, a i tak po jej użyciu często przez kilka dni stroni od ludzi, zanim znów nad nią zapanuje. Tymczasem ta młoda dama użyła swojej mocy, ale wcale nie została pochłonięta przez jej ciemną stronę, czego dowodzi fakt, że następnie bezinteresownie zaryzykowała życie dla swojego zespołu.

Manekin pochylił się ku niej.

— A zatem — ciągnął Knighthawk — co to za sekret?

Spojrzałem na Abrahama, który niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami. Nie wiedział, czy powinniśmy podzielić się tą informacją czy nie. Dotychczas zwracaliśmy szczególną uwagę na to, kiedy i z kim rozmawiamy na temat panowania nad ciemną stroną mocy Epików. Ta wiedza mogła przypadkowo zaburzyć równowagę władzy w Częstkowych Stanach — ujawniając tajemnicę panowania nad ciemną stroną mocy, zdradzilibyśmy też, że odkryliśmy słaby punkt Epików.

Korciło mnie, żeby rozgłosić to wszem wobec. Gdyby Epicy odkryli swoje słabe punkty, może pozabijaliby się nawzajem. Niestety, rzeczywistość zapewne wyglądałaby znacznie gorzej. Równowaga władzy zostałaby zachwiana i jednych Epików wyniosła na szczyt, a innych pogrzyżała. W rezultacie jedna grupa Epików mogłaby objąć rządy nad całym kontynentem i mielibyśmy do czynienia z zorganizowanym, silnym reżimem, a nie ze zbiorem miast-państw wzajemnie zwalczających się i osłabiających.

Chcieliśmy ujawnić tę informację wcześniej czy później — rozgłosić ją wszystkim ludziom tego świata i zobaczyć, czy zdołają odwieść Epików od ciemnej strony mocy. Najpierw jednak musieliśmy przetestować to, co odkryliśmy i sprawdzić, czy to działa na

innych Epików.

Miałem wielkie plany mające zmienić ten świat, a wszystkie one zaczynały się od jednej pułapki. Jednej ważnej operacji, może najtrudniejszej, jaką kiedykolwiek przeprowadzili Mściciele.

— Wyjawię ci sekret powstrzymania Epika od popadnięcia w obłąd — powiedziałem Knighthawkowi — ale chcę, żebyś obiecał, że na razie zachowasz go w tajemnicy. I chcę, żebyś nas wyposażył. Dał nam to, czego potrzebujemy.

— Zamierzacie go pokonać, prawda? — zapytał Knighthawk. — Jonathana Phaedrusa. Limelight, jak nazywają go teraz. Chcecie zabić Profesora.

— Nie — odparłem łagodnie, napotykJąc jego spojrzenie. — Zamierzamy zrobić coś o wiele trudniejszego. Chcemy przeciągnąć go z powrotem na naszą stronę.

## 8

Knighthawk kazał manekinowi się nieść.

Idąc obok niego, mogłem lepiej mu się przyjrzeć. Nie był to zwyczajny, sklepowy manekin. Miał dobrze wykształcone drewniane palce i ciało solidniejsze, niż się spodziewałem. Tak naprawdę bardziej przypominał wielką marionetkę, tylko bez sznurków.

I był silny. Z łatwością niósł Knighthawka, wsunąwszy ręce w szelki swego rodzaju uprząży, którą miał na sobie jego właściciel. Wyglądało to tak, jakby manekin obejmował go od tyłu, przytrzymując rękami w pasie, a wyprostowany Knighthawk zwisał z nogami kilka centymetrów nad ziemią.

Nie wyglądało to na wygodną ani normalną pozycję. Pomimo to kiedy szliśmy, Knighthawk prowadził swobodną rozmowę, jakby fakt, że paralytyka transportuje wielki drewniany golem, był czymś najzupełniej naturalnym.

— A więc zasadniczo jest tak — powiedziałem mu, gdy szliśmy niczym nieróżniącym się od innych korytarzem w kierunku zbrojowni Knighthawka — że te słabości są związane z obawami. Jeśli Epik pokona swoje obawy, zdoła odrzucić ciemną stronę mocy.

— Najczęściej — dodała za naszymi plecami Megan.

Abraham poszedł na górę po Mizzy i Cody'ego, gdyż zdecydowaliśmy, że w taki czy inny sposób będziemy musieli zaufać Knighthawkowi. Nie mieliśmy wyjścia.

Knighthawk odkaszlnął.

— Lęk. To wydaje się takie proste.

— Tak i nie — rzekłem. — Nie sądzę, aby wielu Epików trawionych przez swoje moce

myślało o swoich słabościach. Nie walczą z tym; oto sedno problemu.

— Wciąż się zastanawiam, dlaczego nikt inny nie powiązał tych faktów — oznajmił Knighthawk sceptycznym tonem.

— My to zrobiliśmy — łagodnie przypomniała Megan. — Gwarantuję ci, że każdy Epik o tym myśli. Tylko że myślimy o tym wszystkim w niewłaściwy sposób. Łączymy nasze obawy i słabości, ale nie dochodzimy do prawdy. To przez koszmary. Doprowadzają do szaleństwa. Budzisz się w środku nocy, dysząc, spocony, i czujesz odór krwi. Te koszarne sny są o twoich słabościach. O utracie mocy i nieśmiertelności, powrocie do zwyczajnej ludzkiej postaci, w której możesz zginąć w wypadku. Strach przed tym, co może nas zabić, jest jak najbardziej uzasadniony. Jednak nigdy nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że nasze słabości wynikają z naszych obaw. I to te obawy były pierwsze, a słabości pojawiły się później, nie odwrotnie..

Przystanęliśmy z Knighthawkiem i popatrzyliśmy na nią. Megan napotkała nasze spojrzenia, wyzywająco jak zawsze, ale przejrzałem ją. Na skry... z czym musiała żyć ta kobieta. Pomagało jej to, co odkryliśmy, lecz w pewien sposób także osłabiało. Ujawniało rzeczy, które bardzo usilnie starała się ukryć.

W przeszłości robiła straszne rzeczy, służąc Stalowemu Sercu. Nie rozmawialiśmy o tym. Zdołała się od tego uwolnić, kiedy nie mogła wykorzystywać swojej mocy, infiltrując Mścicieli.

— Możemy tego dokonać, Knighthawk — powiedziałem. — Możemy odkryć słaby punkt Profesora, a potem wykorzystać go przeciwko niemu. Tylko zamiast go zabić, zastawimy pułapkę, w której będzie musiał stawić czoło swoim lękom. Przeciagniemy go z powrotem na naszą stronę i udowodnimy, że istnieje inne rozwiązanie problemu Epików.

— To się nie uda — stwierdził Knighthawk. — On zna was i metody Mścicieli. Na Calamity, przecież sam je opracował. Będzie przygotowany.

— Widzisz, w tym rzecz — odparłem. — On nas zna, owszem. Jednak my też znamy jego. Zdołamy odkryć jego słabe punkty o wiele łatwiej niż u innych Epików. A ponadto, znamy pewien istotny fakt.

— Jaki?

— W głębi duszy Profesor chce, żebyśmy zwyciężyli. Będzie gotowy umrzeć, więc się zdziwi, gdy zamiast tego go ocalimy.

Knighthawk przyjrzał mi się.

— Potrafisz być niezwykle przekonujący, młodzieńcze.

— Nie masz pojęcia jak bardzo — mruknęła Megan.

— Jednak do pokonania go potrzebny nam będzie sprzęt — przypomniałem. — Dlatego chętnie zobaczę, co tu masz.

— Cóż, mam kilka rzeczy, które mogę wam pożyczyć — rzekł Knighthawk, znów spoglądając w głąb korytarza. — Jednak wbrew temu, co ludzie zakładają, to miejsce nie jest ogromnym magazynem tajnej technologii. Niemal zawsze, kiedy udaje mi się skonstruować jakiś działający model, natychmiast go sprzedaję. Wszystkie te drony nie są tanie, wiecie. Muszę sprowadzać je z Niemiec i męczyć się z ich rozpakowywaniem. A skoro o tym mowa, policzę wam za te, które zniszczyliście.

— Przyszliśmy tu z prośbą, Knighthawk — powiedziałem, zrównując się z nim. — Jakiej formy zapłaty się spodziewasz?

— Najwyraźniej jesteś bardzo pomysłowym facetem. Coś wymyślisz. Wystarczy zamrożona próbka krwi Jonathana, zakładając, że wasz szalony plan zawiedzie i w końcu będziecie musieli go zabić.

— Nie zawiedzie.

— Ach tak? Patrząc na historię Mścicieli, nigdy nie postawiłbym grosza na plan, w trakcie którego nie pozostawiacie za sobą kilku trupów. Jednak zobaczymy.

Jego manekin skinął głową w stronę Megan.

Ten manekin... Kryła się w nim jakaś tajemnica, która spędzała mi sen z powiek. Zastanowiłem się nad tym przez chwilę i nagle coś zaskoczyło mi w głowie z trzaskiem przypominającym chrzęst szczypiec olbrzymiego kraba pustelnika.

— Drewniana Dusza! — wykrzyknąłem. — Masz trochę jego DNA?

Knighthawk, nie przerywając marszu, obrócił głowę, aby spojrzeć na mnie.

— Jak, u licha...

— Łatwo było połączyć fakty, wystarczy się zastanowić. Nie ma wielu Epików-lalkarzy.

— Mieszkała w odległej hinduskiej wiosce! — rzekł Knighthawk. — I nie żyje od prawie dziesięciu lat.

— David bardzo interesuje się Epikami — powiedziała idąca za nami Megan. — Nazwałabym to obsesją, ale byłoby to niedopowiedzenie.

— Nie o to chodzi — zaprzeczyłem. — Jestem jak...

— Nie — uciął Knighthawk.

— Przecież to ma sens. Jestem jak...

— Naprawdę, nie — przerwał mi. — Nikt nie chce tego usłyszeć, chłopcze.

Oklapłem. Korytarzem przemknął mały dron sprzątający. Jakby w akcie zemsty uderzył o moją stopę, po czym czmychnął.

Manekin wycelował we mnie palec, chociaż musiał się obrócić, żeby to zrobić, gdyż przytrzymał rękami Knighthawka i tylko dłońmi mógł swobodnie poruszać.

— Obsesja na punkcie Epików to niezdrowa rzecz. Powinieneś uważać.

— Zabawne słowa z ust człowieka, który całe życie zajmuje się wykorzystywaniem ich

mocy i nawet teraz dzięki niej się przemieszcza.

— A dlaczego uważasz, że ja nie mam tej samej obsesji? Powiedzmy, że mówię to z doświadczenia. Epicy są jednocześnie dziwni, cudowni i straszni. Nie daj się temu skusić. Mogłoby cię to doprowadzić do... nieprzyjemnych miejsc.

Coś w jego głosie przywołało wspomnienie laboratorium i części ciał pływających w wannach. Ten człowiek nie był zupełnie normalny.

— Będę o tym pamiętał — zapewniłem.

Razem szliśmy dalej korytarzem, mijając otwarte drzwi. Nie mogłem się powstrzymać i zajrzałem do środka. Zobaczyłem owalną salkę, zaskakująco czystą, z dużym metalowym pudłem na środku. Wyglądało jak trumna, a przyćmione oświetlenie i nieprzyjemny odór środków dezynfekcyjnych pogłębiały to wrażenie. Za trumną stała obszerna drewniana gablota w kształcie regału w dużymi przegródkami. W każdej tkwił jakiś przedmiot, przeważnie będący częścią garderoby. Czapki, koszule, pudełka.

Przegródki były opisane i zdołałem odczytać kilka tabliczek: Demo, Abstrakcyjny, Rozwalacz...

Przydomki Epików. Może Knighthawk przechowywał próbki DNA w zamrażarkach, ale tutaj trzymał swoje trofea. Dziwne, lecz jedna z największych przegródek nie miała tabliczki. Mieściła tylko kamizelkę i coś, co wyglądało jak para rękawiczek, wyróżnione własnym punktowym reflektorkiem.

— Nie znajdziecie tam motywatorów — skomentował Knighthawk. — Tylko... wspomnienia.

— A jak znajdę motywatory? — zapytałem. — Jak one naprawdę wyglądają?

Knighthawk uśmiechnął się.

— Nie masz pojęcia, jak trudno było powstrzymać ludzi od znalezienia odpowiedzi na to pytanie, chłopcze. Rzecz w tym, że potrzebuję ludzi, żeby zbierali dla mnie materiał, ale nie chcę, by wszyscy wokół wiedzieli, jak produkować swoje motywatory. To oznacza konieczność dezinformacji. Półprawdy.

— Nie jesteś jedyny, który je produkuje, Knighthawk — powiedziała Megan, wchodząc pomiędzy nas. — Robi je Romerocorp i ITC w Londynie. To żadna tajemnica.

— Ależ tak — zgodził się Knighthawk. — Widzicie, inne formy rozumieją, jak ważne jest zachowanie tego w tajemnicy. Nie sądzę, żeby nawet Jonathan znał całą prawdę o tym.

Uśmiechnął się, bezwładnie zwisając w objęciach manekina. Już zaczął mnie męczyć ten jego cwany uśmieszek.

Manekin odwrócił się i ruszył korytarzem w kierunku innych drzwi.

— Zaczekaj — powiedziałem, spiesząc za nim. — Nie wchodzimy do tej salki

z pamiątkami?

— Nie — odparł Knighthawk. — Tam nie ma żywności.

Jego manekin pchnięciem otworzył te drugie drzwi i w środku zobaczyłem kuchenkę, a dalej lodówkę, chociaż pokryta linoleum podłoga i kamienny stół na środku sprawiały, że to pomieszczenie bardziej przypominało bufet w Fabryce niż kuchnię.

Zerknąłem na Megan, gdy dołączyła do mnie na korytarzu, tuż przed drzwiami. Manekin wszedł do środka i umieścił Knighthawka na miękkim fotelu za stołem. Potem podszedł do lodówki i zaczął czegoś w niej szukać.

— Przegryzłabym coś — wymamrotała Megan.

— Czy to wszystko nie wydaje ci się trochę upiorne? — zapytałem. — Rozmawiamy o maszynach konstruowanych ze zwłok twoich pobratymców.

— Nie jestem jakimś innym gatunkiem. Nadal jestem człowiekiem.

— Masz jednak inne DNA.

— I wciąż jestem człowiekiem. Nie próbuj tego zrozumieć. Oszalałbyś.

Takie było powszechne odczucie — próba naukowego wyjaśnienia istnienia Epików mogła w najlepszym razie doprowadzić do obłędu. Kiedy Ameryka podpisała akt kapitulacji gwarantujący Epikom całkowitą bezkarność, pewien senator argumentował, że nie możemy oczekiwać od nich przestrzegania ludzkich praw, jeśli nawet nie podlegają prawom fizyki.

Jednak nazwijcie mnie głupcem, ale wciąż chciałem to zrozumieć. Znaleźć w tym jakiś sens.

Spojrzałem na Megan.

— Nie obchodzi mnie, kim jesteś, dopóki jesteś sobą, Megan. Jednak nie podoba mi się sposób, w jaki wykorzystujemy ciała, nie rozumiejąc, co im robimy, ani jak to wszystko działa.

— Zatem wyciśniemy to z niego — szepnęła, przysunąwszy się. — Masz rację, motywatory mogą być ważne. A jeśli ich działanie jest związane ze słabymi punktami lub obawami?

Skinąłem głową.

Z kuchni dolatywały jakieś hałasy. Prażenie kukurydzy? Zajrzałem tam i ze zdziwieniem zobaczyłem Knighthawka wyciągniętego na fotelu, a manekina stojącego przy mikrofalówce i przygotowującego popcorn.

— Prażona kukurydza?! — zawołałem do niego. — Na śniadanie?

— Apokalipsa miała miejsce ponad dziesięć lat temu, chłopcze! — odkrzyknął. — Mieszkamy na pograniczu, na pustkowiu.

— I co to ma do rzeczy?



— To, że przyjęte wcześniej normy przestały obowiązywać — odrzekł. — I dobrze. Będę jadł na śniadanie to, na co mam ochotę.

Chciałem tam wejść, ale Megan złapała mnie za ramię i nachyliła się. Pachniała dymem — zdetonowanych ładunków, spalonego prochu z wystrzelonych naboju i płonącego drewna palącego się lasu. To był cudowny, oszałamiający zapach, przyjemniejszy od jakichkolwiek perfum.

— Co chciałeś powiedzieć przed chwilą? — zapytała. — Kiedy mówiłeś o sobie, a Knighthawk ci przerwał, nie pozwalając dokończyć?

— Nic takiego. Głupio gadałem.

Megan nie ustępowała, patrząc mi w oczy i czekając.

Westchnąłem.

— Mówiłaś o tym, że mam obsesję. A to nie tak. Jestem raczej jak wielki, parowy, automatyczny obcinacz do paznokci.

Uniosła brew.

— W zasadzie robię tylko jedno — wyjaśniłem — ale niech to szlag, zamierzam to robić naprawdę bardzo dobrze.

Megan uśmiechnęła się. Piękny widok. Potem pocałowała mnie, z jakiegoś powodu.

— Kocham cię, Davidzie Charlestonie.

Uśmiechnąłem się.

— Jesteś, pewna, że potrafisz kochać olbrzymi automatyczny obcinacz do paznokci?

— Jesteś, kim jesteś — odparła. — I tylko to ma znaczenie. — A następnie dodała: — Jednak proszę, nie przybieraj olbrzymich rozmiarów. To wyglądałoby komicznie.

Puściła mnie i weszliśmy do kuchni omówić przy popcornie los świata.

## 9

Zasiedliśmy przy tym wielkim stole. Jego czarny łupkowy blat był nakryty szklaną płytą. Miało to jakiś majestatyczny wydźwięk, który zdawał się całkowicie nie pasować do popękanego linoleum i wyblakłej farby na ścianach. Manekin Knighthawk usiadł sztywno na taborecie obok fotela, po czym zaczął karmić właściciela popcornem.

Miałem tylko mgliste pojęcie o Drewnianej Duszy, Epiku, któremu Knighthawk skradł moc, aby stworzyć takiego sługę. Podobno potrafił telepatycznie poruszać marionetkami. Co oznaczało, że to coś w garniturze nie było autonomicznym tworem; raczej przypominało dodatkową parę kończyn. Zapewne miał jakieś urządzenie z motywatorem, za pomocą którego sterował manekinem.

Głosy dobiegające z korytarza oznajmiły przybycie następnych gości. Po podłodze przemknął mały dron — Knighthawk wysłał go, żeby poprowadził Abrahama i być może nie pozwolił mu zaglądać tam, gdzie nie powinien. Niebawem wysoki Kanadyjczyk wszedł i skinął nam głową.

Za nim podążało dwoje innych członków mojego zespołu. Najpierw pojawił się Cody, chudy mężczyzna po trzydziestce. Miał na sobie maskującą myśliwską kurtkę i kapelusz — nosił je nie tylko podczas tej operacji. W zasadzie zawsze nosił jakiś kamuflaż. Nie golił się od kilku dni, co, jak wyjaśnił, „jest zgodne z tradycją górali przygotowujących się do walki”.

— Czy to popcorn? — zapytał z wyraźnym południowym akcentem. Podszedł i zaczerpnął garść z miski wprost spod dłoni manekina. — Doskonale! Rany, Abrahamie, nie żartowałeś, mówiąc o tym upiornym drewnianym robocie.

Za nim weszła Mizzy. Ciemnoskóra i szczupła, miała swe bujne kręcone włosy ściągnięte w kitkę tworzącą ogromny kłęb, jakby afroatomową chmurę. Usiadła przy stole jak najdalej od Megan i posłała mi zachęcający uśmiech.

Starąłem się nie myśleć o brakujących członkach zespołu. Val i Exel zginęli, zabici przez Profesora. Tia przepadła gdzieś, zapewne też nie żyła. Chociaż zwykle nie mówiliśmy o takich sprawach, Abraham wyznał mi, że wiedział o istnieniu dwóch innych komórek Mścicieli. Próbował skontaktować się z nimi, uciekając z Newcago, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wyglądało na to, że Profesor dotarł do nich pierwszy.

Cody schrupał swoją garść popcornu.

— Jak sobie zasłużyć na więcej tego? Nie wiem, czy wszyscy tu wiedzą, ale mieliśmy męczący dzień.

— Tak — rzekł Knighthawk. — Męczący ranek spędzony na atakowaniu mojego domu i próbach obrabowania mnie.

— Wielkie rzeczy — rzekł Cody. — Bez urazy. W niektórych częściach starego kraju uważają za uprzejmość, gdy gość przedstawia się, waląc gospodarza w szczękę. W istocie, nie potraktują cię poważnie, jeśli komuś nie przyłożysz.

— Wolno spytać... — zaczął Knighthawk — o jakim starym kraju mowa?

— On się uważa za Szkota — odrzekł Abraham.

— Jestem Szkotem, ty kupo zwątpienia i monotonii — oświadczył Cody, podnosząc się z krzesła, najwyraźniej postanawiając samemu zrobić sobie popcorn, skoro nikt nie zaproponował, że go wyręczy.

— Podaj nazwę choć jednego miasta w Szkocji — podsunął Abraham — poza Edynburgiem.

— Ach tak, Burgh of Edin — rzekł Cody. — To tam pochowali Adama i Ewę, którzy

byli, rzecz jasna, Szkotami.

— Naturalnie — potwierdził Abraham. — Nazwa miasta, proszę?

— To łatwe. Mogę podać całe mnóstwo. Londyn. Paryż. Dublin.

— One...

— ...są jak najbardziej szkockie — oznajmił Cody. — Założyliśmy je, wiecie, a potem tamci przyszli i ukradli je nam. Musisz podciągnąć się z historii. Chcesz trochę popcornu?

— Nie, dziękuję — odrzekł Abraham, posyłając mi rozbawione spojrzenie.

Nachyliłem się do Knighthawka.

— Obiecałeś nam sprzęt.

— Obiecałeś to poważne słowo, chłopcze.

— Chcę to urządzenie leczące — powiedział Abraham.

— Wzmacniacz? Nie ma mowy. Nie posiadam zapasowego.

— Ty też tak to nazywasz? — spytała Megan, marszcząc brwi.

— To jeden z żartów Jonathana — rzekł Knighthawk, a jego manekin wzruszył ramionami. — To słowo przyczepiło się do mnie. Poza tym mój aparat nie jest nawet w przybliżeniu tak skuteczny jak lecznicze zdolności Jonathana. Jednak tylko taki mam i nie dostaniecie go. Mam jednak dwa inne urządzenia, które mogę wam oddać. Jedno...

— Czekaj — weszła mu w słowo Mizzy. — Masz maszynę leczącą, a mimo to nosi cię ten śmieszek świrus? Dlaczego nie uzdrowi twoich nóg?

Knighthawk posłał jej beznamiętne spojrzenie, a jego manekin pokręcił głową. Jakby pytanie o jego inwalidztwo łamało jakieś tabu.

— Co wiesz o leczeniu Epików, młoda damo? — zapytał.

— Cóż — odparła Mizzy. — Epicy, których zabijamy, przeważnie pozostają martwi. Zatem nieczęsto widzujemy ich uzdrowienie.

— Leczenie Epików — powiedział Knighthawk — nie zmienia DNA ani układu odpornościowego. Jedyne naprawia uszkodzone komórki. Mój obecny stan nie jest rezultatem wypadku. Gdyby to był tylko przerwany rdzeń kręgowy, można by to wyleczyć. Problem jest znacznie poważniejszy i chociaż odkryłem, że proces leczenia przywraca mi w pewnym stopniu czucie w kończynach, wkrótce znów je tracę. Tak więc zamiast się leczyć, korzystam z Manny'ego.

— Nadałeś mu imię? — zdziwił się Abraham.

— Pewnie. Dlaczego nie? Słuchajcie, zaczynam podejrzewać, że wcale nie chcecie dostać tego sprzętu.

— Chcemy — powiedziałem. — Mów dalej, proszę.

Przewrócił oczami, a następnie przyjął następną porcję popcornu z ręki swojej marionetki.

— A więc kilka miesięcy temu na Syberii umarł jeden Epik. Starcie między dwoma despotami, dość dramatyczne. Pewien przedsiębiorczy kupiec był w tamtej okolicy i zdołał zabezpieczyć...

— Rtich? — zapytałem z zainteresowaniem. — Zdołałeś zemulować Rtich?

— Chłopcze, wiesz o tym za wiele, żeby ci to wyszło na zdrowie.

Zignorowałem tę uwagę. Rtich — imię wymawiane jako „r-ticz” — była potężnym Epikiem. Szukałem czegoś, co wyrównałoby nasze szanse w starciu z Profesorem. Potrzebowaliśmy jakiegoś atutu, czegoś, czego by się nie spodziewał...

Megan szturchnęła mnie w bok.

— No? Oświecisz nas?

— Och! — mruknąłem, zauważywszy, że Knighthawk przerwał swoje wyjaśnienia. — No cóż, Rtich była rosyjskim Epikiem z bardzo eklektycznym zestawem umiejętności. Właściwie nie była jedną z Elity Epików, ale bardzo potężną. Czy mówimy o całym zestawie jej mocy, Knighthawk?

— Każdy motywator może zapewnić tylko jedną umiejętność — odparł.

— Cóż — powiedziałem, wstając. — Zatem w tym wypadku zakładam, że zemulowałaś jej rtęciową kulę. Dlaczego tu siedzimy? Chodźmy po nią! Chcę ją wypróbować.

— Hej, Szkocie! — zakrzyknął Knighthawk. — Podasz mi colę z lodówki, skoro już jesteś na nogach?

— Jasne — odparł Cody, wsypując do miski nową porcję popcornu. Sięgnął do lodówki i wyjął colę tej samej marki, którą lubiła Tia.

— Och — dodał Knighthawk — i ten pojemnik z sałatką ziemniaczaną.

— Sałatka ziemniaczana i popcorn? — zapytał Cody. — Dziwny z ciebie facet.

Podszedł i pchnięciem posłał przezroczysty pojemnik ze stojącą na nim colą po blacie stołu. Potem usiadł obok Mizzy i położył nogi na stole, odchylając się do tyłu razem z krzesłem i atakując miskę popcornu z zapalem człowieka, którego kiedyś szczególnie złośliwa odmiana kukurydzy pozbawiła domu.

Ja zostałem na nogach, mając nadzieję, że wszyscy pozostali dołączą do mnie. Nie zamierzałem siedzieć tu i gadać o mocy Epików. Chciałem ją wykorzystać. A ta konkretna umiejętność powinna być równie ekscytująca jak używanie spirylu, tylko bez wody, co mi najzupełniej odpowiadało. Może pozwoliłbym pochłonąć się głębiom, żeby ratować przyjaciół, ale to wcale nie oznaczało, że lubiliśmy się z wodą. Bardziej przypominało to rozejm.

— No? — zachęciłem.

Manekin Knighthawka z trzaskiem otworzył pojemnik z sałatką ziemniaczaną. W środku tkwiło czarne pudełeczko.

— Jest tutaj.

— Trzymasz swoje bezcenne urządzenia w sałatce ziemniaczanej — beznamiętnie stwierdziła Megan.

— Wiecie, ile razy ludzie włamywali się tutaj, żeby mnie obrabować? — zapytał Knighthawk.

— Zawsze bezskutecznie — przypomniałem. — To miejsce jest praktycznie nie do zdobycia.

Knighthawk prychnął.

— Chłopcze, żyjemy w świecie, w którym ludzie dosłownie mogą przechodzić przez ściany. Nie ma miejsc nie do zdobycia. No wiecie, nawet wam udało się zwinąć mi kilka rzeczy, chociaż zobaczycie, że te zabrane przez Abrahama są w większości bezużyteczne. Jedno urządzenie imituje szczekanie psa, a inne sprawia, że paznokcie rosną szybciej, lecz nie stają się mocniejsze. Nie każda umiejętność Epika jest zdumiewająca, chociaż te dwie i tak chciałbym dostać z powrotem. Są dobrą przynętą.

— Przynętą? — zapytał Abraham zdziwiony.

— Właśnie, właśnie — potwierdził Knighthawk. — Zawsze trzeba zostawić kilka rzeczy na wierzchu, żeby ludzie mieli poczucie, że zdobyli coś przydatnego. Odstawiam cały spektakl, wściekam się, że mnie obrabowali, poprzysięgam zemstę. Ble, ble. To zazwyczaj wystarcza, żeby zostawili mnie w spokoju, zadowolając się tym, co mają. W każdym razie, jak myślicie, ilu osobom dokonującym tych dziesiątków włamań przyszło do głowy, żeby zajrzeć do pojemnika z sałatką ziemniaczaną?

Jego manekin wydobyl pudełeczko i postawił je na stole — dobrze, że Knighthawk przynajmniej umieścił je w wodoszczelnej torebce — a ja usiadłem i podziwiałem je, wyobrażając sobie, jakie daje możliwości.

— Jak upchnąć wróżki do czegoś tak małego? — zapytał Cody, wskazując na urządzenie. — Czy nie uszkodzą im się skrzydełka?

Wszyscy z rozmysłem zignorowaliśmy go.

— Wspomniałeś o jeszcze jednym urządzeniu — przypomniał Abraham.

— Taak — przyznał Knighthawk. — Mam tu gdzieś stary mnożnik kryształów. Podłącz go do struktury czystego kryształu, a w kilka sekund uformuje nowy. To może się przydać.

— Vhm — mruknęła Mizzy, podnosząc rękę. — Czy jeszcze ktoś nie wie, po co właściwie nam coś takiego? Wydaje się fajne i w ogóle, ale... kryształy?

— No cóż — powiedział Knighthawk. — Sól jest kryształem.

Wszyscy popatrzyliśmy na niego oniemiałi.

— Przecież zamierzacie ścigać Jonathana, prawda? — rzekł Knighthawk. — Wiecie, że

on jest w Atlancie?

Atlanta. Wcisnęło mnie w oparcie. Atlanta była pod jurysdykcją Covenów luźno współpracujących z Epikami. Przeważnie jedni i drudzy starali się nie wchodzić sobie w drogę. Czasem pomagali sobie nawzajem, mordując rywala próbującego przejąć władzę nad jakimś miastem, co u Epików było przejawem zażyłej przyjaźni.

Jednak pomimo wszystkiego, co wiedziałem o Epikach, moja znajomość tego świata była fragmentaryczna. Natura Babilaru, z jego świecącymi owocami i surrealistycznymi malowidłami, zupełnie mnie zaskoczyła. W głębi serca wciąż byłem dzieciakiem z przytułku, który zaledwie kilka miesięcy temu po raz pierwszy wystawił nos ze swojej dzielnicy.

— Atlanta — cicho powtórzył Abraham. — A raczej to, co teraz jest Ildithią. Gdzie znajduje się obecnie?

— Gdzieś we wschodnim Kansas — powiedział Knighthawk.

Kansas? — pomyślałem, gdy jego uwaga przywołała wspomnienie. Hm, zgadza się. Ildithia się przemieszcza. Ale aż tak daleko? Czytałem, że się przemieszcza, lecz zakładałem, że pozostaje w tym samym rejonie.

— Tylko dlaczego jest akurat tam? — zapytał Abraham. — Co ciekawego dla Jonathana Phaedrusa znajduje się w tym solnym mieście?

— Skąd mogę wiedzieć? — odparował Knighthawk. — Staram się nie przyciągać jego uwagi. Instynkt samozachowawczy kazał mi sprawdzać, dokąd on się udaje, ale, na Calamity! nie zamierzam go drażnić.

Manekin Knighthawka odstawił miskę.

— Skończył mi się popcorn, co oznacza, że czas określić warunki mojej darowizny. Możecie sobie wziąć rtich i mnożnik kryształów pod warunkiem, że natychmiast wyniesiecie się stąd i już nigdy więcej nie będziecie się ze mną kontaktować. Nie wspominajcie o mnie Jonathanowi, a nawet nie rozmawiajcie o mnie między sobą, żeby was nie podsłuchał. On lubi dopinać sprawy na ostatni guzik. Jeśli tu po mnie przyjdzie, zostawi dymiącą dziurę w ziemi i niewiele więcej.

Popatrzyłem na Megan, która bez zmrużenia oka spoglądała na Knighthawka, z wygiętymi w dół kącikami ust.

— Wiesz, że znamy pewien sekret — odezwała się. — Wiesz, że jesteśmy bliscy znalezienia rozwiązania. Prawdziwego rozwiązania.

— I dlatego w ogóle wam pomagam.

— Połowicznie — powiedziała oskarżycielskim tonem. — Jesteś gotowy wrzucić granat do pokoju, ale nie chcesz popatrzeć, czy zrobił, co trzeba. Wiesz, że ten świat należy zmienić, ale nie chcesz przyłożyć do tego ręki. Jesteś leniem.

— Jestem realistą — odparł Knighthawk, a jego manekin wstał. — Biorę świat takim, jaki jest, i robię, co mogę, żeby w nim przetrwać. Nawet obdarowanie was tymi dwoma urządzeniami może być dla mnie niebezpieczne. Jonathan rozpozna moje dzieło. Miejmy nadzieję, że pomyśli, iż dostaliście je od jakiegoś handlarza.

Manekin podszedł do lodówki i wyjął z niej kilka innych przedmiotów, wrzucając część do worka. Jeden postawił na stole przed nami. To coś wyglądało jak słoik majonezu, ale gdy ściągnął wieczko, wewnątrz ujrzeliśmy kolejne niewielkie urządzenie umieszczone w kleistej mazi. Manekin zarzucił sobie worek na ramię, a potem podszedł do Knighthawka, żeby go podnieść.

— Mam jeszcze kilka pytań — powiedziałem.

— To niedobrze — odparł Knighthawk.

— Masz inne urządzenia, które mógłbyś nam dać — rzekł Abraham, wskazując worek.

— Dałeś nam tylko te, które twoim zdaniem nie narażą cię na gniew Profesora.

— Słuszna uwaga — odrzekł Knighthawk. — Wynoście się. Przyślę wam rachunek dronem. Jeśli przeżyjecie, będę oczekiwał, że go zapłacicie.

— Wiesz, że próbujemy uratować świat — powiedziała Mizzy. — Łącznie z tobą.

Knighthawk prychnął.

— Zdajecie sobie sprawę z tego, że połowa tych, którzy do mnie przychodzą, próbuje ratować świat? Do diabła, pracowałem już z Mścicielami. Wy zawsze usiłujecie ratować świat. A ten na razie wcale nie wygląda na uratowany. Właściwie wygląda nawet trochę gorzej teraz, gdy Jonathan zmienił strony. Gdybym przez cały czas dawał wam sprzęt za darmo, już dawno byłbym bankrutem i nawet nie moglibyście przyjść tutaj, żeby próbować mnie obrabować. Zatem nie dosiadajcie wysokiego konia i darujcie sobie te dyrdymały.

A potem manekin odwrócił się i wyszedł. Podniosłem się z krzesła, lekko sfrustrowany, i popatrzyłem na pozostałych.

— Czy komuś z was jego odejście wydało się dość nagłe?

— Nie zauważyłeś, że to w ogóle dość dziwny facet? — spytał Cody, trącając stopą pojemnik z sałatką ziemniaczaną.

— Przynajmniej coś mamy — przypomniał Abraham, obracając w rękach jedno z pudełek. — To stawia nas w znacznie lepszej sytuacji, niż byliśmy. A ponadto teraz wiemy, gdzie Jonathan założył swoją bazę.

— Taak — mruknąłem, zerkając na Megan, która wyglądała na zaniepokojoną. Zatem i ona to czuła. Zdobyliśmy jakąś broń, owszem, ale straciliśmy okazję uzyskania wyjaśnień.

— Bierzcie te graty — powiedziałem. — Cody, na wszelki wypadek przeszukaj lodówkę.

Potem wynośmy się stąd.

Zespół zaczął to robić, a ja spoglądałem przez drzwi na korytarz. Wciąż pozostało zbyt wiele pytań bez odpowiedzi.

— A więc... — rzekła Megan, dołączając do mnie. — Chcesz, żebym wyprowadziła stąd zespół?

— Hm? — rzuciłem pytająco.

— Pamiętasz, jak ścigałeś Profesora i nas kanałami Newcago, chociaż wyraźnie ci powiedziano, że zostaniesz zastrzelony, jeśli nie zrezygnujesz?

Uśmiechnąłem się.

— Taak. Wtedy uważałem, że dać się postrzelić przez Mścicieli byłoby super. Mógłbym pokazywać znajomym bliźnię po kuli i mówić, że postrzelił mnie sam Jonathan Phaedrus.

— Jesteś nerdem do kwadratu. Chodzi mi o to, czy pójdziesz za Knighthawkim?

— Oczywiście, że za nim pójdę — odparłem. — Dopilnuj, by wszyscy wydostali się stąd cali i zdrowi, a potem spróbuj wyciągnąć mnie z bagna, jeśli wpakuję się w nie przez własną głupotę.

Dałem jej całusa, złapałem karabin rzucony mi przez Abrahama, po czym ruszyłem w pogoń za Knighthawkim.

## 10

Nie musiałem długo szukać.

Korytarz był pusty, ale poszedłem do pomieszczenia, przez które przeszliśmy wcześniej — tego z trofeami na ścianie — i zajrzałem doń. Nie zdziwiłem się, znalazłszy Knighthawka siedzącego na fotelu po drugiej stronie pokoju. Obok niego trzeszczał gazowy kominek, a jego manekin bezwładnie leżał na podłodze przy nim.

W pierwszej chwili zaniepokoiło mnie to. Czyżby Knighthawkowi coś się stało?

Potem zobaczyłem jego oczy — z odbitymi w nich wijącymi się płomieniami — spoglądające na srebrzyste pudło na środku pokoju, to przypominające trumnę. Gdy po policzku Knighthawka spłynęła łza, uświadomiłem sobie, że zapewne chciał zostać sam i nie życzył sobie, żeby patrzył na niego nawet ten niemy manekin.

— To Profesor ją zabił, prawda? — szepnąłem. — Twoją żonę. Przeszła na ciemną stronę i Profesor musiał ją zabić.

W końcu przypomniałem sobie szczegóły rozmowy, którą odbyłem z Profesorem wiele tygodni temu, tuż za Babilarem, w małym bunkrze, w którym przeprowadzał naukowe eksperymenty. Powiedział mi o swoim zespole przyjaciół, samych Epików. Należał do



niego razem z Regalią, Murkwoodem i Amalą. Z czasem troje z nich przeszło na drugą stronę.

Na skry. Czworo, jeśli liczyć Profesora.

„To nie działa, Davidzie — powiedział. — To mnie niszczy...”

— Nie umiesz słuchać poleceń, prawda, chłopcze? — zauważył Knighthawk.

Wśliznąłem się do pokoju i podszedłem do trumny. Część wieka była przezroczysta i zobaczyłem śliczną twarz z rozsypanymi na poduszce włosami.

— Tak bardzo próbowała się temu oprzeć — oznajmił Knighthawk. — A potem pewnego ranka wstałem i... i jej nie było. Nie spała całą noc, sądząc po sześciu kubkach po kawie. Bała się zasnąć.

— Koszmary — wyszeptałem, opierając palce o szkło wieka.

— Myślę, że wykończył ją stres bezsennej nocy. Moja droga Amala. Jonathan wyświadczył nam obojgu łaskę, kiedy ją wytropił. Muszę postrzegać to w taki sposób. Tak jak ty powinienesz porzucić głupi pomysł uratowania go. Wykończ go, chłopcze. Dla własnego dobra i dla nas wszystkich.

Przeniosłem wzrok z trumny na Knighthawka. Nie otarł tej łzy. Nie mógł.

— Wciąż masz nadzieję — powiedziałem. — Inaczej nie zaprosiłbyś nas do środka. Zobaczyłeś, co robi Megan i pomyślałeś, że znaleźliśmy jakiś sposób, żeby pokonać ciemną stronę mocy.

— Może zaprosiłem cię z litości — rzekł Knighthawk. — Ze współczucia dla kogoś, kto najwyraźniej kocha Epika. Tak jak ja kiedyś. Jak Tia. Może zaprosiłem was, żeby cię ostrzec. Bądź na to gotowy, chłopcze. Pewnego ranka zbudzisz się, a jej po prostu nie będzie.

Z karabinem na ramieniu przeszedłem przez pokój i wyciągnąłem rękę. Zaskoczyła mnie szybkość, z jaką poruszał się jego manekin. Zerwał się na równe nogi i złapał za rękę, zanim położyłem ją na ramieniu Knighthawka.

Ten zerknął na moją dłoń, najwyraźniej zdecydował, że nie zamierzam wyrządzić mu krzywdy i manekin puścił mnie. Na skry, ależ silny miał chwyt.

Moja dłoń opadła na jego ramię i przykucnąłem przed nim.

— Zamierzam temu zaradzić, Knighthawk, ale potrzebuję odpowiedzi, których tylko ty możesz mi udzielić. O motywatorach i o tym, jak działają.

— Głupota — rzekł.

— Trzymasz Amalę w stanie hibernacji. Dlaczego?

— Ponieważ ja też jestem głupi. Kiedy ją znalazłem, miała w klatce piersiowej dziurę wielkości pięści Jonathana. Nie żyje. Udawanie, że tak nie jest, to głupota.

— A jednak zagoiłeś tę ranę — zauważyłem. — I zahibernowałeś jej ciało.

— Widzisz tamte? — powiedział, ruchem głowy wskazując drugi koniec pokoju. Szczątki zabitych Epików. — Ich moce nie przywróciły jej do życia. Każdy z tych motywatorów jest zrobiony z Epika, który posiadał uzdrawiające zdolności. Żaden nie zadziałał. Nie ma odpowiedzi. Nie ma żadnej tajemnicy. Świat jest, jaki jest.

— Calamity jest Epikiem — szepnąłem.

Knighthawk wytrzeszczył oczy, po czym oderwał wzrok od przeciwległej ściany i znów skupił go na mnie.

— Co?

— Calamity — powtórzyłem — jest Epikiem. Osobą. Regalia odkryła ten fakt, a nawet rozmawiała z nią czy nim. To coś, co zniszczyło nasz świat, nie jest siłą natury. Nie jest gwiazdą ani kometą... jest osobą. — Nabrałem tchu. — A ja zamierzam ją zabić.

— Jasna cholera, chłopcze — parsknął Knighthawk.

— Uratowanie Profesora to pierwszy krok — ciągnąłem. — Będziemy potrzebowali jego zdolności, żeby zrealizować nasz plan. Potem jednak zamierzam wykonać następny i zniszczyć to coś. Przywrócimy nasz świat do takiego stanu, w jakim był przed pojawieniem się Calamity.

— Jesteś kompletnie szalony.

— Cóż, po zabiciu Stalowego Serca przez jakiś czas błąkałem się bez celu — wyznałem.

— Potrzebny mi nowy cel w życiu. Pomyślałem, że równie dobrze mogę mierzyć wysoko.

Knighthawk gapił się na mnie, a następnie gwałtownie odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

— Nigdy nie sądziłem, że spotkam kogoś ambitniejszego od Jonathana, chłopcze. Zabić Calamity! Dlaczego nie? To wydaje się proste!

Zerknąłem na manekina. Złapał się za brzuch i kołysał, jakby zanosił się śmiechem.

— A zatem — powiedziałem. — Pomożesz mi?

— Co wiesz o Epikach, które urodziły się jako identyczne bliźnięta? — zapytał Knighthawk, gdy manekin wyciągnął rękę i otarł mu policzki. Łzy rozbawienia dołączyły do tych wylanych z żalu po zabitej żonie.

— O ile mi wiadomo, jest tylko jedna taka para. Dwóch Creerów, Hanjach i Szalone Pióro, z Covenów. Ostatnio działali w... Charleston, czy tak?

— Dobrze, dobrze — odrzekł Knighthawk. — Masz dobre informacje. Chcesz usiąść? Chyba ci niewygodnie.

Manekin przysunął mi taboret i usiadłem.

— Ci dwaj mają długą historię — wyjaśnił Knighthawk — zaczynającą się mniej więcej rok po Calamity, czyli wtedy, gdy Profesor i inni zostali obdarzeni mocą. Pierwsza fala, jak nazywacie ich wy, eksperci. I właśnie wtedy niektórzy z nas zaczęli się zastanawiać,

jak działa ta ich moc. Ci dwaj mają...

— ...dokładnie taki sam zestaw umiejętności — dokończyłem. — Kontrola ciśnienia powietrza, manipulowanie bólem, prekognicja.

— Yhy — potwierdził Knighthawk. — I wiesz co? Oni nie są jedyną parą bliźniaczych Epików. Są tylko jedyną taką, w której jeden nie zabił drugiego.

— To niemożliwe — powiedziałem. — Wiedziałbym, gdyby były inne.

— Taak, no cóż, moi współpracownicy i ja postaraliśmy się, żeby o innych nikt nie usłyszał. Ponieważ sekret krył się w nich.

— Każda para bliźniaków miała takie same zdolności — odgadłem. — Bliźnięta dzielą zestaw mocy.

Knighthawk skinął głową.

— A więc to jednak jest w genach.

— Tak i nie — powiedział Knighthawk. — W genach Epików nie ma niczego, co tłumaczyłoby ich moc. Te brednie o mitochondriach? Wymyśliliśmy to. Wyglądało wiarygodnie, gdyż DNA Epików szybko się rozkłada. Wszystko inne, co słyszałeś o motywatorach, to techniczny bełkot, który ma zmylić każdego usiłującego znaleźć sposób, żeby z nami rywalizować.

— Zatem jak...?

— Zdajesz sobie sprawę, że mówiąc ci to, złamałbym umowę zawartą z innymi stronami?

— Doceniam to.

Uniósł brew, a jego manekin założył ręce na piersi.

— Jeśli jest choć najmniejsza szansa na to, że mam rację — powiedziałem — i mogę na zawsze pokonać Epików, czy nie warto zaryzykować?

— Tak — przyznał Knighthawk. — Nadal jednak musisz mi obiecać, że nie podzielisz się z nikim tym sekretem.

— Nie powinieneś trzymać tego w tajemnicy — powiedziałem. — Może gdyby rządy wszystkich krajów dysponowały tą wiedzą, mogłyby walczyć z Epikami.

— Za późno. Daj mi słowo.

Potrząsnąłem głową.

— Dobrze. Powiem mojemu zespołowi, ale ich też zobowiązę do zachowania tego w tajemnicy. Nie powiemy nikomu innemu.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym westchnął.

— Kultury komórkowe.

— Jakie kultury?

— Komórkowe — powtórzył. — No wiesz, kiedy bierzesz próbkę komórek i hodujesz je

w laboratorium. Oto odpowiedź. Weź parę komórek Epika, umieść je w probówce z odżywką i przepuść prąd. Bum! Zemulowałeś moc Epika.

— Żartujesz — mruknąłem.

— Skądże.

— To nie może być takie łatwe.

— I wcale nie jest łatwe — prychnął Knighthawk. — Napięcie elektryczne determinuje, jaki rodzaj mocy uzyskasz. Musisz być gotowy właściwie ją skanalizować albo wysadzisz się, do licha, wysadzisz cały stan, w powietrze. Większość naszych eksperymentów i całe to wyposażenie jest oparte na umiejętności wykorzystywania zdolności wychodzących z komórek.

— Hmm — mruknąłem. — Zatem mówisz, że Calamity nie potrafi rozróżnić prawdziwej osoby od zbioru komórek?

Dziwny błąd jak na taką inteligentną istotę.

— Ee — zawahał się Knighthawk. — Raczej chyba nic go to nie obchodzi. Jeśli Calamity rzeczywiście jest Epikiem. Ponadto może następuje jakieś wzajemne oddziaływanie motywatorów, którego nie rozumiemy. Naprawdę te moce są w najlepszym razie mocno niestabilne. Czasami moc po prostu nie chce działać u danej osoby. Wszyscy inni mogą swobodnie się posługiwać urządzeniem, a ta jedna nie. Epikom zdarza się to częściej. Jonathan udowodnił, że Epik może używać motywatorów, ale czasem napotykamy takiego, który nie potrafi. To samo dotyczy używania dwóch różnych motywatorów przez jedną osobę. Niekiedy oddziałują na siebie i jeden pada.

Siedziałem na taborecie zamyślony.

— Kultury komórkowe. Hm. Zapewne ma to sens, ale zdaje się... takie proste.

— Z największymi tajemnicami zazwyczaj tak jest — rzekł. — Jednak jest to proste tylko wtedy, kiedy już to wiesz. Czy wiesz, ile czasu zajęło naukowcom w czasach sprzed Calamity opanowanie procesu wytwarzania kultur komórkowych zwykłych komórek ludzkich? Był to niezwykle trudny proces. Cóż, to samo dotyczy motywatorów. Harowaliśmy jak niewolnicy, żeby stworzyć pierwsze. To, co nazywa się motywatorem, to w rzeczywistości mały inkubator. Ten motywator żywi komórki, reguluje temperaturę, usuwa odpady. Dobry motywator przetrwa kilkadziesiąt lat, jeśli został prawidłowo skonstruowany.

— Regalia znała twoją tajemnicę — powiedziałem. — Wykorzystała komórki Znikającego do skonstruowania bomby.

Knighthawk milczał. Zobaczyłem, że jego manekin stoi oparty o ścianę, z założonymi do tyłu rękami i spuszczoną głową, jakby miał wątpliwości.

— W czym rzecz? — spytałem.

— Tworzenie motywatorów z Epików, którzy jeszcze żyją, jest bardzo niebezpieczne.

— Dla tego Epika?

— Na skry, nie, dla ciebie. Oni czują, kiedy ktoś inny wykorzystuje ich moc. To straszliwie bolesne i potrafią zlokalizować miejsce, gdzie się to dzieje. Naturalnie, odnajdują źródło cierpienia i niszczą je.

— I tak dochodzimy do bliźniaków — przypominałem. — Powiedziałaś...

— Jeden niemal zawsze zabija drugiego — wszedł mi w słowo. — Bo gdy któryś używa mocy, drugi cierpi. Dlatego nie robię motywatorów z żywych Epików. To niedobry, a nawet bardzo zły pomysł.

— Taak, cóż, z tego, co wiem o Znikającym, to zapewne czerpał przyjemność z tego cierpienia. Jest jak kot.

— Jak... kot?

— Tak. Stuknięty, popaprany, cytujący Pismo Święte kot, który uwielbia cierpieć. — Odchyliłem głowę. — No co? Uważasz, że bardziej przypomina łasicę? Może dostrzegłbym to, gdyby nie Regalia. Ona przeprowadziła na nim zabieg chirurgiczny. Czy nie potrzebowała tylko próbki krwi?

Manekin Knighthawka zbył to machnięciem ręki.

— Stara sztuczka. Sam ją wykorzystywałem, zanim postanowiłem zaprzestać produkowania motywatorów z żywych Epików. Dzięki niej nie pojmują, jakie to wszystko jest proste. Tak czy inaczej, teraz znasz tę tajemnicę. Może ci pomoże, nie wiem. Czy możesz już mnie zostawić z moim smutkiem?

Wstałem, nagle czując ogromne znużenie. Zapewne opóźnione skutki wcześniejszego gojenia.

— Czy wiesz, jaki jest słaby punkt Profesora?

Knighthawk przecząco pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia.

— Okłamujesz mnie?

Knighthawk prychnął.

— Nie, bynajmniej. Nigdy mi go nie wyjawiał, a wszystkie moje domysły okazały się błędne. Zapytaj Cię. Jej mógł powiedzieć.

— Myślę, że Tia nie żyje.

— Niech to szlag.

Knighthawk zamilkł i zapatrzył się w dal. Miałem nadzieję, że sekret motywatorów rzuci trochę światła na Profesora i to, co robił, obdarzając swoją mocą innych. Wciąż nie wiedziałem jak niektórzy Epicy mogą w ten sposób unikać ciemnej strony mocy.

Chyba że tak naprawdę nie mogli. Musiałem porozmawiać z Edmundem, tym

nazywanym Conflux.

Poszedłem w kierunku drzwi, mijając martwego Epika w trumnie. Miałem cichą nadzieję, że Knighthawk nigdy nie znajdzie sposobu, żeby sprowadzić tę kobietę z powrotem; wątpiłem, by w ten sposób otrzymał to, czego pragnął.

— Zabójco Stalowego Serca! — zawołał za mną.

Odwróciłem się, a manekin podszedł do mnie, trzymając na dłoni jakieś małe urządzenie. Wyglądało jak walcowata bateria, jedna z tych ze starych reklam zabawek, które widywałem, oglądając filmy wideo puszczone po obiedzie w Fabryce. My, dzieciaki, uwielbialiśmy reklamy. W jakiś sposób wydawały się bardziej realistyczne — jako obrazek ukazujący świat przed Epikami — od filmów akcji, w przerwach których je puszczano.

Och, żyć w czasach, gdy dzieci jadały kolorowe płatki zbożowe i prosiły rodziców, żeby kupowali im zabawki.

— Co to jest? — zapytałem, biorąc urządzenie od manekina.

— Inkubator tkankowy — odrzekł. — Utrzyma przy życiu pobraną próbkę komórek dostatecznie długo, żebyście zdążyli mi ją przysłać. Kiedy twój plan zawiedzie i będziesz musiał zabić Jonathana, pobierz dla mnie próbkę jego DNA.

— Żebyś mógł skonstruować jakieś urządzenie, wiążąc w nim jego komórki, żeby się wzbogacić?

— Jonathan Phaedrus ma najpotężniejszą zdolność uzdrawiania ze wszystkich znanych mi Epików — powiedział Knighthawk, a jego manekin poparł te słowa dość nieuprzejmym gestem. — Będzie wzmacniaczem o wiele efektywniejszym od jakiegokolwiek, który testowałem. Może... może zadziała na Amalę. Już ponad rok temu zaprzestałem prób jej wskrzeszenia. Może jednak... Sam nie wiem. Tak czy inaczej, powinieneś pozwolić, by Jonathan nawet po śmierci uzdrawiał ludzi. Wiesz, że tego by chciał.

Niczego nie obiecałem, ale wziąłem inkubator.

Nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

---

---

# CZĘŚĆ II

---

---

## 11

Byłem w jakimś zimnym i ciemnym miejscu.

Mój świat składał się z samych dźwięków. Każdy z nich był okropny, agresywny, przeraźliwy. Skuliłem się pod ich naporem, ale wtedy zaatakowały mnie światła. Jaskrawe, straszne. Przeszywające. Nienawidziłem ich, chociaż to nic nie dało. Załkałem, ale to też mnie przeraziło; własne ciało zdradzało mnie atakiem od wewnątrz, wraz z tymi wszystkimi zewnętrznymi bodźcami.

Wszystko to narastało falą huków i błysków, szumów, trzasków i pisków oraz straszliwych eksplozji, aż...

Zbudziłem się.

Leżałem niewygodnie skulony na tylnym siedzeniu dżipa. Była noc. Jechaliśmy zniszczoną autostradą. Pojazd podskakiwał i trząsł się, mknąc w kierunku Atlanty.

Zamrugalem, usiłując zrozumieć sens tego snu. Koszmar? Serce istotnie waliło mi jak młotem. Pamiętałem, że byłem przerażony tym hałasem i zamieszaniem, ale nie przypominało to żadnego koszmarnego snu, jaki kiedykolwiek miałem.

Nie śniłem o wodzie. Niejasno pamiętałem kilka sennych koszmarów w trakcie pobytu w Babilarze i zawsze były związane z tonięciem. Usiadłem i zastanowiłem się. Po tym, co odkryliśmy w kwestii Epików, nie mogłem ignorować żadnych złych snów. Tylko jaki z tego wniosek? Przecież ludzie od zawsze miewają koszmary. Skąd można wiedzieć, czy dany sen jest istotny, czy zupełnie przypadkowy?

No cóż, ja nie byłem Epikiem. Tak więc to zapewne nie miało żadnego znaczenia.

Przeciągnąłem się i ziewnąłem.

— Jak nam idzie?

— Dość szybko posuwamy się naprzód — odrzekł Abraham z przedniego siedzenia. — Tu jest mniej śmieci na drodze.

Podróżowaliśmy nocą, jeśli tylko było to możliwe, dwoma dżipami ze zgaszonymi światłami, używając noktowizyjnych gogli. Kierowcy zmieniali się co kilka godzin, co zaproponował Abraham. Powiedział, że to ożywia rozmowę i pomaga zachować czujność. Za kierownicą zasiadali wszyscy po kolei, oprócz mnie, co było niesprawiedliwe. Tylko z powodu tamtego jednego błędu. No, może jeszcze jednego. I tego ze skrzynką pocztową, ale bądźmy poważni, kto o tym jeszcze pamiętał?

Teraz Mizzy i Abraham byli w moim dżipie, a Megan i Cody jechali drugim. Podniosłem swój karabin, który miałem pod nogami. Wcisnąłem przycisk składający kolbę i rozejrzałem się, używając noktowizora oraz termowizji.

Abraham miał rację. Ta autostrada, chociaż miejscami zniszczona, zasadniczo była w lepszym stanie niż ta, którą przejechaliśmy z Newcago do Babilaru, oraz o wiele lepsza od tej, którą dotarliśmy do fortecy Knighthawka. Mijaliśmy porzucone na poboczu samochody i zupełnie nieoświetlone miasta, których mieszkańcy uciekli lub nie chcieli przyciągać uwagi Epików. Pomyślałem, że to pierwsze jest bardziej prawdopodobne. Ludzie ciągnęli do większych miast, gdzie mieli się stać poddanymi Epików, ale i otrzymają dostęp do podstawowych artykułów niezbędnych do życia.

Chociaż Newcago było straszne, nadal zapewniało możliwość względnie ustabilizowanego życia. Paczkowana żywność z jednej z czynnych fabryk, czysta woda, elektryczność. Bez kolorowych płatków zbożowych, ale biło na głowę zamieszkiwanie na pustkowiu. Ponadto, jeśli chodzi o Epików, w mieście człowiek był jak rybka w ławicy — zbyt mało znaczył, żeby przykuć uwagę któregoś z nich, więc mógł po prostu liczyć na to, że nie zostanie zabity przypadkowo.

W końcu zauważyłem stary zielony drogowskaz głoszący, że jesteśmy niedaleko Kansas City. Zamierzaliśmy je ominąć, gdyż władali nim Epicy, w większości znani twardogłowi. Na szczęście Atlanta obecnie znajdowała się tuż za nim. Jazda na tylnym siedzeniu dżipa nie należała do komfortowych. Na skry, ten kraj był naprawdę duży, zanim wszystko się rozpadło.

Wyjąłem komórkę. Dobrze było znów używać takiego aparatu, chociaż musiałem mocno przyciemnić wyświetlacz, żeby nie rozświetlił wnętrza samochodu. Wystukałem wiadomość do Megan.

*Całuję.*

Sekundę później ekranik zamigotał i przeczytałem odpowiedź.

*Fuj.*



Zmarszczyłem brwi, dopóki nie zobaczyłem, że ten SMS nie przyszedł od Megan, ale z jakiegoś nieznanego numeru.

*Knighthawk?* — wystukałem, domyśliwszy się.

*Cóż, teoretycznie to Manny, mój manekin — przyszła odpowiedź. — Jednak tak, a także tak, monitoruję wasze rozmowy. Pogódź się z tym.*

*Zdajesz sobie sprawę z tego, że wszyscy uważają twoje komórki za absolutnie bezpieczne — napisałem.*

*Zatem wszyscy są idiotami — odpowiedział. — To oczywiste, że mogę odczytać wszystko, co wysyłasz.*

*A jeśli Profesor mnie zabije i zdobędzie mój telefon? — spytałem. — Nie obawiasz się, że zauważą, że stałeś do mnie SMS-y?*

W odpowiedzi wiadomości od niego znikły, tak samo jak moje teksty. Na skry. Jak zdołał zhakować pamięć mojej komórki?

*Pamiętaj o naszej umowie — głosił nowy SMS. — Chcę mieć jego komórki.*

Nie zawarłem z nim takiej umowy, ale teraz nie było sensu tego przypominać. Zanotowałem jego numer na karteczce, a potem patrzyłem, jak znika jego ostatnia wiadomość. Po chwili przyszedł SMS od Megan.

*Ja ciebie też, Klęczko.*

*Wszystko u was w porządku? — zapytałem.*

*Jeśli w porządku oznacza popadanie w obłęd, słuchając historyjek wymyślanych przez Cody'ego, to tak.*

Posłałem jej uśmiechniętą buźkę.

*Zdajesz sobie sprawę, że on twierdzi, iż brał udział w olimpiadzie? — przysłała mi. — Tylko złośliwy karzeł ukradł mu medal.*

*Zaczekaj na puentę — napisałem jej. — Zazwyczaj na końcu jest jakaś, straszna.*

*Następny odcinek przejadę z Abrahamem — przysłała. — Poważnie. Myślałam, że już się uporałam z chęcią uduszenia członków tego zespołu. Okazuje się, że chęć zamordowania Cody'ego w brutalny i nieludzki sposób nie ma nic wspólnego z ciemną stroną mocy. To zupełnie naturalny odruch.*

*Hmm — odpowiedziałem. — Może powinniśmy sprawdzić, czy cokolwiek, co robi Cody, ma związek z twoją psychiką. Jest szansa, choć bardzo nikła, że stawiając czoło twoim obawom, możesz osłabić ciemną stronę mocy, to inne bodźce środowiskowe mogą ją rozwścieczyć.*

Minęła długa chwila.

*Nerd* — odpowiedziała w końcu.

*Ja tylko próbuję rozważyć wszystkie możliwości.*

*Naprawdę? — odpisała. — Czemu nie chodzę z facetem mającym jakąś przydatną obsesję?*

Uśmiechnąłem się.

*Na przykład?*

*Czytanie romansów? Survival? Coś, co robią chłopcy. Może wtedy komplementowałbyś nie tylko mój wybór uzbrojenia.*

*Przykro mi. W tej dziedzinie mam niewielkie doświadczenie.*

*Nie musisz mi mówić — odpisała. — Poważnie, Davidzie, dobrze, że masz taki fajny tyłek.*

*Zdajesz sobie sprawę, że Knighthawk zapewne monitoruje tę rozmowę? — ostrzegłem ją.*

*No cóż, on ma raczej dość paskudny tyłek, więc czemu miałabym się tym przejmować? — odpisała.*

Wjechaliśmy na kiepski odcinek drogi, podskakując i kołysząc się. Mizzy zwolniła, omijając wyboje.

*Tęsknisz za Newcago? — zapytałem Megan. — Ja czasem tak. Dziwne, no nie?*

*Niee. Tam się wychowałeś. Stamtąd pochodziła twoja rodzina. Ja czasem tęsknię za Portland. To ostatnie miejsce, gdzie miałam normalne życie. Miałam nawet lalkę, Esmeraldę. Musiałam ją zostawić.*

Przechyliłem głowę. Megan niewiele mówiła o tamtych czasach.

*Jeśli zostanę zupełnie uzdrowiona — napisała do mnie — zacznę ich szukać. Jak już będę miała pewność.*

*Twojej rodziny? Wiesz chociaż, w którym są mieście?*

*Jak ich znam, nie mieszkają w mieście. Więcej ludzi, niż sądzisz, mieszka tam w tych ciemnościach. Radzę sobie. Założę się, że jest ich więcej niż ludzi w miastach; tylko ich nie widać.*

Wątpiłem w to. No wiecie, czy tak wielu ludzi naprawdę nie byłoby widać? I co się działo, gdy któryś z nich zmieniał się w Epika? Nowi Epicy zwykle natychmiast po uzyskaniu mocy tracili nad nią kontrolę. Rezultaty często były... nieprzyjemne.

*Wiesz, co najbardziej mnie denerwuje w tym wszystkim? — napisała Megan, To, że mój głupi ojciec miał rację. Cała ta jego zwariowana gadanina o apokalipsie, nauka strzelania, przygotowania na najgorsze... miał rację. Myślał, że to będzie wojna nuklearna, ale niewiele się pomylił.*

Więcej nie napisała, a ja pozostawiłem ją z jej myślami. Niedługo potem Mizzy zwolniła.

— Muszę odpocząć — powiedziała. — Zamienisz mnie, Abe?

— Jeśli tego chcesz — rzekł.

— Chcę. I to bardzo.

*Wygląda na to, że zatrzymujemy się, żeby zmienić kierowców — wysłałem do Megan. — Słupek milowy... 32.*

*Wyprzedzamy was o kilka kilometrów — przysłała. — Powiem Cody'emu, żeby zwolnił, dopóki nas nie dogonicie. I tak już dojeżdżamy do miasta.*

Zatrzymaliśmy się obok starej przyczepy mieszkalnej, której ciągnika nie było widać w pobliżu. Przyjrzałem się jej przez noktowizor i zauważyłem w środku ślady dawno wygasłego pożaru.

— Muszę rozprostować nogi — oznajmił Abraham. — Davidzie, osłonisz mnie?

— Jasne — odparłem, przeładowując karabin.

Poszedł na krótką przechadzkę, a ja stałem, wypatrując z dżipa, czy ktoś lub coś nie kryje się w wysokiej trawie obok drogi. Mizzy opadła na fotel pasażera, rozłożyła go i westchnęła z satysfakcją.

— Jesteś pewny, że ten plan się powiedzie, Davidzie? — zapytała.

— Nie, ale to najlepszy plan, jaki mamy.

— Chyba że po prostu zabilibyśmy Profesora — zauważyła.

— Ty też? — Westchnąłem. — Knighthawk również mówił, że powinniśmy go zabić.

— Wiesz, że on by tego chciał, Davidzie. No wiesz, zrobiłby surową minę i powiedział: „Nie próbujcie mnie teraz oszczędzić. Róbcie to, co trzeba”. — Milczała chwilę. — On zabił Val. Zamordował ją i Exela.

— To nie była jego wina — pospiesznie przypomniałem. — Już to omawialiśmy.

— Taak, wiem. Po prostu... Stalowemu Sercu nie dałeś żadnych szans, prawda? Był zbyt niebezpieczny. Musiałeś uratować miasto. I zemścić się. Dlaczego teraz jest inaczej?

Skierowałem lufę karabinu w kępę szeleszczących zarośli. Spłoszony kot wyskoczył z niej i czmychnął.

— Wcale nie rozmawiamy o Profesorze, prawda? — zapytałem Mizzy.

— Może i nie — przyznała. — Wiem, że teraz sprawy wyglądają inaczej. Znamy tajemnicę ich słabości, bla, bla. Mimo to wciąż się zastanawiam... dlaczego ty się zemściłeś, a ja nie? Co z moimi uczuciami, moim gniewem? — Kilkakrotnie uderzyła głową o zagłówek. — Blaaa. To brzmi tak żałośnie. „Rany, Davidzie. Naprawdę chciałabym zamordować twoją dziewczynę. Dlaczego mi nie pozwalasz?” Przepraszam.

— Rozumiem twoją frustrację, Mizzy — powiedziałem. — Naprawdę. I nie myśl, że nie robię sobie wyrzutów z powodu tego, że tak długo zabijałem Epików tylko po to, żeby związać się z Megan. Kto by pomyślał, że miłość i nienawiść są tak do siebie podobne, prawda?

— Chyba każdy filozof.

— Co ty powiesz?

— Taa. I wiele rockowych tekstów.

— Ooo.

— Wiesz co? Czasem wyraźnie widać, że kształciłeś się w fabryce broni, Davidzie.

Abraham zrobił swoje i wrócił do dżipa. Czułem, że powinienem dać Mizzy lepszą odpowiedź, ale co miałem powiedzieć?

— Nie robimy tego tylko dlatego, że lubimy Profesora, ani z powodu mojego uczucia do Megan. — Usiadłem w fotelu. — Jedziemy do Ildithii, żeby uratować Profesora, ponieważ przegrywamy, Mizzy. Mściciele byli jedynymi, którzy próbowali walczyć, a teraz praktycznie ich nie ma. Jeśli nie znajdziemy sposobu, żeby odwrócić bieg wydarzeń i powstrzymać Epików, ludzkość będzie zgubiona. Nie możemy wciąż ich zabijać, Mizzy. To za długo trwa i jesteśmy zbyt nieliczni. Musimy znaleźć sposób, żeby ich zmienić. Ratujemy Profesora nie tylko z przyjaźni. Na skry, jeśli nam się uda, zapewne nas znienawidzi, ponieważ będzie musiał żyć z tym, co uczynił. Zapewne wolałby umrzeć. Jednak zrobimy to i tak, ponieważ potrzebujemy jego pomocy. I musimy udowodnić, że można to zrobić.

Mizzy powoli pokiwała głową, gdy Abraham wsiadał do wozu. Odłożyłem broń.

— Chyba będę musiała jakoś opanować tę żądzę zemsty — stwierdziła Mizzy. — Zdusić ją w sobie.

— Nie — rzuciłem.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

— Podtrzymuj ten ogień w sobie, Mizzy — dodałem, po czym wskazałem w górę. — Jednak skieruj go w prawdziwy cel. W to, co naprawdę zabiło twoich przyjaciół.

Na zewnątrz Calamity wisiała na niebie jako jaskrawoczerwony punkt, jak plamka laserowego celownika. Widoczna w każdą noc.

Mizzy skinęła głową.

Abraham uruchomił silnik, nie pytając o temat naszej rozmowy. Gdy ruszyliśmy, mój telefon zamrugał i rozsiadłem się wygodniej, oczekując następnej rundy przekomarzań z Megan.

Zamiast tego przysłała krótki, ale mrozący krew w żyłach tekst.

*Pospieszcie się. Postanowiliśmy podjechać bliżej, żeby rzucić okiem na miasto. Coś się stało.*

Co? — pośpiesznie odpisałem.

*Kansas City znikło.*

Próbowałem znaleźć odpowiednie porównanie na dźwięk żuźla, który chrzęścił mi pod nogami. Jak... jak lód na... Nie.

Szedłem po rozległej płycie stopionej skały, która kiedyś była Kansas City. Tym razem zabrakło mi słów. Jedynym właściwym przymiotnikiem, jaki przychodził mi do głowy, było słowo „zasmucający”.

Dzień wcześniej był to jeden z nielicznych jasnych punktów cywilizacji na dużej czarnej mapie. Owszem, miasto było zdominowane przez Epików, ale istniało tu życie, kultura, społeczeństwo. Ludzie. Dziesiątki, może setki lub tysiące.

Już nie.

Przykucnąłem i potarłem palcami gładką płytę. Była wciąż ciepła i zapewne taka pozostanie jeszcze przez wiele dni. Wybuch roztopił kamień i w mgnieniu oka zamienił budynki we wzgórze stopionej stali. Cały teren był poprzecinany fałdami szkła przypominającymi zamrożone fale o zaledwie kilkucentymetrowej wysokości. Z jakiegoś powodu sugerowały, że utworzył je huraganowy wiatr wiejący z epicentrum tych zniszczeń.

Wszyscy ludzie martwi. Pomodliłem się do Boga lub kogokolwiek, kto mógł usłyszeć, żeby choć niektórzy z nich zdołali uciec przed wybuchem. Odgłos kroków oznajmił przybycie Megan. Oświetlało ją poranne słońce.

— Giniemy, Megan — powiedziałem zacinającym się głosem. — Skapitulowaliśmy przed Epikami, a pomimo to jesteśmy zabijani. Ich wojny zniszczą wszelkie życie na tej planecie.

Położyła dłoń na moim ramieniu, gdy klęczałem tam, dotykając okruchów szkła, które pozostały po mieszkających tu ludziach.

— To Znikający? — zapytała.

— Pasuje do tego, co zrobił w innych miastach — powiedziałem. — I nie znam nikogo innego, kto potrafiłby to zrobić.

— Ten wariat...

— On naprawdę ma źle w głowie, Megan. Kiedy niszczy miasto, uważa to za akt miłosierdzia. Zdaje się sądzić, że... że jedyny sposób na całkowite pozbycie się Epików, to zabić każdego, kto mógłby nim się stać.

Ciemna strona mocy zesłała na Znikającego szczególny rodzaj szaleństwa, zdeformowaną odmianę tego, do czego dążyli Mściciele. Chęć uwolnienia świata od Epików.

Obojętnie jakim kosztem.

Moja komórka zamrugwała, a ja odczepiłem ją z miejsca na rękawie kurtki, gdzie zwykle spoczywała.

*Widzisz to?* — Wiadomość przysłał Knighthawk i dodał załącznik. Otworzyłem go. Zawierał zdjęcie potężnej eksplozji w miejscu, w którym zapewne było Kansas City. Zdjęcie zostało zrobione z daleka. — *Ludzie przesyłają je sobie cały czas* — napisał Knighthawk. — *Czy wy czasem nie jedziecie w tym kierunku?*

*Dokładnie wiesz, gdzie jesteście* — odpisałem mu. — *Namierzasz moją komórkę.*

*Chciałem być uprzejmy* — przysłał. — *Zrób mi kilka zdjęć centrum miasta. Będziemy mieli problem ze Znikającym.*

*Naprawdę?* — wysłałem.

*Taaak, cóż, spójrz na to.*

Następne zdjęcie pokazywało chudego mężczyznę z kocią bródką idącego zatłoczoną ulicą, w rozwianym długim płaszczu, z mieczem u boku. Natychmiast rozpoznałem Znikającego.

*Kansas City?* — zapytałem. — *Przed wybuchem.*

*Taaak* — odpisał Knighthawk.

Natychmiast uświadomiłem sobie konsekwencje tego faktu. Zaszzyfrowałem łącze i wybrałem numer Knighthawka, po czym przyłożyłem telefon do ucha. Odebrał po sekundzie.

— On się nie jarzy — rzuciłem pospiesznie. — To oznacza...

— Co ty wyprawiasz? — zapytał Knighthawk. — Idiota!

Rozłączył się.

Stropiony patrzyłem na telefon, aż przyszła kolejna wiadomość.

*Czy mówiłem, że możesz do mnie dzwonić, chłopcze?*

*Przecież...* — odpisałem. — *Przez cały dzień ślesz mi wiadomości.*

*To zupełnie co innego* — napisał. — *Wydzwanianie do kogoś bez pozwolenia to ostentacyjne naruszanie prywatności.*

— Ostentacyjne? — zapytała zaglądająca mi przez ramię Megan.

— Moja komórka odfiltrowuje wulgaryzmy — powiedziałem.

— Używasz filtra wulgaryzmów? Co to ma być, przedszkole?

— Nie — odparłem. — To zabawne. Sprawia, że ludzie naprawdę głupio gadają.

Przyszła kolejna wiadomość od Knighthawka. *Mówiłeś, że Regalia stworzyła motywator ze Znikającego. O co się założysz, że więcej niż jeden? Spójrz na te obrazy.*

Przysłał kolejny załącznik ukazujący Znikającego w Kansas City pracującego nad jakimś świecącym przedmiotem. Było jasno, ale nie ulegało wątpliwości, że to on świeci, a nie sam Znikający.

*Znacznik czasowy na ostatnim zdjęciu świadczy o tym, że zostało zrobione tuż przed tym, zanim to miejsce wyparowało* — napisał Knighthawk. — *Zniszczył Kansas City jakimś*

*urządzeniem. Tylko dlaczego postąpił się nim, zamiast zrobić to samemu?*

*Bardziej skrycie — odpisałem. — Gdyby siedział w centrum miasta, tak jak to zrobił w Teksasie, świecąc, zanim wysadził miasto w powietrze, ostrzegłby ludzi, którzy mogliby uciec.*

To po prostu obrzydliwe.

*Możesz obserwować go za pomocą innych komórek?*

*To dużo danych do przesłania, chłopcze.*

*A masz coś lepszego do roboty?*

*Taa, może. Nie jestem jednym z twoich Mścicieli.*

*Owszem, ale chyba jesteś człowiekiem. Proszę. Zrób, co możesz. Jeśli zauważysz go w innym mieście, gorejącego czy nie, przyslij mi wiadomość. Może uda nam się ostrzec tych ludzi.*

*Zobaczmy.*

Megan popatrzyła na mój telefon.

— Powinno mnie przerazić to, co on potrafi zrobić za pomocą telefonów komórkowych, no nie?

Oboje zrobiliśmy kilka zdjęć centrum miasta. Kiedy wysłaliśmy je Knighthawkowi, przestał wymieniać ze mną wiadomości. Pokazałem to Megan, chociaż była zajęta czym innym: spoglądała na bezkresne pole szklistych kopców ze skały i stali, pozostałych tam, gdzie przedtem znajdowało się miasto.

— To by mnie zabiło — wyszeptała. — Taki ogień. Permanentnie.

— Zabiłby większość Epików — powiedziałem. — Nawet niektórych z Elity Epików.

To był jedyny sposób, żeby ich pokonać, zniszczyć wybuchem jądrowym. Straszliwe rozwiązanie, o czym przekonały się niektóre kraje. Można zetrzeć z powierzchni ziemi kilka swoich miast, ale wtedy nie ma już czego chronić.

Megan oparła się o mnie, gdy położyłem dłoń na jej ramieniu. Weszła do płonącego budynku, żeby mnie uratować, stawiając czoło temu, co mogło ją zabić, ale to nie oznaczało, że przestała się bać. Tylko opanowała ten strach. Jakoś.

Razem dołączyliśmy do pozostałych Mścicieli, którzy zatrzymali się w pobliżu epicentrum wybuchu. Abraham upewnił się, że jest tam bezpiecznie.

— Będziemy musieli coś z nim zrobić, Davidzie — powiedział, gdy podszedłem.

— W porządku — odparłem. — Najpierw jednak uratujemy Profesora. Zgadza się?

Cała grupa skinęła głowami. Abraham i Cody od początku zgadzali się ze mną i Megan, że trzeba spróbować przeciągnąć Profesora z powrotem na naszą stronę, zamiast go zabijać. Wyglądało na to, że podczas rozmowy w samochodzie przekonałem Mizzy, gdyż ona również energicznie kiwnęła głową.

— Czy jeszcze kogoś tutaj niepokoi to, dlaczego Profesor udał się do Atlanty? — spytał Cody. — No wiecie, mógł zostać w Babilarze, gdzie wszyscy Epicy byliby mu posłuszni. Zamiast tego przeniósł się aż tutaj.

— Pewnie ma jakiś plan — odparłem.

— Ma wszystkie informacje Regalii — przypomniał Abraham. — Ona dużo wiedziała o Epikach, ich mocach i Calamity. Zaczynam się zastanawiać, co odkrył w tych jej danych. Pokiwałem głową.

— Regalia mówiła, że chciała mieć następcę. Wiemy, że maczała palce w czymś znacznie większym niż władanie jednym miastem. Kontaktowała się z Calamity i próbowała odkryć, jak działa jej moc. Może Profesor kontynuuje to, co robiła, zanim zżarł ją rak.

— Możliwe — odparła Mizzy. — Tylko co to takiego? Co ona planowała albo co planuje Profesor?

— Nie wiem — burknąłem. — Jednak martwię się. Profesor jest jednym z najskuteczniejszych i najinteligentniejszych ludzi, jakich znam. Z pewnością nie zamierza spocząć na laurach i jako Epik rządzić jednym miastem. Będzie miał większe plany i cokolwiek zamierza, to będzie coś dużego.

Opuściliśmy Kansas City w posępnych nastrojach. Teraz trzymaliśmy się bliżej siebie, dwa dziopy, jeden za drugim. Minęło przygnębiająco dużo czasu, zanim zostawiliśmy w tyle stopione wybuchem budynki i spaloną ziemię. Jechaliśmy dalej, chociaż słońce już wzeszło. Abraham uważał, że jesteśmy blisko celu, w odległości najwyżej kilku godzin jazdy.

Zdecydowałem, że najlepszym sposobem na zapomnienie o koszmarze Kansas City będzie zrobienie czegoś pożytecznego. Tak więc wyjąłem jedno z pudełek otrzymanych od Knighthawka. Mizzy obróciła się na siedzeniu, z zaciekawieniem spoglądając ponad zagłówkiem. Abraham zerknął na moje odbicie w lusterku, ale nic nie powiedział, a z jego twarzy niczego nie zdołałem wyczytać. Znałem stosy amunicji mówiące więcej od niego. Ten facet czasem był jak jakiś buddyjski mnich. Z miniarmatą.

Podniosłem wieczko i obróciłem pudełko tak, żeby Mizzy mogła zajrzeć do środka. Zawierało rękawiczki i słoiczek z jakimś srebrzystym płynem.

— Rtęć? — spytała Mizzy.

— Taak — odpowiedziałem, biorąc rękawiczkę i obracając słoiczek w dłoni.

— Czy to nie jest, no wiesz, naprawdę szkodliwe?

— Nie jestem pewny — przyznałem.

— Powoduje szaleństwo — rzekł Abraham. I po chwili dorzucił: — Zatem w tym samochodzie nic już nikomu nie grozi.



— Ha, ha — rzuciła Mizzy.

— Rtęć jest bardzo toksyczna — dodał Abraham. — Szybko się wchłania przez skórę i nawet jej opary są niebezpieczne. Ostrożnie z tym, Davidzie.

— Nie zdejmę pokrywki, dopóki nie będę miał pewności, że mogę bezpiecznie to zrobić. Chcę tylko zobaczyć, czy rtęć porusza się w słoiku.

Pospiesznie założyłem rękawiczkę. Natychmiast promienie fioletowego światła przemknęły od palców do środka mojej dłoni. Łagodnie jarząca się rękawiczka przypominała mi o tensorach, co zapewne miało sens. Profesor stworzył je jako naśladownictwo urządzeń opartych na mocy Epików. Zapewne wykorzystał jeden z projektów Knighthawka.

— To będzie coś zapierającego dech — powiedziałem, przypominając sobie to, co czytałem o mocy Rtich. Wyciągnąłem rękę po słoik z rtęcią, ale zatrzymałem się. Jak dokładnie mam przywołać te umiejętności? Spyryl trudno było kontrolować, choć łatwo było go skłonić do działania. Natomiast minęło sporo czasu, zanim zdołałem skłonić tensory do zrobienia czegokolwiek.

Próbowałem wydawać telepatyczne rozkazy i użyć sztuczek, którymi zmuszałem do pracy tensory, ale nic się nie działo.

— Czy naprawdę zatka mnie teraz? — zapytała Mizzy — Czy może raczej za jakiś czas? Chciałabym się przygotować.

— Nie mam pojęcia, jak to działa — mruknąłem, machnąłem ręką i spróbowałem ponownie.

— Może jest tam jakaś instrukcja? — spytał Abraham.

— Które z cudów supertechniki Epików mają załączone instrukcje? — To wydawało się zbyt prozaiczne. Pomimo to przeszukałem pudełko. Nic.

— Tak jest lepiej — odrzekł Abraham. — Powinniśmy się wstrzymać i spróbować zrobić to w bardziej kontrolowanym środowisku, a przynajmniej kiedy nie będziemy jechać po tej częściowo nieistniejącej drodze.

Z westchnieniem zdjąłem rękawiczkę, a następnie podniosłem słoik z rtęcią i spojrzałem nań. Zawartość wyglądała dziwnie. Wyobrażałem sobie, jak może wyglądać płynny metal, ale rzeczywistość przeczyła moim oczekiwaniom. Ciecz przelewała się szybko, lekko i była niewiarygodnie lustrzana. Jakby ktoś stopił zwierciadło. Po kolejnych naleganiach Abrahama wpakowałem słoik z powrotem do pudełka i postawiłem pudełko przy moich nogach, chociaż istotnie wysłałem do Knighthawka wiadomość z prośbą o instrukcje. Jednak wkrótce potem jadący przed nami dżip Megan zwolnił. Zabrzęczała komórka Abrahama.

— Tak? — mruknął, stukając w klawisze i głębiej wciskając słuchawki. — Hm. Dziwne.

Zatrzymujemy się. — Zwolnił, a potem spojrział na mnie. — Cody zauważył coś przed nami.

— Miasto? — spytałem.

— Blisko. Szlak do niego. Spójrz na drugą godzinę.

Wyjąłem broń i — rozpiąwszy dach dzipa — wstałem. Z wysoka zauważyłem coś bardzo interesującego przy drodze: olbrzymią równinę pokrytą suchymi roślinami. Ciągnęła się w dal.

— Miasto zdecydowanie tędy przeszło — powiedział z dołu Abraham. — Stąd tego nie widać, lecz to fragment bardzo szerokiego pasa zeschniętej trawy, mającego szerokość miasta. Podróżująca Ildithia pozostawia za sobą taki ślad, niczym olbrzymi ślimak.

— Świetnie — wymamrotałem, ziewając. — Dogońmy je.

— Zgadza się — rzekł Abraham — ale przyjrzyj się dokładniej. Cody mówi, że dostrzegł ludzi idących tym śladem.

Spojrzełem ponownie i istotnie zobaczyłem kilka grup ludzi truchtających po tym szerokim pasie.

— Hm — rzuciłem. — Oddalają się od miasta. My uważamy, że ono porusza się na północ, prawda?

— Tak — potwierdził Abraham. — To stropiło także Cody'ego i Megan. Chcesz to zbadać?

— Tak. — Usadowiłem się z powrotem w dżipie. — Poślę tamtych dwoje.

Zjechaliśmy z drogi i gdy ruszyliśmy w kierunku pasa suchej trawy, wysłałem wiadomość tekstową do Megan. *Zobacz, czego we dwoje zdołacie się dowiedzieć od tych maruderów, ale nie ryzykuj.*

*To uchodźcy* — odpisała. — *Co nam grozi? Szkorbut?*

\* \* \*

Cody i Megan pojechali, a my zostaliśmy. Próbowałem się zdrzemnąć, ale siedzenie dżipa było zbyt niewygodne i, chociaż powtarzałem sobie, że nie ma powodu do obaw, martwiłem się o Megan.

W końcu przysłała wiadomość. *To istotnie są uchodźcy. Znają Profesora, nazywają go Limelight. Był tu przez dwa lub trzy tygodnie, a kilku innych Epików stawia mu opór, łącznie z najważniejszym tu, niejakiem Zawłaszczaczem. Ci ludzie uciekli z miasta, ponieważ uważali, że dojdzie do starcia Profesora z Zawłaszczaczem i postanowili wynieść się na parę tygodni, żeby pomieszkać na pustkowiach, po czym wrócić i sprawdzić, kto ostatecznie tam rządzi.*

*Czy powiedzieli, jak daleko jest miasto?* — zapytałem.

*Wędrowali godzinami, a więc... może godzinę lub dwie jazdy dżipem. Mówią, że*

*miniemy innych uchodźców zmierzających w kierunku Ildithii. Ludzi z Kansas City.*

A zatem przynajmniej część mieszkańców uciekła. Ulżyło mi.

Pokazałem tę wiadomość Mizzy i Abrahamowi.

— Ta notka o ildithijskiej polityce jest dobra — powiedział Abraham. — To oznacza, że Profesor jeszcze nie umocnił swojej władzy w tym mieście. Nie będzie miał środków, żeby nas śledzić.

— Czy zdołamy się dostać do środka — zapytała Mizzy — nie rzucając się w oczy?

— Możemy się ukryć wśród uchodźców z Kansas City — podsunąłem.

— Nawet nie musielibyśmy tego robić — rzekł Abraham. — Zawłaszczacz pozwala ludziom bezkarnie wchodzić do Ildithii lub ją opuszczać, więc często rzeka ludzi płynie tam w obie strony. Możemy podać się za robotników szukających pracy, a wtedy powinni nas wpuścić.

Powoli skinąłem głową, po czym wydałem rozkaz kontynuowania jazdy poboczem, ale omijając szerokim łukiem pas zeschniętej roślinności. Działające samochody — które zostały przerobione na napęd elektryczny — były nowością w tej części świata. Kto wie, z jakim rodzajem idiotycznej brawury moglibyśmy się spotkać, gdybyśmy podjechali za blisko zdesperowanych ludzi?

Megan i Cody dołączyli do nas i razem około godziny jechaliśmy po wyboistym terenie. Patrząc przez lunetę, zauważyłem pierwsze oznaki bliskości Ildithii — pola. Pojawiły się obok śladu miasta, nie na pasie suchej roślinności, ale tuż przy nim. Spodziewałem się tego. Atlanta była znana z produktów rolnych.

Wkrótce po tym zauważyłem jeszcze coś sterczącego przed nami na horyzoncie — zarysy budynków wznoszących się pośród rozległego, monotonnego krajobrazu.

Znaleźliśmy Atlantę, obecnie nazywaną Ildithią.

Miasto soli.

## 13

Siedziałem na masce naszego dżipa, który zaparkowaliśmy w niedużej kępie drzew kilka kilometrów od Ildithii i przez lunetę przyglądałem się miastu. Ildithia zachowała spory kawałek starej Atlanty — centrum, śródmieście, część przedmieść. Krąg o średnicy około dziesięciu kilometrów, według Abrahama.

Jej wieżowce przypominały mi Newcago — choć trzeba przyznać, że mieszkając w tym mieście, nie miałem pojęcia, jak wyglądają z daleka. Jednak te budynki wydawały się bardziej rozrzucone i smuklejsze. Ponadto były z soli.

Kiedy usłyszałem o mieście zbudowanym z soli, wyobrażałem sobie budynki z przezroczystego kryształu. Ależ się myliłem. Te budynki były przeważnie matowe, a przezroczyste tylko w narożach, przez które przeświecało słońce. Przypominały skalne formacje, a nie gigantyczne sterty zmielonej spożywczej soli.

Wieżowce prezentowały cudowną różnorodność barw. Dominowały róże i szarości, a powiększenie lunety pozwoliło mi dostrzec białe, czarne, a nawet zielone żyłkowanie ścian. Szczerze mówiąc, były piękne.

A ich wygląd nieustannie się zmieniał. Podjechaliśmy od tyłu, gdyż to miasto zdecydowanie miało „tył” i „przód”. Dzielnice na jego tyłach powoli rozpadały się jak gliniany mur na deszczu. Rozpływały się, osuwały. Na moich oczach osypała się cała boczna ściana jednego wieżowca, a potem cały budynek runął z łoskotem, który usłyszałem nawet z tak daleka.

Kawały soli spiętrzyły się stertami. To miało sens; moc Epików przeważnie nie tworzyła trwałych obiektów. Rozpadające się budynki z soli z czasem rozpuszczą się i znikną, wyparowując i pozostawiając jałową równinę taką jak ta, po której przyjechaliśmy.

O ile wiedziałem, po drugiej stronie miasta rosły nowe budynki — jak formujące się kryształy, wyjaśnił Abraham. Ildithia poruszała się, ale nie na nogach czy kołach. Przemieszczała się jak pleśń pełznąca po kawałku porzuconej grzanki.

— To niewiarygodne — powiedziałem, opuszczając karabin.

— Tak — zgodził się Abraham stojący obok dżipa. — I trudno tam żyć. No wiesz, całe miasto przechodzi ten cykl w ciągu tygodnia. Budynki rozsypujące się tutaj ponownie wyrastają z przodu.

— To super.

— To kłopotliwe — poprawił mnie Abraham. — Wyobraź sobie, że twój dom rozpada się co siedem dni, a ty musisz się przeprowadzić do nowego na drugim końcu miasta. Jednak miejscowi Epicy nie są okrutniejsi od innych i miasto zapewnia niektóre wygody.

— Woda? — podsunąłem. — Elektryczność?

— Wodę dostarczają im deszcze, które padają często, dzięki miejscowemu Epikowi.

— Nawałnica — powiedziałem, kiwając głową. — Czy deszcz...

— ...nie rozpuszcza soli? — podpowiedział Abraham, zanim zdążyłem dokończyć. — Tak, ale to nie ma większego znaczenia. Budynki z tyłu namokną i zapewne przeciekają, zanim się zawalą, ale można sobie z tym poradzić. Poważniejszym problemem jest znalezienie sposobu na gromadzenie wody, żeby nie była zbyt słona do picia.

— Zatem nie ma wodociągów i kanalizacji — powiedziałem. W kryjówce Mścicieli w Babilarze było szambo będące pożądanym luksusem.

— Bogaci mają elektryczność — rzekł Abraham. — Miasto wymienia żywność na

ogniwa.

Podeszła do nas Megan i spojrzała na miasto, osłaniając dłonią oczy.

— Jesteś pewny, że twój plan pozwoli nam dostać się do miasta, Abrahamie?

— Och, z pewnością. Dostać się do Ildithii to żaden problem.

Znów wsiedliśmy do dżipów, a potem ostrożnie okrążyliśmy miasto, na wszelki wypadek trzymając się z daleka. W końcu zostawiliśmy nasze pojazdy w starej stodole, zdając sobie sprawę z tego, że możemy ich tam nie zastać po powrocie, pomimo wymyślnych zamków. Zamieniliśmy także nasze kombinezony na sfatygowane dżinsy, zakurzone płaszcze i plecaki z bidonami po bokach. Kiedy wyruszyliśmy, mieliśmy nadzieję, że wyglądamy jak grupka samotników usiłujących przetrwać o własnych siłach.

Zaczęła się wędrownica, w trakcie której zatęskniłem za jazdą podskakującym dżipem. Zbliżając się do skraju Ildithii, szliśmy przez kolejne pola, o których czytałem, słyszałem, ale których dotychczas nigdy nie widziałem.

Miasta-państwa Częstkowych Stanów łączyło ze sobą więcej, niż kiedyś zakładałem. Może Epicy mogliby przetrwać bez żadnej infrastruktury, ale zwykle potrzebowali poddanych, którymi mogliby rządzić. Po co być wściekłym niszczycielskim żywiołem, jeśli nie ma wieśniaków, których od czasu do czasu można mordować? Niestety, wieśniacy muszą jeść, inaczej umierają, zanim zdąży się ich zamordować.

To oznaczało konieczność postawienia w mieście jakichś budowli i znalezienie produktu na wymianę. Miasta produkujące nadmiar żywności mogły ją wymieniać na ogniwa, broń lub artykuły luksusowe. To mi odpowiadało. Kiedy się pojawili, Epicy bezmyślnie niszczyli wszystko i wszystkich, rujnując narodową infrastrukturę. Teraz byli zmuszeni ją odtworzyć, stać się administratorami.

Życie jest takie niesprawiedliwe. Nie można zniszczyć wszystkiego wokół i żyć jak król.

Stąd te pola. Z tych, które zauważyłem obok miasta, już zebrano plony, lecz tutaj ziarno było dojrzałe do zbioru. Widziałem wielu pracujących ludzi i chociaż była dopiero wczesna wiosna, już trwały żniwa.

— Znów Nawałnica? — szepnąłem do Abrahama, który maszerował obok mnie.

— Tak — odpowiedział. — Jej deszcze powodują przyspieszony wzrost roślin wokół miasta, tak że plony można zbierać co dziesięć dni. Okresowo ludzie kilka dni przed przybyciem do miasta wędrują z nią w dane miejsce i sieją, po czym wracają do miasta, kiedy ich mija. Och, i może powinieneś chodzić z pochyloną głową.

Spuściłem wzrok, przyjmując dawną znajomą pozę i beznamiętną minę człowieka żyjącego pod rządami Epika. Abraham musiał szturchnąć Megan, gdy wyzywająco napotkała spojrzenie mijanego wartownika — kobiety z karabinem na ramieniu i z drwiącym uśmiechem na ustach.

— Idźcie do miasta — powiedziała kobieta, pokazując lufą Ildithię. — Dotknięcie bez pozwolenia kolby kukurydzy, a zastrzelimy was. Chcecie dostać żywność, rozmawiajcie z nadzorcami.

Gdy podeszliśmy bliżej miasta, dostaliśmy eskortę złożoną z mężczyzn z pałkami przy pasach. Poczułem się nieswojo, ale szedłem ze spuszczoną głową, co pozwoliło mi obserwować przemianę, w wyniku której powstawało miasto. Najpierw była to cienka warstwa. Coraz grubsza, w miarę jak się zbliżaliśmy, chrzęszcząca i łamiąca się pod nogami, aż w końcu weszliśmy na taflę czystej soli.

W pobliżu miasta mijaliśmy bryły wskazujące miejsca, gdzie zaczynały wyrastać budynki. Tu szarość i biel soli była przetykana tuzinami wstęg innych kolorów, przypominając zamrożony dym. Widziałem, że ten kamień ma swoją teksturę i miałem chęć dotknąć tej skały, żeby poczuć ją pod palcami.

To miejsce miało dziwny zapach. Zapewne soli. I było suche. Pola były wilgotne, więc łatwo było zauważyć, jak suche jest powietrze w mieście. Dołączyliśmy do krótkiej kolejki ludzi czekających przy wejściu do właściwego miasta, gdzie budynki miały należyte wymiary.

To był znajomy widok — krój i materiał mundurów, pomimo ich odmiennego koloru, przypominał mi Newcago. To miasto, w którym wszystko powstało z twardej jak kamień soli, pozostałym zapewne wydawało się obcym tworem, ale dla mnie było czymś normalnym. Czułem się tak, jakbym wrócił do domu. Kolejna ironia losu. Dla mnie komfort był nierozzerwalnie związany z czymś stworzonym przez Epików.

Wskazano nam drogę. Człowiek, który udzielał wskazówek, zdziwił się, że nie jesteśmy uchodźcami z Kansas City, ale mówił krótko i zwięźle. Żywność należała do Zawłaszczacza. Jeśli chciałeś ją dostać, musiałeś na nią zapracować. W mieście nie było policji, więc powiedział, że zapewne zechcemy dołączyć do którejś z istniejących społeczności, jeśli znajdziemy taką, która przyjmuje nowych członków. Epicy mogą robić, co chcą, więc należy trzymać się od nich z daleka.

Najwyraźniej miasto nie było tak zorganizowane jak Newcago. Tam Stalowe Serce stworzył wyższą klasę nie-Epików i wykorzystywał siły policyjne, żeby trzymać mieszkańców w ryzach. Natomiast w Newcago mogliśmy korzystać z elektryczności, komórek, a nawet z kin.

To mnie niepokoiło. Nie chciałem odkryć, że Stalowe Serce był efektywniejszym przywódcą od innych, chociaż w głębi serca wiedziałem o tym od dawna. Do licha, Megan właściwie powiedziała mi to, kiedy dołączyła do naszego zespołu.

Po odprawie pozwoliliśmy się zrewidować. Abraham ostrzegł nas przed tym, tak więc Megan była przygotowana do użycia swej mocy i stworzenia bardzo przekonującej iluzji

maskującej zawartość kilku naszych bagaży. Ukryła trochę sprzętu, takiego jak ogniwa i zaawansowana technologicznie broń, oraz bardziej prozaiczne rzeczy. Pozostawiła na widoku ładny pistolet, żeby strażnicy mogli go skonfiskować jako rodzaj myta za wpuszczenie do miasta. Jednak pozwolili nam zachować broń krótką, tak jak zapowiadał Abraham. Posiadanie broni nie było zakazane w tym mieście.

Po przeszukaniu przepuszczono nas. Ten sam facet, który wcześniej udzielał nam wskazówek, powiedział:

— Możecie zająć każdy niezamieszkały budynek. Jednak na waszym miejscu nie wychylałbym się przez kilka następnych tygodni.

— Dlaczego? — zapytałem, zarzucając plecak na ramię.

Zmierzył mnie wzrokiem.

— Waśnie między Epikami. Nic na to nie możemy poradzić, jedynie siedzieć cicho. W najbliższych dniach może być mniej żywności. — Potrząsnął głową, po czym wskazał stos skrzyń tuż za przejściem. — Powiem wam coś — rzekł do nas i kilkorga innych nowo przybyłych. — Dziś rano straciłem moich ludzi. Na skry, ci idoci uciekli. Pomożecie mi przetransportować te skrzynie do miasta, to dam wam asygnaty na ziarno za cały dzień, jakbyście zaczęli pracę rano.

Popatrzyłem na pozostałych, a oni wzruszyli ramionami. Gdybyśmy rzeczywiście byli najemnymi robotnikami, których udawaliśmy, raczej nie przepuścilibyśmy takiej okazji. Po paru minutach ładowaliśmy skrzynie. Te drewniane pojemniki były oznakowane wypalonym symbolem UTC, grupy wędrownych handlarzy rządzonej przez Warunek, która była Epikiem bardzo sprawnie manipulującym klientelą. Wyglądało na to, że się z nią rozminąłem, niestety. Zawsze chciałem spotkać się z nią osobiście.

Praca była ciężka, ale dzięki niej zwiedziłem część miasta. Ildithia miała wielu mieszkańców; chociaż duża ich liczba pracowała na polach, na ulicach było tłoczno. Żadnych samochodów, poza tymi zrobionymi z soli na poboczach drogi, a będących pozostałością po pierwotnej transformacji. Najwyraźniej odradzające się co tydzień miasto odtwarzało także takie rzeczy jak te samochody. Oczywiście, żaden z nich nie jeździł. Natomiast było bardzo wielu rowerzystów.

Na sznurach za oknami suszyło się pranie. Na jednej z ulic dzieci bawiły się plastikowymi samochodzikami, mając kolana oblepione solą. Ludzie nosili towary zakupione na rynku, który po kilku przejściach zdołałem zlokalizować na ulicy równoległej do naszej trasy wiodącej ze skraju miasta do odległego o pół godziny drogi magazynu.

Maszerując tam i z powrotem, przenosząc skrzynię za skrzynią, zacząłem wyczuwać, w jaki sposób rosły te budynki. Tuż przy skraju miasta wybrzuszenia tworzyły zręby

fundamentów wyglądających jak zmurszałe, przez wieki smagane wiatrem kamienie. Dalej budynki przybierały właściwy kształt, z wysoko wznoszącymi się ścianami i zarysami cegieł. Wyglądało to niczym proces erozji biegnący w odwrotnym kierunku.

Ten proces nie był doskonały. Czasem mijaliśmy nieregularne sterty soli zalegające jak rakowate narośla na ziemi lub między budynkami. Zapytałem o nie jednego z mężczyzn taszczących skrzynie, a on wzruszył ramionami i powiedział, że co tydzień zdarzają się jakieś nieprawidłowości. Znikną przy następnej przemianie miasta, ale powstaną nowe.

Wszystko to uznałem za fascynujące. Przez długą chwilę stałem przed czymś, co wyglądało na przyszły szereg luksusowych domków z falistym wzorem z czarnoniebieskiej soli. Niemal widziałem, jak te budynki powstają, powoli, jak... pęczniejące drożdże.

Były także drzewa — inaczej jak w Newcago, gdzie nic organicznego nie ulegało przemianie. Rosły tak jak budynki, kunsztownie rzeźbione w soli. Tutaj były to zaledwie kikuty, ale nieco dalej już w pełni rozwinięte drzewa.

— Nie patrz za długo, nowy — powiedziała jakaś kobieta, przechodząc obok i otrzepując rękawiczki. — To teren Inkom.

Była jedną z osób pracujących na polu, zwerbowanych tak jak my do transportowania skrzyń.

— Inkom? — zapytałem, doganiając ją i kiwając głową do przechodzącego obok Abrahama niosącego następną skrzynię.

— To ich dzielnica — wyjaśniła wysoka kobieta. — Zamknięte drzwi. Nie przyjmują nowych członków. Ich domy na tylnym krańcu uległy degradacji. W takich sytuacjach wprowadzają się do tego apartamentowca i czekają, aż ich domy się odtworzą. Kiedy Inkom się wynosi, w ich miejsce zwykle przychodzi Barchin, a z nimi nie chcesz mieć nic wspólnego. Paskudna banda. Przyjmują każdego, ale zabierają połowę racji żywnościowych i dopiero po roku pozwalają ci spać w rynsztoku między budynkami.

— Dzięki za rady — powiedziałem, spoglądając przez ramię na nieforemne budynki. — Przecież macie tu tyle budynków. Wygląda na to, że jest tu mnóstwo wolnego miejsca. A poza tym dlaczego mielibyśmy się przyłączać do kogoś?

— Dla ochrony — odparła kobieta. — Jasne, możecie zamieszkać w jakimś pustym domu. Jest ich tu mnóstwo. Ale bez wsparcia dużej rodziny możecie zostać obrabowani lub gorzej.

— Kiepsko — wymamrotałem, wzdrygnąwszy się. — Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze? Nie ma tu jakiegoś nowego Epika, którego należy się obawiać?

— Limelight? — rzuciła. — Tak, schodziłabym mu z drogi. I każdemu innemu Epikowi, jeszcze szybciej niż zwykle. Przeważnie wszędzie rządzi Limelight, ale jest kilka



wyjątków. Nawałnica. Zawłaszczacz. Szykuje się wojna. Tak czy inaczej, Epicy lubią wieżowce, więc trzymajcie się z daleka od centrum. Teraz śródmieście jest niemal pięć.

— Pięć...?

— Pięć dni, od kiedy wyrosło — wyjaśniła. — Jeszcze dwa dni i wieżowce się rozpadną. Zwykle, kiedy to się dzieje, jest najgorzej. Gdy wyższe budynki w śródmieściu zaczynają się walić, Epicy się denerwują i szukają rozrywki. Jedni idą do centrum, inni kręcą się po mieście. Mniej więcej dzień później ich apartamenty się odradzają, a ich słudzy przenoszą tam wszystkie rzeczy i można się bezpiecznie poruszać. Nie wiem jednak, czy walka o władzę tego wszystkiego nie zmieni.

Dotarliśmy do sterty skrzyń na skraju miasta. Zdjąłem jedną. Nadal miałem na ramionach plecak — nie zamierzałem się z nim rozstać, chociaż zwiększał moje obciążenie. O co jeszcze powinienem zapytać tę kobietę?

— Ty i twoi przyjaciele dobrze pracujecie — zauważyła, również biorąc jedną skrzynię. — Może znalazłoby się dla was miejsce w mojej dzielnicy. Nie mogę powiedzieć na pewno, to zależy od Douga. Jednak jesteśmy uczciwi, bierzemy tylko jedną czwartą racji, wykorzystujemy je do żywienia starych i chorych.

— To brzmi interesująco — odparłem, chociaż wcale tak nie było. Zamierzaliśmy znaleźć sobie własną kryjówkę gdzieś w mieście. — Do kogo mam się zgłosić?

— Do nikogo — odparła. — Musisz po prostu zjawić się tutaj rano i ciężko pracować. Będziemy cię obserwować. Nie próbuj nas szukać, bo to źle się dla ciebie skończy.

Podniosła skrzynię i odeszła. Zarzuciłem sobie swoją skrzynię na ramię, obserwując kobiecinę i zauważając wybrzuszenie pod kurtką na plecach, gdzie najprawdopodobniej znajdowała się broń.

— Niebezpieczne miasto — mruknęła Mizzy, przechodząc obok mnie.

— Taa — burknąłem.

Byłem mały, kiedy to wszystko się zaczęło. Miałem zaledwie osiem lat. Jako sierota przez rok żyłem na ulicy, zanim mnie przygarnięto. Pamiętałem przyciszone rozmowy dorosłych o rozpadzie społeczeństwa prowadzącym do takich okropności jak ludożerstwo i gangi palące wszystko na swej drodze, zaniku więzi rodzinnych i powstaniu świata, w którym każdy będzie żył tylko dla siebie.

To się nie ziściło. Ludzie są ludźmi. Cokolwiek się stanie, tworzą społeczności, próbują przywrócić normalność. Nawet z Epikami większość z nas po prostu chciała spokojnie żyć. Słowa tej kobiety były szorstkie, ale także pełne nadziei. Jeśli będziesz ciężko pracował, znajdziesz dla siebie miejsce w tym świecie, pomimo jego szaleństwa. To było krzepiące.

Uśmiechnąłem się. W następnej chwili uświadomiłem sobie, że na ulicy jest pusto. Przystanąłem, marszcząc brwi. Dzieci znikły. Tak samo jak rowerzyści. Pozaciągano

zasłony w oknach. Odwróciłem się i dostrzegłem kilku innych robotników pospiesznie kryjących się w najbliższych budynkach. Kobieta, z którą rozmawiałem, przemknęła obok mnie, porzuciwszy gdzieś swoją skrzynię.

— Epik — syknęła.

Pobiegła do otwartych drzwi dawnego sklepu i w ślad za dwojgiem innych ludzi schroniła się w środku.

Rzuciłem skrzynię i podążyłem za nimi, odchylając zasłonę w drzwiach i dołączając do niej oraz jakiejś rodziny kulającej się w półmroku. Jeden z mężczyzn, którzy weszli tam przed nami, wyjął broń i posłał nam czujne spojrzenie, ale nie wycelował w nas. Przesłanie było jasne: mogliśmy zostać, dopóki Epik nie przejdzie.

Zasłona w drzwiach lekko falowała. Zapewne mieli tu z drzwiami taki sam problem jak my w Newcago. Trudno używać drzwi zrobionych z twardej soli, więc wybili je i zastąpili kawałkiem materiału. Nie było to nadzwyczajne zabezpieczenie — ale dlatego mieli broń.

Szyba wystawowa sklepu była z cieńszej soli. Wyglądała niemal jak szklana, chociaż była zbyt mętna, żeby dostrzec przez nią cokolwiek. Jednak wpadało przez nią trochę światła i zobaczyłem cień przesuwający się po jej drugiej stronie. Samotna postać, a za nią coś jarzącego się, w kształcie kuli.

Zielona poświata cienia, który rozpoznałem.

Och, nie — pomyślałem.

Musiałem spojrzeć. Nie mogłem się powstrzymać. Pozostali syczeli na mnie, gdy podszedłem do drzwi i z za falującej zasłony zerknąłem na ulicę przed sklepem.

To był Profesor.

## 14

Kiedyś uważałem, że potrafię rozpoznać Epika na pierwszy rzut oka. Fakt, że przez wiele tygodni wśród Mścicieli przebywałem w towarzystwie nie jednego, ale dwóch Epików, dowiódł, że się myliłem.

Jednak Epik opętany przez swoją moc ma pewien charakterystyczny wygląd. Sposób, w jaki się pręży i uśmiecha z pewnością siebie, przyciąga uwagę jak pierdnięcie podczas modlitwy.

Profesor wyglądał niemal tak samo jak wtedy, kiedy widziałem go ostatnio, w czarnym laboratoryjnym kitlu i z rękami jarzącymi się słabą zielonkawą poświatą. Miał strzechę siwych włosów, dziwnie zaskakującą przy tak krzepkiej posturze. Profesor był dobrze zbudowany. Jak kamienny mur albo buldożer. Nigdy nie nazwałbyś go elegantem, ale

z pewnością nie próbowałbyś wejść przed niego do kolejki.

Kroczył tą białą-szarą ulicą, a za nim podążało kuliste pole siłowe z uwięzioną w nim osobą. Długie czarne włosy zasłaniały jej twarz, ale miała na sobie tradycyjną chińską szatę. To była Nawałnica, Epik, która sprowadzała deszcze i powodowała superprzyspieszony wzrost upraw. Kobieta, z którą rozmawiałem wcześniej, powiedziała, że Nawałnica przeciwstawia się władzy Profesora.

Wyglądało na to, że sytuacja się zmieniła. Profesor przystanął przed sklepem, w którym się schroniłem, a potem odwrócił się, spoglądając na okna budynków w głębi ulicy. Schowałem się z mocno bijącym sercem. Zdawał się czegoś szukać.

Na skry! Co robić? Uciekać? Mój karabin był w plecaku, rozłożony na części, ale miałem pistolet za paskiem, pod koszulą. Wartownicy na skraju miasta zostawili mi go, tak jak zapowiedział Abraham. Najwyraźniej nie przejmowali się tym, że ludzie w mieście są uzbrojeni. No cóż, broń nie wyrządzi szkody Profesorowi. Był Epikiem z Elity o dwóch cechach gwarantujących niezwyciężoność. Nie tylko był chroniony przez pole siłowe, ale mógł wydobrzeć z każdej zadanej rany.

Pomimo to wyjąłem broń z za paska. Pozostali obecni w sklepie tulili się do siebie w milczeniu. Gdyby było tu jakieś inne wyjście, zapewne skorzystaliby z niego. Ale pewności nie miałem. Wielu ludzi chowało się przed Epikami, zamiast uciekać. Uważali, że jedyny sposób na przetrwanie to ukryć się i przeczekać.

Ponownie zerknąłem z za zasłony, z mocno bijącym sercem. Profesor nie ruszył się z miejsca, ale odwrócił się plecami do naszego budynku i spoglądał na dom po przeciwnej stronie ulicy. Pospiesznie otarłem pot z czoła, zanim zalał mi oczy, a następnie wyjąłem z kieszeni słuchawki i wetknąłem do uszu.

— Czy ktoś widział Davida? — pytał Cody.

— Minałem go przy ostatnim nawrocie — rzekł Abraham. — Myślę, że powinien być w pobliżu magazynu. Daleko od Profesora.

— Tak, mniej więcej — mruknąłem.

— David! — wykrzyknęła Megan. — Gdzie jesteś? Schowaj się. Profesor idzie ulicą.

— Widzę — powiedziałem. — Zdaje się czegoś szukać. Jakie są wasze pozycje?

— Z mojej mam dobry widok — rzekł Cody. — Około pięćdziesięciu metrów od celu, pierwsze piętro budynku z otwartym oknem. Mam go na celowniku.

— Megan złapała mnie — zameldował Abraham — i zaciągnęła za róg. Jesteśmy ulicą dalej na wschód i obserwujemy obraz, który Cody przesyła na nasze komórki.

— Zostańcie na swoich pozycjach — szepnąłem. — Mizzy?

— Nie miałem od niej wiadomości — odpowiedział Abraham.

— Jestem tu — odezwała się Mizzy, lekko zasapana. — Ludzie, prawie na niego

wpadłam.

— Gdzie jesteś? — zapytałem.

— Uciekam ulicą prostopadłą do naszej. Jestem przy targowisku czy czymś takim.

Wszyscy się chowają, ale jest tu mnóstwo ludzi.

— Zostań na pozycji — szepnąłem — i podłącz się do przekazu Cody'ego. Może nie chodzi mu o nas. Najwyraźniej chce pokazać, że schwytał Nawałnicę i...

— Co? — spytała Mizzy.

Profesor świecił. Bladozielona poświata rozchodziła się wokół niego, gdy obrócił się w kierunku jednego z domów.

— Wyjdiesz stamtąd?! — krzyknął. — Wiem, że tam jesteś! Pokaż się!

Nienawidziłem tego, że głos Profesora brzmiał tak... jak głos Epika. Zawsze był szorstki, lecz teraz brzmiał inaczej. Władczo, rozkazująco, gniewnie. Spoconymi palcami ścisnąłem kolbę pistoletu. Za mną zakwiliło dziecko.

— Odciągnę go — oznajmiłem.

— Co?! — zawołała Megan.

— Nie ma czasu — powiedziałem, wstając. — Jeśli zaczniesz rozwalać wszystko, szukając mnie, zabije mnóstwo ludzi. Muszę przyciągnąć jego uwagę.

— Davidzie, nie — zaprotestowała Megan. — Już do ciebie idę. Tylko...

Profesor wyciągnął ręce przed siebie, w kierunku budynku znajdującego się przed nim — nie tego, w którym byłem, lecz apartamentowca po drugiej stronie ulicy. Siedmiopiętrowa kamienica była w całości zbudowana z różowej i szarej soli.

Profesor sprawił, że znikła.

W Newcago widziałem, jak robił niewiarygodne rzeczy. Stawił czoło całemu oddziałowi sił zbrojnych, niszcząc ich broń, amunicję i pancerze. To jednak było niczym w porównaniu z tym. W mgnieniu oka zniszczył cały budynek.

Moc Profesora unicestwiła nie tylko solną konstrukcję, ale i meble w środku, a ludzi i ich rzeczy strąciła na ziemię. Runęli na ulicę z okropnym łoskotem i okrzykami bólu. Poza jednym, który zawisł w powietrzu, na wysokości około sześciu metrów. Wycelował w Profesora dwa uzi i otworzył ogień.

Oczywiście, wystrzelone kule nie wyrzuciły Profesorowi żadnej krzywdy. Lewitującego strzelca natychmiast otoczyła zielona kula. Upuścił automaty, w panice dotykając ściany swojego więzienia.

Profesor zacisnął pięść. Kula skurczyła się do rozmiarów piłki do koszykówki, miażdżąc zamkniętego w niej Epika.

Ze zgrozą odwróciłem wzrok. To... to właśnie zrobił z Exelem i Val.

— Fałszywy alarm — odezwał się Cody z ulgą w głosie. — Nie szuka nas. Poluje na

Epików nadal wiernych Zawłaszczaczowi.

Profesor wyłączył pole i resztki Epika z obrzydliwym pluskiem opadły na bruk. Z sąsiedniego sklepu ktoś wyszedł na ulicę. Jakiś młodzieniec — zaledwie nastoletni — z luźno zawiązanym krawatem i w kapeluszu. Przez moment stał przed Profesorem, a potem przyklęknął, kłaniając się.

Wokół niego pojawiła się kula światła. Młodzian spojrział na nią z przerażeniem. Profesor wyciągnął rękę, jakby ważąc nowo przybyłego. Potem niedbale machnął dłonią i kula znikła.

— Zapamiętaj to uczucie, mały Epiku — powiedział. — Sądzę, że jesteś tym, którego nazywają Dynamo. Akceptuję twój hołd, chociaż niechętny. Gdzie jest twój pan?

Młodzian przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

— Mój były pan? — zapytał łamiącym się głosem. — To tchórz, milordzie. Ucieka przed tobą.

— Jeszcze dziś był z tobą — rzekł Profesor. — Gdzie się podział?

Młodzian drżącą dłonią wskazał na ulicę.

— Ma kryjówkę ulicę dalej. Zabronił nam tam iść. Pokażę ci.

Profesor skinął głową, a młodzian niepewnie przebiegł obok niego. Profesor założył ręce do tyłu i ruszył za nim, ale po chwili zatrzymał się.

Zaparło mi dech. Co było nie tak?

Profesor zrobił parę kroków w moją stronę, a następnie przyklęknął, spoglądając na skrzynię, którą upuściłem wcześniej. Pękła na jednym boku. Trącił ją nogą i zdawał się namyślać.

— Milordzie? — pytająco rzekł młodzian.

Profesor odwrócił się plecami do skrzyni i ruszył za młodzieńcem, a laboratoryjny kitel falował przy każdym jego kroku. Pole siłowe wiążące Nawałnicę podążało za nim niczym posłuszny szczeniak. Kobieta w środku nie podniosła głowy.

Odprężyłem się, oparłem o ścianę i opuściłem broń.

— Mizzy — szepnąłem do mikrofonu. — Idzie w twoim kierunku.

— Wydaje się, że szuka Zawłaszczacza — powiedziała Megan. — Udało nam się wejść do miasta akurat w chwili, gdy toczy ostateczną walkę z dotychczasowym przywódcą. Cudownie.

— Obserwuję go przez lunetę — odezwał się Cody. — Jednak niewiele będę widział, gdy skręci w sąsiednią ulicę. Chcesz, żebym kontynuował obserwację czy został na tej pozycji?

— Zbliżanie się do niego jest niebezpieczne — zauważył Abraham. — Jeżeli zauważy kogoś z nas...

— Taak — rzekł Cody — ale bardzo chciałbym wiedzieć, co on potrafi, zanim

spróbujemy go pokonać. To, co zrobił z tym budynkiem... w porównaniu z tym tensora wyglądają jak dziecinna zabawka.

— Ładne porównanie — powiedziałem z roztargnieniem. — Musimy poznać wynik jego konfrontacji z Zawłaszczaczem, jeśli do niej dojdzie. Cody, zobacz, czy możesz znaleźć odpowiednią pozycję. Mizzy, naprawdę powinnaś się stamtąd wynieść.

— Próbuję — odparła, sapiąc. — Jestem w pomieszczeniu, w którym stłoczyło się wiele osób i... Uff. Nie wiem, jak szybko zdołam się stąd wydostać...

No cóż, nie wycofamy się, gdy ktoś z nas jest w niebezpieczeństwie.

— Megan, przygotuj się do odwrócenia uwagi. Abraham, zostań z Megan. — Nabrałem tchu. — Ja pójdę za Profesorem.

Nikt się nie sprzeciwiał. Ufali mi. Zarzuciłem plecak na ramię — nie miałem czasu złożyć gottschalka — i stanąłem przy drzwiach, zerkając zza trzepoczącej zasłony. Zanim wyskoczyłem na zewnątrz, spojrzałem na ludzi kryjących się w tym pomieszczeniu.

Wszyscy — mężczyzna ze swoimi dziećmi, kobieta, która rozmawiała ze mną wcześniej — spoglądali na mnie oszołomieni.

— Powiedziałaś, że pójdziesz za tym Epikiem? — zapytał mężczyzna. — Oszalałaś?

— Nie — cicho rzekła kobieta. — Jesteś jednym z nich, prawda? Tych, którzy walczą. Słyszałam, że wszyscy zostaliście zabici w Nowym Jorku.

— Nie mówcie nikomu, że mnie widzieliście — powiedziałem. Zasalutowałem im lufą pistoletu, a potem wymknąłem się na pustą ulicę.

Przystanąłem, żeby trącić skrzynię, przy której zatrzymał się Profesor — tę, którą upuściłem. Była pełna konserwowanej żywności, trudnej do zdobycia i produkowanej w miastach, w których nadal były fabryki: fasola, mięso, napoje gazowane. Pokiwałem głową, po czym ruszyłem za Profesorem.

## 15

— W porządku — powiedziałem, zatrzymując się pod ścianą zaułka i oburącz trzymając przed sobą wycelowany pistolet. — Rozegrajmy to bardzo, ale to bardzo ostrożnie. Naszym głównym celem jest wyciągnięcie stamtąd Mizzy. Zebranie informacji ma drugorzędne znaczenie.

W słuchawkach usłyszałem chór potwierdzeń. Przełączyłem wyświetlacz na obraz przesyłany przez Cody'ego. Nasze komunikatory, których część była skierowana do przodu i opierała się o ucho, mogły pokazywać każdemu z nas to, co widzieli inni.

Szedł ciemnym korytarzem. Przez ścianę po jego prawej sączyła się słaba poświata jak

światło latarki trzymanej w ustach. Dotarł do pomieszczenia, które wciąż miało drzwi z soli, i zdziwiłem się, gdy pokazał, że się otwierają. Wśliznął się do środka i podkradł do okna. Kolbą karabinu rozbił fragment solnej ściany, co okazało się trudniejsze, niż przypuszczałem, a potem wetknął broń w otwór. Kiedy przełączył obraz z komunikatora na ten widziany przez lunetę, otrzymaliśmy widok z wysokości kilku pięter.

Targ łatwo było zlokalizować — dawny wielopoziomowy parking ze ścianami udrapowanymi kolorowymi zasłonami i markizami sterczącymi nad biegnącymi dołem ulicami.

— Taak — mruknęła Mizzy, gdy Cody pokazał nam ten obraz. — Jestem tu. Tłum zepchnął mnie na jeden z dolnych poziomów. Teraz próbuję wydostać się z klatki schodowej. Jednak ukrywa się tu mnóstwo ludzi.

Profesor kierował się prosto na targ i zielona poświata jego pól siłowych rozjaśniała ulicę. Ja przeszedłem za nim równoległą, węższą boczną uliczką, po czym schowałem się za rzadkimi krzakami z różowej soli.

Faktycznie te krzaki dopiero rosły. Wytrzeszczyłem oczy, na moment urzeczony widokiem solnych listków, niczym kryształki obrastających gałązki. Zakładałem, że miasto rośnie tylko na swoim przednim krańcu i przestaje, osiągnąwszy stan, w jakim była dawna Atlanta. Wyglądało na to, że niektóre części śródmieścia wciąż się rozwijały.

— Davidzie? — szepnął ktoś.

Odwróciłem się i zobaczyłem Megan oraz Abrahama podkradających się do mojego stanowiska.

No cóż. Mój przyjaciel i mentor właśnie wpadł w morderczy szal. Chyba powinienem się skupić.

— Megan — powiedziałem. — Przydałaby się mała osłona.

Kiwnęła głową i skoncentrowała się. W mgnieniu oka krzaki przed nami zgęstniały. Wprawdzie była to iluzja, cień przeciągnięty z innego świata, w którym te krzewy były gęstsze, ale złudzenie było doskonałe.

— Dzięki — mruknałem, zdejmując plecak i składając karabin.

Profesor wyszedł na ulicę niedaleko nas. Nastoletni Epik, którego widziałem wcześniej, prowadził go, gestykułując. Pozostawiona u wylotu zaułka bańka z Nawałnicą zawisła w powietrzu.

Ten młody Epik z Profesorem... Dynamo? Nie wiedziałem, jaką dysponuje mocą. W takim mieście jak to były dziesiątki pomniejszych Epików i nie wszystkich pamiętałem.

Dynamo wskazał na ziemię, a potem na targowisko. Profesor skinął głową, ale byłem za daleko, żeby usłyszeć, co powiedzieli.

— Podziemne pomieszczenie — szepnął Abraham. — To na pewno kryjówka, może

pokój połączony tunelem z parkingiem.

— Czy w tym mieście są piwnice? — zdziwilem się.

— Tuż pod powierzchnią — odparł Abraham, stukając nogą w ziemię. — W zależności od terenu Ildithia może tworzyć masę solnej skały w niektórych miejscach, mającej kilkupiętrową wysokość; odtwarza krajobraz oryginalnej Atlanty, wypełniając otwory i tworząc pagórki. Wszędzie indziej jest płytko zagłębiona w ziemi, ale ta jej część jest grubsza. Czy zauważyliście, że do magazynu szliśmy pod górę?

Ja tego nie zauważyłem.

— Mizzy — powiedziałem. — On może iść właśnie tam. Sytuacja?

— Utknęłam — szepnęła. — Klatka schodowa jest zapchana. Ukrył się tu chyba każdy, w dodatku z psami. Poważnie mówię. Są tu cztery psy. Nie mogę dotrzeć do wyjścia.

Profesor nie poszedł za młodym Epikiem w kierunku parkingu. Przeszedł ulicą kawałek dalej i wyciągnął przed siebie ręce.

Ulica znikła. Sól zmieniła się w proszek, a ten rozwiął się w podmuchu, który Profesor wytworzył błyskawicznym pchnięciem dwóch pól siłowych. Resztki soli znikły w płytkim otworze, odsłaniając rząd schodów, po których Profesor zszedł, nawet nie przystanąwszy.

To było zdumiewające. Intensywnie studiowałem Epików i stworzyłem własny system kryteriów. Przyznaję, że miałem na tym punkcie lekką obsesję.

Moc Profesora była unikatowa — on nie tylko niszczył materię, on ją rzeźbił. Było to piękne dzieło zniszczenia i odkryłem, że mu zazdroszczę. Kiedyś miałem taką moc, darowaną. Po śmierci Stalowego Serca Profesor przestał mi jej używać. Zostawił mi jeszcze spiryl dostarczający rozrywki, ale wiedziałem, że już wtedy się od nas oddalał.

Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy uratował mnie przed siłami zbrojnymi — uświadomiłem sobie. To był początek naszych problemów.

To ja popchnąłem go na tę drogę. Wiedziałem, że nie mogę wziąć na siebie całej winy — działania Regalii zmierzające do przeciągnięcia Profesora na drugą stronę zapewne by nastąpiły, nawet gdybym nie dołączył do Mścicieli — ale nie mogłem też wypierać się wszelkiej odpowiedzialności.

— Mizzy — powiedziałem — zostań tam. Być może tam jest najbezpieczniej.

Profesor zszedł do piwnicy, którą odsłonił, ale znajdujący się wysoko nad nami Cody pokazał nam to na wyświetlaczach naszych komórek. Profesor nie zszedł na sam dół, lecz zawrócił i wyszedł na górę, ciągnąc kogoś za kołnierz. Wróciwszy na ulicę, odrzucił tego kogoś na bok. Postać bezwładnie upadła na ziemię, z głową odchylną pod nienaturalnym kątem.

— Zmyłka — warknął Profesor. Jego głos rozszedł się po placu. — Widzę, że Zawłaszczacz jest tchórzem.



— Zmyłka? — powtórzyła Megan, biorąc ode mnie karabin i patrząc przez lunetę na ciało.

— Och — szepnąłem podekscytowany. — Zawłaszczacz wchłonął Powielacza. Zastanawiałem się, czy to zrobi.

— Mów po ludzku, Klęczko — warknęła Megan. — Powielacz?

— Epik, który kiedyś mieszkał w tym mieście. Potrafił się powielać. Ktoś jak Mitoza, ale Powielacz mógł tworzyć tylko kilka swoich kopii naraz. Chyba trzy. Jednak każda z tych kopii miała jego moc. I, no cóż, wiesz że Zawłaszczacz jest...

Tamci dwoje spojrzeli na mnie, nie rozumiejąc.

— Jest zakładaczem. Czy wiecie, co robi?

— Jasne — zgłosił się Cody. — Zakłada nogę na nogę. Nienawidzę tego faceta.

Westchnąłem.

— Niewiele wiecie jak na wyspecjalizowany zespół mający polować na Epików.

— Uaktualnianie listy Epików i ich mocy było zadaniem Tii — przypomniał Abraham. — Teraz jest twoim. No i nie było odprawy.

Po kilku dniach w mieście i ustaleniu, kto tu jest, a kto nie, zamierzałem usiąść z nimi i opowiedzieć o wszystkich Epikach, których powinni się strzec. Zapewne o Zawłaszczaczu powinienem powiedzieć im wcześniej. Za bardzo skupiliśmy się na Profesorze.

— Zakładacz — powiedziałem — to przeciwieństwo obdarowującego. Zawłaszczacz kradnie moc innym Epikom. To jego jedyna umiejętność, ale bardzo potężna. Większość zakładaczy tylko „pożycza” sobie moc, że tak powiem. Zawłaszczacz może na stałe odebrać moc innemu Epikowi, nie jednemu, lecz tylu, ilu zechce jej pozbawić. Ma całą kolekcję. Jeśli Profesor znalazł tu klona, to oznacza, że Zawłaszczacz przejął moc Powielacza, Epika, który potrafi zrobić z siebie przynętę, obdarzając ją swoją świadomością i mocą, a potem uciec do swojego prawdziwego ciała, gdy temu wabikowi coś grozi.

Wziąłem swój karabin od Megan i obejrzałem przynętę. Teraz, gdy została zabita, rozkładała się szybko; skóra spływała z kości jak lody z patyka. Niewątpliwie dzięki temu Profesor zorientował się, że nie schwytał prawdziwego Zawłaszczacza.

— Zawłaszczacz budzi głębokie zaniepokojenie innych Epików — wyjaśniłem. — Nie podoba im się, że ktoś może odebrać im ich moc. Na szczęście dla nich on nie jest nadmiernie ambitny i zawsze zadowalał się pozostawaniem w Ildithii. Coveni liczyli, że on lub jego reputacja powstrzymają innych Epików od wdarcia się na ich teren...

Patrząc na mnie, Megan i Abraham przewracali oczami.

— No co? — zapytałem.

— Wyglądasz, jakbyś właśnie znalazł stary twardy dysk — powiedziała Megan — z piosenkami twojego ulubionego zespołu sprzed ery Calamity.

— To ciekawe sprawy — mruknąłem, spoglądając na Profesora. Wyglądał na bardzo niezadowolonego z tego, co odkrył w tej dziurze. Teraz spoglądał na targ, który — co widziałem nawet z daleka — był zapchany tak, jak mówiła Mizzy.

— Nie podoba mi się wyraz jego twarzy — oznajmił Abraham.

— Ludzie — powiedziała Mizzy — chyba jestem przy zewnętrznej ścianie. Jeśli zmrużę oczy, widzę za nią światło słoneczne. Może zdołacie wyciągnąć mnie tędy.

Abraham spojrział na Megan.

— Możesz utworzyć przejście do innego wymiaru, w którym nie ma tego muru?

Miała sceptyczną minę.

— Nie wiem. Większość tego, co robię, jest ulotna, chyba że świeżo po mojej reinkarnacji. Mogę uwięzić kogoś w innym świecie na jakiś czas, o ile jest bardzo podobny do naszego, albo przeciągnąć ten świat w nasz. Jednak to tylko cienie i czasem wszystko się resetuje, gdy znikają.

Profesor pomaszerował w kierunku targowiska. Pstryknął palcami i Dynamo pospiesznie do niego dołączył. W następnej chwili Profesor przemówił, a jego głos zahuczał wokół, tak głośno, jakby był wzmocniony przez głośniki.

— Zamierzam zniszczyć ten budynek — powiedział, pokazując targ. — I wszystko w jego pobliżu.

No tak — pomyślała część mojego umysłu. Dynamo. Potrafi manipulować dźwiękiem.

Reszta mojego umysłu była przerażona.

— Każdy, kto chce żyć — ciągnął Profesor — musi wyjść tutaj na plac. Kto spróbuje uciec, zginie. Ci, którzy zostaną w środku, umrą. Macie pięć minut.

— Och, do diabła — powiedział przez komunikatory Cody. — Chcecie, żebym do niego strzelił? Odwrócił jego uwagę?

— Nie — odparłem. — Zacząłby cię ścigać i zamienilibyśmy jeden kłopot na drugi.

Popatrzyłem na Megan.

Skinęła głową. Gdyby ona odwróciła uwagę i Profesor zaatakował ją, odrodziłaby się. Na skry. Nienawidziłem myśleć o tej jej zdolności do odradzania się jako rodzaju przydatnej właściwości.

Miejmy nadzieję, że nie będzie to konieczne.

— Abrahamie, wycofaj się i wesprzyj Cody'ego — powiedziałem. — Jeśli coś źle pójdzie, we dwóch zrealizujecie plan znalezienia bezpiecznej kryjówki. Starajcie się, żeby was nie zauważył.

— Przyjąłem — powiedział Abraham. — A wy dwoje?

— Pójdziemy wyciągnąć Mizzy — odparłem. — Megan, możesz wyczarować nam jakieś inne twarze?

— Żaden problem. — Skoncentrowała się i zmieniła w ułamku sekundy. Inny kolor oczu, bardziej owalna twarz, czarne włosy zamiast złocistych. Zakładałem, że ja przeszedłem podobną przemianę. Zrobiłem głęboki wdech i wręczyłem swój karabin Abrahamowi. Chociaż w Ildithii widziałem ludzi noszących broń, ta była zbyt zaawansowana. Zwracałaby uwagę.

— Chodźmy — powiedziałem, wychodząc zza osłony i dołączając do grupy ludzi, którzy posłusznie opuszczali budynki i targ, żeby stanąć przed Profesorem.

## 16

Mizzy była na parkingu po drugiej stronie ulicy, co stanowiło pewien problem.

— Jak blisko musisz do niej podejść, żeby stworzyć jej inną, iluzoryczną twarz? — wyszeptałem do Megan.

— Im bliżej, tym lepiej — odpowiedziała, gdy wchodziliśmy w tłum. — W przeciwnym razie ryzykuję, że obejmę innych ludzi kręgiem fali pomiędzy światami.

Musieliśmy przejść przez ulicę przed Profesorem, nie zwracając na siebie uwagi. Tkwił teraz w silnym uścisku swoich mocy, więc w najwyższym stopniu egoistyczny, zupełnie pozbawiony empatii. Nie miało znaczenia, kim jesteśmy i jak wyglądamy. Zabiłby jak komara każdego, kto wszedłby mu w drogę.

Zgarbiłem się i wbiłem wzrok w ziemię.

Takie zachowanie było moją drugą naturą. Wpoili nam je w Fabryce. Teraz wykorzystywałem je, żeby nie rzucać się w oczy, gdy wyszedłem z tłumy i skierowałem się na wschód, na drugą stronę ulicy, poruszając się zdecydowanie, lecz ostrożnie, zgarbiony i pokorny.

Ukradkiem zerknąłem przez ramię, sprawdzając, czy Megan idzie za mną. Szła, ale wyglądała równie niepozornie jak młotek sterczący z tortu. Najwyraźniej starała się wyglądać niewinnie: szła z rękami w kieszeniach, ale zbyt wyprostowana, zbyt śmiała. Na skry. Profesor na pewno ją zauważy. Wyciągnąłem rękę i ująłem jej dłoń, po czym szepnąłem:

— Musisz wyglądać na przybitą, Megan. Idź tak, jakbyś dźwigała na plecach ołowiany posąg Buddy.

— Bu... jak?

— Coś ciężkiego — podsunąłem. — To sztuczka, której nauczyliśmy się w Fabryce.

Zerknęła na mnie z ukosa, ale zgarbiła się. Tak było lepiej i udało mi się pogłębić ten efekt, przywierając do niej, jakbym się bał i naciskając na tył jej głowy tak, że pochyliła ją

jeszcze bardziej. Idąc tak z nią, udając bardzo zdenerwowanego i pospiesznie schodząc z drogi innym, jeśli podeszli za blisko, przebyliśmy połowę drogi przez ulicę, ale potem napór tłumu okazał się za silny.

— Pokłońcie się! — ryknął Profesor. — Klęknijcie przed waszym nowym panem.

Ludzie posłusznie opadli na klęczki i musiałem pociągnąć Megan za rękę, żeby poszła za ich przykładem. Jeszcze nigdy w trakcie naszej znajomości różnica między nami nie była tak widoczna. Tak, ona miała moc Epika, a ja nie, lecz w tym momencie miało to niewielkie znaczenie w porównaniu z tym, że ona najwyraźniej nie miała pojęcia, jak udawać pokorę.

Byłem silny. Walczyłem i nie akceptowałem rządów Epików. Lecz, na Calamity! Nadal byłem człowiekiem. Gdy Epik wydał rozkaz, wykonywałem go. I chociaż pieńłem się w duchu, gdy któryś kazał mi klęknąć, robiłem to.

Tłum ucichł i więcej ludzi wyszło z parkingu, wypełniając ulicę, klękając. Ze spuszczoną głową niewiele widziałem.

— Mizzy? — syknąłem. — Jesteś już na zewnątrz?

— Z tyłu — szepnęła w komunikatorze. — Przy latarni z niebieskimi wstążkami. Mam uciekać?

— Nie. On tylko na to czeka.

Spojrzałem na Profesora, który dumnie stał przed nami z nowym sługusem u boku i Nawałnicą tkwiącą w kulistym więzieniu. Popatrzył na tłum, a następnie gwałtownie się obrócił, gdy z pobliskiego budynku wyszła jakaś kobieta i zaczęła uciekać.

Profesor nie schwytał ją w kulę pola siłowego. Zamiast tego wyciągnął ręce w bok i cisnął w uciekającą dwie długie włócznie światła, niemal krystalicznie równe. Przeszyły ją i powaliły. Upadła na bruk.

Przełknąłem ślinę i pot wystąpił mi na czoło. Profesor ruszył naprzód i jakaś poświata wytrysnęła spod jego stóp. Bładozielone pole siłowe tworzyło dla niego drogę. Unosił się na nim metr nad nami, tak że idąc, nie ryzykował, iż otrze się o którąś z przygarbionych postaci.

Skuliliśmy się jeszcze bardziej, a ja wyjąłem z ucha słuchawkę w obawie, że może przypomnieć mu Mścicieli, chociaż nie byliśmy jedynymi, którzy ich używali. Megan zrobiła to samo.

— Walka o Ildithię jest zakończona — rzekł Profesor, wciąż wzmocnionym głosem. — Widzicie, że wasz najpotężniejszy Epik, Nawałnica, należy do mnie. Wasz były przywódca kryje się przede mną jak tchórz. Teraz ja jestem waszym bogiem, a przybywając, tworzę nowy ład. Robię to dla waszego dobra. Historia dowodzi, że ludzie nie potrafią zadbać o siebie.

Znalazł się nieprzyjemnie blisko mnie na swej promienistej ścieżce. Nie podnosiłem oczu. Byłem zlany potem. Na skry, słyszałem, jak nabiera tchu przed każdym zdaniem. Mógłbym wyciągnąć rękę i dotknąć jego stóp.

Człowiek, którego kochałem i podziwiałem, którego przez pół życia obserwowałem i starałem się naśladować. Człowiek, który zabiłby mnie bez namysłu, gdyby wiedział, że tu jestem.

— Zadbam o was — powiedział — jeśli tylko mnie nie zdradzicie. Jesteście moimi dziećmi, a ja jestem waszym ojcem.

To wciąż on — pomyślałem. Czyż nie? Choć jego słowa temu przeczyły, przypominały mi Profesora, którego znałem.

— Poznaję cię — szepnął głos przy mnie.

Drgnąłem, obróciłem głowę. Obok mnie klęczał Pożar. Nie płonął tak jak w Foundry; teraz wyglądał jak zwyczajny człowiek, w garniturze i z bardzo wąskim krawatem. Klęczał, ale się nie kulił.

— Nazywasz się David Charleston, prawda? — zapytał.

— Ja... — Zadrzałem. — Tak. Skąd się tu wzięłeś? Jesteśmy w twoim świecie czy w moim?

— Nie wiem — rzekł Pożar. — Wydaje się, że w twoim. Zatem w tym świecie ty wciąż żyjesz. On o tym wie?

— On?

Pożar znikł, zanim zdążył odpowiedzieć, i zobaczyłem, że patrzę na przestraszonego młodzieńca o nastroszonych włosach. Był wyraźnie zaskoczony tym, że coś do niego mówię.

Co to takiego? Zerknąłem na klęczącą obok mnie Megan i szturchnąłem ją. Popatrzyła na mnie.

Co? — spytała bezgłośnie.

Co to było? — zapytałem w ten sam sposób.

*O co ci chodzi?*

Profesor nadal szedł przez tłum po świecącym polu siłowym, które słało się pod jego stopami. Zawrócił i szedł po mojej drugiej stronie.

— Potrzebuję wiernych żołnierzy — oznajmił. — Którzy spośród was chcą mi służyć i panować nad innymi?

Zgłosiły się prawie dwa tuziny oportunistów. Takie bezpośrednie służenie Epikom było niebezpieczne — mogłeś zostać zabity tylko dlatego, że znalazłeś się przy nich — ale także jedynym sposobem, żeby zrobić szybką karierę. Z obrzydzeniem patrzyłem, jak ochoczo niektórzy wstają, chociaż większość tłumy pozostała na klęczkach, zbyt

przestraszona — lub zbyt rozsądna — żeby przyłączyć się do nowego Epika, który jeszcze nie utrwalił swojej dominacji.

Będę musiał poprosić później Megan, żeby powiedziała mi coś więcej o Pożarze. A teraz miałem pewien plan.

Nabrałem tchu, a potem wstałem. Megan zerknęła na mnie, po czym też wstała. Co robimy? — spytała niemo.

W ten sposób wyjdziemy z tłumu — odpowiedziałem tak samo. To jedyny sposób, żeby dotrzeć do Mizzy.

Profesor stał na swoim świecącym chodniku, z rękoma za plecami. Przyglądał się ludziom w tłumie, studiując ich. Odwrócił się, spojrzał prosto na nas, a ja nerwowo przełknąłem ślinę. Może w ten sposób chciał oddzielić tych, których lojalność była zbyt wątpliwa. Może następnym jego posunięciem będzie zabicie tych z nas, którzy wstali.

Nie. Znałem Profesora. Rozumiał, że gdyby zamordował tych ochoczo chcących mu służyć, miałby później kłopot ze znalezieniem innych sług. Był przywódcą, budowniczym. Nawet jako Epik nie odrzuciłby użytecznych narzędzi, jeśli nie uważał ich za zagrożenie.

Prawda?

— Dobrze — rzekł Profesor. — Dobrze. Mam zadanie dla was wszystkich.

Wyciągnął ręce i wydało mi się, że czuję jakieś wibracje. Znajome wrażenie sprzed wielu dni i miesięcy, gdy nosiłem rękawiczki i używałem mocy Profesora.

Odciągnąłem Megan na bok, gdy Profesor wypuścił falę mocy nad głowami tłumu. Powietrze zafalowało i cały parking za nami eksplodował w chmurze solnego pyłu. Ludzie wrzeszczeli i spadali w opadającym pyłe.

— Idźcie — rozkazał Profesor, machnięciem ręki wskazując zniszczony parking. — Zabijcie wszystkich jeszcze żyjących, którzy nie usłuchali mnie i ukryli się jak tchórze.

Nasza ponaddwudziestoosobowa grupa skoczyła wykonać rozkaz. Chociaż upadek już poranił lub zabił tych na dwóch górnych poziomach garażu, byli tam inni, którzy nie runęli z wysoka lub ukryli się w podziemnej jego części.

Profesor odwrócił się i wznowił inspekcję tłumu. To dało mi i Megan okazję, na którą czekaliśmy. Oddaliliśmy się niepostrzeżenie, wykorzystując jako punkt orientacyjny słup, o którym mówiła Mizzy. Była przy nim, kuląc się w bluzie z kapturem — nie miałem pojęcia, skąd ją wzięła — zakrywającym głowę. Zerknęła na nas, a ja pokazałem jej podniesiony kciuk.

Nie wahała się ani chwili. Zerwała się na równe nogi i dołączyła do nas, a Megan w mgnieniu oka zmieniła jej rysy twarzy nie do poznania.

— Megan? — zachęciłem.

— Widzisz tamten mur? — spytała. — Ten przy pochylni prowadzącej do zniszczonego

parkingu? Kiedy do niego dotrzemy, stworzę nasze duplikaty. Gdy się pojawią, padnijcie na ziemię pod murem.

— Rozumiem — powiedziałem, a Mizzy kiwnęła głową.

Dotarliśmy do wskazanego miejsca, solnej rampy, która teraz gwałtownie kończyła się po naszej lewej. Projekcja naszej trójki oddzieliła się od nas i poszła podjazdem w górę. Te duplikaty miały takie same ubrania oraz tak samo zmienione twarze jak my. Troje ludzi z innej rzeczywistości mieszkających w Ildithii. Czasem zastanawiając się nad tym fenomenem, dostawałem bólu głowy. Te twarze, którymi obdarzyła nas Megan... czy to oznaczało, że ich prawdziwi posiadacze robili to samo co my? Czy byli jakimiś wersjami nas, czy zupełnie innymi ludźmi, którzy wiedli życie bardzo podobne do naszego?

Nasza trójka — ta rzeczywista — przypadła do ziemi i znikła za murem, gdy nasze sobowtóry dotarły do skraju podjazdu i zeskoczyły zeń. Mur zasłaniał nas przed oczami Profesora i tłumu, lecz mimo to czułem się odsłonięty, gdy czołgaliśmy się w kierunku bocznej uliczki.

Podmuch wiatru obsypał mnie pyłem, który przywarł do mojej twarzy i miał słony smak. Wciąż nie oswoiłem się z tym, jak suche jest powietrze w tym mieście; drapało mnie w gardle od samego oddychania.

Bez problemów dotarliśmy do bocznej uliczki, a nasze sobowtóry znikły w dołach po zniszczonym parkingu. Otarłem pył z twarzy, a Mizzy skrzywiła się i wystawiła język.

— Fuj.

Megan usiadła na ziemi pod murem. Wyglądała na wykończoną. Ukląknęłam przy niej, a ona złapała mnie za rękę i zamknęła oczy.

— Nic mi nie jest — szepnęła.

Potrzebowała chwili odpoczynku, więc dałem ją jej. Nie przeoczyłem tego, że zaczęła masować sobie skronie, próbując złagodzić ból głowy. Klęknąłem u wylotu uliczki, skąd mogłem obserwować sytuację. Profesor nadal przechadzał się w tłumie i przeszedł obok miejsca, gdzie przedtem chowała się Mizzy. Czasem kazał komuś podnieść głowę i spojrzeć mu w oczy.

Widocznie ma listę z rysopisami Epików — pomyślałem — albo innych malkontentów mieszkających w tym mieście.

Znalazł się tu nie bez powodu. Nie wierzyłem, by Profesor przypadkowo wybrał sobie Ildithię do rządu. Zaczynałem podejrzewać, że wyjaśnieniem zagadki, dlaczego robił to wszystko, były informacje, które zdobył, pozbawiając władzy Regalię.

„Nie zwabiłam tutaj Jonathana, żeby go zabić, dzieciaku — usłyszałem w myślach echo słów Regalii. — Zrobiłam to, ponieważ potrzebuję sukcesora”.

Co takiego skrywała Regalia, że przyciągnęło uwagę Profesora?

Za moimi plecami Mizzy opisywała sytuację Abrahamowi i Cody'emu. Ja skupiałem uwagę na Profesorze. Trochę przypominał Stalowe Serce, który — choć wyższy i bardziej muskularny — często przybierał taką samą dominującą pozę.

Gdzieś na placu zapłakało dziecko.

Oddech uwiązał mi w gardle. Zobaczyłem kobietę tulącą dziecko, niedaleko od miejsca, gdzie stał Profesor. Rozpaczliwie próbowała je uspokoić.

Profesor wyciągnął do niej rękę ze zirytowaną miną. Płacz dziecka wyrwał go z zadumy i wywołał pogardliwy grymas na jego twarzy.

*Nie...*

Szybko uczyłeś się jednego: nie irytuj Epików. Nie przyciągaj ich uwagi. Nie denerwuj ich. Potrafią zabić człowieka z byle powodu.

*Proszę...*

Nie śmiałem oddychać. Przez moment byłem w innym miejscu. Inne płaczące dziecko. Głucha cisza. Patrzyłem na twarz Profesora i nawet z daleka byłem pewny, że coś na niej dostrzegam. Zmaganie.

Obrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając w spokoju kobietę i jej dziecko, warcząc coś do swojego nowego sługusa. Pole siłowe więzące Nawałnicę popłynęło za nim, gdy opuścił zaskoczony tłum.

— Możemy iść? — zapytała Megan, wstając.

Skinąłem głową, oddychając przeciągle, z ulgą.

W Jonathanie Phaedrusicie wciąż pozostało coś ludzkiego.

## 17

— Widziałem go, Megan — rzekłem, rozpinając plecak. — Mówię ci, Pożar był w tym tłumie.

— Nie wątpię w twoje słowa — odparła, opierając się o ścianę z różowej soli w naszej nowej kryjówce.

— Rzecz w tym, że uważam, iż właśnie to robisz.

— Mówiłam ci, że ja go nie przeciągnęłam.

— Zatem kto?

Wzruszyła ramionami.

— Czy jesteś całkowicie pewna, że się nie prześliznął? — spytałem, wyjmując z plecaka kilka zmian odzieży i klękając przy kufrze, który miał być moim jedynym meblem. Wepchnąłem ubrania do środka, a potem popatrzyłem na nią.



— Sporadycznie, gdy przeciągam cię z innego świata, obrzeża się rozmywają — przyznała Megan. — Zwykle zdarza się to tylko zaraz po reinkarnacji, gdy moja moc jest najsilniejsza.

— A kiedy jesteś zestresowana lub zmęczona?

— Dotychczas się nie zdarzało — odparła. — Jednak... no cóż, nie próbowałam jeszcze wielu rzeczy.

Spojrzałem na nią.

— Dlaczego?

— Dlatego.

— Ponieważ? Masz zdumiewającą, zmieniającą rzeczywistość moc, Megan! Dlaczego nie eksperymentujesz?

— Wiesz co, Davidzie? — burknęła. — Czasem bywasz głupi. Masz spis mocy, ale nie masz pojęcia, jak to jest być Epikiem.

— Co masz na myśli?

Westchnęła, po czym usiadła na podłodze obok mnie. Jeszcze nie mieliśmy łóżek ani kanap — nasza nowa kryjówka nie będzie wygodna jak tamta w Babilarze. Jednak była tak bezpieczna, jak to tylko możliwe. Zbudowaliśmy ją sami w ciągu kilku ostatnich dni, upodabniając ją do jednego z tych dużych „rakowatych” solnych pagórków, które wyrastały w Ildithii.

Dałem Megan trochę czasu do namysłu, nie chcąc jej naciskać w sprawie Pożaru. Po intensywnym korzystaniu ze swych zdolności przez kilka dni udzielała wymijających odpowiedzi, jakby od samego myślenia o mocy bolała ją głowa.

— Większość Epików nie jest taka jak Stalowe Serce czy Regalia — wyjaśniła Megan. — Przeważnie są pospolitymi chuliganami, osobami posiadającymi tyle mocy, że są niebezpieczne i ulegają jej ciemnej stronie w takim stopniu, że nie dbają o to, kogo krzywdzą. Nie lubią mnie. No cóż, Epicy nie lubią nikogo, ale mnie szczególnie. Moja moc ich przeraża. Inne rzeczywistości? Inne wersje ich samych? Nienawidzili tego, że nie mogli określić granic moich możliwości, ale jednocześnie moja moc nie była w stanie mnie ochronić. Nie w aktywny sposób. Tak więc...

— Tak? — zachęciłem, przysuwając się i obejmując ją.

— Tak więc zabili mnie — powiedziała, wzruszając ramionami. — Poradziłam sobie z tym, nauczyłam się subtelniej używać swojej mocy. Dopóki Stalowe Serce mnie nie przygarnął, nie miałam poczucia bezpieczeństwa. On zawsze widział obietnicę, a nie zagrożenie w tym, co robiłam. W każdym razie jest tak, jak ci mówiłam. Wykorzystałam wiedzę o broni, którą ojciec przekazał mi i moim siostrze, i stałam się ekspertem. Nauczyłam się używać broni, żeby ukryć fakt, że moja moc nie może nikomu wyrządzić

krzywdy. Ukrywałam to, co naprawdę potrafię, i zostałam szpiegiem Stalowego Serca. Jednak nie, nie eksperymentowałam. Nie chciałam, żeby ludzie wiedzieli, co potrafię, nie chciałam, żeby nawet on znał moje możliwości. Życie nauczyło mnie, że jeśli ludzie za dużo o mnie wiedzą, zostają zabici.

— I przechodzisz reinkarnację — powiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to krzepiąco.

— Tak. Tylko że powracam nie ja, ale moja kopia z innego wymiaru. Podobna, ale jednak różna. Davidzie, a jeśli osoba, w której się zakochałeś, naprawdę zginęła w Newcago? Jeśli jestem tylko jej sobowtórem?

Przytuliłem ją, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Wciąż się zastanawiam — szepnęła. — Czy następny raz będzie ostatnim? Tym, po którym wrócę wyraźnie inna? Czy odrodzę się z innym kolorem włosów? Albo z innym akcentem czy nagłą odrazą do takiego lub innego pożywienia? Czy wtedy zrozumiesz, raz na zawsze, że ta, którą kochałeś, nie żyje?

— Ty — powiedziałem, unosząc palcem jej brodę, żeby spojrzeć jej w oczy — jesteś wschodem słońca.

Przechyliła głowę.

— Wschodem... słońca?

— Yhm.

— Nie ziemniakiem?

— Nie w tym momencie.

— Nie hipopotamem?

— Nie, i... zaczekaj, kiedy nazwałem cię hipopotamem?

— W zeszłym tygodniu. Byłeś senny.

Na skry. Nie pamiętałem tego.

— Nie — odrzekłem stanowczo. — Jesteś wschodem słońca. Spędziłem dziesięć lat bez wschodów słońca, ale zawsze pamiętałem, jak one wyglądają. Zanim straciliśmy dom i ojciec miał jeszcze pracę, jego przyjaciel pozwalał nam rano wychodzić na platformę obserwacyjną wieżowca. Rozpościerał się z niej oszałamiający widok na miasto i jezioro. Patrzyliśmy, jak wstaje słońce.

Uśmiechnąłem się. To było dobre wspomnienie, jak jedliśmy z ojcem bajgle i cieszyliśmy się porannym chłodem. Zawsze rzucał ten sam żarcik. Wczoraj, synu, chciałem zobaczyć, jak wstaje słońce. Jednak nie wstałem w porę...

Czasem miał dla mnie tylko trochę czasu wcześniej rano, ale zawsze go znajdował. Wstawał godzinę wcześniej przed wyjściem do pracy, pomimo że poprzedniego dnia pracował do późnej nocy. Wszystko dla mnie.

— No i jak, usłyszę to cudowne porównanie? — zapytała Megan. — Dygoczę z podniecenia.

— No cóż, zobaczymy — powiedziałem. — Oglądałem wschód słońca i pragnąłem uwiecznić tę chwilę. Nigdy tego nie zrobiłem. Zdjęcia go nie oddają. Wschody słońca nigdy nie wyglądają tak efektownie jak na filmie. I w końcu zrozumiałem, że urokiem wschodu słońca nie jest dana chwila, tylko samo to zdarzenie. Nie możesz uchwycić wschodu słońca, ponieważ nieustannie się zmienia. Słońce przesuwa się w mgnieniu oka, chmury płyną. To nieustanna zmiana. Nie jesteśmy chwilami, Megan, ty i ja. Jesteśmy zdarzeniami. Mówisz, że możesz nie być tą samą osobą, którą byłaś rok temu? Cóż, a kto jest? Ja na pewno nie. Zmieniamy się, jak płynące chmury i wschodzące słońce. Komórki mego ciała obumarły i powstały nowe. Mój umysł się zmienił i zabijając Epików, nie czuję dreszczyku emocji, jaki czułem kiedyś. Nie jestem tym samym Davidem. A jednocześnie jestem.

Napotkałem jej spojrzenie i wzruszyłem ramionami.

— Cieszę się, że nie jesteś tą samą Megan. Nie chcę, żebyś była tą samą Megan. Moja Megan jest wschodem słońca, zawsze innym, ale przez cały czas pięknym.

Łzy stanęły jej w oczach.

— To... — Westchnęła. — Czy nie powinieneś być w tym kiepski?

— No, wiesz, co mówią — powiedziałem z uśmiechem. — Nawet zegar, który nie chodzi, dwa razy na dobę pokazuje prawidłowy czas.

— Właściwie... Wiesz co? Nieważne. Dziękuję.

Pocałowała mnie.

Jakiś czas później wytoczyłem się z mojej kwatery, przygładziłem dłonią rozczochrane włosy i poszedłem po coś do picia. Cody był na drugim końcu korytarza, kończył sklepienie kryjówki tym namnażającym kryształy urządzeniem, które dał nam Knighthawk. Wyglądało jak kielnia, którą wygląda się cement lub tynk. Kiedy przeciągnąłeś nią po solnej płycie, jej kryształowa struktura rozbudowywała się i tworzyła nową warstwę. Rękawicą dołączoną do urządzenia można było przez krótki czas formować ten nowy fragment soli, dopóki nie stwardniała i nie zestaliła się.

Nazwaliśmy to urządzenie Herman. No, ja je tak nazwałem, a nikt nie wymyślił lepszej nazwy. Wykorzystaliśmy je, żeby przez dwie noce utworzyć cały ten budynek, zaczynając od dużej bryły soli, która już wyrosła w tym zaułku. Znajdował się na północnym krańcu, gdzie miasto wciąż rosło, więc niedokończony budynek nie rzucał się w oczy.

Niemal ukończona kryjówka była wysoka i wąska, miała trzy kondygnacje. W niektórych miejscach mogłem dotknąć ścian, wyciągnąwszy ręce w bok. Postaraliśmy się, żeby z zewnątrz wyglądała jak bryła soli podobna do innych w tej części miasta.

Zdecydowaliśmy, że wolimy mieć bezpieczne schronienie, które sami zbudujemy, niż wprowadzić się do któregoś z istniejących domów.

Po stromych schodach z różowego kryształu zszedłem na dół, do kuchni — a przynajmniej miejsca, gdzie postawiliśmy podgrzewacz i dzbanek z wodą oraz kilka urządzeń zasilanych ogniwami jednego z dżipów.

— Skończyłeś się rozpakowywać? — zapytała mnie Mizzy, przechodząc obok z dzbankiem kawy.

Przystanąłem na najniższym stopniu.

— Hm... — Właściwie nie skończyłem.

— Byłeś zbyt zajęty baraszkowaniem, co? Chyba zdajesz sobie sprawę, że bez drzwi prawie wszystko słyszymy.

— Hmm...

— Chciałabym, żeby członków zespołu obowiązywał zakaz nawiązywania bliższych kontaktów i w ogóle, ale Profesor nigdy by go nie wprowadził, zważywszy na jego relacje z Tią.

— Relacje?

— To słowo, którego zapewne nie powinieneś powtarzać — odparła, podając mi kubek z kawą. — Abraham chciał się z tobą widzieć.

Odstawiłem kawę i wziąłem kubek wody. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego ludzie piją to świństwo. Smakuje jak zagotowane z błoto.

— Masz jeszcze moją starą komórkę? — zapytałem Mizzy, gdy wchodziła po schodach. — Tę, którą zepsuł Znikający?

— Yhm, chociaż jest zupełnie rozbita. Zachowałam ją na części.

— Znajdź mi ją, dobrze?

Skinęła głową. Zszedłem na parter, gdzie zgromadziliśmy większość naszych zapasów. Abraham klęczał tam w jednym z dwóch pomieszczeń oświetlonym tylko światłem jego komórki — górne dwa piętra miały zamaskowane świetliki i okna, ale niewiele światła docierało na sam dół. Zrobiliśmy mu tutaj stół warsztatowy z soli, przy którym czyścił i sprawdzał naszą broń.

Większość z nas chętnie robiła to osobiście, ale... cóż, świadomość tego, że Abraham zaaprobował twoją broń, była dziwnie krzepiąca. Ponadto mój gottschalk nie był zwykłym sztucercem myśliwskim. Z jego elektronowo skompresowanymi magazynkami, zawansowaną lunetą i elektroniką współpracującą z moją komórką byłem w stanie wykonać tylko podstawowy przegląd. To była taka sama różnica jak między nakładaniem keczupu na hot doga a dekorowaniem tortu. Lepiej zostawić to ekspertowi.

Abraham skinął mi głową, a potem wskazał na swój jeszcze nie całkiem rozpakowany

plecak leżący w pobliżu na podłodze.

— Z ostatniej wycieczki do dziupów przyniosłem ci coś.

Zaciekawiony, podszedłem i pogrzebałem w plecaku. Wyciągnąłem czaszkę.

Cała była zrobiona ze stali i blask wyświetlacza komórki odbijał się w jej upiornych, gładkich rysach. Brakowało zuchwy. Została oderwana wybuchem, który zabił tego człowieka nazywającego siebie Stalowym Sercem.

Spoglądałem w puste oczodoły. Czy gdybym wówczas wiedział, że jest szansa odkupienia dla Epików, czy nadal konsekwentnie realizowałbym plan zabicia go? Nawet teraz, trzymając jego czaszkę, myślałem o ojcu — tak pełnym nadziei, tak przekonanym, że Epicy okażą się zbawcami świata, a nie jego niszczycielami. Stalowe Serce, mordując mojego ojca, całkowicie przekreślił tę nadzieję.

— Och, zapomniałem o niej — powiedział Abraham. — Wrzuciłem ją w ostatniej chwili, bo zostało mi trochę miejsca.

Zmarszczyłem brwi, po czym postawiłem czaszkę na półce z soli. Poszperałem głębiej w plecaku i znalazłem ciężkie metalowe pudełko.

— Na skry, Abrahamie. Przytaszczyłeś to?

— Niezupełnie — odparł, wciskając na miejsce osłonę spustu mojego karabinu. — Grawatoniki w dnie plecaka.

Z pomrukiem wyjąłem pudełko. Wydawało mi się, że je poznaję.

— Imager.

— Pomyślałem, że chciałbyś go mieć — powiedział Abraham. — Przy układaniu planu, tak jak to robiliśmy dawniej.

Profesor często zwoływał odprawę całego zespołu i używał tego urządzenia jako projektora, rzucając na ściany schematy i obrazy.

Ja nie byłem tak dobrze zorganizowany. Pomimo to włączyłem imager, zasilając go z ogniwa używanego przez Abrahama. W pomieszczeniu zrobiło się jaśniej. Imager nie był skalibrowany na tę lokalizację, więc niektóre obrazy były niewyraźne i zniekształcone.

Pokazywał notatki Profesora. Linijki ręcznie pisanego tekstu, jakby kreślone kredą na czarnym tle. Podszedłem do ściany i dotknąłem liter. Rozmazały się, jakby były prawdziwe, a moja dłoń nie rzucała cienia na ścianę. Ten imager nie był zwykłym projektorem.

Przeczytałem kilka notatek, ale niewiele było w nich użytecznych informacji. Pochodziły z okresu, kiedy walczyliśmy ze Stalowym Sercem. Uderzyło mnie tylko jedno zdanie: „Czy to słuszne?”. Trzy słowa, oddzielone od innych. Reszta kartki była gęsto zapisana i słowa walczyły ze sobą o miejsce, jak zbyt liczne stado ryb w małym zbiorniku wodnym. Te trzy wyróżniały się.

Ponownie spojrziałem na czaszkę Stalowego Serca. Urządzenie uznało ją za część pomieszczenia i rzucało słowa na jej powierzchnię.

— Jaki jest plan? — zapytał Abraham. — Zakładam, że coś ci się kluje?

— Kilka rzeczy — odparłem. — Trochę chaotycznych.

— Niczego innego się nie spodziewałem. — Abraham z nikłym uśmiechem zamocował kolbę gottschalka. — Mam zebrać pozostałych w jednym z pokoi, żebyśmy mogli to omówić?

— Jasne. Zbierz ich, ale nie w pokoju.

Spojrzał na mnie pytająco.

Przyklęknałem i wyłączyłem imager.

— Może użyjemy go innym razem. Teraz wolę się przejść.

## 18

Mizzy rzuciła mi zepsutą komórkę, gdy dołączyliśmy do pozostałych na ulicy przed naszą kryjówką. Aby jej nie zdekonspirować, wymknęliśmy się przez ukryte drzwi do niemal zupełnie opuszczonego budynku obok. Nie zajmowała go żadna z rodzin, tylko samotnicy nienależący do żadnej z nich. Liczyliśmy, że z tego powodu nie będą zwracali uwagi na obcych, takich jak my.

— Zabezpieczenie włączone? — zapytałem Mizzy.

— Yhm. Będziemy wiedzieli, jeśli ktoś spróbuje tam wejść.

— Abrahamie?

Pokazał swój plecak, zawierający nasze tablety, zapasowe ogniwa i dwa wykorzystujące moc Epików urządzenia, które dał nam Knighthawk. Gdyby ktoś splądrował naszą kryjówkę, zdobyłby tylko trochę broni, którą można było zastąpić.

— Zebraliście się w pięć minut — rzekł Cody. — Nieźle.

Abraham wzruszył ramionami, ale wyglądał na zadowolonego. Ta kryjówka była o wiele mniej bezpieczna niż inne, z których korzystaliśmy. To oznaczało konieczność stałego jej pilnowania przez co najmniej dwoje z nas albo wypracowania procedury rutynowego jej opuszczania przy wyruszaniu na akcję. To drugie bardziej mi odpowiadało. W ten sposób mogliśmy działać w mieście większą grupą. Mimo wszystko poleciłem Mizzy zamontować kilka czujników, które miały wysłać ostrzeżenie na nasze komórki, gdyby ktoś otworzył drzwi w czasie naszej nieobecności.

Zarzuciłem karabin na ramię — Abraham porysował go i zamalował kilka części, tak że broń wyglądała na bardziej zniszczoną, a jednocześnie mniej zaawansowaną. Dzięki temu

nie powinienem rzucać się w oczy. Każdy z nas miał nową twarz otrzymaną od Megan. Było wczesne popołudnie i zdziwiło mnie, jak wielu ludzi wyszło na ulice. Jedni wieszali pranie, inni wracali z targu lub nań szli. Niektórzy nieśli worki z dobytkiem, wysiedleni z rozpadającej się części miasta i szukający nowego mieszkania. Ta migracja wydawała się czymś stałym w Ildithii. Nieustannie ktoś się przeprowadzał.

Nie widziałem samotnych osób — dzieciaki grające w piłkę na pustej parceli były pilnowane przez czwórkę starców i kobiet. Zmierzający na targ szli parami lub w grupach. Ludzie zbierali się na schodach domów i wielu z nich miało karabiny pod ręką, chociaż śmiali się i żartowali.

Był to dziwny rodzaj pokoju. Atmosfera sugerowała, że dopóki wszyscy pilnują własnych spraw, będzie dobrze. Z niepokojem zauważyłem, że wiele tych grup najwyraźniej dobrało się według przynależności etnicznej. Nasza etnicznie mieszana grupa była wyjątkiem.

— A zatem, chłopcze — rzekł Cody, idąc obok mnie z rękami w kieszeniach swoich maskujących spodni. — Dlaczego znów wyszliśmy na ulicę? Chciałem zdrzemnąć się po południu.

— Nie podobał mi się pomysł zamykania się w kryjówce — odpowiedziałem. — Jesteśmy tutaj, żeby ocalić to miasto. Nie chcę siedzieć w jakiejś klitce i snuć plany z daleka od ludzi.

— W takich klitkach jest bezpiecznie — wtrąciła Megan idąca za nami z Abrahamem. Mizzy szła po mojej prawej, nucąc coś pod nosem.

Wzruszyłem ramionami. Mogliśmy tu rozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha. Ludzie na ulicy byli zajęci swoimi sprawami i schodzili innym z drogi. Mniejsze grupki budziły nawet większy respekt — na widok samotnego przechodnia wszyscy starali się przejść na drugą stronę ulicy. Ktoś taki mógł być Epikiem.

— Właśnie w taki sposób — powiedziałem — funkcjonuje teraz społeczeństwo. Każda grupa ma swoje terytorium, którego jest gotowa bronić siłą. To nie miasto, ale tysiąc społeczności gotowych walczyć ze sobą. To najlepsze, co ma do zaoferowania ten świat. Zmienimy to, raz na zawsze. Zaczynając od Profesora. Jak go ocalimy?

— Zmuszając go do stawienia czoła swojej słabości — odparła Mizzy. — Jakoś.

— Najpierw musimy go znaleźć — zauważyła Megan.

— Mam już plan, jak to zrobić — oznajmiłem.

— Nie, naprawdę? — spytała Megan, doganiając nas i zrównując się z Codym. — Jak?

Podniosłem rękę, w której trzymałem zepsuty telefon i pomachałem nim.

— Ludzie — rzekł Cody — wygląda na to, że chłopak w końcu się załamał i zupełnie ześwirował. Biorę za to pełną odpowiedzialność.

Wyjąłem działającą komórkę i napisałem SMS-a do Knighthawka. *Hej. Mam tu komórkę z zepsutym wyświetlaczem. Jednak bateria działa. Możesz ją namierzyć?*

Nie odpowiedział od razu.

— Założmy, że zdołam odkryć słaby punkt Profesora — powiedziałem. — Jak to wykorzystamy?

— Trudno powiedzieć — odparł Abraham. Uważnie obserwował wszystkich na ulicy, po której szliśmy. — Charakter słabości często definiuje rodzaj planu. Opracowanie właściwego podejścia może potrwać miesiące.

— Bardzo wątpię, żebyśmy mieli tyle czasu — zauważyłem.

— Zgadza się z tym — rzekł Abraham. — Profesor ma swoje plany i jest tu już od tygodni. Nie wiemy, dlaczego przybył tutaj, ale na pewno nie chcemy czekać, aż je ujawni. Musimy szybko go powstrzymać.

— Ponadto — dodałem — im dłużej czekamy, tym bardziej ryzykujemy, że Profesor nas zauważy.

— Myślę, że stawiasz sprawę na głowie, chłopcze — z powątpiewaniem rzekł Cody. — Nie możemy nic zaplanować, nie znając jego słabego punktu.

— Chociaż może... — zaczął Abraham.

Spojrzałem na niego.

— Mamy coś w rodzaju karty atutowej — rzekł, ruchem głowy pokazując Megan. — Mamy w zespole kogoś, kto potrafi nadać wszystkiemu pozory rzeczywistości. Może powinniśmy zastawić pułapkę, zakładając, że Megan może stworzyć to, czego on się boi.

— To śmiałe założenie — zauważyła Mizzy. — A jeśli on się boi... sama nie wiem, czegoś urojonego?

— Zapewne i to mogę stworzyć — powiedziała Megan.

— W porządku, dobrze. A jeśli boi się strachu? Albo pomyłki? Albo czegoś równie abstrakcyjnego? Czyż takie rzeczy nie są powodem wielu słabości?

Mizzy miała rację. Wszyscy zamilkliśmy. Minęliśmy dawny bar szybkiej obsługi zrobiony z niebieskiej soli o pięknym błękitnym odcieniu. Idąc, widzieliśmy coraz więcej tego koloru. Nie prowadziłem ich w jakieś konkretne miejsce; później będziemy musieli zebrać trochę informacji, co jest rutynową procedurą Mścicieli po założeniu bazy. Na razie chciałem się przejść, pokręcić po okolicy. Spacerować, rozmawiać, myśleć.

Moja komórka zabrzęczała.

*Przepraszam* — napisał Knighthawk. — *Sprowadzałem misia koala. Co pisałeś o drugiej komórce?*

*Mówiłeś, że możesz lokalizować komórki* — odpisałem. — *Cóż, mam tu jedną zepsutą. Możesz ją namierzyć?*



*Zostaw ją gdzieś, a potem oddał się. Sygnały obu są zbyt zbliżone.*

Zrobiłem to, co kazał, kładąc komórkę na kubie na śmieci i odchodząc kawałek wraz z pozostałymi.

*Tak, ta działa na tyle, że wysłała sygnał — napisał mi. — Po co ci to?*

*Niedługo ci wyjaśnię* — odpisałem, truchtem wracając do zepsutego telefonu. Następnie skręciłem z zespołem w lewo i poszliśmy nieco szerszą ulicą. Niektóre szyldy z soli nad naszymi głowami już spadły i rozsypały się, chociaż znajdowaliśmy się w tej części miasta, która dopiero co powstała.

— W porządku — powiedziałem, nabrawszy tchu. — Nie możemy szczegółowo zaplanować walki z Profesorem, dopóki nie znamy jego słabego punktu, ale możemy omówić niektóre punkty. Na przykład musimy wymyślić, jak skłonić go, żeby stawił czoło swojej słabości, a nie uciekł przed nią.

— W moim wypadku — odezwała się Megan z rękami w kieszeniach kurtki — musiałam wejść do płonącego budynku, żeby cię uratować, Davidzie. To oznaczało, że musiałam trzeźwo myśleć, zapominając o mocy na dostatecznie długą chwilę, żeby chcieć cię uratować.

— To dość wątki punkt zaczepienia — rzekła Mizzy. — Nie chcę marudzić, ale ludzie, nie uważacie, że za bardzo opieramy się na tym, co przydarzyło się jednej osobie?

Milczałem. Nie rozmawiałem o tym z nikim poza Megan, ale coś podobnego przydarzyło się i mnie. Zostałem... obdarzony mocą przez Regalię. Miało to coś wspólnego z Calamity, a jej relacje z nią pozwoliły jej założyć, że stanę się Epikiem.

Ta moc nigdy się nie objawiła. Tuż przed tym stawiłem czoło głębinom, próbując się wyrwać i uratować Megan oraz zespół. To było powiązanie. Stawić czoło swoim obawom. Oraz... co? Dla Megan to oznaczało pewien rodzaj kontroli nad ciemnością. Dla mnie wykluczało objawienie się tej mocy.

— Powinniśmy mieć więcej danych — przyznałem. — Cody, nadal chcę porozmawiać z Edmundem.

— Myślisz, że on przeszedł przez to samo?

— Warto zapytać.

— Ukryliśmy go w kryjówce na przedmieściach Newcago. W miejscu, które znaleźliśmy, gdy ty i Profesor odeszliście. Skontaktuję się z nim.

Kiwnąłem głową i w milczeniu poszliśmy dalej. Jeśli nawet ta rozmowa nie dała nic innego, pomogła mi wytyczyć cele naszego pobytu w Ildithii. Pierwszy krok, odkryć słaby punkt Profesora. Drugi krok, wykorzystać to do zanegowania jego mocy przez dostatecznie długi czas, żeby odzyskał rozsądek. Trzeci krok, znaleźć sposób, żeby zmusić go do stawienia czoła i przezwyciężenia tej słabości.

Skręciliśmy w kolejną uliczkę i zatrzymaliśmy się. Zamierzałem przeprowadzić nas na skraj miasta, ale ulica przed nami była zablokowana. Przesuwanie co tydzień tej barykady z żelaznych łańcuchów i słupków z pewnością wymagało sporo trudu, ale sądząc po liczbie mężczyzn na dachu stojącego dalej budynku — uzbrojonych w groźnie wyglądające karabiny — w tej grupie miał kto to robić.

Jak jeden mąż bez słowa skręciliśmy w boczną uliczkę.

— Forteca Epika — domyślił się Cody. — Któregoś z podporządkowanych przez Profesora czy Neutralnego?

— To zapewne siedziba Luki — w zadumie rzekł Abraham. — Ona zawsze była jednym z najpotężniejszych Epików w mieście.

— Miała zdolność manipulowania rozmiarami, tak? — spytałem.

Abraham skinął głową.

— Nie wiem, po której stronie się opowiedziała, Profesora czy Zawłaszczacza.

— Sprawdzę to — obiecałem. To jednak rodziło inny problem. — Może będziemy potrzebowali planu, jak poradzić sobie z Zawłaszczaczem. Nie chcę, żebyśmy się skupili wyłącznie na Profesorze, ignorując walki o władzę w Ildithii.

— No cóż — powiedziała Mizzy — gdybyśmy tylko mogli znaleźć kogoś mającego nieprzebrane zasoby wiedzy o Epikach i niepotrafiącego zatrzymać tej wiedzy dla siebie, kogoś, kto mówiłby o nich cały czas.

— No, ze względu na moje relacje z nimi...

— Co ci mówiłam o tym słowie, Davidzie?

Uśmiechnąłem się.

— Zawłaszczacz. Wszystko wskazuje na to, że kiedy pojawiła się Calamity, był nastolatkiem, a może nawet dzieckiem. Jeden z najmłodszych Epików w Elicie, zapewne jest teraz dopiero po dwudziestce. Wysoki, ciemnowłosa i jasnoskóry; po powrocie do kryjówki wyślę wam na komórki jego zdjęcie. Mam w moich danych kilka dobrych ujęć. Kradnie moce i zatrzymuje je. Wystarczy mu dotknąć kogoś, żeby odebrać mu moc. Jednym z powodów tego, że jest tak niebezpieczny, jest niemożność określenia jego możliwości, ponieważ zapewne nigdy nie ujawnił ich w pełni. Podstawowy zestaw obejmuje wyczuwanie zagrożeń, odporną na uszkodzenie skórę, zdolność regeneracji, a obecnie możliwość tworzenia sobowtórów obdarzanych jego świadomością i mocą.

Cody gwizdnął cicho i przeciągle.

— To... imponująca lista.

— Może także latać, zamieniać przedmioty w sól, manipulować temperaturą, poruszać przedmioty siłą woli i usypiać ludzi jednym dotknięciem — dodałem. — Wszystko wskazuje także, że jest niewiarygodnie leniwy. Mógłby być najniebezpieczniejszym

z Epików, ale najwyraźniej nie ma na to ochoty. Siedzi tutaj, władza Ildithią i nie niepokoii innych, chyba że musi.

— A jego słabość? — zapytała Megan.

— Nie mam pojęcia — odparłem, gdy dotarliśmy na skraj miasta. — Wszystko, co o nim wiem, ogranicza się do kilku powszechnie akceptowanych, ale zbyt ogólnikowych raportów. Jest leniwy, co zapewne możemy wykorzystać. Ponadto jest znany z tego, że nie kwapi się kraść moce służącym mu Epikom. Woli pozostawiać je im, gdyż wtedy mogą wykonywać za niego najcięższą robotę. Mówi się, że od lat nie przejął żadnych nowych zdolności i dlatego zdziwiłem się, słysząc, że wchłonął moc Powielacza.

— Wolałbym jednak poznać jego słabą stronę — mruknął Abraham.

— Masz rację — powiedziałem. — Powinniśmy zebrać trochę informacji. Dzisiaj, jeśli to możliwe. Wolałbym nie walczyć z Zawłaszczaczem, jeśli możemy tego uniknąć, ale na wszelki wypadek chciałbym mieć jakiś plan.

Szliśmy dalej, mijając wybrzuszenia jeszcze rosnących budynków. Trochę przypominały zęby. Olbrzymie, bryłowate zęby. Na polach za nimi pracowali ludzie. Konflikty między Epikami w mieście nie zakłóciły rytmu pracy robotników: zbierać plony i oddawać je temu, kto będzie rządził. Byle nie głodować.

Pozostali spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, gdy zatrzymałem się tam i wyjąłem komórkę.

*Jesteś pewny, że to będzie dzisiaj?* — wystukałem.

*Dostawa?* — odpisał Knighthawk. — *Na to wskazuje lokalizacja komórek. Nie wiem, czy to prawda.*

Jednak niebawem nadjechała kawalkada ciężarówek wyładowanych towarami zakupionymi od sieci UTC. Nie wiedziałem, czy sama Warunek będzie to nadzorować i postanowiłem tego nie sprawdzać. Zauważyłem tego samego nadzorcę, którego widzieliśmy kilka dni temu, wchodząc do miasta.

— W porządku — powiedziałem do mojego zespołu. — Sądzę, że to równie dobre miejsce jak każde, żeby zdobyć trochę informacji. Potrzebujemy danych o Zawłaszczaczu, jeśli mamy odgadnąć, jaki jest jego słaby punkt. Róbcie to, co robicie najlepiej.

— Mamy zmyślać? — zapytał Cody, pocierając brodę.

— Zatem przyznajesz się do tego! — powiedziała Mizzy, pokazując go palcem.

— Pewnie, że się przyznaję, mała. Mam siedem doktoratów. Spędzając tyle czasu nad książkami, człowiek dobrze poznaje siebie. — Zawahał się. — Oczywiście, wszystkie siedem zrobiłem ze szkockiej literatury i kultury, chociaż na różnych uczelniach. No wiesz, naukowe podejście wymaga należytej dokładności.

Pokręciłem głową, podchodząc do nadzorcy. Mieliśmy teraz inne twarze, ale facet nie

zwracał na to uwagi. Tak jak poprzednio natychmiast zatrudnił nas do noszenia skrzyń z dostawą UTC. Mój zespół rozproszył się, zagadując innych robotników, słuchając plotek. Zostałem przydzielony do rozładowywania skrzyń z jednej z ciężarówek.

— To dobre miejsce do zbierania informacji — cicho powiedział mi Abraham, podchodząc po skrzynię. — Jednak podejrzewam, że masz jeszcze jakiś inny ukryty powód, Davidzie. Co zamierzasz?

Uśmiechnąłem się, wyjąłem z kieszeni uszkodzony telefon i owinałem go kawałkiem czarnej szmaty. Wybrałem jedną ze skrzyń i wepchnąłem cienką komórkę między deseczki przy jednym z naroży. Tak jak się spodziewałem, była tam prawie niewidoczna.

Wręczyłem skrzynkę Abrahamowi i mrugnąłem.

— Postaw ją przy innych.

Uniósł brew, a potem zerknął na skrzynkę. Natychmiast uśmiechnął się i wykonał polecenie.

Resztę popołudnia zajęła nam praca: noszenie skrzynek i pogawędki z innymi robotnikami. Niewiele się dowiedziałem, opracowując w myślach plan działania, ale kilkakrotnie widziałem Abrahama i Cody'ego swobodnie gawędzących z innymi robotnikami. A Mizzy wydawała się mieć do tego szczególny talent.

Dobrze byłoby mieć tutaj Exela. Ten człowiek był majestatyczny jak statek i posepny jak... hmm... jak tonący statek, ale umiał nawiązywać kontakty z ludźmi. I zdobywać informacje.

Na myśl o nim skręciło mnie. Powtarzałem sobie, że nie można winić Profesora, lecz, na skry... naprawdę lubiłem Exela.

Zmusiłem się do pogawędki z jednym z robotników, mężczyzną w podeszłym wieku mówiącym z akcentem, który przypominał mi dziadka. Gdy szliśmy do magazynu — tym razem innego niż poprzednio — zdawał się dobrze znać miasto. Niewiele wiedział o Zawłaszczaczu, chociaż narzekał, że ten Epik nie rządził dostatecznie silną ręką.

— W starym kraju — wyjaśnił — szybko rozprawiliby się z kimś takim jak Zawłaszczacz. Pozwala na wszystko innym Epikom w mieście, jak dobry dziadek niepotrafiący utrzymać w ryzach wnuków. Silniejsza ręka, oto, czego tu trzeba. Policji, nakazów, godziny policyjnej. Ludzie narzekają na takie rzeczy, ale z nich rodzi się porządek. Społeczeństwo.

Minęliśmy Cody'ego, który dzielił się papierosem z innym robotnikiem. Wyglądał na odprężonego, ale patrząc na niego, można było dostrzec, że uważnie obserwuje, gdzie znajdują się inni członkowie zespołu. Gdybyś chciał wiedzieć, gdzie są, wystarczyło zapytać Cody'ego.

Bez problemu nawiązałem rozmowę z kilkoma innymi robotnikami. Po pewnym czasie

uświadomiłem sobie, że czuję się tu swobodniej niż w Babilarze, gdzie ludzie byli bardziej otwarci, a społeczeństwo mniej uciskane. Nie podobało mi się to, co robiono z Ildithią, jak wystraszeni i podzieleni są tu ludzie, jak ciężkie jest ich życie. Jednak byłem do tego przyzwyczajony.

W końcu dostaliśmy nasze racje żywnościowe i ruszyliśmy z powrotem do kryjówki, dzieląc się informacjami. Nikt nie znał słabego punktu Zawłaszczacza, ale też nie oczekiwaliśmy, że ta informacja będzie publiczną tajemnicą. Problem w tym, że najwyraźniej nikt go nie widział. Zawłaszczacz trzymał się na uboczu i krążyło o nim zaskakująco mało plotek. Przeważnie dotyczyły Epików, których moce ukradł, zmieniając ich w zwyczajnych ludzi.

Słuchałem tego wszystkiego z rosnącym rozczarowaniem. Zanim dotarliśmy do bazy, był już wieczór i Mizzy za pomocą komórki sprawdziła czujniki przy drzwiach. Wśliznęliśmy się do naszej cienkiej jak ołówek kryjówki i rozeszliśmy się po kątach. Cody poprosił Abrahama o Rtich, z którym chciał poćwiczyć. Ja wciąż nie byłem w stanie należycie go wykorzystać; może on będzie miał więcej szczęścia. Megan schowała się w swoim pokoju, Abraham zaczął majstrować przy broni, a Mizzy poszła zrobić kanapkę.

Usiadłem na podłodze w głównym pokoju na dole, opierając się plecami o ścianę. Jedynym źródłem światła był wyświetlacz mojej komórki, który w końcu zgasł. Zawsze ganilem Profesora za zbyt wolne tempo działania, nadmierną ostrożność. A teraz byłem w Ildithii i cały mój plan przedstawiał się następująco: Tak, to jasne, że musimy powstrzymać Profesora. I znaleźć słaby punkt Zawłaszczacza. Czy ktoś ma jakiś pomysł? Nie? No cóż.

Patrząc wstecz, w porównaniu z tym rozprawa ze Stalowym Sercem wydawała się łatwa. Miałem dziesięć lat na przygotowania. Miałem Profesora i Cię, którzy opracowali szczegóły planu.

Co ja tu robię? — pomyślałem.

Na schody padł cień i w świetle padającym z kuchni pojawiła się Megan.

— Hej — rzuciła. — Davidzie? Dlaczego siedzisz po ciemku?

— Rozmyślam — odparłem.

Zeszła na dół i usiadła na podłodze obok mnie, włączyła komórkę i postawiła ją przed nami, oświetlając pokój.

— Wnieśliśmy do miasta prawie czterdzieści sztuk różnej broni — mruknęła — ale nikt z nas nie pomyślał, żeby zabrać poduszkę.

— To cię dziwi? — zapytałem.

— Wcale nie. Wykonaliśmy dziś dobrą robotę.

— Dobrą robotę? Niczego się nie dowiedzieliśmy.

— W tak wczesnej fazie nigdy nie podejmuje się ostatecznych decyzji. Wskazuje się wszystkim właściwy kierunek i skłania do myślenia. To jest ważne.

Wzruszyłem ramionami.

— Ukrycie tej komórki to też dobra robota — powiedziała.

— Zauważyłaś?

— Dziwiłam się, dopóki nie zajrzałam do tej skrzynki. Myślisz, że to zadziała?

— Warto było spróbować — odrzekłem. — To znaczy, jeśli...

Zamilkłem, gdy lampka zawieszona na ścianie detektora łagodnie zamrugła.

To oznaczało, że ktoś wszedł do bramy kamienicy obok. Drzwi naszej kryjówki wychodziły na tę bramę i były jednym z newralgicznych punktów naszej obrony. Cody zamaskował je, pokrywając z jednej strony warstewką soli, a z drugiej kawałkiem czarnego materiału kilka starych desek ze znalezionych gdzieś starych skrzyń. Z zewnątrz wyglądały tak samo jak reszta ściany, ale można je było pchnąć i odsunąć, odsłaniając przejście. Ostrzegł nas, że ktoś znajdujący się w bramie może usłyszeć nasze głosy. Stąd ten wykrywacz ruchu i konieczność zachowania ciszy przez osoby znajdujące się na parterze, jeśli ktoś wejdzie do bramy.

Megan objęła mnie, ziewając. Czekaliśmy, aż ten ktoś przejdzie. Powinniśmy zainstalować tam czujnik wagowy, kamerę lub coś w tym rodzaju.

Nasze komórki zamigotały, a zamaskowane drzwi zatrzęsły się.

Zamrugalem i wstałem, idąc w ślady Megan, która wyprzedziła mnie o ułamek sekundy. W mgnieniu oka oboje trzymaliśmy broń wycelowaną w drzwi, a Abraham zaklął w sąsiednim pokoju. W następnej chwili wypadł stamtąd z minikarabinem gotowym do strzału.

Drzwi zachybotały się, zaskrzypiały i zaczęły się przesuwac.

— Hmm — skomentował ktoś na zewnątrz.

Wyobraziłem sobie wpadającego do środka Profesora, który nas wytropił. Nagle wszystkie nasze przygotowania wydały się żałośnie prymitywne i bezsensowne.

Poprowadziłem zespół na zatracenie.

Drzwi otworzyły się do końca, ukazując oświetloną padającym z zewnątrz światłem postać. Nie był to Profesor, ale wysoki i chudy młodzian o jasnej skórze i krótkich czarnych włosach. Popatrzył na nas bez śladu niepokoju w oczach, chociaż stał przed trojgiem uzbrojonych osób.

— Te drzwi są kompletnie nieprzydatne — oznajmił. — Zbyt łatwo się tu przez nie dostać. Myślałem, że jesteście mądrzejsi!

— Kim jesteś? — zapytał Abraham, patrząc na mnie i czekając na rozkaz otwarcia ognia.

Nie wydałem go, chociaż znałem tego przybysza. W swoich aktach miałem kilka jego zdjęć.

Zawłaszczacz, imperator Atlanty, złożył nam wizytę.

## 19

— Och, odłóżcie broń — powiedział Zawłaszczacz, wchodząc do naszej kryjówki i zamykając za sobą drzwi. — Kule nie wyrządzą mi krzywdy. Tylko przyciągną czyjąś uwagę.

Niestety, miał rację. Kule się go nie imały. Równie dobrze moglibyśmy go obrzucać kluskami.

Nie opuściliśmy broni.

— Co się stało? — zapytałem. — Po co tu przyszedłeś?

— Nie wiecie, co się dzieje? — Zawłaszczacz miał zaskakująco nosowy głos. — Wasz przyjaciel chce mnie zabić. Rozwala całe miasto, szukając mnie! Moi słudzy są beużyteczni, moi Epicy zbyt tchórzliwi. W mgnieniu oka przechodzą na jego stronę.

Ruszył naprzód, nie przestając mówić. Cała nasza trójka drgnęła.

— Pomyślałem, że jeśli ktoś w ogóle wie, jak się przed nim ukryć, to wy. To miejsce wygląda na okropnie niewygodne. Nigdzie nie widzę ani jednej poduszki i śmierdzi tu nieświeżymi skarpetami.

Wzdrygnął się i wszedł do warsztatu Abrahama.

Stłoczyliśmy się przy drzwiach, a on, wszedłszy, okręcił się i opadł w tył. Wielki i miękki fotel pojawił się znikąd i przyjął jego ciężar. Zawłaszczacz wyciągnął się w nim.

— Niech ktoś przyniesie mi coś do picia. I starajcie się nie hałasować. Jestem zmęczony. Nie macie pojęcia, jakie to denerwujące, kiedy polują na ciebie jak na szczura.

Wszyscy troje opuściliśmy broń, zaskoczeni słowami tego szczupłego Epika, który zaczął mamrotać coś pod nosem, leżąc z zamkniętymi oczami w swoim nowiutkim fotelu.

— Hmm... — mruknąłem w końcu. — A jeśli cię nie posłuchamy?

Abraham i Megan spojrzeli na mnie jak na szaleńca, ale ja uważałem, że to najzupełniej rozsądne pytanie.

Zawłaszczacz otworzył jedno oko.

— He?

— Co zrobisz — zapytałem — jeśli cię nie posłuchamy?

— Musicie mnie słuchać. Jestem Epikiem.

— Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy Mścicielami.

— Tak.

— A zatem... my nigdy nie słuchamy Epików. No wiesz, gdybyśmy słuchali ich poleceń, bylibyśmy bardzo kiepskimi Mścicielami.

— Ach tak? — odparł Zawłaszczacz. — Czyż przez większość czasu nie robiliście właśnie tego, co kazał wam pewien Epik?

Na skry. Czy wszyscy o tym wiedzą? Zapewne nie tak trudno było to odgadnąć, teraz, kiedy przybył do tego miasta. A jednak... Otworzyłem usta, żeby znów zaprotestować, ale Megan wyciągnęła mnie z pokoju, a Abraham pospieszył za nami z niezgrabnie wycelowanym karabinem. Cody i Mizzy byli na schodach wiodących w dół. Mieli zatroskane miny.

W końcu zebraliśmy się w kuchni na piętrze, wokół wąskiego stołu z soli, rozmawiając ściszymi głosami.

— Czy to naprawdę on? — zapytała Mizzy. — No wiecie, wielki facet, król miasta, tenjakmutambyło?

— Zmaterializował fotel — przypomniałem. — To bardzo rzadka umiejętność. To on.

— Na skry — mruknęła Mizzy. — Chcecie się stąd wymknąć i wysadzić to miejsce? Mam przygotowane ładunki.

— Nie wyrządziłyby mu żadnej szkody — powiedziała Megan. — Chyba że wykorzystamy jego słaby punkt.

— Poza tym to może być jego sobowtór — wymamrotałem. — Chociaż nie wiem, jak to możliwe. Prawdziwe ciało Zawłaszczacza może być gdzie indziej. Może leży gdzieś nieprzytomny, pogrążony w transie. Oddycha i jego serce bije, ale jest w półśnie.

— To chyba niebezpieczna zagrywka — powiedziała Megan — zważywszy, jak jest przestraszony. Czy zostawiłby swoje prawdziwe ciało niechronione?

— Kto wie — mruknałem.

— Ja zastanawiam się nad czymś innym — rzekł Abraham. — Po co tu przyszedł? Jego stwierdzenie, że szuka kryjówki, to ściema, no nie? Jest najpotężniejszym z Epików. Nie potrzebowałby...

Kroki na klatce schodowej. Wszyscy odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na wchodzącego Zawłaszczacza.

— Gdzie mój drink? — zapytał. — Naprawdę nie potraficie wykonać nawet najprostszego polecenia? Widzę, że uznając wasze zdolności za ograniczone, ogromnie je przeceniłem.

Mój zespół nerwowo ścisnął broń, niepostrzeżenie formując zjednoczony front przeciwko temu stworzeniu. Epikowi z Elity. Swobodnie krążącemu po naszej bazie. Byliśmy plamkami błota na szybie, a on olbrzymim pojemnikiem silnego środka czyszczącego



w aerozolu.

O podwójnie silnym cytrynowym zapachu.

Ostrożnie wstałem. Wszyscy pozostali byli Mścicielami znacznie dłużej niż ja, wyszkolonymi przez Profesora, ostrożnymi i cichymi. Chcieli uciec — odwrócić uwagę Zawłaszczacza, a potem umknąć i założyć inną bazę.

Natomiast ja dostrzegłem w tym okazję.

— Chcesz współpracować — powiedziałem do Zawłaszczacza. — Ponieważ mamy wspólnego wroga, jestem gotowy wysłuchać twojej propozycji.

Zawłaszczacz prychnął.

— Ja po prostu nie chcę dać się zamordować. Całe miasto zwraca się przeciwko mnie. Całe miasto. Przeciwko temu, który ich chronił, dawał im pożywienie i dach nad głową na tym nędznym świecie! Ludzie to niewdzięczne stworzenia.

Słyszając to, Megan zeszywniała. Nie, nie podobała się jej teoria, zgodnie z którą ludzie i Epicy to różne gatunki.

— Zawłaszczaczu — powiedziałem — mój zespół nie będzie ci służył. Pozwolę ci zostać z nami pod pewnymi warunkami, ale to my wyświadczamy ci przysługę.

Prawie usłyszałem, jak wszyscy pozostali wstrzymali oddech. Domaganie się czegoś od Epika z Elity było prostą drogą do szybkiej śmierci. Jednak do tej pory nie wyrządził nam krzywdy i czasem trzeba się postawić. Albo opanujesz ogień, albo pozwolisz, by wszystko strawił.

— Widzę, że zrobiłeś się przy nim bezczelny — rzekł Zawłaszczacz. — Dał ci zbyt wiele swobody, pozwolił współuczestniczyć. Jeśli go pokonacie, sam będzie sobie winny.

Nie ustępowałem. W końcu Zawłaszczacz ugiął kolana i za nim uformował się taboret z miękkim siedzeniem. Opadł nań.

— Mógłbym zabić was wszystkich.

— Mógłbyś spróbować, dzieciaku — mruknęła Megan.

Zrobiłem krok naprzód i Zawłaszczacz zerknął na mnie, a potem się skulił. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego zachowania u Epika tak potężnego jak on. Przeważnie zachowywali się wyzywająco, nawet kiedy wpadli w pułapkę, przekonani, że zdołają się z niej wymknąć. Chyba tracili pewność siebie tylko wtedy, kiedy ujawnił się ich słaby punkt.

Pochyliłem się i spojrzałem mu w oczy. Wyglądał jak przestraszone dziecko, chociaż był kilka lat starszy ode mnie. Splótł ręce i obrócił się bokiem.

— Chyba nie mam innego wyjścia — powiedział. — Inaczej on mnie zniszczy. Jakie są wasze warunki?

Zamrugąłem. Szczerze mówiąc, aż tak daleko nie sięgnąłem myślami. Popatrzyłem na

pozostałych, a oni wzruszyli ramionami.

— Hmm, że nie zabijesz nikogo z nas? — podsunęła Mizzy.

— A tego w tym głupim stroju? — zapytał Zawłaszczacz, wskazując na Cody'ego w jego kamuflującym kombinezonie i starej bawełnianej koszulce z logiem drużyny sportowej.

— Nawet jego — powiedziałem. Mizzy chyba miała rację, stawiając ten warunek. Epiczy miewali dziwne koncepcje co do dobrych manier. — Przede wszystkim nie wyrządzisz krzywdy żadnemu z nas ani nikomu, kogo tutaj przyprowadzimy. Zostaniesz w bazie i nie będziesz wykorzystywał swoich mocy, żeby utrudniać nam życie.

— Dobrze — warknął Zawłaszczacz, mocniej obejmując się rękami. — Jednak kiedy zrobicie swoje, chcę odzyskać moje miasto, dobrze?

— Porozmawiamy o tym później — powiedziałem. — Na razie chcę wiedzieć, jak nas znalazłeś. Jeśli Profesor może to powtórzyć, to powinniśmy natychmiast się stąd zabrać.

— Ba, nie ma potrzeby. Ja potrafię zwęszyc Epików, on nie.

— Zwęszyc? — powtórzyłem.

— Jasne. Jak gotujące się jedzenie, no nie? To pozwala mi znajdować Epików, żeby... no wiecie...

Kraść im moce.

Tak więc oprócz wszystkich innych zdolności był także radiesteta. Wymieniliśmy spojrzenia z Megan, która wyglądała na zakłopotaną. Nie wzięliśmy pod uwagę tego, że ktoś może nas znaleźć, tropiąc jej moc. Na szczęście radiestezja była bardzo rzadką zdolnością, choć z pewnością pasowała do ogólnych możliwości Zawłaszczacza.

— Radiesteci — powiedziałem, znów zwracając się do niego. — Czy w mieście są jeszcze jacyś poza tobą?

— Nie, chociaż ten potwór, który wami dowodził, ma jakieś urządzenia w kształcie dysku, które mogą wykrywać moc.

Zatem byliśmy bezpieczni. Te dyski były podobne do tych, których używaliśmy w Newcago: wymagały bezpośredniego kontaktu, a Megan mogła je oszukać swoimi iluzjami. Profesor nie powinien nas wywęszyc.

— Widzicie — powiedział Zawłaszczacz. — Współpracuję. Czy ktoś w końcu da mi coś do picia?

— Nie możesz stworzyć sobie drinka? — zapytał Abraham.

— Nie! — warknął Zawłaszczacz, i chociaż nie wyjaśnił tego dokładniej, wiedziałem dlaczego. Mógł tworzyć tylko ograniczoną liczbę przedmiotów, które znikają, jeśli nie skupiał na nich uwagi. Tworzone przez niego jedzenie i picie nie zaspokajało głodu i pragnienia, ponieważ szybko znikało.

— Bardzo dobrze — powiedziałem. — Możesz zostać, ale tak jak powiedzieliśmy, nie

wyrządzając nam krzywdy. Łącznie z pozbawianiem mocy kogokolwiek z obecnych.

— Już to obiecałem, idioto.

Skinąłem na Cody'ego, a potem wskazałem Zawłaszczacza.

Cody stuknął palcem w daszek czapki, pokazując, że się zgadza.

— No, a czego byś się napił? — zapytał Zawłaszczacza. — Mamy letnią wodę i ciepłą wodę. Obie słone. Jednak dobra wiadomość jest taka, że wypróbowałem je na tu obecnym Abrahamie i jestem prawie pewny, że ci nie zaszkodzą.

Przyniesie Zawłaszczaczowi wodę, dotrzyma mu towarzystwa i zobaczy, co zdoła się o nim dowiedzieć. Zabrałem troje pozostałych na dół, gdy Cody odwracał uwagę Epika. Kiedy dotarliśmy na parter, Megan złapała mnie za rękę.

— To mi się nie podoba — syknęła.

— Jestem skłonny się z tym zgodzić — rzekł Abraham. — Elita Epików jest nieobliczalna i nielojalna. Łącznie z tym na górze.

— Jest w nim coś dziwnego — odparłem, kręcąc głową, spoglądając na schody za mną i słysząc rozbrzmiewający na klatce schodowej głos Cody'ego, który zaczął opowiadać Zawłaszczaczowi o swojej babce mieszkającej w Szkocji. Najwyraźniej przeniosła się do Danii.

— Czułam tę ciemność, Davidzie — powiedziała Megan. — Trzymać go tutaj to jak tulić się do bomby w przekonaniu, że ta nie wybuchnie, ponieważ wciąż słyhać jej tykanie.

— Niezłe porównanie — rzuciłem z roztargnieniem.

— Dzięki.

— Jednak nieścisle — dodałem. — On zachowuje się nietypowo, Megan. Jest przestraszony i nie tyle zuchwały, ile po prostu arogancki. Nie sądzę, żeby stanowił zagrożenie. Przynajmniej dla nas.

— Czy chcesz zaryzykować nasze życie, stawiając na to przecucie, Davidzie? — zapytała Mizzy.

— Już zaryzykowałem wasze życie, sprowadzając was tutaj. — Poczułem się nieprzyjemnie, mówiąc to, ale taka była prawda. — Już wam mówiłem: jedyny sposób, aby wygrać tę wojnę z Epikami, to wykorzystać innych Epików. Czy mamy odprawić jednego z najpotężniejszych, który zdaje się wykazywać chęć współpracy?

Wszyscy zamilkli. W ciszy zabrzęczała moja komórka. Zerknąłem na wyświetlacz niemal pewny, że to Cody chce coś dodać do swojej opowieści. Jednak dzwonił Knighthawk.

*Twoja skrzynia jest w ruchu* — napisał.

*Co, już?* — wystukałem.

*Tak. Opuściła magazyn i jest transportowana gdzie indziej. Co się tam dzieje? Kto ją*

*zamówił?*

— Muszę podążyć za tym tropem — powiedziałem, patrząc na pozostałych. — Megan, zostań tutaj. Gdyby istotnie coś źle poszło z Zawłaszczaczem, ty masz największe szanse wyprowadzić stąd zespół. Na wszelki wypadek staraj się go nie dotykać. Nie może odebrać ci mocy, nie dotykając cię przez co najmniej trzydzieści sekund, a przynajmniej tak wynika z moich danych. Zachowaj ostrożność i unikaj wszelkich bezpośrednich kontaktów.

— Świetnie — rzekła. — Jednak do niczego takiego nie dojdzie. Jeśli zauważę jakąś oznakę, że przechodzi na ciemną stronę, zabiorę wszystkich i znikam.

— Umowa stoi — oznajmiłem. — Abrahamie, przydałoby mi się wsparcie. Pójdziemy bez maskowania zapewnianego przez Megan, więc to może być niebezpieczne.

— Niebezpieczniejsze, niż pozostać tutaj? — zapytał, spoglądając w górę.

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Zależy, w jak bardzo złym humorze jest nasz cel.

## 20

Kiedy wymknęliśmy się z kryjówki, pokazałem Abrahamowi moją komórkę, która wyświetlała mapę miasta. Czerwona kropka naniesiona przez Knighthawka pokazywała położenie naszego celu.

— Przy takim tempie, w jakim się porusza, dogonimy go za kilka godzin — mruknął Abraham.

— No to lepiej chodźmy — powiedziałem, wpychając komórkę do kieszeni.

— Davidzie, jak pragnę być uprzejmy i spokojny — rzekł Abraham — przez twoje plany już się dziś zmęczyłem, a teraz znów chcesz przejść przez całe miasto. *Ç'a pas d'allure!* Zaczynam się zastanawiać, czy może uznałeś, że zaczynam tyć. Zaczekaj tu.

Wetknął mi w rękę worek, w którym schował swój karabin — był cięższy, niż przypuszczałem. Gdy się zachwiałem, on przeszedł przez ulicę do sprzedawcy, który rozstawił swój stragan pod daszkiem.

*Wyjaśnisz mi, o co tu chodzi?* — napisał Knighthawk, kiedy czekałem.

*Jesteś sprytnym facetem* — odpisałem. — *Zgadnij.*

*Jestem leniwym facetem. I nienawidzę zgadywać.* — Pomimo to po chwili przysłał mi odpowiedź. — *Czy to ma coś wspólnego z jaskiniami? Na przykład... myślisz, że Zawłaszczacz może się w nich ukrywać, i próbujesz go wytropić?*

Spryciarz.

*Jaskinie?* — odpisałem. — *Jakie jaskinie?*

*Dobrze wiesz. Święty Józef?*

*Ta biblijna postać?*

*Miasto, idioto — napisał Knighthawk. — Kiedyś znajdowało się w pobliżu. Naprawdę nie wiesz?*

*Czego nie wiem?*

*A już zaczynałem myśleć, że jesteś jakimś wszechwiedzącym supernerdem, jeśli chodzi o Epików. Naprawdę wiem o nich coś, czego ty nie wiesz.*

Niemal czułem, jak z wyświetlacza sączy się jego samozadowolenie.

*Jest jakiś Epik ze Świętego Józefa, o którym twoim zdaniem powinienem wiedzieć? — napisałem.*

*Jacob Pham.*

*Nic mi to nie mówi.*

*Pozwól mi się tym chwilę napawać.*

Popatrzyłem na Abrahama, sprawdzając, jak wygląda sytuacja, ale Kanadyjczyk jeszcze nie skończył się targować.

*Nazywaliście go Digzone.*

Drgnąłem, przypominając sobie.

*Ten, który stworzył Kopaczy — napisałem. — W Newcago.*

*Yhm — przysłał Knighthawk. — Zanim zaczął pozbawiać ludzi zmysłów dla Stalowego Serca, mieszkał w tym sennym miasteczku. Połowa tej części stanu jest poprzecinana płataniną wykopanych przez niego tuneli i jaskiń. Jeśli tego nie wiesz, to twój dzisiejszy plan wykorzystania komórki nie ma nic wspólnego z szukaniem w nich Zawłaszczacza.*

Digzone. To on stał za tym dziwnym labiryntem pod Newcago. Zdecydowanie niepokojący był fakt, że podobne tunele istniały tutaj.

*Nie, to, co próbuję dziś zrobić, nie ma nic wspólnego z szukaniem Zawłaszczacza — napisałem do Knighthawka. — Nie musimy go szukać. Sam zjawił się na naszym progu.*

*CO?*

*Przepraszam. Abraham wrócił z rowerami. Pogadamy za jakiś czas.*

Niech sobie to przetrawi. Ponownie schowałem komórkę do kieszeni, gdy Abraham wrócił, prowadząc dwa zardzewiałe rowery. Popatrzyłem na nie z powątpiewaniem.

— Wyglądają jak dwaj starcy po sześćdziesiątce.

Abraham spojrział na mnie z ukosa.

— No co? — spytałem.

— Czasem wciąż zaskakuje mnie to, co wychodzi z twoich ust — odparł, odbierając swój worek. — Te rowery są stare, ponieważ uważałem, że nie mogę za nie dużo zapłacić, żeby nie budzić podejrzeń. Powinniśmy na nich zajechać tam, gdzie chcemy. Ty... umiesz

jeździć na rowerze, prawda?

— Jasne, że tak — powiedziałem, wsiadając na jedną ze zgrzytających maszyn. — A przynajmniej kiedyś umiałem. Nie robiłem tego od lat, ale to jak jazda na motorze, no nie?

— W zasadzie tak.

Obserwował mnie z wyraźnym sceptycyzmem, zupełnie nieuzasadnionym. Powodem mojego wahania nie był brak umiejętności, co udowodniłem, jeżdżąc w kółko, żeby oswoić się z rowerem.

Rowery przypominały mi ojca.

Sprawdziłem mapę w komórce i wysłałem krótkie wyjaśnienie Knighthawkowi, żeby się nie obawiał Zawłaszczacza, po czym pojechaliśmy, włączając się w tłum innych cyklistów jadących ulicą. Nieczęsto widywałem to w Newcago: na głównych ulicach bogaci pysznili się swoimi działającymi samochodami. Na bocznych nawierzchnia była zbyt zniszczona i nierówna, żeby po niej jeździć rowerem.

W Ildithii ich używanie było jak najbardziej sensowne. Na poboczach ulic stały rzędy samochodów z soli, ale ulice były przejezdne. Wiele pojazdów z soli zepchnięto na bok — nie stapiały się z nawierzchnią tak jak w Newcago — tworząc szeroką otwartą przestrzeń na środku. Łatwo się jechało, nawet jeśli trzeba było omijać korki, których nikt nie rozładował. Widocznie co tydzień powstawały na nowo.

Przez chwilę cieszyłem się tą przejażdżką, chociaż mimo woli wspominałem dawne czasy. Miałem siedem lat, kiedy ojciec nauczył mnie jeździć. O wiele za późno; wszyscy moi koledzy już to umieli i zaczęli ze mnie kpić. Czasem chciałem cofnąć czas i dać im nauzkę. Byłem taki nieśmiały, taki niezaradny.

Kiedy skończyłem siedem lat, ojciec zdecydował, że już pora. Chociaż cały czas mu marudziłem, nie przejmował się tym. Może ucząc mnie jazdy na rowerze, chciał zapomnieć o nakazach eksmisji i mieszkaniu, które wydawało się zbyt puste teraz, gdy mieszkały w nim tylko dwie osoby.

Przez moment byłem tam z nim, na ulicy przed naszą kamienicą. Życie nie było wtedy łatwe. Przeżywaliśmy kryzys, ale miałem jego. Pamiętałem jego dłoń na moim ramieniu, gdy szedł ze mną, a potem biegł i wreszcie puścił mnie, żebym po raz pierwszy pojechał samodzielnie.

I pamiętałem tę nagłą świadomość, że potrafię to zrobić. Wstrząsnęła mną burza uczuć niemających niemal nic wspólnego z jazdą na rowerze. Popatrzyłem na zmęczony uśmiech ojca i zacząłem wierzyć — po raz pierwszy od wielu miesięcy — że wszystko będzie dobrze.

Tamtego dnia coś odzyskałem. Straciłem tyle wraz ze śmiercią mamy, ale wciąż miałem

jego. Wiedziałem, że mogę zrobić wszystko, dopóki go mam.

Abraham dojechał do skrzyżowania i zatrzymał się na rogu ulicy, przepuszczając parę zaprzężonych w konie wozów wyładowanych zebrany ziarnem i eskortowanych przez mężczyzn z wojskowymi karabinami. Przystanąłem obok niego, ze spuszczoną głową.

— Davidzie? — zagadnął Abraham. — Davidzie, czy ty... płaczesz?

— Nic mi nie jest — wykrztusiłem, sprawdzając komórkę. — Tutaj skręcimy w lewo. Skrzynia przestała się przemieszczać. Powinniśmy wkrótce ją dogonić.

Abraham nie nalegał i pojechaliśmy dalej. Nie zdawałem sobie sprawy, że ten ból wciąż pozostaje tak płytko pod powierzchnią jak ryba lubiąca grzać się w słońcu. Zapewne lepiej nie przywoływać wspomnień. Zamiast tego próbowałem cieszyć się łagodnym wiatrem i przejażdżką. Jazda na rowerze niewątpliwie jest przyjemniejsza od chodzenia.

Jadąc nieco szybciej, minęliśmy kolejny zakręt, a potem musieliśmy zwolnić, gdyż grupa rowerzystów przed nami zatrzymała się. My też przystanęliśmy i przeszedł mnie dreszcz, a włosy zjeżyły mi się na głowie. Na chodnikach nie było ludzi. Nikt nie przewoził swego dobytku do nowego domu, jak to robiła większość przechodniów na innych ulicach. Nikt nie wychylał się z ziejących pustką okien.

Tutaj panowała głęboka cisza przerywana tylko przez popiskiwanie pedałów i głos dobiegający z głębi ulicy.

— No, to zajmie tylko chwilę.

Brytyjska wymowa z lekkim akcentem, którego nie rozpoznałem. Zdrętwiałem na widok mężczyzny z ogoloną głową i w czarnej skórze nabijanej ćwiekami. Mała neonowa kula unosiła się obok niego, zmieniając kolor z czerwonego na zielony. Metka, jak nieraz ją nazywano. Epicy potrafiący demonstrować swoją moc czasem pokazywali ją wszystkim — jarząc się lub otaczając wirującymi liśćmi. Dając do zrozumienia: tak, jestem jednym z nich, więc nie wchodź mi w drogę.

— Davidzie — cicho powiedział Abraham.

— Neon — szepnąłem. — Pomniejszy Epik. Moc manipulowania światłem. Nie jest niewidzialny, ale sporo potrafi, na przykład zabić cię promieniem lasera.

Słaby punkt... Czy w moich notatkach był jakiś podany?

Znów powiedział coś do grupy rowerzystów przed nami i zjawili się mężczyźni w długich kurtkach, niosąc urządzenie wyglądające jak talerz z ekranem z boku. Jedno z tych urządzeń, o których wspominał Zawłaszczacz. Istotnie było identyczne jak to, którego zespół używał w Newcago.

Pomagierzy Neona sprawdzili wszystkich w grupie przed nami, a następnie przepuścili ich machnięciem ręki. Profesor poluje na Zawłaszczacza — pomyślałem. Nie użyłby tego urządzenia do poszukiwania nas. Wie, że Megan potrafi je oszukać.

Pomocnicy Neona skinęli na nas.

— Hałas — szepnąłem, przypomniawszy sobie. — Jeśli coś źle pójdzie, zacznij wrzeszczeć. To pozbawi go mocy.

Abraham skinął głową i wyglądał na znacznie pewniejszego siebie, gdy ruszyliśmy naprzód, pchając swoje rowery. Ta grupa mogła mieć nasze rysopisy — jeśli Profesor obawiał się Mścicieli. Poczułem ulgę, gdy Neon ziewnął i kazał swoim ludziom sprawdzić Abrahama, a w jego oczach nie dostrzegłem błysku rozpoznania.

Dysk zaaprobował Abrahama i tamci przepuścili go. Potem owinęli pas skanera wokół mojej ręki.

Staliśmy nieruchomo na ulicy. Trwało to całą wieczność, tak długo, że Neon podszedł do nas ze zirytowaną miną. Zacząłem się pocić i szykować do przeraźliwego wrzasku. Czy postanowi mnie spopielić ze złości, że go spowolniłem? Nie był aż tak ważnym Epikiem. Ci pomniejsi musieli hamować swoją żądzę mordy. Gdyby przetrzebili ludność miasta, Elita Epików nie miałaby nikogo, kto by im służył.

W końcu maszyna zareagowała, chociaż jak w letargu.

— Hmm — mruknął Neon. — Przedtem nie trwało to tak długo. Przeszukajmy pobliskie budynki. Może ktoś tam jest i zakłóca działanie naszej maszyny. — Odpiął pas i przepuścił mnie machnięciem ręki. — Zjeżdżaj stąd.

Ruszyłem i przechodząc, zauważyłem, że urządzenie niczego nie wykryło, tak jak przewidywałem. Nie byłem Epikiem.

Obojętnie co twierdziła Regalia.

Przez resztę podróży snułem niewesołe myśli, wspominając chwile, gdy patrzyłem na moje odbicie w wodzie. I słuchałem jej ponurej przepowiedni.

Złościłeś się na Profesora, że ukrywa pewne sprawy przed zespołem — szeptał mi wewnętrzny głos. Czy nie postępujesz dokładnie tak samo?

Głupie gadanie. Przecież nie mam nic do ukrycia.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie skrzynia przestała się przemieszczać: ulicy z dwoma rzędami dwu- i trzypiętrowych budynków. Po dwóch dniach pobytu w tym mieście doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że tutejsze klany szukały właśnie takich miejsc, ignorując dawne podmiejskie rezydencje bogaczy. W świecie Epików i rywalizujących gangów bezpieczeństwo było znacznie ważniejsze od metrażu.

Obaj zatrzymaliśmy się u wylotu ulicy. Blokowała go grupka młodych ludzi w moim wieku, trzymających różną przestarzałą broń; nie do wiary, ale jeden nastolatek miał nawet kuszę! Nad jednym z budynków trzepotała flaga z symbolem Manty.

— Nie rekrutujemy — powiedział do mnie jeden z młodzików. — Spadajcie.

— Macie u siebie gościa — oznajmiłem, mając nadzieję, że się nie mylę. — Obcą osobę.



Idźcie do niej i opiszcie nas.

Młodzi wymienili spojrzenia, a potem jeden pobiegł zrobić to, co kazałem. Już po chwili wiedziałem, że przynajmniej część moich domysłów była trafna, ponieważ duża gromada znacznie lepiej uzbrojonych mężczyzn i kobiet wyległa na ulicę i ruszyła ku nam.

— Hmm... Davidzie? — zagadnął Abraham. — Może zechcesz powiedzieć coś więcej? Czy mamy...

Zamilkł, dostrzegając w tej grupie osobę w bluzie z kapturem i z karabinem na ramieniu. Wprawdzie jej twarz zasłaniał kaptur, lecz spod niego wymykały się kosmyki rudych włosów.

Tia.

## 21

Abraham nic nie powiedział, gdy uzbrojeni ludzie otoczyli nas i poprowadzili ulicą w kierunku jednego z budynków. Tylko przyjaźnie zaszalutował Tii, przytykając palce do czoła. Najwyraźniej już dawno domyślił się, co tu robimy.

Ludzie Tii zaprowadzili nas do pomieszczenia bez okien, oświetlonego tylko rzędem świec powoli topiących się na blacie starego kuchennego barku. Po co przejmować się plamami wosku, jeśli twój dom i tak się rozpuści? Wyjątkowo pomieszczenie miało drzwi z prawdziwego drewna, co w tym mieście było rzadkością. Ktoś musiał co tydzień przewozić je do nowej siedziby i montować.

Jeden z uzbrojonych Ildithian zabrał nam broń, a inny posadził nas na krzesłach. Tia stała z tyłu, z założonymi rękami i twarzą ocienioną kapturem. Była szczupła i niska, a wargi — co widziałem pomimo ocieniającego twarz kaptura — z dezaprobatą zaciskała w wąską linię. Była zastępcą dowódcy Mścicieli i jedną z najbystrzejszych osób, jakie znałem.

— Davidzie — powiedziała spokojnie — w Babilarze spotkaliśmy się w naszej kryjówce, po tym jak wróciłeś z zaopatrzeniem. Powiedz mi, o czym rozmawialiśmy.

— A jakie to ma znaczenie? Tia! Musimy porozmawiać o...

— Odpowiedz na to pytanie, Davidzie — rzekł Abraham. — Ona sprawdza, czy my to naprawdę my.

Przełknąłem ślinę. Oczywiście. Każdy Epik mógł stworzyć sobowtóry Mścicieli na rozkaz Profesora. Usiłowałem przypomnieć sobie zdarzenie, o którym mówiła. Dlaczego nie wybrała czegoś bardziej pamiętnego, na przykład, kiedy dołączyłem do Mścicieli?

Musi to być coś, o czym nie wiedziałaby Profesor — uświadomiłem sobie.

Zacząłem się pocić. Wypląnąłem okrętem podwodnym, a potem... Na skry, trudno było zebrać myśli wśród tylu gapiących się na mnie uzbrojonych ludzi rozzłoszczonych jak taksjary, który właśnie odkrył, że zarzygałeś mu całe tylne siedzenie.

— Tamtego dnia spotkałem się z Profesorem — powiedziałem. — Przybyłem do bazy z raportem i rozmawialiśmy o kilku Epikach z Babilaru.

— I jakiej... interesującej metafory użyłeś?

— Na skry, myślisz, że pamiętam coś takiego?

— Słyszałem od ciebie kilka takich, które dość trudno zapomnieć — zauważył Abraham.

— Choćby człowiek bardzo się starał.

— Niezbyt mi pomagasz — mruknąłem. — Hm... mmm... Och! Mówiłem o używaniu pasty do zębów jako żelu do włosów. Nie, czekaj. Keczupu. Keczupu jako żelu do włosów, ale kiedy teraz o tym myślę, to pasta do zębów byłaby o wiele lepszą metaforą. Silniej twardnieje i myślę, że...

— To on — powiedziała Tia. — Opuśćcie broń.

— Skąd wiedziałeś, że ona jest z nami, dzieciaku? — spytała jedna z Ildithian, krępa staruszka o przerzedzonych włosach.

— Z waszych dostaw — odparłem.

— Otrzymujemy dostawy dwa razy w tygodniu — powiedziała kobieta. — Jak większość dużych rodzin w mieście. W jaki sposób to miałyby cię do nas doprowadzić?

— Cóż... zacząłem.

Tia jęknęła i przycisnęła dłoń do czoła.

— Moja cola?

Skinąłem głową. Zauważyłem ją w skrzyni, którą rzuciłem, chowając się przed Profesorem. Nie jakaś zwykła cola, ale tej marki, którą uwielbiała Tia. Droga, rzadko spotykana i warto było pójść tym tropem.

— Mówiłem ci — powiedział gruby Ildithianin o twarzy jak mięso z grilla. Niezbyt miły widok. — Mówiłem, że ta kobieta ściągnie na nas kłopoty. Twierdziłaś, że nic nam nie grozi!

— Niczego takiego nie mówiłam — odparła kobieta o przerzedzonych włosach. — Powiedziałam, że musimy jej pomóc.

— Jest gorzej, niż myślisz, Carla — powiedziała Tia. — David jest mądrzejszy, niż na to wygląda, ale nietrudno sobie wyobrazić, że ktoś inny może odkryć to samo co on.

— No... — zacząłem.

Wszyscy popatrzyli na mnie.

— Skoro o tym mowa — kontynuowałem — Profesor może wiedzieć o coli. W każdym razie zauważył ją w skrzynkach parę dni temu.

Ludzie w pokoju zamarli, a następnie zaczęli krzyczeć na siebie i rozsyłać gońców z ostrzeżeniem dla wartowników. Tia zdjęła kaptur, odsłaniając krótkie rude włosy, i potarła czoło.

— Jestem głupia — stwierdziła, niemal zagłuszona przez wykrzykującą rozkazy Carłę. — Składali zamówienie i zapytali, czy czegoś potrzebuję. Bez zastanowienia powiedziałam, że przydałoby mi się kilka puszek coli...

Ten paskudny Ildithianin wrócił ze skrzynką zawierającą colę i przeszukawszy ją, znalazł zepsutą komórkę.

— Komórka Knighthawka? — spytał. — Myślałem, że nie da się ich namierzyć.

— To tylko obudowa — pospiesznie wyjaśniłem. — Przydatna do podłożenia pluskwy, ponieważ ma zasilanie i antenę.

Nie zamierzałem wyjawiać im wszystkiego.

Mężczyzna zaakceptował to wyjaśnienie i rzucił komórkę Carli. Ona wyjęła baterię, a potem odeszła na bok z kilkoma innymi osobami, żeby odbyć cichą naradę. Kiedy wstałem, ten o paskudnej gębie spojrzał na mnie groźnie, kładąc dłoń na kolbie pistoletu, więc usiadłem z powrotem.

— Tia? — zagadnąłem. Dziwnie było widzieć ją z karabinem na ramieniu. Zawsze kierowała naszymi akcjami z względnie bezpiecznego miejsca; chyba nigdy nie widziałem, żeby używała broni. — Dlaczego się z nami nie skontaktowałaś?

— A jak miałam się skontaktować, Davidzie? — zapytała ze znużeniem. Podeszła bliżej mnie i Abrahama. — Jonathan miał dostęp do naszej sieci komórkowej i znał położenie wszystkich naszych kryjówek. Nawet nie wiedziałam, czy przeżyliście.

— Próbowaliśmy skontaktować się z tobą w Babilarze — poinformowałem.

— Ukrywałam się. On... — Westchnęła, siadając na stole obok nas. — Polował na mnie, Davidzie. Przyszedł prosto tam, gdzie kazał mi czekać podczas operacji unieszkodliwiania Regalii, wyciągnął łódź podwodną z wody i zmiażdżył. Na szczęście już mnie tam nie było. Jednak słyszałam, jak mnie woła. Prosi, błaga, abym pomogła mu zwyciężyć ciemną stronę mocy. — Zamknęła oczy. — Oboje wiedzieliśmy, że jeśli ten dzień nadejdzie, będę najbardziej zagrożona ze wszystkich Mścicieli.

— Ja... — Jak miałem to skomentować? Mogłem sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ukochana osoba prosi cię o pomoc, a ty dobrze wiesz, że to pułapka. Wyobrażałem sobie, jak trudno nie ulec, zignorować takie błagania.

Nie byłbym tak silny. Na skry, pogoniłbym za Megan przez pół kraju, nawet gdyby groziła, że mnie zabije.

— Przykro mi, Tia — szepnąłem.

Potrząsnęła głową.

— Jestem na to przygotowana. Jak już mówiłam, rozmawialiśmy o tym z Jonem. Mogę wyświadczyć mu ostatnią przysługę. — Otworzyła oczy. — Widzę, że miałeś te same odczucia.

— Niezupełnie — powiedział Abraham, wymieniwszy ze mną spojrzenia.

— Tia — rzuciłem. — Rozgryźliśmy to.

— To?

— Tajemnicę — odparłem z zapałem. — Ta słabość i ciemna strona mocy, one łączą się ze sobą. Wszyscy Epicy obawiają się swojej słabości.

— Oczywiście, że tak — zgodziła się. — Ich słabość to jedyne, nad czym nie mogą zapanować.

— To coś więcej, Tia — powiedziałem. — Znacznie więcej! Ich słabość często jest związana z czymś, czego dana osoba obawiała się, zanim została obdarzona mocą. Z jakąś fobią, lękiem. Wydaje się, że... no cóż, nie rozmawiałem z dostatecznie wieloma z nich, ale wygląda na to, że kiedy zostają Epikami, ten strach się pogłębia. Tak czy inaczej powstrzymanie, a przynajmniej opanowanie, chęci przejścia na ciemną stronę mocy jest możliwe.

— Co właściwie chcesz powiedzieć?

— Strach — odparłem cicho, tylko do niej. — Jeśli Epik opanuje strach, to powstrzyma ciemność.

— Dlaczego?

— Hmm... jakie to ma znaczenie?

— To ty powtarzasz, że to wszystko ma jakiś sens. Jeśli ta słabość ma jakiś sens, to czy przejście na ciemną stronę mocy nie powinno też mieć jakiegoś logicznego powodu?

— Taak... tak, powinno mieć. — Usiadłem. — Megan mówi...

— Megan. Przyprowadziłeś ją? Ona jest jedną z nich, Davidzie!

— To dzięki niej wiemy, że to działa. Tia, możemy go uratować.

— Nie budź we mnie nadziei.

— Jednak...

— Nie budź we mnie nadziei. — Spojrzała na mnie gniewnie. — Nie waż się tego robić, Davidzie Charlestonie. Uważasz, że to niewystarczająco trudne? Planowanie, jak go zabić? Zastanawianie się, czy jest coś, co mogłabym zrobić? Wymógł na mnie tę obietnicę. I zamierzam jej dotrzymać, niech cię szlag.

— Tia — łagodnie powiedział Abraham.

Popatrzyła na niego, a ja siedziałem, milcząc, wstrząśnięty jej słowami.

— David ma rację, Tia — w swój spokojny sposób rzekł Abraham. — Musimy spróbować przeciągnąć go z powrotem na naszą stronę. Jeśli nie zdołamy ocalić Jonathana

Phaedrusa, to równie dobrze możemy przestać walczyć. Nie zdołamy zabić ich wszystkich.

Tia pokręciła głową.

— Wierzysz, że odkrył tajemnicę po tak długim czasie?

— Wierzę, że ma wiarygodną teorię — odparł Abraham. — A Megan nauczyła się panować nad ciemną stroną mocy. Bylibyśmy głupi, gdybyśmy nie sprawdzili teorii Davida. On ma rację. Nie możemy zabić ich wszystkich. Zbyt długo próbowaliśmy działać w ten sam sposób. Czas spróbować czegoś innego.

Nagle poczułem się bardzo, bardzo mądry z powodu tego, że zabrałem ze sobą Abrahama. Tia słuchała go. Do licha, wściekły pies toczący pianę z pyska zastanowiłby się i posłuchał Abrahama.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła rozgorączkowana młoda kobieta.

— Proszę pani! — zawołała do Carli. — Krzywoszyjce. Cała rodzina, ze trzystu albo więcej. Wszyscy uzbrojeni i idą na nas. On jest z nimi.

— On? — zapytała Carla.

— Ten nowy Epik. Jesteśmy otoczeni.

W pokoju zrobiło się cicho. Brzydał, który wcześniej nie zgadzał się z Carlą, odwrócił się do niej. Nic nie powiedział, ale jego ponura mina mówiła sama za siebie. Zgubiłaś nas.

Abraham wstał, przyciągając spojrzenia wszystkich.

— Będzie mi potrzebny mój karabin.

— Diabła tam — powiedziała Carla. — To wasza wina.

— Nie, moja — rzuciła Tia, wstając. — Mamy po prostu szczęście, że David dotarł tu pierwszy.

Carla warknęła coś, ale zaraz kazała swoim ludziom szykować się do bitwy. Jakby to mogło coś dać. Profesor sam mógł zniszczyć całą okolicę.

Ktoś rzucił Abrahamowi torbę, gdy wszyscy ruszyli do drzwi. Carla zamierzała pójść za nimi, zapewne chcąc osobiście zobaczyć nieprzyjaciela.

— Carla — powstrzymała ją Tia. — Nie możecie z nimi walczyć.

— Wątpię, czy dadzą nam jakiś wybór.

— Być może, jeśli dasz im to, czego chcą.

Carla popatrzyła na swoich towarzyszy, którzy pokiwali głowami. Też tak uważali.

— Nie! — zaprotestowałem, wstając. — Nie możecie jej wydać.

— Masz pięć minut, żeby się przygotować, Tia — powiedziała Carla. — Wyślę gońców, żeby porozmawiali z nieprzyjaciółmi i sprawdzili, czy będą się domagać, żebyśmy cię wydali. Możemy udawać, że nie wiedzieliśmy, kim jesteś.

Zostawiła nas w tym pomieszczeniu bez okien, stawiając przy drzwiach dwóch postawnych strażników.

— Nie wierzę... — zacząłem.

— Nie bądź dzieckiem, Davidzie — ucięła. — Klan Manty był tak dobry, że mnie przyjął i słuchał moich rad. Nie możemy ich prosić, żeby zginęli, broniąc mnie.

— Ale... — Spojrzałem na nią w udręce. — Tia, on cię zabije.

— W końcu — powiedziała. — Może jednak nie od razu.

— Val i Excela zabił natychmiast.

— Tak, ale mnie będzie chciał najpierw przesłuchać.

— Ty go znasz, prawda? — zapytałem. — Jego słaby punkt.

Skinęła głową.

— Obróciłby w perzynę całe miasto, żeby mnie dopaść. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie zamorduje wszystkich mieszkańców tej dzielnicy, żeby mieć pewność, że ten sekret się nie wyda.

Zrobiło mi się niedobrze. Stalowe Serce zrobił coś podobnego tamtego dnia, dawno temu, kiedy mój ojciec i ja widzieliśmy, jak krwawi.

Tia wcisnęła mi coś do ręki. Chip z danymi.

— To moje plany — powiedziała. — Pokonania Jona. Przez lata przygotowywałam różne warianty, na wszelki wypadek. Jednak przystosowałam je do tego konkretnego miasta i tego, co on tu robi. Davidzie, on szykuje coś większego. Udało mi się umieścić moich ludzi w jego otoczeniu. Myślę, że Regalia dała mu coś, jakieś dane dotyczące Calamity. Sądzę, że to ona przysłała go tutaj.

— Tia — odparłem, szukając wzrokiem wsparcia u Abrahama. — Mam podobne podejrzenia. Jednak nie możesz dołączyć do Profesora. Jesteś nam potrzebna.

— Zatem powstrzymajcie go, zanim mnie zabije.

— Jednak...

Szybko przeszła przez pokój i wzięła ze stołu zepsutą komórkę.

— Zdołasz ją zlokalizować, jeśli włożę do niej baterię?

— Tak — odpowiedziałem.

— To dobrze. Ustal, dokąd mnie zabiera. Nie zdradziłam nikomu z Ildithian jego słabości i przez pewien czas mogę ukrywać się za tym faktem. Może nic im nie zrobi, a jeśli zapyta o was, mogę powiedzieć, że rozdzieliliśmy się w Babilarze. Rozpoznałby kłamstwo, ale to przecież prawda.

— W końcu cię złamie, Tia — rzekł Abraham. — Jest bardzo wytrwała.

— Owszem, ale początkowo będzie miły. Jestem tego pewna. Spróbuje przeciągnąć mnie na swoją stronę. Dopiero kiedy odmówię, zrobi się nieprzyjemny. — Skrzywiła się. — Wierzcie mi, nie mam zamiaru zostać męczennicą. Liczę na was. Powstrzymajcie go i wyciągnijcie mnie.

Abraham znów zasalutował, tym razem poważnie. Na skry. Zamierzał na to pozwolić.

Usłyszałem głosy na zewnątrz. Do pokoju wpadła Carla.

— Powiedzieli, że mamy pięć minut na wydanie obcej. Chyba uwierzyli, że nie wiedzieliśmy, kim jesteś. Ponadto najwidoczniej nie wiedzą o was dwóch.

— Paranoja Jona działa na naszą korzyść — powiedziała Tia. — Gdyby to on się ukrywał, nigdy nie powiedziałby wam, kim naprawdę jest. Dlatego uwierzy, że próbowałam się wtopić w otoczenie. — Popatrzyła na mnie. — Będziesz to utrudniał?

— Nie — odparłem zrezygnowany. — Jednak wyciągniemy cię.

— Dobrze. — Zawahała się. — Zobaczę, czy uda mi się dowiedzieć, co on tu robi i jakie ma plany co do tego miasta.

— Tia — odezwała się od drzwi Carla. — Przykro mi.

Tia kiwnęła głową i odwróciła się, żeby wyjść.

— Zaczekaj — powiedziałem i dodałem szeptem: — Jego słaby punkt, Tia. Co to jest?

— Dobrze wiesz.

Zmarszczyłem brwi.

— Nie wiem, czy twoja teoria jest prawidłowa — rzekła. — Jednak... tak, on miewa koszmarne sny. Pomyśl, Davidzie. Przez cały ten czas, jaki spędziliśmy razem, co było jedyną rzeczą, której się obawiał?

Zamrugalem i uświadomiłem sobie, że ona ma rację. Wiedziałem. To było oczywiste.

— Swojej mocy — szepnąłem.

Ponuro skinęła głową.

— Tylko jak to działa? — zapytałem. — Najwyraźniej może korzystać ze swych mocy. One... tego nie uniemożliwiają.

— Chyba że używa ich ktoś inny.

Ktoś inny... Profesor był obdarowującym.

— Kiedy byliśmy młodszy — pospiesznie szepnęła Tia — eksperymentowaliśmy z mocą Jona. Potrafi ciskać włócznie światła formowane z pól siłowych. Obdarzył mnie tą umiejętnością. A ja przypadkowo cisnęłam jedną z tych włóczni w Jona. Davidzie, rana, którą wtedy odniósł, nie goiła się. Jego moc nie była w stanie zregenerować tkanek. Rana goiła się miesiącami, jak u zwykłego człowieka. Nigdy nie mówiliśmy o tym nikomu, nawet Deanowi.

— A zatem ktoś obdarzony jedną jego umiejętnością...

— Może pokonać pozostałe. Tak. — Zerknęła na Carlę, która ponagliła ją, machając ręką. Tia nachyliła się do mnie i dodała bardzo cicho: — On się ich boi, Davidzie. Tych mocy, którymi jest obdarzony, ich brzemienia. Tak więc przez cały czas wybiera jedną z dwóch możliwości: przy każdej sposobności dzieli się swoją mocą, pozwalając korzystać

z niej członkom zespołu, żeby samemu jej nie używać. Jednak ilekroć to robi, daje im oręż, który może zostać użyty przeciwko niemu.

Uścisnęła moją rękę.

— Wyciągnij mnie — powiedziała, a potem odwróciła się i pospieszyła do Carli, która wyprowadziła ją z pokoju.

Pozwolili nam patrzeć. Z daleka, przez lunety z dachu jednej z kamienic, gdzie wydrążyli wygodne stanowisko snajperskie. Pilnowało nas paru strażników, którzy — jak nam obiecano — mieli nas później puścić, jeśli Profesor zabierze Cię i odejdzie, nie domagając się niczego więcej.

Znów musiałem patrzeć, jak człowiek, którego kochałem i szanowałem, zachowuje się jak ktoś zupełnie inny. Ktoś dumny i władczy, skąpany w zielonej poświacie dysku pola siłowego, na którym stał.

Czułem się bezradny, gdy Ildithianie zaprowadzili do niego Cię, a następnie zmusili ją, żeby uklęknęła. Pokłonili się i wycofali. Czekałem, pocąc się.

Tia miała rację. Nie zabił jej od razu. Otoczył ją polem siłowym, po czym odwrócił się i odszedł, a otaczająca ją kula popłynęła za nim.

Nigdy nie obdarzył nas tą mocą — pomyślałem. Dawał nam ochronne pola siłowe w postaci „kamizelek”, ale tylko w niewielkich ilościach. Te kule, te włócznie światła, które ciskał... Nie wyjawiał nam tych umiejętności.

Z obawy, że pewnego dnia mogłyby być użyte, żeby go zabić. Na skry, jak go skłonimy do podzielenia się tymi umiejętnościami? Znałem jego słaby punkt, ale wykorzystanie go wciąż wydawało się niemożliwe.

Gdy Tia i Profesor odeszli, zamknąłem oczy, czując się jak tchórz. Nie dlatego, że nie zdołałem uratować Tii, ale dlatego, że tak bardzo chciałem, żeby poszła z nami.

Objęłaby dowodzenie. Wiedziałyby, co robić. Niestety, ten ciężar znów spoczywał na moich barkach.

## 22

Znowu byłem w jakimś ciemnym i ciepłym miejscu.

Miałem wspomnienia... głosy, takie jak mój, przemawiające zgodnym chórem. Razem stanowiliśmy jedność. Gdzieś zagubiłem te głosy, ale pragnąłem ich, potrzebowałem. Cierpiałem oddzielony od nich.

Przynajmniej było mi ciepło, bezpiecznie, wygodnie.

Wiedziałem, czego oczekiwać, chociaż we śnie nie mogłem się na to przygotować.



Gromowy huk wstrząsnął mną. Straszliwe, rozdzierające uszy wycie jak stada oszalałych wilków. Jaskrawe, zimne, ostre światło. Trzeszczące, atakujące, agresywne, tłamszące. Zalewało mnie i usiłowało zniszczyć.

Gwałtownie usiadłem wyrwany ze snu.

Znów leżałem na podłodze na piętrze naszej kryjówki. Megan, Cody i Mizzy spali w pobliżu. Abraham pełnił nocną wartę. Mając w kryjówce nieobliczalnego Epika, nikt z nas nie spał spokojnie i przez cały czas ktoś pełnił straż.

Na skry... ten koszmar. Straszny sen. Wciąż miałem przyspieszony puls i skórę lepłą od potu. Koc był od niego mokry.

Będę musiał powiedzieć o tym pozostałym — pomyślałem, siedząc tam w ciemności i usiłując złapać oddech. Koszmary były bezpośrednio związane z Epikami i ich słabymi punktami. Jeśli jakiś wciąż się powtarzał... no cóż, mogło to coś oznaczać.

Kopnięciem odrzuciłem koc i nagle zobaczyłem, że Megan nie leży na swoim pościeli. Często wstawała w nocy.

Omijając pozostałych, ruszyłem w kierunku korytarza. Nie podobał mi się ten mój strach. Nie byłem już takim tchórzem jak kiedyś. Mogłem stawić czoło wszystkiemu.

Wszystkiemu.

Wyszedłem na korytarz i zajrzałem do pokoju naprzeciwko naszego. Pusto. Gdzie się podziała Megan?

Wróciliśmy z Abrahamem z bazy klanu Manty tak późno, że postanowiliśmy położyć się spać. Nad nowymi informacjami przekazanymi przez Cię mieliśmy zastanowić się następnego dnia. Powiedziałem im o słabym punkcie Profesora, co dało im do myślenia. Na razie wystarczy.

Szedłem w kierunku schodów, boso po podłodze z soli. Musieliśmy bardzo uważać z wodą. Pod jej wpływem podłoga się rozpuszczała. Zawsze budziłem się rano z warstwą soli na stopach. Budowanie miasta z czegoś, co może się rozpuścić, było zdecydowanie gorszym pomysłem niż używanie do tego stali. Na szczęście już przestał mi przeszkadzać zapach i nawet suche powietrze zaczęło się wydawać czymś normalnym.

Znalazłem Abrahama na piętrze, w kuchni. Był skąpany w świetle swojej komórki, z Rtich na rękach i dużą kulą rtęci unoszącą się przed nim. Ta rtęć niewątpliwie wyglądała niesamowicie — idealnie lustrzana, falowała, gdy Abraham poruszał wokół niej rękami. Rozłożył je, przy czym kula rtęci wydłużyła się jak bułka paryska. Sposób, w jaki jej lustrzana powierzchnia zniekształcała i zmieniała odbicia, sprawiał wrażenie, jakby ukazywała nam inny, zdeformowany świat.

— Musimy zachować ostrożność — cicho rzekł Abraham. — Myślę, że nauczyłem się zapobiegać wydzielaniu pary przez ten metal, ale może powinienem znaleźć inne miejsce

do tych ćwiczeń.

— Nie chcę, żebyśmy się rozdzielali — odparłem, nalewając sobie do kubka wodę z dużego plastikowego pojemnika, który postawiliśmy na kuchennym blacie.

Abraham rozczapierzył palce i rtęć utworzyła dysk podobny do dużego talerza lub tarczy.

— Cudownie — powiedział. — Wykonuje moje polecenia. I spójrz na to.

Umieścił dysk płaską stroną na podłodze, a potem niepewnie stanął na nim. Dysk utrzymał go.

— Na skry — skomentowałem. — Możesz latać.

— Niezupełnie. Nie jestem w stanie go przemieścić, kiedy na nim stoję i musi znajdować się blisko mnie, żebym mógł nim manipulować. Jednak popatrz na to.

Rtęciowy dysk zafalował i rozciągnął się, tworząc stopnie przed Abrahamem. Bardzo cienkie i wąskie, lustrzane metalowe stopnie. Mógł po nich wejść, pochylając głowę, w miarę jak zbliżał się do sufitu.

— Bardzo nam się to przyda w walce z Profesorem — oznajmił. — Jest bardzo silne. Może mógłbym odeprzeć tym uderzenie jego pola siłowego.

— Taak.

Abraham zerknął na mnie.

— Dlaczego nie słyszę entuzjazmu?

— Myślę o czymś innym. Czy Zawłaszczacz na dole nadal nie śpi?

— Nie spał, kiedy ostatnio sprawdzałem — odrzekł Abraham. — On chyba w ogóle nie sypia.

Dyskutowaliśmy o tym, co z nim zrobić, ale nie doszliśmy do żadnych konkretnych wniosków. Na razie nie stanowił zagrożenia.

— Gdzie jest Megan? — spytałem.

— Nie widziałem jej.

To było dziwne. Gdyby wyszła, musiałaby tędy przechodzić, a nie widziałem jej na piętrze, które nie było duże. Może Abraham nie zauważył, jak tędy przemknęła.

Nadal ćwiczył z Rtich, schodząc po schodkach i tworząc inne kształty. Ten widok budził irytację, ale wywołaną głównie młodzieńczą niecierpliwością. Wszyscy zgadzaliśmy się, że Abraham powinien ćwiczyć użycie tego urządzenia, a Cody lub Mizzy zastąpić go w razie potrzeby. Teraz Abraham był naszą główną siłą uderzeniową.

Na skry, to urządzenie wyglądało super. Miejmy nadzieję, że przetrwa naszą operację w tym mieście. Kiedy odzyskamy Profesora i Cię, wrócę na pierwszą linię, gdzie jest moje miejsce — pomyślałem.

Zostawiłem Abrahama i zszedłem na parter, żeby sprawdzić, co robi Zawłaszczacz.

Przystanąłem w drzwiach jego pokoju.

Nagie ściany były teraz obwieszane czerwonym aksamitem. Na mahoniowych stołach paliły się lampy. Zawłaszczacz leżał na kanapie równie eleganckiej jak te, które mieliśmy w naszej kryjówce w Babilarze. Miał słuchawki na głowie i zamknięte oczy. Nie słyszałem tego, czego słuchał — jeśli w ogóle — a słuchawki zapewne były połączone bezprzewodowo z komórką.

Wszedłem do pokoju. Wydawał się o wiele większy niż przedtem. Przemaszerowałem przezeń i odkryłem, że istotnie jest większy.

Dystorsja przestrzeni — pomyślałem, dodając to do listy jego umiejętności. Na Calamity, co za niewiarygodna moc. Dotychczas tylko słyszałem plotki o Epikach, którzy ją posiadali. A jego zdolność materializowania przedmiotów...

— Mógłbyś go pokonać — oznajmiłem.

Milczał. Nie podniósł się z kanapy, nawet nie otworzył oczu.

— Zawłaszczaczu — powiedziałem nieco głośniej.

Drgnął, po czym zerwał z głowy słuchawki i przeszył mnie gniewnym wzrokiem.

— Co?

— Mógłbyś go pokonać — powtórzyłem. — Profesor... gdybyś stawił mu czoło, może zdołałbyś zwyciężyć. Wiem, że masz wiele cech niezwykłego. A na dodatek zdolność tworzenia przedmiotów, zniekształcania przestrzeni... mógłbyś go pokonać.

— Oczywiście, że nie. Jak myślisz, dlaczego jestem tutaj z wami, bezużytecznymi idiotami?

— Tego jeszcze nie rozgryzłem.

— Ja nie walczę — rzekł Zawłaszczacz, zamierzając z powrotem założyć słuchawki. — Nie wolno mi.

— Kto ci zabrania?

— Ja sam. Niech inni walczą. Moją rolą jest obserwować. Zapewne nie powinienem nawet rządzić tym miastem.

Ludzie, łącznie ze mną, zwykle zakładają, że wszyscy Epicy są w zasadzie tacy sami: samolubni, destrukcyjni, narcystyczni. Chociaż jednak istotnie wykazują te cechy, to w bardzo indywidualnym stopniu. Znikający cytował Pismo Święte i usiłował — jak się zdaje — zniszczyć wszelkie życie na planecie. Regalia wykorzystywała swoją moc do realizowania kolejnych planów. Władca Ciemności w Newcago z reguły działał poprzez słabszych od siebie pośredników.

Zawłaszczacz zdawał się mieć inną psychozę. Sięgnąłem do wazy stojącej na niewielkim marmurowym piedestale przy drzwiach. Szklane kulki przesypały mi się przez palce. Nie szkło, lecz diamenty.

— Zapewne — powiedziałem — nie mógłbyś dać mi...

— Przestań.

Spojrzałem na niego.

— Powinienem wyjaśnić to na samym początku — rzekł. — Niczego ode mnie nie dostaniecie. Nie jestem tutaj, żeby coś wam podarować ani ułatwić wam życie. Nie zostanę niczym sługą.

Westchnąłem, upuszczając diamenty do misy.

— Nie sypiasz — powiedziałem, próbując innej taktyki.

— Co z tego?

— Zakładam, że uzyskałeś tę zdolność od innego Epika. Czy zabrałeś mu ją z powodu koszmarnych snów?

Gapił się na mnie przez moment, a potem nagle odrzucił słuchawki i zerwał się z kanapy. Jednym susem w mgnieniu oka pokonał dzielącą nas odległość.

— Skąd wiesz o moich koszmarach? — zapytał, górując nade mną. Większy. Wyższy.

Otworzyłem usta, czując, jak serce znów bije mi szybciej. Dotychczas sprawiał wrażenie rozleniwionego. Teraz — stojąc przed tym trzymetrowym Epikiem o wykrzywionej twarzy i szaleństwie w oczach — poczułem, że zaraz mnie zabije.

— Ja... — Przełknąłem ślinę. — Wszyscy Epicy je mają, Zawłaszczaczu. Koszmary.

— Nonsens — powiedział. — Tylko ja je mam. Jestem wyjątkowy.

— Możesz porozmawiać z Megan — zaproponowałem. — Powie ci, że też je ma. Albo możesz znaleźć jakiegoś Epika i zmusić go, żeby ci powiedział. Każdy z nich ma koszarne sny, związane z ich słabymi punktami. A to, czego się obawia, staje się...

— Przestań opowiadać te kłamstwa! — krzyknął Zawłaszczacz, warknął groźnie i obrócił się na pięcie, po czym wrócił do kanapy i opadł na nią. — Epicy są słabi, ponieważ są głupi. Zniszczą ten świat. Daj ludziom władzę, a źle jej użyją. Tylko to trzeba wiedzieć.

— A ty nigdy tego nie czułeś? — zapytałem. — Tej nagłej ciemności wywołanej użyciem mocy, braku empatii? Żądzy niszczenia?

— O czym ty mówisz? — fuknął. — Głupi człowieczku.

Zawahałem się, usiłując go przejrzeć, co przychodziło mi z trudem. Może był nieustannie trawiony przez tę ciemność. Bo niewątpliwie wykazywał arogancję, która mogła być tym spowodowana.

Jednak nie wyrządził krzywdy nikomu z nas. Lubił nam rozkazywać, ale zdawałem sobie sprawę, że nie robi tego jak Epik. Raczej jak rozpuszczone dziecko.

— Wcześniej musiałeś stawić temu czoło — domyśliłem się. — Dorastałeś jako Epik, mogąc mieć wszystko, co chciałeś, ale nigdy nie czułeś tej ciemności.

— Nie bądź głupi — powiedział. — Zabraniam ci mówić o tym idiotyzmie. Ciemność?

Chcesz obwiniać o te straszne rzeczy, jakie robią Epicy, jakąś niejasną ideę czy uczucie? Bzdura. Ludzie zabijają się, ponieważ właśnie na to zasługują, nie z powodu jakiejś mistycznej siły czy uczucia!

Musi nieustannie stawiać temu czoło — pomyślałem. Czegokolwiek się boi, musi widzieć to codziennie i pokonywać. Właśnie tego dowiedzieliśmy się od Megan; jeśli nie zachowuje czujności, ciemność podkrada się do niej.

Wymknąłem się z jego pałacowej komnaty.

— Nienawidzę was, wiesz?! — zawołał za mną Zawłaszczacz.

Ponownie zajrzałem do pokoju. Leżał na kanapie i naprawdę wyglądał jak dzieciak. Nastolatek ze słuchawkami na głowie usiłujący ignorować świat.

— Zasługujecie na to — ciągnął. — Ludzie są do głębi zepsuci. Właśnie tego dowodzi istnienie Epików. Dlatego wyginiecie.

Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, odgradzając się ode mnie.

Zadrzałem, a następnie zajrzałem do drugiego pokoju, teraz zapchanego zapasami, szukając Megan. Nie było jej tam. Na górze Abraham nadal ćwiczył w kuchni. Piętro wyżej zapukałem w ścianę przy drzwiach małej toalety — bo niestety znów musieliśmy używać wiader. W końcu ponownie zajrzałem do sypialni.

Pusto. Gdzie...

Chwileczkę. Ten ciemny pokój wydawał się nieco zbyt... hmm... ciemny? Zmarszczyłem brwi i wszedłem do środka, przechodząc przez jakąś cienką jak woal zasłonę. Megan siedziała ze skrzyżowanymi nogami na drugim końcu pokoju, a na podłodze obok niej paliła się świeczka. Wpatrywała się w ścianę.

Której teraz nie było.

Ściana naszej kryjówki po prostu znikła. A miasta za nią też nie było. Megan spoglądała na ciągnące się aż po horyzont pola pod miliardem gwiazd. Masowała rękę.

Zauważyła mnie, gdy podchodziłem i odruchowo sięgnęła po leżącą obok niej na podłodze broń, ale zaraz rozpoznała mnie i uspokoiła się.

— Cześć — powiedziała. — Nie zbudziłam cię, prawda?

— Nie — odparłem, siadając przy niej. — Co za widok.

— Łatwy do wykonania. W bardzo wielu różnych wariantach Ildithia nie rozwijała się w tym kierunku. Wystarczyło znaleźć jeden, w którym jej tu nie ma i widać puste pole.

— A zatem czym jest to? — spytałem, wyciągając rękę. — Jest rzeczywista?

Moja dłoń dotknęła ściany z soli, choć wydawało się, że przede mną jest pustka.

— W tym momencie to tylko cień.

— Możesz jednak posunąć się dalej — powiedziałem. — Tak jak wtedy, kiedy uratowałeś mnie u Knighthawka.

— Tak.

— Sprowadziłaś Pożara — ciągnąłem, dotykając niewidzialnej ściany. — Nie tylko jego cień, nie zaledwie... odbicie z innego świata. On tu był.

— Widzę, że twój mózg pracuje na wysokich obrotach, Davidzie. O co ci chodzi?

— Czy jest jakaś rzeczywistość, w której Profesor nie przeszedł na ciemną stronę?

— Zapewne. To niewielka zmiana i zupełnie świeża.

— A więc może mogłabyś sprowadzić go z powrotem.

— Nie na długo — odparła Megan. — A co? Chcesz włączyć go do zespołu? Moje rozwiązania są tylko chwilowe. To... — Zamilkła i szeroko otworzyła oczy. — Nie chcesz zastąpić Profesora innym. Chcesz, żeby inny walczył z naszym!

— On boi się swojej mocy, Megan. Początkowo próbowałem wymyślić jakiś podstęp, który skłoniłby go do obdarowania kogoś mocą, ale nie musimy tego robić, skoro mamy ciebie. Jeśli zdołasz sprowadzić tu jakąś wersję Profesora z innego świata, będziemy mogli doprowadzić do ich konfrontacji, a wtedy wykorzystamy słaby punkt Profesora. Zmusimy go, żeby zmierzył się ze swoją mocą w najbardziej bezpośrednim starciu i w ten sposób pomożemy mu pokonać ciemność.

Zamyśliła się.

— Moglibyśmy spróbować — powiedziała. — Jednak nie chciałabym polegać na mocy, Davidzie. Mojej mocy.

Popatrzyłem na dłoń, którą masowała. Świeże oparzenie. Spojrzałem na świeczkę.

— To może być jedyne wyjście — oświadczyłem. — On na pewno nie będzie się tego spodziewał. Jeśli mamy uratować Cię...

— Wciąż chcesz, żebym ćwiczyła. Posunęła się dalej niż dotychczas.

— Tak.

— To niebezpieczne.

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że ma rację i nie powinienem jej o to prosić. To nie było w porządku. Lecz, na skry... Tia była w rękach Profesora. Musieliśmy coś zrobić.

— W porządku — rzekła Megan. — Zamierzam spróbować trochę bardziej zmienić rzeczywistość. Może lepiej odsunąć się od tej ściany.

Zrobiłem to. Twarz Megan pociemniała w skupieniu.

I cały budynek znikł, pozostawiając mnie samego, zawieszony w pustce, w nieznanym świecie.

Żołądek podszedł mi do gardła, gdy spadłem z wysokości ponad pięciu metrów i wylądowałem na jakimś gęstym krzaku. Zamortyzował mój upadek, ale i tak uderzenie zaparło mi dech. Leżałem tam, usiłując go złapać, ale nie mogłem. W końcu, z trudem, zdołałem wciągnąć powietrze do płuc.

Rozgwieżdżone niebo wirowało i falowało nade mną, ledwie widoczne przez załzawione oczy. Tyle gwiazd, w dodatku w takich obcych formacjach. Grupy, wstęgi, pola światła na czarnym tle. Wciąż nie mogłem się do tego przyzwyczaić. W Newcago niebo przesłaniał Władca Ciemności, więc gwiazdy musiałem sobie wyobrażać. Z biegiem lat ich wspomnienie się zatarło i zacząłem uważać, że gwiazdy są rozmieszczone w równych odstępach, tak jak w słabo pamiętanych komiksach.

Rzeczywistość była znacznie bardziej chaotyczna. Przypominała płatki śniadaniowe rozsypane na podłodze. Jęknąłem i zdołałem usiąść. No cóż — pomyślałem, rozglądając się wokół — pewnie na to zasłużyłem. Co się stało? Czy zostałem przeniesiony do innego wymiaru?

W pierwszej chwili na to wyglądało, chociaż coś się nie zgadzało: Ildithia była tu, w oddali. Czy Megan nie mówiła, że w jej równoległym świecie miasto nie rozwijało się w tym kierunku?

I jeszcze coś było nie tak. Trwało to zawstydzająco długo, zanim zorientowałem się, co to było.

Gdzie była Calamity?

Wszystkie gwiazdy były tam, migocząc na niebie, lecz zawsze obecna czerwona plamka znikła. To było niepokojące. Calamity zawsze była widoczna w nocy. Nawet w Newcago jej złowrogie światło przebijało mrok.

Podniosłem się, spoglądając w górę i usiłując ją znaleźć. Kiedy wstałem, wszystko wokół rozmyło się.

Znów znalazłem się w kryjówce, obok Megan, która mną potrzasała.

— David? Na skry, Davidzie!

— Nic mi nie jest — powiedziałem, usiłując ogarnąć to wszystko. Tak, wróciłem, dokładnie na to samo miejsce, w którym stałem, zanim spadłem. Ściana już nie była przezroczysta. — Co się stało?

— Przypadkiem przeniosłam cię — odparła Megan. — Zniknąłeś i po chwili nagle się pojawiłeś.

— Interesujące.

— Przerazające — poprawiła. — Kto wie, co mogłeś napotkać po tamtej stronie? A gdybym cię przeniosła do świata o innej atmosferze, w której udusiłbyś się?

— Tamten świat był taki jak nasz — powiedziałem, masując bok i rozglądając się. —

Ildithia była tam, tylko w oddali.

— Nie. Naprawdę? — spytała. — Jesteś pewny? Specjalnie wybrałam świat, w którym ten obszar jest pusty, żeby mieć dobry widok.

Usiadłem.

— Tak. Możesz ponownie sięgnąć do tego samego świata?

— Nie wiem — odrzekła. — To, co robię, to po prostu się dzieje. Jak zginanie ręki w łokciu.

— Albo jedzenie precla.

— No... niezupełnie tak, ale mniej więcej. — Zawahała się, a potem usiadła na podłodze obok mnie.

Po chwili do pokoju zajrzał Cody — najwyraźniej Megan za głośno mnie wołała. Stworzony przez nią woal czarnej mgły znikł, więc Cody mógł nas widzieć.

— Wszystko w porządku? — spytał, trzymając w ręku karabin.

— To zależy, co przez to rozumiesz — odparła Megan, kładąc się na podłodze. — David namówił mnie, żebym zrobiła coś głupiego.

— Jest w tym dobry — rzekł Cody, opierając się o framugę drzwi.

— Sprawdzamy jej moc — powiedziałem mu.

— Aha. Dlaczego mnie nie ostrześliście?

— A co byś zrobił? — spytałem.

— Wstałbym i zjadł sobie haggis — odparł Cody. — Zawsze dobrze zjeść trochę zacnego haggisu, zanim jakiś Epik przypadkiem zniszczy twoją kryjówkę niespodziewanym uderzeniem mocy.

Zmarszczyłem brwi.

— Co to jest haggis?

— Nie pytaj — poradziła Megan. — On się wygłupia.

— Mogę mu pokazać — rzekł Cody, wskazując kciukiem za siebie.

— Chwila — rzuciła Megan. — Naprawdę go masz?

— Znalazłem wczoraj na targu. Zdaje się, że tutaj robią go z całego zwierzęcia, wiesz? — Zamilkł i zaraz dodał: — Oczywiście jest paskudny.

Megan zmarszczyła brwi.

— Czy to nie jest czasem tradycyjny szkocki przysmak?

— Jasne, jasne — odrzekł Cody, wmaszerowując do pokoju. — Szkocki właśnie dlatego, że jest taki paskudny. Tylko najodważniejsi mogą go jeść. To dowodzi, że jesteś wojownikiem. Jak noszenie kiltu w zimny i wietrzny dzień. — Usiadł przy nas. — No to jak jest z tą mocą?

— Megan wysłała mnie w inny wymiar — powiedziałem.



— Ładnie — orzekł Cody, sięgając do kieszeni i wyjmując batonik czekoladowy. —

Pewnie nie przyniosłeś mi zmutowanego królika czy czegoś takiego, co?

— Nie było tam zmutowanych królików — odparłem. — Ani Calamity.

— No, to jest jeszcze dziwniejsze — zauważył Cody, odgryzając kawałek batonika. Skrzywił się.

— Co jest? — zapytałem.

— Człowieku, smakuje jak tektura — powiedział. — Tęsknię za dawnymi czasami.

— Megan — burknąłem — czy możesz znów przywołać obraz tamtego świata?

Popatrzyła na mnie sceptycznie.

— Chcesz tam znów pójść?

— Zważywszy na skalę możliwości Epików, to nie wydaje się zbyt niebezpieczne. No wiesz, przeniosłaś mnie do innego świata, ale zaraz wróciłem.

— A jeśli to wynika tylko z braku wprawy? Jeśli w miarę powtarzania staje się niebezpieczniejsze?

— To by oznaczało, że uczysz się trwale zmieniać stan rzeczy — powiedziałem. — Co dawałoby nam ogromną przewagę. Warto zaryzykować.

Zacisnęła wargi, ale dała się przekonać. Może rzeczywiście byłem zbyt dobry w namawianiu ludzi do popełniania głupstw. Profesor niejedną raz mi to zarzucał.

Megan machnęła ręką i ściana, którą zmieniła przedtem, znów znikła i odsłoniła widok na pustą trawiastą równinę.

— Teraz po drugiej stronie. — Wskazałem ścianę z drzwiami, przez które wszedł Cody.

— To niebezpieczne — ostrzegła. — Uwięzi nas pomiędzy dwoma wymiarami, co oznacza, że któryś łatwiej może wsączyć się do... Jednak ciebie to nie obchodzi, prawda? W porządku. Nawiasem mówiąc, wisisz mi za to masaż pleców.

Ściana naprzeciwko znikła i teraz wydawało się, że wszyscy troje znajdujemy się w stojącym na równinie budynku mającym tylko dwie ściany. Z tej perspektywy zobaczyliśmy widok, który już znałem: Ildithię w oddali.

— Hm — mruknął Cody, wstając. Zdjął karabin z ramienia i zaczął oglądać miasto przez lunetę.

— W tym wymiarze miasto znajduje się w innym miejscu — powiedziała Megan. — Nic dziwnego. Łatwiej zobaczyć wymiary podobne do naszych, więc powinnam się tego spodziewać.

— Nie w tym rzecz — rzekł Cody. — W tym wymiarze Ildithia znajduje się w tym samym miejscu. Tylko twoje okno nie otwiera się tam, gdzie byłaby nasza kryjówka.

— Co takiego? — zdziwiła się Megan.

— Widzisz te pola? Leżą na wschodnim krańcu Ildithii, co widać po tamtej kępie drzew.

Tak samo jak w naszym wymiarze. Miasto znajduje się w tym samym miejscu, tylko patrzymy na nie z zewnątrz.

Wyglądała na przejętą.

— W czym problem? — zapytałem ją.

— Zawsze zakładałam, że moje cienie mają taką samą lokalizację. I że jeśli coś przeciągam do naszego świata, to dlatego, że zdarzyło się to w innym wymiarze dokładnie tam, gdzie stoję.

— Mówimy o zmienianiu kształtu rzeczywistości — rzekł Cody, wzruszając ramionami.

— Dlaczego lokalizacja miałaby mieć jakieś znaczenie, dziewczyno?

— Nie wiem. Po prostu zawsze uważałam, że jest inaczej. Zaczynam się zastanawiać, w czym jeszcze się myliłam.

— Nie ma Calamity — powiedziałem, podchodząc jak najbliżej niewidzialnej ściany. — Megan, a jeśli te przeciągane przez ciebie cienie są zawsze z tego samego świata, równoległego do naszego? Wciąż widzę Pożar w tych chwilach, kiedy używasz swojej mocy. To zdaje się świadczyć o tym, że przeciągane przez ciebie cienie zawsze są z jego świata.

— Uhm — mruknęła. — Albo że są setki i tysiące różnych jego wersji i każdy świat ma jakąś.

— Od czegoś takiego może rozboleć głowa — mruknął Cody.

— Nie masz pojęcia jak. Robiłam rzeczy, których twoja teoria nie wyjaśnia, Davidzie. Chociaż może jest jeden równoległy świat, do którego sięgam najczęściej, lecz jeśli moja moc nie znajduje tam tego, czego szukam, sięga dalej. A tuż po reinkarnacji może się udać gdziekolwiek i zrobić cokolwiek.

Spoglądałem na tę odległą Ildithię, dopóki Megan utrzymywała ten obraz. Świat równoległy do naszego, świat bez Calamity. Jaki byłby? Czy istniełby tam Epiccy, jeśli nie byłoby Calamity, która dawała im moc?

W końcu Megan sprawiła, że obraz znikł, a ja rozmasowałem jej kark, usiłując złagodzić wywołany tym wszystkim ból głowy. Wciąż zerkąła na świeczkę, ale nie sięgnąłem po nią. Niebawem wszyscy troje wróciliśmy na nasze posłania. Potrzebowaliśmy snu.

Jutro rozważymy plan Tii i spróbujemy znaleźć jakiś sposób, żeby ją uratować — pomyślałem.

---

<sup>1</sup> *To nie ma sensu!* [fr.] (przyp. red.).

---

---

# CZĘŚĆ III

---

---

## 24

Przeciagnałem dłonią po półce z soli i z niepokojem zauważyłem, że moje palce pozostawiły na niej bruzdy. Otrzepałem dłonie, z których na podłogę posypał się skrzący różowawy pył. Gdy tak stałem, półka na ścianie pękła na środku i rozpadła się. Sól sypała się z niej jak piasek w klepsydrze.

— Hmm, Abrahamie? — zawołałem, gdy przechodził.

— Został nam jeden dzień, a potem będziemy musieli się wyprowadzić, Davidzie — rzucił.

— Nasza kryjówka dosłownie się sypie.

— Dodatki i ozdoby rozsypują się pierwsze — zauważył, wchodząc do pokoju na drugim piętrze, w którym poprzedniej nocy eksperymentowaliśmy z mocą Megan. — Podłogi i ściany jeszcze trochę wytrzymają.

Niespecjalnie mnie to podniosło na duchu.

— Pomimo to wkrótce musimy się wynieść. I znaleźć nową kryjówkę.

— Cody już nad tym pracuje. Mówi, że ma kilka propozycji, które omówi z tobą po południu.

— Co z jaskiniami? — zapytałem. — Pod obszarem, po którym przesuwa się miasto? Tymi wydrążonymi przez Digzone? Moglibyśmy się w nich ukryć.

— Może — odparł Abraham.

Poszedłem za nim do pokoju, w którym Cody pogwizdując, zmiatał sól na kupkę. Najwyraźniej namnożone przez nas kryształki soli rozsypywały się w takim samym tempie co sól kamienna tworząca miasto. Wkrótce cały ten obszar się rozpadnie i sól zniknie.

Poranne słońce przeświecało przez coraz cieńszy solny dach. Usiadłem na stołku, jednym z nabytych przez Cody'ego podczas wyprawy po zaopatrzenie. Dziwnie było przebywać w mieście, w którym nie było żadnych śmieci. Ildithia wciąż przesuwała się, pozostawiając za sobą wszystko to, czego ludzie się pozbywali. Rezultatem było mnóstwo wolnej przestrzeni, jakiej nie widziałem w Newcago czy w Babilarze.

Przyszła Megan. Oparła się o ścianę i stała z rękami założonymi na piersi, mając na sobie kurtkę i dzinsy. Abraham uklęknął pod ścianą, majstrując przy projektorze, który wcześniej skalibrował. Cody podniósł szczotkę i pokręcił głową.

— Wiecie, chyba zdrapuję więcej soli, niż zmiatam.

Westchnął, podszedł do mnie i usiadł na stołku obok.

W końcu przyszła Mizzy, niosąc jeden z laptopów będących w wyposażeniu zespołu. Rzuciła Abrahamowi chip z danymi, a on wetknął go do projektora.

— To nie będzie przyjemne — ostrzegła Mizzy.

— Mamy tu Cody'ego — rzekł Abraham. — Przywykliśmy do różnych nieprzyjemnych rzeczy.

Cody rzucił w niego szczotką.

Abraham włączył projektor i ściany oraz podłoga znikły w mroku. Pojawiła się trójwymiarowa projekcja Ildithii przedstawionej jako siatka czerwonych linii. My zdawaliśmy się nad nią unosić.

Kiedyś taki widok powodował u mnie lekką dezorientację, ale teraz już do tego przywykłem. Nachyliłem się, spoglądając przez podłogę na wielkie miasto. Zdawało się rosnąć i rozpadać w przyspieszonym tempie, chociaż szczegóły nie były zbyt dobrze widoczne.

— To komputerowy model poklatkowy z danych Tii — wyjaśniła Mizzy. — Uważam, że jest fajny. Miasto przemieszcza się ze stałą prędkością, tak więc można przewidzieć, jaki kształt i wygląd będzie miało w danym dniu. Najwidoczniej ktoś, kto kontroluje ten proces, może sterować nim za pomocą jakiegoś wielkiego koła, które tworzy się w jednym z budynków centrum.

— A co się stanie, jeśli wpadnie na inne miasto? — zapytałem zaniepokojony. Na tym modelu poklatkowym miasto wyglądało jak żywa istota, jakiś rodzaj pełzającego stworzenia z wyrastającymi budynkami przypominającymi sterczące kolce.

— Zderzenia powodują bałagan — odparł Abraham. — Kiedy przed laty przeprowadzałem tu zwiad, zadałem to samo pytanie. Jeśli Ildithia natrafi na jakieś miasto, wyrasta w wolnych miejscach, budynki wciskają się w luki i jedne ulice pokrywają drugie. W przeszłości śpiący ludzie czasem zostawali uwięzieni w pomieszczeniach i ginęli. Jednak po tygodniu sól się rozsypywała i Ildithia przemieszczała się dalej, w zasadzie

nietknięta.

— W każdym razie — powiedziała Mizzy — to nie jest najgorsze. Zaczekajcie, aż zobaczycie plan.

— Ten plan wyglądał na dobrze opracowany, kiedy go oglądałem — oznajmiłem, marszcząc brwi.

— Och, jest dobrze opracowany. Jest niesamowity. Jednak nigdy nie zdołamy go zrealizować.

Obróciła dłoń i tym gestem przybliżyła nas do modelu miasta. W Newcago wszystko to robiono za pomocą kamer i miałeś wrażenie, że latasz. Tutaj bardziej przypominało to symulację, tak więc nie powodowało takiej dezorientacji.

Zatrzymaliśmy się w pobliżu centrum miasta, które — w tej symulacji — obecnie znajdowało się na rosnącym skraju miasta, nowo powstałe i świeże. Niezwykle wysoki budynek wyrósł na naszych oczach, walcowaty jak wielki termos.

— Ostra Wieża — powiedziała Mizzy. — To jego nowa nazwa. Kiedyś w Atlancie był to ekskluzywny hotel. To tu Zawłaszczacz stworzył sobie pałac, a teraz zajął go Profesor. Górne piętra są zajęte przez tych jego sługusów, którzy w tym momencie są jego ulubieńcami, natomiast rządzący Epik mieszka w dużym pomieszczeniu na samym szczycie.

— Wchodzą po tyłu schodach? — spytałem. — Profesor może latać. Pozostali używają schodów?

— Wind — odparła Mizzy.

— Zrobionych z soli? — Przyglądałem się budowli.

— Wstawiają jedną metalową i używają nowych lin, bo te z soli się nie nadają, jak wiadomo. Wykorzystują też silnik. Sam szyb jest dostatecznie solidny.

Zmarszczyłem brwi. Nadal wydawało się to dość pracochłonne, szczególnie że trzeba było to powtarzać co tydzień. Chociaż z pewnością nikt nie przejmował się niewolniczą pracą i dźwiganiem ciężarów przez poddanych.

— Plan Tii — powiedziała Mizzy — jest bardzo dobry. Zamierzała zabić Profesora, ale uznała, że musi zdobyć więcej informacji. Tak więc pierwsza część planu szczegółowo omawia sposób infiltracji Ostrej Wieży. Tia zamierzała dostać się do komputerów Profesora, żeby się dowiedzieć, co on chce zrobić w tym mieście.

— Jednak my — wtrąciłem — możemy wykorzystać ten plan do uratowania Tii, a nie żeby dostać się do jego komputerów.

— Uhm — potwierdziła Mizzy. — Sądząc po sygnale zepsutej komórki, Tia została umieszczona w najwyższej części budynku, na siedemdziesiątym piętrze. Znajduje się w starym pokoju hotelowym. Z map wynika, że to ładny apartament. Spodziewałam się

czegoś bardziej przypominającego więzienie.

— Mówiła, że Profesor najpierw spróbuje ją przekonać, że postępuje racjonalnie — powiedziałem i przeszedł mnie dreszcz. — Kiedy odmówi mu wyjawienia informacji, o które ją poprosi, zacznie się niecierpliwić. Wtedy sprawy przybiorą zły obrót.

— Zatem jaki jest ten plan? — spytała Megan. Wciąż opierała się o ścianę skrytą w ciemności przez projektor. My unosiliśmy się nad czerwonymi liniami Ostrej Wieży. Głupia nazwa, skoro budynek był walcowaty i miał płaski dach.

— No właśnie — odparła Mizzy. — Operację przeprowadzą dwie grupy. Pierwsza zinfiltrować przyjęcie na szczycie budynku. Zawłaszczacz pozwolił jednej z najważniejszych osób w tym mieście, Epikowi zwanemu Luką, wydawać przyjęcia w Ostrej Wieży. Profesor podtrzymał tę tradycję.

— Zinfiltrować? — zapytał Abraham. — Jak?

— Przywódcy najważniejszych rodzin w mieście są zapraszani na przyjęcia Luki, w zamian za co przysyłają specjalistów, żeby pomogli je organizować — wyjaśniła Mizzy. — Tia zamierzała dołączyć do tych członków Klanu Manty, którzy już się tym zajmowali.

— To będzie... trudne — orzekł Abraham. — Czy będziemy w stanie to zrobić? Nie cieszymy się zaufaniem żadnego z klanów.

— Będzie gorzej — uprzejmie ostrzegła Mizzy. — Patrzcie.

— Na co? — spytał Cody.

— Mamy tu animację. — Grupka ludzi, przedstawionych jako podskakujące kreseczki, przemknęła ulicą i dołączyła do większej grupy zebranej wokół wieżowca. Te dwie grupy miały niebieski kolor. Jedna weszła do wind z tyłu budynku. Druga użyła tylnych drzwi i dotarła do innego szybu windy. W jakiś sposób pomknęła w górę, pod dach.

— Jak? — zapytałem.

— Wspinaczkowe przyrządy wjazdowe — wyjaśniła Mizzy. — Urządzenia, które zakładasz na linę i jedziesz do góry, trzymając się ich. Widzicie, to jest winda techniczna, gdyż naprawdę ważni ludzie czekają, aż ktoś inny wszystko za nich zrobi. No i kto chce jechać windą ze śmierdzącymi robotnikami, no nie? Ta druga grupa wjeżdża tym szybem na ostatnie mieszkalne piętro.

— A jak my zdobędziemy te... przyrządy wjazdowe? — zapytałem.

— Nie mam pojęcia — odparła Mizzy. — Z pewnością nie można ich kupić w mieście. Myślę, że klan, który przyjął Cię, zapewne zamierzał jakoś je zdobyć.

Siedziałem spięty, rozumiejąc, co Mizzy miała na myśli, mówiąc, że będzie gorzej. Kiedy rozstawaliśmy się z Klanem Manty, Carla i jej towarzysze jasno dali mi do zrozumienia, że nie pomogą uratować Tii. Byli zbyt przestraszeni spotkaniem z Profesorem i postanowili wydostać się z miasta. W przyszłym tygodniu w tajemnicy

opuszczą Ildithię i uciekną.

— To jeszcze nie wszystko — dodała Mizzy. — Do wykonania tej operacji potrzebowalibyśmy tony innego wyposażenia. Zaawansowanego sprzętu hackerskiego, spadochronów, mikserów kuchennych...

— Naprawdę? — wtrącił Cody.

— Uhm.

— Super — rzekł, opadając na taboret.

Ja tak nie uważałem. Patrzyłem, jak plan się rozwija, animowany tymi małymi podskakującymi postaciami. Dwie grupy, działające niezależnie, mające odwrócić uwagę, przeniknąć do środka i wykraść dane — a wszystko tak, żeby Profesor się nie zorientował. To był dobry plan i moglibyśmy go wykorzystać do uwolnienia Tii, zamiast do zdobycia danych.

Tyle, że ten plan był także nierealny.

— Zgromadzenie tego sprzętu trwałoby miesiące — powiedział Abraham, gdy patrzyliśmy, jak postacie skaczą na spadochronach z budynku. — Zakładając, że mielibyśmy czym zapłacić.

— Taak — mruknęła Mizzy, stojąc z założonymi rękami. — Ostrzegałam was. Będziemy musieli wymyślić coś innego, a mamy mniej czasu i zasobów. Paskudnie.

Symulacja zakończyła się i unoszący się przed nami budynek wreszcie dotarł na skraj Ildithii i znikł, roztapiając się jak zapomniana porcja lodów na słońcu.

Wstałem i wyszedłem z pokoju.

Megan zauważyła to pierwsza i szybko mnie dogoniła.

— Davidzie? — zapytała, a potem skrzywiła się, zauważywszy, że jej kurtka jest ubrudzona solą od opierania się o ścianę. Strzepnęła ją, gdy schodziliśmy po schodach na pierwsze piętro.

Pozostali ruszyli za nami. Nic nie mówiłem, prowadząc całą grupę na pierwsze piętro. Tu słyszeliśmy głosy z sąsiedniego budynku. Nasi sąsiedzi szykowali się do wyprowadzki, gdyż ich domy zaczynały się rozpadać.

Odwróciłem się i wszedłem do pokoju Zawłaszczacza, w którym Epik siedział owinięty kocami — chociaż wcale nie było zimno — na fotelu przy kominku, na którym nie rozpalili ognia.

Musiałem rozegrać to spokojnie, ostrożnie, jak prawdziwy przywódca.

Opadłem na jedną z jego kanap.

— No cóż, już po wszystkim. Jesteśmy załatwieni. Przykro mi, o wielki. Zawiedliśmy cię.

— O czym ty gadasz? — zapytał, wyglądając ze swego kokonu.

— Profesor złapał jedną osobę z naszego zespołu — wyjaśniłem. — Zapewne teraz ją torturuje. Wkrótce dowie się o nas wszystkiego, co chce wiedzieć. Do zmroku wszyscy będziemy martwi.

— Idiota! — fuknął Zawłaszczacz, wstając.

Reszta zespołu zgromadziła się w drzwiach.

— Mógłbyś po prostu sam nas pozabijać — powiedziałem do Zawłaszczacza. — Miałbyś satysfakcję, że pozbawiłeś jej Profesora.

Megan posłała mi spojrzenie mówiące: Co ty wyprawiasz, słoneczko?

Już do tego przywykłem.

— Jak to się stało? — zapytał Zawłaszczacz, chodząc po pokoju. — Czy nie powinniście być wyszkoleni i skuteczni? Sprawni! Widzę, że jesteście tak beznadziejni, jak przez cały czas podejrzewałem!

— Hmm — mruknąłem.

— Będę sam w tym mieście — ciągnął. — Nikt inny nie odważy się przeciwstawić Elicie Epików. Postawiłeś mnie w bardzo niedogodnej sytuacji, człowieku.

W ustach Epika była to zniewaga.

— Przykro mi, mój panie — powiedziałem. — Jednak nic już nie możemy zrobić.

— Co, nawet nie zamierzacie spróbować zabić swoją przyjaciółkę?

— No, jest plan, który... — Urwałem. — Zabić?

— Tak, tak. Zamordować ją, żeby nie mogła mówić. To racjonalne rozwiązanie.

— Ach, tak. — Przełknąłem ślinę. — No cóż, mamy plan i to całkiem niezły, ale nie zdołamy go zrealizować. Potrzebne byłyby różne rzeczy, którymi nie dysponujemy. Spadochrony. Manekiny. Sprzęt. — Całkiem dobrze udawałem głupiego. — Oczywiście, gdyby ktoś mógł nam go dostarczyć...

Zawłaszczacz obrócił się do mnie i zmrużył oczy.

Uśmiechnąłem się niewinnie.

— Bezczelny wieśniak — wymamrotał.

— Wy, Epicy, wszyscy mówicie tak samo — zauważyłem. — Chodźcie na jakiś kurs językowy dla niegodziwych dyktatorów czy co? Chcę powiedzieć, kto używa takich...

— To podstęp mający uczynić mnie waszym sługą — przerwał mi Zawłaszczacz, podchodząc do mnie. — Wyraźnie ci mówiłem, że nie wykorzystam swojej mocy, żeby wam służyć.

Wstałem i spojrzałem mu w oczy.

— Tia, należąca do naszego zespołu, została schwytana przez Profesora. Mamy plan, jak ją uratować, ale nie zdołamy go zrealizować bez odpowiedniego wyposażenia. Albo dostarczysz nam przedmioty, których potrzebujemy, albo będziemy musieli wycofać się



z miasta i zrezygnować z walki.

— Nie dam się w to wmieszać — rzekł Zawłaszczacz.

— Już jesteś wmieszany, koleś. Możesz zacząć działać jako członek naszego zespołu albo zostaniesz sam. Może zdołasz przetrwać. Powodzenia! Profesor kazał cię szukać wszystkim bandziorom i Epikom w tym mieście. Lotne kontrole na ulicach ze skanowaniem, wysoka nagroda, twój rysopis rozesłany...

Zawłaszczacz zacisnął zęby.

— A myślałem, że to ja jestem tym złym.

— Nie. Ty jakoś pokonałeś ciemność. Nie jesteś zły, tylko rozpuszczony i samolubny. — Ruchem głowy pokazałem pozostałych. — Przyniesiemy ci spis. Wszystko powinno leżeć w twoich możliwościach. Potrafisz stworzyć... chyba wszystko, co nie jest większe od tej kanapy, tak? W promieniu kilku kilometrów, jeśli dobrze pamiętam. Maksymalny ciężar chyba nie jest istotny.

— Skąd... — Popatrzył na mnie, jakby zobaczył mnie dopiero teraz. — Skąd o tym wiesz?

— Moc materializowania przedmiotów odebrałeś Olśnieniu. Mam o niej duży plik danych.

Ruszyłem do drzwi.

— Masz rację co do jednego! — zawołał za mną Zawłaszczacz. — Nie jestem zły. Tylko ja jeden. Wszyscy inni na tym nędznym, okropnym, zwariowanym świecie są zepsuci. Żli, grzeszni, odrażający... jakkolwiek ich zwać. Zepsuci.

Obejrzałem się przez ramię i znów napotkałem jego spojrzenie. I przysięgam, że w tych oczach ujrzałem ją. Tę ciemność niczym jezioro bez dna. Kipiące nienawiścią, pogardą, potworną żądzą niszczenia.

Myliłem się. Nie pokonał ciemności. Wciąż był jednym z nich. Powstrzymywało go coś innego.

Zaniepokojony odwróciłem się i wyszedłem z pokoju. Mówiłem sobie, że muszę jak najprędzej sporządzić dla niego ten spis, lecz tak naprawdę nie mogłem ani chwili dłużej patrzeć w jego oczy. I chciałem znaleźć się od nich jak najdalej.

## 25

— No cóż, tak — powiedział mi Edmund przez telefon komórkowy. — Kiedy o tym myślę, to coś takiego przydarzyło się i mnie.

— Opowiedzmi o tym — zachęciłem go.

Komórkę miałem przypiętą do rękawa kurtki, słuchawkę w uchu, i sporządzałem spis rzeczy potrzebnych do wykonania zaplanowanej na dziś wieczór operacji. Byłem sam w pokoju naszej nowej, tymczasowej kryjówki. Minęło pięć dni od schwytania Tii i działaliśmy zgodnie z planem. Rozmawiałem z Codym o wykorzystaniu jaskiń pod miastem, ale w końcu zdecydowaliśmy, że nie zostały dostatecznie dobrze zbadane i mogą być nietrwałe.

Tak więc zamiast tam, udaliśmy się do innej kryjówki, zlokalizowanej pod mostem w parku. Chociaż chciałem jak najszybciej dotrzeć do Tii, nie mogliśmy wyruszyć natychmiast. Potrzebowaliśmy czasu, żeby się oswoić i poćwiczyć z nowym sprzętem. Ponadto plan Tii wymagał przyjęcia odbywającego się w Ostrej Wieży, a najbliższe miało być dopiero dziś wieczór. Mieliśmy nadzieję, że Tia zdołała wytrzymać.

— To musiało być... och, dwa lub trzy lata temu — powiedział Edmund. — Moi poprzedni panowie powiedzieli Stalowemu Sercu, że moim słabym punktem są psy. Czasem zamykał mnie z kilkoma. Nie miałem pojęcia dlaczego. Wyglądało na to, że robił to przypadkowo.

— Chciał, żebyś się ich bał — zauważyłem, przeglądając zawartość plecaka i sprawdzając ją z moim spisem. — Jesteś taki zrównoważony, Edmundzie. Czasem wydajesz się nie bać niczego. To zapewne go niepokoiło.

— Och, boję się — odparł. — Jestem jak mrówka wśród słoni, Davidzie. Nie stanowią zagrożenia.

To pewnie nie miało znaczenia dla Stalowego Serca. Utrzymywał Newcago w nieustannym półmroku i ciemności, tylko po to, żeby jego lud żył w strachu. Paranoja była jego drugim imieniem. Aczkolwiek miał tylko jedno — Stalowe Serce — tak więc Paranoja byłaby raczej jego nazwiskiem.

— Cóż — mówił Edmund przez telefon — zamykał mnie z psami. Złymi, groźnymi zwierzętami. Tulilem się do ściany i płakałem. Nigdy do tego nie przywykłem, chyba nawet było coraz gorzej.

— Bałeś się ich.

— Jak mógłbym się nie bać? Odbierały mi moc. Niszczyły mnie, zmieniały w zwykłego człowieka.

Zmarszczyłem brwi, zamknąłem plecak, a potem odczepiłem komórkę, żeby spojrzeć na ekran i zobaczyć Edmunda, starszego pana o brązowej skórze, mówiącego ze słabym hinduskim akcentem.

— I tak oddawałeś swoją moc, Edmundzie — przypominałem. — Jesteś obdarowującym. Dlaczego miałbyś się obawiać utraty mocy?

— Ach, dzięki temu, że byłem cenny dla innych, mogłem żyć w luksusie i względnym

spokoju, podczas gdy inni głodowali i walczyli o życie. Moja moc czyniła mnie ważnym, Davidzie. Przerazała mnie możliwość jej utraty.

— Przerazały cię psy, Edmundzie.

— Właśnie to powiedziałem.

— Owszem, ale może mylisz się co do powodu. A jeśli nie bałeś się psów dlatego, że pozbawiały cię mocy, ale pozbawiały cię mocy, ponieważ się ich bałeś?

Odwrócił wzrok.

— Koszmary? — spytałem.

Skinął głową. Widziałem tylko część pomieszczenia, w którym się znajdował; jakaś kryjówka na przedmieściach Newcago, o której nie wiedział Profesor. Nie mogliśmy się skontaktować z Edmundem, dopóki Knighthawk nie dostarczył mu nowej komórki, przesyłając ją dronem. Na nasze polecenie wyłączył starą i już jej ponownie nie włączył. Twierdził, że zrobił to tylko z ostrożności, na wypadek gdyby nasz atak na Foundry się nie powiódł. Jeszcze jeden jego mały bunt.

— Koszmary — powtórzył, wciąż nie patrząc w ekran. — Polują na mnie. Szczęzą kły, szarpiają, rozrywają...

Dałem mu chwilę i znów zająłem się swoją pracą. Gdy przyklęknąłem, coś wymknęło się z dekoltu mojej koszulki. Medalik, ten który dał mi Abraham, ze stylizowaną literą S. Symbol wiary, według której przyjdą dobrzy Epicy.

Nosiłem go. W końcu naprawdę wierzyłem w Epików. Tak jakby. Schowałem medalik pod koszulkę. Sprawdziłem już trzy plecaki: zostały jeszcze dwa. Nawet Cody, który miał nadzorować przebieg operacji z daleka, potrzebował zestawu awaryjnego na wypadek, gdyby coś poszło źle. Nasza nowa kryjówka — pospiesznie skonstruowane trzy pomieszczenia pod mostem w mało uczęszczanym parku — nie była tak bezpieczna jak poprzednia i nie chcieliśmy niczego w niej zostawiać.

Musiałem to skończyć, ale chciałem widzieć Edmunda, nie tylko go słuchać. To była ważna rozmowa. Zastanawiałem się chwilę, a potem zauważyłem jedną z maskujących czapek Cody'ego leżącą na stercie sprzętu, który przewieźliśmy wózkami z poprzedniej kryjówki.

Uśmiechnąłem się, wziąłem taśmę klejącą i zawiesiłem swoją komórkę pod daszkiem czapki. Zużyłem prawie pół rolki taśmy, ale co tam. Kiedy założyłem czapkę na głowę, komórka wisiała przede mną jak wyświetlacz przezierny hełmu. Cóż, bardzo prymitywny wyświetlacz. Tak czy inaczej, oznaczało to, że mogę patrzeć na Edmunda i mieć obie ręce wolne.

— Co robisz? — spytał, marszcząc brwi.

— Nic — odparłem, wracając do pracy, z komórką dyndającą przed moim nosem. — Co

się stało z tymi psami, Edmundzie? W dniu, kiedy wszystko się zmieniło. Kiedy stawiałeś im czoło.

— To głupie.

— Powiedz, mimo wszystko.

Zdawał się rozważać sytuację. Nie musiał mnie słuchać, nie kiedy byliśmy tak daleko od siebie.

— Proszę, Edmundzie — zachęciłem.

Wzruszył ramionami.

— Jeden z psów rzucił się na małą dziewczynkę. Ktoś otworzył drzwi, żeby mnie wypuścić i... cóż, znałem ją. Była dzieckiem jednego z moich strażników. Kiedy zwierzę rzuciło się na małą, powstrzymałem je. — Zaczerwienił się. — To był jej pies. Nie atakował jej. Po prostu ucieszył się na widok swojej pani.

— Stawiałeś czoło swojemu lękowi — powiedziałem, otwierając następny plecak i sprawdzając jego zawartość ze spisem. — Podjąłeś walkę z tym, co cię przerażało.

— Zapewne to jedyne wyjaśnienie — przyznał. — Ponieważ po tym wydarzeniu coś się zmieniło. Teraz obecność psów nadal osłabia moją moc, ale nie pozbawia mnie jej całkowicie. Zakładałem, że się myliłem, że może moja słabość była w rzeczywistości jakimś rodzajem alergii na zwierzęta lub czymś takim. Jednak nie mogłem z tym eksperymentować, nie zdradzając wszystkim wokół, co robię.

Czy to zdarzyłoby się także Megan? Czy z czasem ogień przestałby pozbawiać ją mocy? Jej słabość wciąż na nią działała, ale Megan potrafiła odeprzeć ciemność. Może to, czego doświadczył Edmund, było następną fazą procesu.

Zapiąłem plecak i postawiłem go obok innych pod ścianą.

— Powiedz mi — rzekł Edmund. — Dlaczego, jeśli psy są moim słabym punktem, urządzenia z ogniwami naładowanymi moją mocą nie zawodzą w pobliżu psów?

— Hmm? — mruknąłem z roztargnieniem. — Och, zasada dużego rozproszenia.

— Co takiego?

— Im bardziej oddalasz się od Epika, tym jego słabość ma coraz mniejszy wpływ na jego moc — wyjaśniłem, zapinając czwarty plecak. — Tak jak w Newcago, kiedy moc Stalowego Serca przestała działać we wszystkich miejscach, gdzie ktoś się go nie obawiał, nie zdołał zamienić całego miasta w stal. Większość mieszkańców miasta nie wiedziała, kim jest, i nie bała się go. Tak więc wszędzie były miejsca niezmienione w stal.

— Ach... — mruknął Edmund.

Wstałem i umieściłem kolejny plecak przy innych. Czapka nie działała tak dobrze, jak chciałem — była zbyt obciążona z przodu i wciąż zsuwała mi się na oczy.

Potrzebny jest balast — zdecydowałem. Wziąłem taśmę klejącą i zużyłem jej resztę do

przymocowania manierki z tyłu czapki. Znacznie lepiej.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Edmund.

— Uhm. Dzięki za informacje.

— Możesz się zrewanżować — powiedział — wyrażając zgodę na przekazanie mnie innemu panu.

Znieruchomiałem, trzymając w ręku kartonowy wałek po zużytej rolce taśmy.

— Myślałem, że lubisz nam pomagać.

— Stajecie się coraz słabsi. — Wzruszył ramionami. — Nie możecie mnie już dłużej ochraniać, Davidzie. Mam dość chowania się w tym pokoiku. Wolałbym służyć jakiemuś Epikowi z Elity, który potrafiłby się o mnie zatroszczyć. Słyszę, że Nocny Smutek wciąż ma dominującą pozycję.

Zrobiło mi się niedobrze.

— Możesz odejść, Edmundzie. Nie powstrzymam cię.

— Mam ryzykować, że mnie zamordują? — Uśmiechnął się zaciśniętymi wargami. — Na zewnątrz jest niebezpiecznie.

— Umknąłeś przed ciemnością, Edmundzie — oznajmiłem. — Poznałeś jej tajemnicę wcześniej niż ktokolwiek inny. Jeśli nie chcesz uciekać, to dlaczego po prostu nie przyłączysz się do nas? Nie chcesz zostać członkiem zespołu?

Podniósł jakąś książkę, odwracając się plecami do ekranu.

— Bez urazy, Davidzie, ale to wygląda na koszmarną awanturę. Daruję sobie.

Westchnąłem.

— Wyślemy ci następną dostawę — rzekłem. — Chociaż Knighthawk może zechce, żebyś naładował mu kilka ogniów.

— Robię, co mi każą. Jednak sądzę, że mylisz się co do jednego aspektu mocy. Twierdzisz, że mój lęk przed psami był powodem mojej słabości, ale przed pojawieniem się Calamity nie obawiałem się ich. Chociaż ich nie lubiłem. Może nawet nienawidziłem. Lecz ten strach? Zdawał się rosnać wraz z moją mocą. Jakby ona... potrzebowała czegoś, czego może się bać.

— Jak woda — szepnąłem.

— Hmm?

— Nic. — To było głupie. Calamity nie mogła mnie wtedy obserwować. — Jeszcze raz dziękuję.

Skinął głową, a potem wyłączył komórkę. Przyklęknąłem i sprawdziłem zawartość ostatniego plecaka, a następnie postawiłem go przy innych. Gdy to robiłem, do pokoju zajrzała Megan. Zawahała się w progu, patrząc na mnie ze zdziwieniem i z lekko rozchylonymi ustami, jakby zapomniawszy, co chciała powiedzieć.

Czapka — uświadomiłem sobie. Zdjąć ją czy udawać, że to nic takiego? Wybrałem połowiczne rozwiązanie i sięgnąwszy ręką, oderwałem komórkę od taśmy klejącej, lecz nie zdjąłem czapki. Spokojnie przyczepiłem komórkę do ramienia.

— Tak? — zapytałem, ignorując metry srebrzystych kawałków wiszące mi przed oczami.

Czapka zsunęła się do tyłu, teraz zbyt obciążona manierką. Złapałem ją i umieściłem na miejscu.

*Taak. Zręcznie.*

— Nie zamierzam pytać — powiedziała. — Skończyłeś tu?

— Właśnie sprawdziłem ostatni. I odbyłem przyjemną pogawędkę z Edmundem. Jego doświadczenia pokrywają się z twoimi.

— Zatem nie można na dobre pozbyć się słabości.

— No cóż, jego słabość najwidoczniej zanikała z czasem.

— To już coś. My jesteśmy gotowi.

— Dobrze.

Wstałem i podniosłem plecaki.

— Ty nie... nie zamierzasz nosić tej czapki podczas akcji, prawda?

Niedbałym gestem zdjąłem czapkę z głowy — choć musiałem ją mocno szarpnąć, bo taśma przykleiła mi się do włosów — po czym napiłem się wody z manierki. Z wciąż przyklejoną do niej czapką.

Ponownie założyłem czapkę i naciągnąłem ją na czoło.

— Ja tylko sprawdzam pewien pomysł.

Przewróciła oczami i wyszła. Natychmiast odrzuciłem czapkę w kąt, a potem poszedłem za Megan, ciągnąc wózek z plecakami.

Cały zespół zebrał się w największym pokoju oświetlonym słabą poświatą komórek. Ta baza miała tylko jedną kondygnację. Po obu stronach tego dużego pomieszczenia znajdowały się dwa mniejsze. Mizzy i Abraham mieli na sobie kombinezony szturmowe, wyszczuplające i dopasowane, z pochłaniaczami ciepła w talii i zaopatrzonymi w gogle kapturami do zasłaniania twarzy.

— Superdrużyna gotowa do akcji — zameldowała Mizzy, gdy dałem jej i Abrahamowi ich plecaki, które były najcięższe.

— Co się stało z „drużyną jeden”? — zapytałem.

— Najwyraźniej nie była dostatecznie super — odparła. — Zastanawiałam się nad „czarną drużyną”, ale doszłam do wniosku, że byłoby to rasistowskie albo coś w tym rodzaju.

— Czy nie jest w porządku, jeśli sami nazywacie się czarnymi? — spytała Megan

z założonymi na piersi rękami oparta o ścianę. — Skoro oboje jesteście Afroamerykanami?

— Kanadyjkami — poprawił ją Abraham.

— Taa — mruknęła Mizzy. — Może to w porządku, jeśli sama wybiorę tę nazwę? Naprawdę, nie pamiętam, w czym rzecz. Ludzie przed Calamity bardzo przejmowali się kwestiami rasowymi. No cóż, dobrze wiedzieć, że nie wszystko jest teraz gorsze niż kiedyś. Wtedy też bywało paskudnie. Tak jakby bez Epików wszyscy szukali jakichś innych powodów do kłótni. Rasa, narodowość... och, i drużyny sportowe. Poważnie. Jeśli cofniecie czas, nie odtwarzajcie drużyn sportowych.

— Postaram się o tym pamiętać — obiecałem, wręczając Cody'emu jego plecak.

Chciałbym, żeby te sprawy, o których wspomniała, pozostały przeszłością, lecz sposób, w jaki Ildithianie dzielili się na klany, wskazywał, że nawet przy Epikach nadal potrafiliśmy spierać się o kwestie rasowe.

Cody wziął swój plecak. Miał na sobie maskujący kombinezon, karabin snajperski na ramieniu i Hermana — namnażalnik kryształów — przyczepiony do pasa. Użyje go do stworzenia z soli ukrytego stanowiska dowodzenia na dachu budynku w pobliżu Ostrej Wieży. W razie potrzeby może zdoła nas osłonić, strzelając z karabinu.

Zaproponowałem, że ja to zrobię, ale Mizzy i Abraham potrzebowali kogoś, kto będzie mógł sprawdzać pliki oraz wykresy i podawać im szczegóły. Tak więc dołączyłem do drużyny Megan i nie narzekałem z tego powodu. Wmieszamy się między gości, chociaż będziemy musieli zmienić plan Tii i wybrać jedną z możliwych dróg ucieczki jako sposób dostania się do środka.

Dałem Megan jej plecak.

— Wszyscy gotowi?

— Po niecałym tygodniu treningu bardziej już nie można — odparł Abraham.

— A co ze mną? — zapytał ktoś.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Zawłaszczacza stojącego w drzwiach bocznego pokoju. Umieblował go w swój ulubiony sposób, chociaż z mniejszą liczbą kanap. Część masy, którą wykorzystywał do materializowania przedmiotów, poświęcił na stworzenie sprzętu dla naszego zespołu.

— Chcesz iść z nami? — zapytałem ze zdziwieniem.

Przeszył mnie wzrokiem.

— A jeśli ktoś się tu zjawi, gdy was nie będzie? — rzekł. — Opuuszczacie mnie.

— Na skry — mruknąłem. — Jesteś gorszy niż Edmund. Jeśli ktoś się pojawi, przybierzesz ponętą postać i odciągniesz go stąd. To jedna z twoich umiejętności, prawda?

— To boli — odparł, zakładając ręce na piersi. — Nie lubię tego robić.

— Och, na rany... — Potrząsnąłem głową i odwróciłem się do mojego zespołu. — Zrobmy to.

## 26

Ostra Wieża wznosiła się w noc ciemnym konturem, poza najwyższymi piętrami oświetlonymi od wewnątrz. Sól w tym rejonie była popielatoszara, tak więc górne piętra wydawały się jednocześnie jasne i ciemne. Niczym czarna dziura w karnawałowej czapce.

Megan i ja podeszliśmy do niej z plecakami na ramionach i nowymi twarzami wziętymi z innego wymiaru. Tego rodzaju iluzje przychodziły jej z łatwością i mogła podtrzymywać je w nieskończoność, dopóki zanadto się od niej nie oddaliłem. Mimo woli próbowałem zrozumieć, jak to działa. Czy te twarze należały do jakichś przypadkowo wybranych osób? Czy może do ludzi, którzy w swoim wymiarze zmierzali tam, gdzie my?

Spora liczba osób zgromadziła się na parterze budynku. Przez stare okna, zrobione z cieńszej soli, wpadała ciepła poświata, a część drzwi otwarto, żeby mogła wejść śmietanka towarzyska. Przystanąłem, obserwując kolejną przybywającą grupę dowiezioną rikszami.

Byli ubrani w stylu mieszkańców Newcago: kobiety miały krótkie, mieniące się suknie z lat dwudziestych i jaskrawy makijaż, a mężczyźni garnitury w paski i kapelusze, jak na starych filmach. Niemal oczekiwałem, że wniosą pistolety automatyczne w futerałach od skrzypiec. Zamiast tego ich ochroniarze mieli glocki i P30.

— Darren? — przerwała mi te rozmyślenia Megan, używając mojego przybranego imienia.

— Przepraszam — powiedziałem. — To mi przypomina Newcago.

Wspomnienia z czasów młodości były ciężkim bagażem.

Gości czekających na windę, która zawiezie ich na przyjęcie na górze, zabawiano na parterze. Z głośników sączyła się muzyka, która spodobałaby się Mizzy: mnóstwo bębnienia i pobrzękiwania. Zdawała się nie pasować do eleganckich wieczorowych strojów. Roznoszono martini i kawior. Kolejna oznaka dobrobytu i władzy.

Jeszcze nigdy nie piłem martini. Przez lata myślałem, że to marka samochodu.

Razem z Megan ostro skręciliśmy w prawo i obeszliliśmy budynek, zmierzając do mniejszych drzwi na jego tyłach. Zamiast próbować się wmieszać w tłum bogaczy i wjechać windą, postanowiliśmy wybrać mniej pilnowaną drogę. Plan Tii przewidywał awaryjne wsparcie przez wysłanie drugiej drużyny na górę ze służbą.

Dzięki plikom w danych Tii zdołaliśmy podrobić zaproszenia, a pytając Klan Manty,



ustaliliśmy, że nikogo nie wysyłają na to przyjęcie. Byli oczekiwani, ale zbyt zajęci przygotowaniami do opuszczenia miasta.

To zostawiało lukę, przez którą może uda nam się dostać. Na tyłach wieżowca zastaliśmy ludzi z mniej uprzywilejowanej kasty, czekających na mniejszą służbową windę.

— Gotowi? — zapytałem.

— Gotowa — odparła Megan. Zawtórowały jej głosy Mizzy i Abrahama w mojej słuchawce wetkniętej pod iluzoryczne włosy, którymi obdarzyła mnie Megan. Knighthawk był przekonany, że połączenie będzie bezpieczne. Profesor podsłuchiwał nasze rozmowy w Babilarze, ale w tym celu musiał umieścić pluskwy w aparatach, które już wymieniliśmy.

— Wchodzimy — powiedziałem.

Ja i Megan ruszyliśmy biegiem. Dobiegliśmy do personelu pilnującego tylnych drzwi i zatrzymaliśmy się, ciężko dysząc jakby ze zmęczenia.

— Kim jesteście? — zapytał strażnik.

— Dekoratorami tortów — odparła Megan, pokazując mu zaproszenie, które dla takich pracowników jak my było raczej wezwaniem. — Klan Manty.

— Najwyższy czas — warknął strażnik. — Przejdziecie rewizję i wyśle was na górę następnym kursem.

Luka uwielbiała babeczki. Klan Manty zawsze przysyłał paru dekoratorów ciast, nawet jeśli Carla ani żadna inna ważna osoba z klanu nie uczestniczyła w przyjęciu.

Serce waliło mi jak młotem, gdy podeszliśmy i zdjęliśmy plecaki. Groźnie wyglądająca kobieta zaczęła rozpinać kieszenie.

— Faza pierwsza, przejście — cicho powiedziała Megan do mikrofonu, gdy strażniczka wyjęła nasze kuchenne miksery i z łoskotem położyła je na stole. Dołączyły do nich różne przybory do dekorowania ciast. Nawet nie znałem nazw większości z nich, nie mówiąc już o tym, jak ich używać. To wszystko nauczyło mnie jednego: dekorowanie ciast to poważna sprawa.

Po szybkiej rewizji zapakowaliśmy sprzęt i zostaliśmy poprowadzeni na czele innych pracowników do ciemnego pomieszczenia o solnych ścianach i z szybem windy. Szyb nie miał drzwi, co wydawało się bardzo niebezpieczne.

— My też jesteśmy w środku — rzekł Abraham. — Piętro wyżej.

Dostali się tam, używając Rtich — Abraham stworzył schody z rtęci na piętro — a potem wytopili sobie drogę przez okno, korzystając ze specjalistycznej myjki wyrzucającej cienki strumień wody pod ciśnieniem wystarczającym, żeby przeciąć kamień. Wycięli nim jedno z okien z soli.

Megan i ja zostaliśmy wsadzeni do windy, która była małą, prowizoryczną kabiną oświetloną jedną gołą żarówką. Dołączyło do nas troje innych pracowników, kelnerów w białych uniformach.

— Teraz — szepnąłem.

Wydawało mi się, że czuję, jak kabina zadrżała, gdy Abraham i Mizzy przyczepili się do lin nad nami. Założyli na nie przyrządy, które zrobił dla nas Zawłaszczacz.

Po kilku sekundach gdzieś w oddali zawarczał silnik i zaczęliśmy się wznosić. Jazda była powolna i nużąca, gdyż nie było na co patrzeć — na większości pięter nadal były drzwi, co świadczyło o tym, że te kondygnacje nie były używane. Mizzy i Abraham będą musieli zwalniać tempo wjazdu przed każdym z górnych pięter, żeby wyjrzeć i upewnić się, że nikogo tam nie ma.

Kabina drżała i trzęsła się, chwilami ocierając się o ściany szybu i odrywając kawałki soli. A jeśli urządzenie Mizzy lub Abrahama zawiedzie i spadną? A jeśli zobaczą kogoś na którymś z górnych pięter, gdzie szyb windy nie ma drzwi i będą zmuszeni czekać, ryzykując, że sunąca w górę kabina wypchnie ich i ujawni? Otarłem czoło i moją dłoń ubrudził solny pył zmieszany z potem.

— Jesteśmy bezpieczni — zameldował Abraham. — Żadnych problemów. Odczepiamy się na sześćdziesiątym siódmym piętrze.

Odprężyłem się z westchnieniem. Po kilku minutach minęliśmy piętro, na którym wysiedli Mizzy i Abraham, ale nie zobaczyliśmy ich tam. Musieli jeszcze pokonać parę pięter, zanim dotrą do celu na siedemdziesiątym, ale plan Tii wskazywał, że będzie ono słabiej strzeżone, a Zawłaszczacz to potwierdził.

Odetchnąłem z ulgą, gdy oblało nas światło siedemdziesiątego piętra. Naszym celem była stara restauracja na szczycie wieży.

Wysiedliśmy. Kelnerzy pospieszyli dołączyć do innych, którzy już roznosili tace z przekąskami. Megan i ja zanieśliśmy nasze plecaki do kuchni, gdzie legion kucharzy przygotowywał dania na płytach grzewczych i patelniach. Na suficie umieszczono duże lampy zalewające pomieszczenie sterylnym białym światłem, a większość podłogi i blatów pokryto plastikiem. Zastanawiałem się, co robią, gdy chcą posolić zupę. Zeskrobują trochę soli ze ściany?

Wszystko było zasilane kilkoma grubymi kablami, które odchodziły od zestawu ogniów. Poważnie, było ich tu mnóstwo. Chcąc podłączyć jakieś urządzenie, musiałbyś odłączyć dwa inne przewody, co moim zdaniem było sprzeczne z jakimś prawem fizyki.

Megan próbowała uzyskać informację od przechodzącego kelnera, ale przerwał jej okrzyk:

— Tu jesteście!

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy imponującą postać szefa kuchni, który miał ponad dwa metry wzrostu. Idąc, musiał schylać głowę, żeby nie uderzyć nią w lampy na suficie. Krzywił się tak, jakby właśnie zjadł cytrynę i popił zaprawą do marynat.

— Klan Manty? — ryknął.

Skinęliśmy głowami.

— Nowe twarze. Co się stało z Suzy? No, nieważne.

Złapał mnie za ramię i przeciągnął przez salę do mniejszego bocznego pomieszczenia, gdzie przygotowali składniki. Stała tam kobieta w kucharskiej czapce, z bezradną miną spoglądając na tacę z rozmrożonymi babeczkami. W spoconych dłoniach trzymała wyciskacz kremu i szeroko otwartymi oczami patrzyła na babeczki, jakby to był rząd małych głowic jądrowych opatrzonych napisem „nie rzucać”.

— Przybyli dekoratorzy — rzekł postawny szef. — Upiekło ci się, Rose.

— Och, dzięki Bogu — powiedziała młoda kobieta. Odłożyła wyciskacz i uciekła.

Szef kuchni poklepał mnie po ramieniu i odszedł, pozostawiając nas samych.

— Dlaczego mam wrażenie, że jest coś, czego nam nie mówią? — odezwała się Megan.

— Ta kobieta patrzyła na te babeczki, jakby to były skorpiony.

— Racja — mruknąłem. — Skorpiony.

Przyglądała mi się.

— Albo małe głowice jądrowe — ciągnąłem. — To też zadziała, no nie? Oczywiście, można by przyczepić skorpiona do głowicy jądrowej i wtedy ładunek byłby jeszcze groźniejszy. Próbujesz rozbroić głowicę, a tutaj skorpion...

— No dobrze, ale dlaczego? — spytała Megan, kładąc plecak na szafce z plastikowym blatem.

— Hmm? Och. Luka kazała stracić już trzech dekoratorów za przyrządzanie kiepskich deserów. Wyczytałem to w notatkach Tii. Ta kobieta naprawdę lubi babeczki.

— I nie wspomniałeś o tym, ponieważ...

— To nieistotne — odrzekłem, rozpakowując swój plecak. — Nie zabawimy tu tak długo, żeby przygotowywać desery.

— No tak, bo nasze operacje zawsze przebiegają zgodnie z planem.

— A co? Miałem ukończyć przyspieszony kurs dekorowania ciast?

— Faktycznie — przesłał Cody — jestem całkiem niezłym dekoratorem, jeśli chcecie wiedzieć.

— Jestem tego pewna — powiedziała Megan. — Zamierzasz opowiedzieć nam, jak musiałeś przygotować babeczki dla szkockiego króla?

— Nie bądź głupia, mała — zbulgotał Cody. — To był król Maroka. Babeczki są za małe dla Szkota. Daj mu jedną, a zapyta, dlaczego nie zastrześliłeś rodziców tego

maleństwa i nie podałeś na stół.

Uśmiechnąłem się. Megan natomiast zdemontowała bok miksera i spokojnie wyjęła ukryte w nim dwa pistolety marki Beretta oraz parę tłumików. Jej mikser nie działał — jego wnętrzości zostały usunięte, żeby schować w nim broń. Tia uważała, że to uzasadnione ryzyko, gdyż strażnicy rewidujący na dole pracowników nie mieli do czego ich podłączyć.

Oboje nakręciliśmy tłumiki, po czym wetknęliśmy pistolety do kabur pod pachą. Podłączyłem mój mikser, który działał; jego głośny warkot sugerował, że pracujemy. Na wszelki wypadek wrzuciłem do miski kilka składników, a potem rozłożyłem na blacie przybory dekoratorskie.

Z naszej salki osobne drzwi prowadziły na główną salę, co było bardzo dogodne. Wyjrzałem przez nie, a Megan w tym czasie rozebrała zasilacz swojego miksera i wyjęła zeń małe urządzenie podobne do komórki.

Lekko uchylilem drzwi, żeby popatrzeć na gości. Kuchnia znajdowała się na samym środku siedemdziesiątego pierwszego piętra, co było istotne, gdyż część podłogi na zewnątrz obracała się.

Obrotowa restauracja: jeden z tych dziwacznych pomysłów z czasów sprzed Calamity, w których istnienie nieraz trudno mi było uwierzyć. Niegdyś zwykli ludzie mogli przychodzić tu na dobry posiłek i w jego trakcie spoglądać na miasto. Ta restauracja na szczycie wieżowca była jak koło z nieruchomą piastą i obracającym się wokół niej pierścieniem podłogi. Zewnętrzne ściany też były nieruchome. Sufit w niektórych miejscach był dachem wieżowca znajdującym się dwa piętra wyżej, a półpiętra nad nami wykorzystano tylko do zamocowania oświetlenia.

Przemiana w sól zdecydowanie zaszkoziła maszynierii obrotowej restauracji, szczególnie silnikom i przewodom. Jej ponowne uruchomienie z pewnością wymagało wytężonej pracy robotników, inżynierów oraz pomniejszego Epika zwanego Helem, który miał zdolność lewitacji. Luka co tydzień zadawała sobie wiele trudu, żeby zrobić coś specjalnego — coś niezwykłego. Bardzo Epikowe podejście.

Zauważyłem tę kobietę siedzącą samotnie przy jednym ze stolików obrotowej części. Była szczupła i obcięta na pazia. Ładne dopełnienie stroju w stylu lat dwudziestych.

Tutaj bawiono się spokojniej niż na parterze, żadnej głośnej muzyki, tylko kwartet smyczkowy. Ludzie siedzieli przy stołach nakrytych białymi obrusami, czekając na posiłek. W innych miejscach stoły i krzesła z soli odsunięto na bok, żeby umożliwić tańczenie, ale nikt się do tego nie kwapił. Każdy stolik był udziałem księstwem z Epikiem jako władcą otoczonym sługusami.

Zauważyłem kilku pomniejszych Epików, notując w pamięci, że wciąż żyją — co

oznaczało, że przyłączyli się do Profesora, zamiast uciec z miasta. Zaskakujące, ale była tam Nawałnica, młoda Azjatka siedząca na podium. Widocznie odsiedziała już swoje w więzieniu Profesora i została wypuszczona. Najwyraźniej Profesor pokazywał ją na dowód tego, że to on teraz rządzi w Ildithii. Aczkolwiek naprawdę była mu potrzebna. Bez jej mocy nie byłoby plonów i luksusów, a nawet podstawowych środków do życia.

Pokręciłem głową. Z tego miejsca nie widziałem całego pomieszczenia, gdyż miało kształt pierścienia, ale w tej połowie nie było Profesora i wątpiłem, by znajdował się w drugiej. Mało prawdopodobne, żeby pojawił się na takim przyjęciu.

— Jesteśmy na miejscu — cicho zameldowała Mizzy. — Dotarliśmy na siedemdziesiąte piętro.

To tam mieściły się pokoje, w których była przetrzymywana Tia, i apartamenty Profesora. Te pomieszczenia znajdowały się po przeciwległych stronach budynku, więc może uda nam się uwolnić Cię i zniknąć, zanim on zda sobie sprawę z tego, że tam jesteśmy. Jej pierwotny plan obejmował wywabienie go z jego apartamentów, żeby mogła niepostrzeżenie wykraść informacje, ale teraz nie musieliśmy się tym przejmować.

— Przyjąłem — rzekł Cody. — Dobra robota, superdrużyno. Zaczekajcie, aż David lub Megan wyda rozkaz.

— Tak — powiedziała Mizzy. — Nie ma obawy, że moglibyśmy zrobić coś innego. Tutaj dosłownie roi się od kamer. Kombinezony maskujące nie wystarczą, żeby przedostać się dalej.

— Będziemy gotowi do trzeciej fazy — oznajmiłem. — Tylko dajcie nam...

Zamilkłem i opadła mi żuchwa, gdy zauważyłem coś w głównej sali.

— Davidzie? — spytał Cody.

Ktoś znalazł się w polu mojego widzenia, siedząc na tronie, otoczony przez kobiety w obcisłych sukniach. Mężczyzna w długim czarnym płaszczu, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona. Siedział we władczej pozie, trzymając dłoń na rękojeści miecza, który sterczał przed nim jak berło.

Znikający. Człowiek, który zniszczył Houston i Kansas City i próbował zmieść z powierzchni ziemi Babilar. Był narzędziem, za pomocą którego Regalia wepchnęła Profesora w ciemność. Był tutaj.

Napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się.

w porządku. Miałem fałszywą twarz. Znikający nie rozpoznał mnie. Był po prostu świrem, który lubił tak patrzeć na...

Znikający pojawił się przede mną. Jak przy każdej jego teleportacji zmaterializował się w mgnieniu oka. Megan zakłęła i odskoczyła, gdy Znikający położył dłoń na moim ramieniu.

— Witaj, zabójco demonów — powiedział.

— Ja... — Oblizalem wargi. — O Epiku z Elity, chyba pomyliłeś mnie z kimś innym.

— Ach, Zabójco Stalowego Serca — rzekł. — Twoje rysy mogą się zmienić, ale oczy i widoczny w nich głód są takie same. Przybyłeś, żeby zniszczyć Limelighta. To oczywiste. „Albowiem przybyłem tu, by obrócić syna przeciwko ojcu, a córkę przeciw matce...”

Z cichym trzaskiem bezpiecznika Megan przytknęła berettę do skroni Znikającego. Nie strzeliła. To zwróciłoby na nas uwagę i zniweczyło nasz plan. Ponadto on po prostu teleportowałby się, zanim trafiłaby go kula.

— Co tu robisz? — zapytałem.

— Zostałem zaproszony — z uśmiechem odparł Znikający. — Limelight posłał po mnie, tak więc musiałem się pojawić. Jego argument był bardzo... przekonujący.

— Argument... — powtórzyłem. — Na skry. Ma motywator oparty na twojej mocy.

Knighthawk mówił, że jeśli spróbujesz skonstruować takie urządzenie wykorzystujące moc żywego Epika, to będzie działać, ale sprawiając im straszny ból i przyciągając.

— Tak, istotnie użył jednego z tych... urządzeń, żeby mnie wezwać. Chyba chce umrzeć, Zabójco Stalowego Serca. Tak jak my wszyscy, w głębi duszy.

Regalia widocznie zrobiła co najmniej jeszcze jedną bombę wykorzystującą moc Znikającego — oprócz tych przeznaczonych dla Babilaru i Kansas City. Bombę, którą teraz miał Profesor. Zapewne ładował ją światłem słonecznym. Zakładałem, że właśnie to przyciągnęło Znikającego.

To oznaczało, że gdzieś w tym mieście jest urządzenie mogące w mgnieniu oka je zniszczyć. Byłoby straszne, gdyby Profesor zrezygnował z człowieczeństwa, chroniąc Babilar, a zniszczył Ildithię.

Znikający obserwował nas spokojnie. Kiedy rozstawaliśmy się ostatnio, długo mnie ścigał, usiłując zabić. Na szczęście zdawał się nie żywić urazy.

Jednak musiałem coś mu wyjawić.

— Znasz tajemnicę słabego punktu — powiedziałem.

— Istotnie — odparł. — I bardzo ci za to dziękuję. Ich sny zdradzają ich, tak więc mogę nadal wykonywać zbożne dzieło. Muszę tylko odkryć, czego się boją.

— Mówisz o uwolnieniu świata od Epików — powiedziała Megan.

— Nie — rzekłem, patrząc Znikającemu w oczy. — Mówi o uwolnieniu świata od

wszystkich.

— Nasze ścieżki się zbiegły, Zabójco Stalowego Serca — powiedział Znikający. — W końcu będziemy musieli się zetrzeć, lecz dziś możesz kontynuować swoją misję. Bóg uczyni ten świat czystym jak szkło, ale dopiero gdy wypali zło... a my jesteśmy Jego ogniem.

— Niech to szlag, jesteś stuknięty — rzuciła Megan.

Posłał jej uśmiech.

— „I nie będzie nocy, ani potrzeby świec czy słońca; albowiem Pan Bóg obdarzy ich światłem”.

Z tymi słowami znikł. Jak przy każdej teleportacji pozostawił za sobą swój posąg z jaśniejącej białej porcelany, który po sekundzie rozpadł się i szybko wyparował.

Opadłem na futrynę drzwi, ale Megan złapała mnie za rękę i podtrzymała. Na skry. Jakbyśmy mieli mało powodów do niepokoju.

— Gdzie te ciastka! — zawołał głos z sąsiedniej sali. — Ruszajcie się, słoneczka. Ona domaga się swoich ciastek.

Postawny szef kuchni wpadł do naszej spiżarki. Megan błyskawicznie obróciła się do niego, chowając pistolet za plecami. I nagle wcześniej przyniesione babeczki były wymyślnie ozdobione kremem.

Szef odetchnął z ulgą.

— Chwała niebiosom — powiedział, chwytając tacę. — Dajcie mi znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

Odszedł. Obserwowałem to z przerażeniem, obawiając się, że kiedy oddali się od Megan, krem zniknie. Ona oparła dłoń na blacie szafki, zachwiała się i teraz to ja ją podtrzymałem.

— Megan?

— Ja... chyba udało mi się stworzyć trwałe złudzenie — powiedziała. — Na skry, to więcej, niż zrobiłam od bardzo dawna. Już zaczyna boleć mnie głowa.

Skórę miała lepką od potu i mocno pobladła.

Trzeba przyznać, że to było niesamowite.

— Wyobraź sobie, co mogłabyś zrobić, mając większą wprawę!

— No, zobaczymy. — Zamilkła i po chwili dodała: — Davidzie, chyba znalazłam wymiar, w którym nie jesteś ekspertem od broni, ale od ciasteczek.

— O!

— Taak — ciągnęła, prostując się. — Jednak w całej nieskończoności nie znalazłam wymiaru, w którym umiałbyś się dobrze całować.

— To nie fair — zauważyłem. — Zeszłej nocy nie narzekałaś.

— Wepchnąłeś mi język do ucha, Davidzie.

— To miało być romantyczne. Widziałem to na jakimś filmie. Coś jak... namiętny mokry ptaszek.

— Wiecie, że ja to wszystko słyszę, co? — zapytał Cody.

— Zamknij się, Cody — powiedziała Megan, wtykając pistolet do kabury pod pachą. — Ostrzeż Abrahama i Mizzy, że napotkaliśmy tu Znikającego. Przechodzimy do trzeciej fazy operacji.

— Przyjąłem — rzekł Cody. — Davidzie...

— Tak?

— Jeśli kiedyś wetkniesz mi język do ucha, odstrzelę ci jaja.

— Dzięki za ostrzeżenie — wymamrotałem, po czym zacząłem się rozbierać.

Pod obszernymi dzinsami miałem eleganckie spodnie, a pod kurtką koszulę zapinaną na guziki. Megan rzuciła mi swoją kurtkę; oderwałem podszewkę, zmieniając kurtkę we frak.

Potem zdjęła sweter, odsłaniając suknię, którą miała zrolowaną w talii. Następnie spodnie, pod którymi nosiła obcisłe rowerowe spodenki. Pospiesznie obciągnęła suknię, zakrywając nogi.

Starąłem się nie gapić. Albo, no cóż, robić to ukradkiem. Elegancka czerwona suknia Megan była połyskująca, piękna i... no, naprawdę podkreślała jej krągłości. Tak jak ładnie wyprofilowana baka z delikatnymi nacięciami podkreśla piękno kolby.

Niestety, miała nie swoją twarz. To psuło cały efekt. Chociaż ten dekolt...

Spostrzegłem, że na mnie patrzy i zaczerwieniłem się. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że chyba nie zauważyła mojego pożądlivego spojrzenia, bo tylko kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

— Czy ty... gapisz się na mój tors? — zapytałem.

— Co? — zdziwiła się. — Skup się, Klęczko.

Niesamowita — pomyślałem, wkładając frak.

— Weź to — powiedziała, wręczając mi pudełeczko, które wyjęła z zasilacza miksera. — W takich strojach niewiele można ukryć.

— Czy zazwyczaj... — Ruchem głowy wskazałem jej dekolt.

— Już wepchnęłam tam komórkę — powiedziała. — I zanim zapytasz, nie, nie było tam miejsca na minigranaty. Przymocowałam je do uda. Dziewczyna musi być przygotowana na wszystko.

*Na skry, Kocham tę kobietę.*

Wepchnąłem pudełeczko do kieszeni i oboje podeszliśmy do drzwi. Megan skupiła się, znów zmieniając nasze twarze. Poczułem deformację czasoprzestrzeni. Błysk innego



świata, innej rzeczywistości, a w niej odchodzące osoby, które jeszcze przed chwilą udawaliśmy — kobieta, której twarz nosiła Megan, i mężczyzna o poważnej minie i szerokich ustach.

Dwójka cukierników znikła. Zamiast nich do głównej sali weszła para bogatych gości o zupełnie innych twarzach. Przez moment poczułem to, co zapewne czuła Megan, kiedy korzystała ze swojej mocy — falowanie czasoprzestrzeni tworzącej naszą rzeczywistość.

Megan wzięła mnie pod rękę i poszliśmy przez wielką salę w kształcie dysku, idąc po galerii, która się nie obracała. Zauważyłem, że Znikający wrócił na swój tron, trzymając w ręku kokos. Niewiarygodne. Zapewne teleportował się gdzieś i przyniósł go sobie. Na ile zdołałem ustalić, jego zdolność teleportacji nie była ograniczona odległością — po prostu musiał widzieć dane miejsce albo znać je z opisu, żeby się tam przenieść.

Zerknął na mnie i skinął głową. Poznał mnie i w tym przebraniu? Nie kupowałem tej jego bajeczki o moich oczach; musiał mieć jakąś umiejętność, którą ukrywał. Może był radiestetą i potrafił wyczuć Epików. Chociaż w tym pomieszczeniu było ich mnóstwo. Jak mógł nas rozpoznać?

Zaniepokojony usiłowałem skupić się na naszej misji.

— Dobra robota — rzekł mi do ucha Cody. — Idźcie dalej. Jeszcze ćwierć obrotu sali.

— Superdrużyna nadal na pozycji?

— Gotowa i czeka — odparł Cody.

Kontynuowaliśmy spacer, przechodząc w pobliżu stołu Luki. Chuda, krótkowłosa kobieta zmniejszała kelnerów i kazała im tańczyć na swoim stoliku ku uciesze zebranego tłumu. Zawsze się zastanawiałem...

Megan pociągnęła mnie, gdy zwoleń kroku.

— Ma niesamowitą moc — szepnąłem do niej. — I niewiarygodną kontrolę nad tym, co pomniejsza i w jaki sposób.

— Cóż, to świetnie, później poprosisz ją o autograf — rzekła Megan.

— Hmm... jesteś zazdrosna? Ponieważ twoja moc jest o wiele lepsza niż...

— Skup się, Davidzie.

Racja. Szliśmy dalej, aż dotarliśmy do niewielkich drzwi z symbolem toalety. Ta znajdowała się w wewnętrznym kręgu, tak samo jak kuchnie. Weszliśmy do niej i tak jak pokazywały plany Tii, dalej był krótki korytarz z ubikacjami po obu stronach. Nasz cel znajdował się na wprost. Niepozorne białe drzwi, najwyraźniej do jakiegoś ważnego pomieszczenia, gdyż pozostałe były z soli, ciężkie i trudno je było poruszyć. Te jedne były z drewna i miały srebrzystą klamkę.

Wyjąłem zestaw wytrychów.

— Byłoby łatwiej, gdybyś zamieniła te drzwi na jakieś niezamknięte — zauważyłem,

pracując nad zamkiem.

— Może mogłabym to zrobić — odparła — ale nie wiem, czy taka zamiana byłaby trwała. A to by oznaczało, że po przejściu przez te drzwi wszedłbyś do innego wymiaru i zmienił tamtą rzeczywistość, która tutaj, po twoim powrocie, natychmiast wróciłaby do pierwotnego stanu.

— Zrobiłaś trwałe babeczki — przypomniałem.

— Tak — potwierdziła cicho, oglądając się przez ramię. — Jednak to dla mnie nowe doświadczenie, Davidzie. Dotychczas zawsze gubiłam się, kiedy zaszłam tak daleko. Często traciłam życie. To niedobre połączenie, świadomość swojej nieśmiertelności i bezkarności. Rodzi brak skrupułów.

Udało mi się otworzyć drzwi. Zamek był prosty, o wiele mniej skomplikowany niż te, z którymi mieli się uporać Abraham i Mizzy. Te drzwi nie miały powstrzymać zdeterminowanego intruza, tylko nie dopuścić, żeby jakiś przypadkowy gość zrobił sobie krzywdę. Otworzyłem je na oścież.

Za nimi znajdował się duży generator i silnik obracający podłogę. Wśliznęliśmy się z Megan do maszynowni, zanim ktoś wszedł do korytarza, żeby skorzystać z ubikacji. Wyjąłem komórkę, żeby nią poświecić. Pomieszczenie było ciasne, a podłoga pokryta warstwą sproszkowanej soli.

— Na skry — mruknęła Megan. — Jak oni to wszystko tu wnoszą? I odtwarzają to co tydzień?

— To nie jest takie trudne, jak się zdaje — odparłem. — Luka zmniejsza to wszystko i wnosi na górę w kieszeni. Potem zmniejsza paru robotników i każe im popracować wiertarkami nad ścianami i podłogą, któredy przeciągają potrzebne jej przewody. Hel za pomocą lewitacji unosi podłogę, żeby uniknąć tarcia i mogą znów wprawić ją w ruch.

Ukląkłem przy maszynie, oglądając silnik. Był połączony z kilkoma kablami i metalowymi dźwigniami.

— To jest ogniwo — powiedziała Megan, pokazując jedną część maszyny — a generator na ropę stanowi zapasowe źródło zasilania.

— Nie przewidzieliśmy awaryjnego zasilania — powiedziałem. — Będzie z tym jakiś problem?

— Nie — mruknęła, wyciągając rękę. Podałem jej pudełko, które dała mi wcześniej. — Załatwimy przewody, a nie sam generator. To powinno wystarczyć.

Wyjąłem komórkę i wywołałem instrukcję podłączania urządzenia. Trzymałem komórkę przez oczami Megan, gdy łączyła nasze pudełeczko z odpowiednimi przewodami. Kiedy cofnęliśmy się, prawie nie było go widać.

— Faza trzecia zakończona — oznajmiła zadowolona. — Wychodzimy z maszynowni.

— Przyjąłem — powiedział Cody. — Podłączam Abrahama i Mizzy do głównej linii. Bądźcie gotowi, oboje. Zaczekajcie, aż Megan i David wyjdą, po czym przejdziemy do fazy czwartej.

— Przyjąłem — zgłosił Abraham.

— Fajowo — powiedziała Mizzy.

— Znowu to słowo — mruknąłem, wymykając się na korytarz toalety. — Próbowałem je znaleźć w słownikach. Ma coś wspólnego z paleniem fajki? Czy...

Urwałem, nagle stając oko w oko z kelnerką wychodzącą z ubikacji. Ze zdumieniem popatrzyła na mnie, a potem na Megan.

— Co wy tu robicie? — zapytała.

Calamity!

— Szukamy toalet — odrzekłem.

— Przecież są tutaj...

— To są toalety dla wieśniaków — powiedziała z za moich pleców Megan. Niezgrabnie usunąłem się jej z drogi, gdy mnie mijała. — Oczekujecie, że będę korzystała z ubikacji dla służby?

Megan nosiła wieczorową suknię Epika, jakby specjalnie dla niej zaprojektowaną. Wyprostowała się, szeroko otworzyła oczy i w korytarzyku zamigotały płomienie.

— Ja nie... — zaczęła kelnerka.

— Przesłuchujesz mnie? — groźnie spytała Megan. — Jak śmiesz!

Kelnerka skuliła się, spuściła oczy i zamilkła.

— Teraz lepiej — powiedziała Megan. — Gdzie znajdę odpowiednie pomieszczenia?

— Tylko te są czynne. Przepraszam. Mogę...

— Nie. Mam cię powyżej uszu. Uciekaj i ciesz się, że nie chcę zdenerwować naszego wielkiego pana, zostawiając mu zwłoki do uprzątnięcia.

Kobieta czmychnęła, wybiegając na główną salę.

Uniosłem brew, patrząc na Megan i dogasające płomienie.

— Ładnie.

— Aż zbyt łatwo — wymamrotała. — Nadużywam mojej mocy. Wydostańmy Cię i wyośmy się stąd.

Kiwnąłem głową i poprowadziłem ją z powrotem do sali restauracyjnej.

— Wyszliśmy — zameldowałem, gdy wkroczyliśmy na obrotową podłogę. Nic nie czułem; poruszała się zbyt wolno, żeby to zauważyć. Zajęliśmy miejsca przy pobliskim stoliku, starając się nie rzucać w oczy.

— Na pozycji — zameldował Abraham. — Widzę was.

— Cody? — zapytałem.

— Wszystko wygląda dobrze. Zaczynajcie.

— Na trzy — zakomenderował Abraham.

Nabrałem tchu i wcisnąłem klawisz komórki w kieszeni, aktywując urządzenie podłączone do generatora. Każdy z nas mógł je uruchomić, gdyż było połączone z wszystkimi naszymi komórkami, ale zdecydowaliśmy, że zrobi to Megan lub ja. Mizzy i Abrahamowi łatwiej było utrzymywać łączność głosową, niż wyjmować komórki, żeby aktywować urządzenie, ryzykując, że zdradzi ich światło wyświetlacza.

Gdy tylko nacisnąłem klawisz, światła zamigotały i zgasły, a obrotowa restauracja zatrzymała się. Słuchając gwaru i szczęku naczyń, policzyłem do trzech, po czym puściłem klawisz.

Światła znów się zapaliły i maszyna ożyła z warkotem. Sala znów zaczęła się poruszać. Nerwowo czekałem, czy ogłoszą alarm.

Nie ogłosili. Najwidoczniej jednym z problemów związanych z używaniem naprędcy skleconej maszyny były częste przerwy w zasilaniu i awarie. Plan Tii wykorzystywał to.

— Doskonale! — rzekł Abraham. — Minęliśmy pierwszy rząd kamer.

— Na żadnej częstotliwości nie wykrywam alarmu — zgłosił Cody. — Tylko paru ochroniarzy narzeka, mając nadzieję, że Profesor nie będzie ich za to winił. Tia, dziewczyno, jesteś genialna.

— Miejmy nadzieję, że wkrótce powiesz jej ten komplement osobiście — powiedziałem Cody'emu. — Abrahamie, daj nam znać, kiedy wasza drużyna dotrze do następnych kamer. Mamy mało czasu. Szef kuchni zacznie się zastanawiać, gdzie podzieli się cukiernicy, i ktoś w końcu pójdzie sprawdzić generator.

— Przyjąłem.

Megan i ja zostaliśmy na swojej pozycji. Od tej chwili realizacja planu miała nam zająć niecałe dziesięć minut. Trudno było siedzieć tak beczynie. Mizzy i Abraham przedzierał się przez pełne strażników korytarze, a my dwoje mieliśmy tkwić tutaj i wyglądać niewinnie. Bezskutecznie próbowaliśmy znaleźć jakiś sposób, żeby wyjść im naprzeciw, tak by Megan mogła użyć swoich zdolności i ułatwić im przejście ostatniego odcinka drogi.

Może i dobrze, że nie znaleźliśmy. Megan wyglądała na zmęczoną, pocierała czoło i robiła się rozdrażniona. Wziąłem dwa drinki od kelnera stojącego przy barze, ale zaraz uświadomiłem sobie, że zapewne są z alkoholem i picie ich teraz to bardzo zły pomysł. Powinniśmy się skoncentrować. Zamiast tego zgarnąłem babeczkę z tacy przemykającego obok mnie kelnera. Równie dobrze mogę popróbować rękodziela z innego wymiaru.

Zatrzymałem się w połowie drogi do naszego stolika. Czyżbym słyszał...

Odwróciłem się, usiłując wyłowić ten głos z gwaru tłumu. Tak. Znałem ten głos.

Profesor był tutaj.

Byłem tym nieco zaskoczony. Profesor nie lubił się udzielać towarzysko. Jednak tego głosu nie można było pomylić z żadnym innym.

Mieliśmy wszelkie powody, żeby trzymać się od niego z daleka, ale miałem nową twarz, a nasze doświadczenia z pierwszego dnia pobytu w mieście dowiodły, że Profesor daje się zwieść iluzjami kreowanymi przez Megan. Może warto sprawdzić, gdzie dokładnie jest i co mówi.

— Jest tu Profesor — przesłałem.

— Na skry — rzekł Cody. — Jesteś pewny?

— Tak — odparłem, przechodząc w inne miejsce, z którego zobaczyłem go stojącego w pobliżu jednego z okien. — Zamierzam ostrożnie podejść bliżej i obserwować go. Jeśli strażnicy zauważą Abrahama i Mizzy, on pierwszy zostanie zawiadomiony. Jakies uwagi?

— Zgadza się — przesłała Megan. — My dwoje nie robimy tu teraz nic pożytecznego. A w ten sposób możemy zebrać przydatne informacje.

— Owszem — potwierdził Cody, po czym dodał: — Jednak uważaj, chłopcze.

— Jasne, jasne. Będę ostrożny jak ślimak z cukrzycą w ciastkarni.

— Albo, no wiesz — wtrąciła Megan. — Ślimak w Ildithii.

— Ten też. Będziecie mnie osłaniać?

— Już siedzimy ci na ogonie, Klęczko.

Zrobiłem głęboki wdech, a potem poszedłem przez salę w kierunku Profesora.

## 28

Zatrzymałem się przy wysokim stole w pobliżu miejsca, z którego przemawiał Profesor. Otaczał go tłum ludzi — pomniejszych Epików, sądząc po tych, których rozpoznałem. Profesor miał otwarty notatnik i siedział za stołem.

Inni obchodzili tę grupę szerokim łukiem. Z udawaną nonszalancją oparłem się o wysoki stół. Podrapałem swoje ucho, włączając wzmacnianie kierunkowego mikrofonu mojego zestawu głosowego.

— Trzeba znaleźć Zawłaszczacza — rzekł Profesor. Ledwie go słyszałem. — Dopóki tego nie dokonamy, nic nie możemy zrobić.

Cała grupa pokiwała głowami.

— Chcę, by Fabergé i Ściągacz rozsiewali plotki — ciągnął Profesor, notując coś w swoim notesie. — Rozgłoście, że istnieje zwalczający mnie podziemny ruch oporu, a on wydaje się jego przywódcą. Ty zajmiesz się wywiadem, Kałamarzu. Każesz obserwować siedziby największych rodzin w pobliżu. Jedna z nich na pewno go ukrywa, tak jak Klan

Manty tę kobietę, która jest teraz uwięziona poniżej. Zaatakujemy na dwa sposoby. Po pierwsze, zapowiadając rewolucję, żeby go wywabić z kryjówki, a po drugie, grożąc odnalezieniem. Fuego, chcę żebyś pracował nad tym ze swoim radiestetą, patrolując miasto. Zrobimy z tych poszukiwań wielki spektakl. Może w ten sposób wypłoszymy Zawłaszczacza, jak psy bażanta na polu.

Oparłem się o stół, nagle czując się tak, jakby ktoś rąbnął mnie w brzuch.

Profesor zebrał zespół.

To miało sens. Przez lata organizował zespoły Mścicieli, dowodził nimi i bardzo dobrze umiał tropić Epików. Jednak słysząc, jak przemawia do tych osobników tak, jak kiedyś mówił do nas..., to było naprawdę przygnębiające. Jak łatwo zastąpił przyjaciół i bojowników o wolność zespołem tyranów i morderców.

— Jesteśmy za rogiem — szepnął Abraham w mojej słuchawce. — Mapy Tii pokazują tu ukryte kamery.

— Tak, widzę je — zgłosiła Mizzy. — Przyciągające wzrok obrazy zawieszono na ścianie i zasłaniające wydrążone w soli otwory. Zaczekajcie z tym, aż damy wam znak.

— Przyjęłam — odpowiedziała Megan. — Ściemnię, gdy Cody da mi znak.

— Do roboty — rzekł Cody.

Światła zamigotały, przygasły i zgasły zupełnie.

— Znowu? — warknął Profesor.

— Widocznie inżynierowie skopali instalację — zauważył jeden z Epików. — Albo to wynik tarcia trybów maszynierii zrobionej z soli.

— Przeszliśmy — zameldował Abraham.

Megan puściła klawisz i światła znów się zapaliły. Profesor wstał wyraźnie niezadowolony.

— Milordzie Limelight — powiedziała młoda kobieta będąca Epikiem. — Ja mogę znaleźć Zawłaszczacza. Tylko daj mi kilka dni wolnego.

Profesor odwrócił się i popatrzył na nią, a potem znów opadł na krzesło.

— Nie spieszyłaś się z przyjściem do mnie na służbę.

— Ci, którzy szybko deklarują swoją lojalność, równie szybko zmieniają strony, milordzie.

*Czy ja ją znam?*

— Cody — szepnąłem — czy w moich notatkach jest coś o jasnowłosej kobiecie Epiku z Ildithii? Włosy ma zaplecione w warkocz. Może mieć dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat.

— Niech sprawdzę — powiedział Cody.

— A co byś zrobiła — rzekł Profesor do kobiety — gdybyś go znalazła?

— Zabiłabym go dla ciebie, milordzie.

Profesor prychnął.

— I w ten sposób zniweczyłabyś wszystkie moje plany, głupia dziewczucho.

Zaczerwieniła się.

Profesor sięgnął do kieszeni, wyjął coś i postawił na stole. Małe cylindryczne urządzenie wielkości małej baterii.

Rozpoznałem je. Miałem takie w kieszeni; dał mi Knighthawk. Sięgnąłem i pomacałem je, upewniając się, że nadal tam jest. Inkubator tkankowy.

— Masz kilka dni wolnego na odszukanie go — oświadczył Profesor. — Ale jeśli go znajdziesz, nie zabijaj go. Przynieś mi w tym trochę jego krwi lub skóry. Może umrzeć, dopiero kiedy się upewnię, że próbki są dobre. Jeśli ktoś zabije go wcześniej, zniszczę go.

Zadrżałem.

— Hej, ty — powiedział głośniej.

Drgnąłem, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że patrzy prosto na mnie.

Skinął na mnie ręką. Spojrzałem za siebie, a potem znów na niego. Naprawdę patrzył na mnie.

Calamity!

Ponownie skinął ręką, ze zniecierpliwieniem i groźną miną.

— Ludzie, może być kiepsko — szepnąłem, obchodząc stół i idąc w kierunku Profesora.

— Co robisz? — zapytała Megan. Stała w pobliżu, opierając się o balustradę i sącząc drinka.

— Wzywa mnie.

— Jesteśmy przy drzwiach Tii — zgłosił Abraham. — Dwóch strażników. Będziemy musieli ich unieszkodliwić.

— Przygotujcie następną przerwę w zasilaniu — rzekł Cody. — Davidzie, jaka jest twoja sytuacja?

— Robię w gacie — szepnąłem, a potem zatrzymałem się przy stole Profesora.

Ledwie na mnie spojrzał, po czym wskazał palcem na moją dłoń. Zmarszczyłem brwi i też na nią spojrzałem. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że trzymam w niej nietkniętą babeczkę. Zamrugąłem i oddałem mu ją.

Profesor wziął ją i odprawił mnie machnięciem ręki.

Usłuchałem aż nadto ochoczo. Wycofałem się i oparłem o stół, usiłując uspokoić nerwy.

— Sytuacja stabilna — powiedziała Megan z ulgą w głosie. — Fałszywy alarm. Abrahamie, jesteście gotowi?

— Tak. Damy znak.

— Teraz — szepnął Cody.

Światła znowu zgasły i Profesor zaklął. Zamknąłem oczy. Nadeszła ta chwila. Czy Tia będzie za tymi drzwiami?

— Jesteśmy w środku — zameldował Abraham. — Obaj strażnicy unieszkodliwieni. Obawiam się, że nie żyją.

Odetchnąłem, a Megan znów włączyła światło. Dwóch martwych strażników. Mściciele z zasady starali się unikać zabijania, gdyż Profesor zawsze mówił, że zabijając swoich, nie zajdziemy daleko. Ci strażnicy nie byli niewinni; niewątpliwie więzili Cię, a może nawet ją torturowali. Jednak ostatecznie byli zwykłymi ludźmi, którzy tylko usiłowali przeżyć w tym nowym, strasznym świecie — teraz zginęli z naszej ręki.

Lepiej, żeby rezultat akcji był wart tej ceny.

— Tia — syknąłem.

— Jest tutaj — odpowiedziała Mizzy. — Abraham właśnie uwalnia ją z więzów. Wygląda nieźle.

Wkrótce potem w słuchawkach usłyszałem znajomy kobiecy głos:

— Ha. Naprawdę zrobiliście to, słoneczka.

— Jak się czujesz? — zapytałem, wymieniając pełne ulgi spojrzenia z Megan.

— Powiedział, że niektórzy członkowie jego zespołu „zaczynają się niecierpliwić” i musi mnie związać, żebym przemyślała swoje odpowiedzi. Jednak nie zrobił mi krzywdy. — Po chwili dodała: — Nadal jest w nim sporo Jona. Nie zakładałabym... to znaczy...

— Wiem — burknąłem, odwracając się, by popatrzeć, jak Profesor konferuje z Epikami, chociaż nie stałem pod odpowiednim kątem, żeby mikrofon wychwycił, co mówi.

— Prawie mu uwierzyłam, Davidzie. Uwierzyłam, że nie przeszedł na drugą stronę, że to wszystko jest częścią jakiegoś planu pokonania Epików...

— On wie, co powiedzieć — przypomniałem jej. — Jeszcze niezupełnie się zmienił. Odzyskamy go.

Nie odpowiedziała, gdy Megan i ja ruszyliśmy do wind. Gdyby ktoś pytał, udam, że źle się czuję i muszę pierwszą windą zjechać na dół. Tam nie będą sprawdzali, czy jesteśmy na liście gości, co zrobiliby, gdybyśmy próbowali tędy się dostać na przyjęcie.

Migiem do góry, migiem w dół. Niemal miałem wrażenie, że ja się objąłem, a całą robotę wykonali Abraham i Mizzy.

— Obiekt przejęty — powiedziałem. — Pełny odwrót, wszyscy.

— Macie już dane? — zapytała Tia.

— Dane? — zdziwiłem się.

— Z komputerów Jona.

— Nie — odparłem. — Przyszliśmy po ciebie, nie po dane.

— I doceniam to. Jednak ja z nim rozmawiałam, Davidzie, i dowiedziałam się kilku



rzeczy. Mieliśmy rację. Regalia zostawiła Jonowi plan do zrealizowania. Jest tutaj na jej życzenie. Jego przybycie do Ildithii jest częścią jakiegoś szeroko zakrojonego planu. A my musimy odkryć jakiego.

— Zgadzam się, ale... Czekaj.

Za mną na sali nagle zrobiło się cicho. Dłoń Megan zacisnęła się na moim ramieniu i odwróciliśmy się.

Profesor wstał, uciszając wszystkich wokół.

Tia chciała się ze mną spierać, ale uciałem rozmowę.

— Coś jest nie tak. Co zrobiliście?

— Nic — odpowiedziała Mizzy. — Właśnie wyszliśmy z apartamentu Tii. Jesteśmy w drodze do szybu windy.

Profesor wskazał ręką w kierunku wind, mówiąc coś, czego nie zdołałem dosłyszeć. Jednak jego gesty zdradzały pośpiech.

— Abrahamie, Mizzy — odezwałem się. — Odkryli waszą obecność. Powtarzam, odkryli waszą obecność. Ruszajcie do wyjścia, natychmiast.

## 29

Ruszyłem w kierunku głównych wind dla gości, ale zdziwiłem się, gdy Megan mnie zatrzymała. Popatrzyłem na nią i teraz ona ruchem głowy pokazała mi zgraję sługusów Profesora. Szli w tym samym kierunku. Będą mieli pierwszeństwo; spędzą nas z drogi.

Schody? — bezgłośnie powiedziała Megan.

Skinąłem głową. Znajdowały się w centrum tej owalnej sali, więc zaczęliśmy iść w tym kierunku, starając się nie rzucać w oczy. Jeśli drużyna Abrahama została zauważona, to było jeszcze ważniejsze, żeby obecność moja i Megan pozostała niewykryta.

— Wycofujemy się awaryjną drogą ucieczki — oznajmił Abraham, ciężko dysząc. — Te kamery nas zauważą. Jednak chociaż już o nas wiedzą, to założę się, że nie mają pojęcia, w którym jesteśmy korytarzu.

— Zgasić światła — poleciłem. — Użyć noktowizorów.

— Przyjąłem.

Za pomocą komórki zgasiłem światła, wywołując gniewny wrzask w restauracji.

— Co ich ostrzegło? — spytała Mizzy.

— Zapewne podłożył mi jakąś pluskwę — domyśliła się Tia. — Taką, która uruchomi alarm, jeśli opuszczę pokój.

— Może cię wytropić! — zawołałem.

— Wiem. Jednak niewiele możemy teraz z tym zrobić.

Czułem się bezradny. Przemieściliśmy się z Megan do wewnętrznego kręgu sali i w kierunku klatki schodowej.

— Davidzie — powiedziała Tia. — Pokoje Jonathana znajdują się na tym piętrze. Wezmę Abrahama oraz Mizzy i pójdę wykraść te dane. Możemy zgarnąć je w zamieszaniu wywołanym wyłączeniem światła. Nie będą się spodziewali, że pójdziemy tamtędy.

Stałem jak wryty.

— Tia, nie. Porzuć ten pomysł. Uciekaj stamtąd.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Tia, przecież zawsze byłaś ostrożna! Tę misję diabli biorą. Musimy się wycofać.

— Zdajesz sobie sprawę, co jest w tych danych, Davidzie?

— Plany Regalii?

— Więcej. Ona widziała Calamity. Regalia porozumiewała się z nią czy nim, czy kimkolwiek jest. Jon chwalił mi się tym, co widział. Davidzie, tam są zdjęcia.

Na skry. Zdjęcia Calamity? Epika?

— Na tym dyskowym napędzie mogą być wszystkie tajemnice, które próbujemy odkryć — rzekła Tia. — Odpowiedzi, których szukaliśmy przez całe życie. Z pewnością ty, jak nikt inny, to rozumiesz. Mój plan zaprowadził was tak daleko. Teraz musimy wykonać następny krok. Te dane są warte ryzyka.

Z tego miejsca widziałem niebo przez szybę okna wychodzącego na zewnątrz budynku. Calamity była tam, oczywiście. Zawsze tam była, jak dziura po kuli. Calamity... Epik. Najhojniejszy darczyńca? Czy znajdziemy odpowiedzi w tym kręgu różowego światła? Czy dowiemy się, dlaczego to wszystko się zdarzyło?

Sens pojawienia się Epików... Prawda?

— Nie, Tia — odrzekłem. — Zostaliśmy odkryci i mój zespół znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Teraz nie możemy wykraść tych danych. Zabierzemy je później.

— Jesteśmy tak blisko — odparła. — Ja ich nie zostawię, Davidzie. Przykro mi. To mój zespół i jako starsza Mścicielka...

— Starsza Mścicielka? — przerwała jej Megan. — Opuściłaś nas.

— Powiedziała zdrajczynie.

Megan zeszywniała. Stała przy mnie, a ja trzymałem dłoń na jej ramieniu, ale nie widziałem jej twarzy. W sali było zupełnie ciemno i goście wpadali na sprzęty, krzycząc z przestachu. Po drugiej stronie jakiś Epik zapłonął czerwoną błyskawicą, rozświetlając pomieszczenie. Wkrótce potem drugi Epik zaczął świecić spokojniejszym, niebieskim blaskiem.

— Tia — powiedziałem, usiłując przemówić jej do rozsądku. — Ja dowodzę tą operacją i każę ci się wycofać. Te informacje nie są warte ryzyka utraty całego zespołu. Abrahamie, Mizzy, wynoście się stamtąd.

W słuchawkach zapadła głęboka cisza. Wyobraziłem sobie, jak piętro niżej oboje patrzą Tii w oczy.

— Odebrałem, Davidzie — rzucił Abraham. — Superdrużyna wycofuje się.

— Idę z nim — zgłosiła Mizzy. — To nie czas na walkę o władzę, Tia. Wynośmy się stąd.

Tia mruknęła coś pod nosem, ale nie zgłaszała dalszych sprzeciwów. Megan pociągnęła mnie za rękę, prowadząc przez ostatni odcinek do klatki schodowej, którą teraz widzieliśmy w blasku paru świecących Epików. Niestety, przy braku zasilania zespół Profesora też się tam gromadził i zagradzał nam drogę.

— Davidzie? — zapytała po krótkiej chwili Mizzy. — Co z wami?

— Realizujcie awaryjny plan odwrotu — pospiesznie odparłem. — My mamy fałszywe tożsamości. Jesteśmy tu bezpieczni.

— Jesteśmy gotowi — zgłosił Abraham. — Nie będziemy potrzebować nadmuchiwanych spadochronów. Mamy coś lepszego.

— Użyjcie tego — powiedział Cody. — Powinno się wam udać.

Wydało mi się, że słyszę trzask wysadzonego poniżej okna, a przynajmniej wstrząsy.

— Spadochrony! — zawołał ktoś w sali. — Na zewnątrz!

Ludzie pognali do okien, a Megan i ja w przeciwną stronę. Epicy Profesora przepychali się obok nas, a potem ta blondynka, która wyglądała tak znajomo, przywołała kilku innych strażników. Spojrzała na Profesora, który stał z rękami założonymi na piersi, oświetlony przez świecących Epików z otoczenia. Profesor skinął głową.

— Strącić ich — poleciła kobieta, pokazując spadochrony.

Strażnicy zaczęli strzelać. Okno rozleciało się na kawałki w ogłuszającym huku wystrzałów w zamkniętej przestrzeni. Jakby ktoś pineskami przymocował ci do czaszki fajerwerki i powpychał je do uszu.

Błyski wystrzałów rozświetlały ciemność sali stroboskopowym blaskiem. Skrzywiłem się i cofnąłem, gdy strażnicy podziurawili spadochrony Abrahama. Na szczęście ta akcja przy oknie przykuła uwagę wszystkich. Mogliśmy z Megan wycofać się w kierunku schodów znajdujących się na środku pomieszczenia.

— Spadochrony strącone, milordzie — zwróciła się do Profesora blondynka.

Nie upłynie wiele czasu, zanim odkryją, że do spadochronów przyczepione są ciała dwóch zabitych strażników. Abraham, Mizzy i Tia wykorzystają tę dywersję, żeby dotrzeć do drzwi windy, a potem zjadą na przyrządach wspinaczkowych po linach i opuszczą

budynek.

— Jesteśmy przy windach — zameldował Abraham.

— Dalej! — zachęcał Cody.

— Już.

Zaczekałem pięć pełnych napięcia sekund.

— Dotarliśmy na pierwsze piętro — w końcu zgłosił Abraham, mocno zdyszany. —

Zatrzymujemy się tutaj.

— To była jazda! — dodała Mizzy. — Jak kolejką górską, cały czas pionowo w dół.

— Dobrze, że lina nie urwała się w połowie drogi — zauważyłem.

— Że co? — spytała Mizzy.

— Nic.

— Davidzie — rzekł Abraham, złapawszy oddech. — Mamy problem. Tia nie poszła z nami.

— Co takiego?

— Została na górze. Kiedy pobiegliśmy do szybu windy, uciekła korytarzem w przeciwną stronę.

Do apartamentu Profesora. Na Calamity, ta kobieta naprawdę była uparta! Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, żeby ją uwolnić, da się zabić.

— Kontynuujcie odwrót — rozkazałem. — Tia musi radzić sobie sama. Nie możemy jej pomóc.

— Przyjąłem.

Tak się dla niej natrudziliśmy, a ona zrobiła coś takiego. Właściwie nie mogłem mieć jej tego za złe. Mnie też korciło, żeby zdobyć te informacje. Przede wszystkim jednak byłem na nią zły dlatego, że postawiła mnie w sytuacji, w której musiałem nakazać odwrót i pozostawić członka zespołu.

Nagle znów zapaliły się światła.

Podłoga pod stolikami poruszyła się. Megan i ja staliśmy bliżej osi, na nieruchomej części. Po naszej lewej pojawił się niski, łysawy Epik z zespołu Profesora, triumfalnie pokazując urządzenie, które przyłączyliśmy do generatora.

Profesor popatrzył na nie i krzyknął:

— Oni są tutaj! Zabezpieczyć obie windy i schody. Wycieraczka, sprawdź salę!

Wycieraczka... Znałem ten przydomek.

— Och! — powiedział Cody. — Właśnie, Wycieraczka. Znalazłem ją dla ciebie, Davidzie. Przepraszam. Miałem ci to powiedzieć, kiedy wszystko diabli wzięli. Wycieraczka. Ona ma moc...

— ...kasowania zdolności innych Epikow — szepnąłem. — Pozbawiania ich na moment

mocy.

Salę rozświetlił jasny rozbłysk. Obróciłem się i zobaczyłem patrzącą na mnie Megan. Nie z fałszywą twarzą, którą sobie stworzyła, ale prawdziwą Megan. Chociaż była piękna, nie ucieszył mnie ten widok.

Nasze maskowanie szlag trafił.

## 30

Czy to dobrze, czy źle, ale od kiedy zacząłem się zajmować Epikami, mało co mnie dziwiło. Wyciągnąłem pistolet niemal równie szybko jak Megan.

Zauważcie, że chociaż oboje zareagowaliśmy instynktownie, żadne z nas nie strzeliło do Profesora. Megan położyła trzech uzbrojonych strażników, którzy strzelali przez okno. Nasza krótka broń świetnie się spisywała jak na swoje rozmiary.

Ja zastrzeliłem Wycieraczkę.

Okazało się to znacznie łatwiejsze niż w przypadku większości Epików, których zabiłem — prawdę mówiąc, widok jej padającej w rozbryzgu krwi zaskoczył mnie bardziej niż utrata naszych fałszywych twarzy. Przywykłem do tego, że Epicy są nadzwyczajnie odporni. Czasem zapominałem o tym, że większość z nich ma tylko jedną czy dwie umiejętności, a nie cały ich zestaw.

Profesor wściekle ryknął. Nie odważyłem się spojrzeć na niego; był wystarczająco przerażający, nawet kiedy nie próbował mnie zabić. Zamiast tego pomknąłem w kierunku otwartych drzwi na klatkę schodową i zastrzeliłem zaskoczonego Epika, który w nich stał.

Megan podążała tuż za mną.

— Schył się! — krzyknęła do mnie, gdy ci w sali za nami wyciągnęli broń. Kilku wystrzeliło.

Dałem nura do środka. Tamci zdołali oddać zaledwie kilka strzałów, gdy salą wstrząsnął wybuch, od którego popękały solne ściany, a z sufitu posypał się słony pył.

Zaniosłem się kaszlem, mrugając piekącymi oczami. Wstałem. To musiał być jeden z minigranatów Megan. Chwyciłem jej wyciągniętą dłoń i razem zaczęliśmy zbiegać po schodach.

— Na skry — rzuciła. — Nie wierzę, że żyjemy.

— Wycieraczka — wyjaśniłem. — Miała zdolność neutralizowania mocy Epików, szczególnie w jej zewnętrznych przejawach, takich jak pola siłowe Profesora. Dlatego przez chwilę nie mógł nas schwytać.

— Czy mogliśmy go...

— Zabić? — dokończyłem pytanie za nią. — Nie. Gdyby Wycieraczka miała tak potężną moc, ktoś z Elity Epików zabiłby ją już dawno temu. Ona nie może... a raczej nie mogła całkowicie pozbawić Epika ochrony, tylko przez parę sekund wpływać na zewnętrzne przejawy jego mocy. Pola siłowe, iluzje, takie rzeczy.

Megan skinęła głową. Na schodach było ciemno — nikt nie pomyślał o zawieszeniu tu oświetlenia — ale słyszeliśmy odgłosy pościgu. Megan przywarła plecami do ściany i spojrzała w górę. Widziałem ją w słabym, sączącym się stamtąd świetle.

Spojrzała na mnie, a ja skinieniem głowy odpowiedziałem na jej niewypowiedziane pytanie. Potrzebowaliśmy czasu, żeby coś wymyślić, a to oznaczało konieczność zatrzymania pościgu. Z ładownicy na udzie wyjęła drugi minigranat, odbezpieczyła go i rzuciła w górę.

Drugi wybuch obsypał nas kawałkami soli i najwidoczniej zniszczył cały fragment schodów powyżej. Popatrzyliśmy w dół. W żaden sposób nie zdołamy pokonać tych siedemdziesięciu pięter, zanim strażnicy zablokują wyjście. Potrzebowaliśmy innej drogi ucieczki.

— Davidzie? — usłyszałem głos Cody'ego. — Zauważyłem wybuchy na górze. Wszystko u was w porządku?

— Nie — odpowiedziałem. — Jesteśmy odcięci.

Abraham cicho zaklął po francusku.

— Zostawiliśmy tam zapasowy sprzęt, Davidzie. Gdzie jesteście?

Abraham i Mizzy zabrali dodatkowe przyrządy zjazdowe na wypadek, gdybyśmy uwolnili jeszcze jakichś więźniów oprócz Tii, albo na wypadek, gdybyśmy z Megan musieli do nich dołączyć. Specyfika operacji wymagała pozostawienia zapasowego sprzętu, na wszelki wypadek.

— Jesteśmy tuż przy drzwiach na siedemdziesiąte piętro — odparłem. — Gdzie ten sprzęt?

— To czarny plecak — wyjaśnił Abraham — ukryty w szybie wentylacyjnym obok służbowej windy. Tylko że kiedy się stamtąd wycofywaliśmy, na całym piętrze roiło się od strażników.

I na tym samym piętrze Tia uciekła od nich, żeby podjąć próbę zdobycia danych Profesora. Nie byłem pewny, czy uda mi się ją ocalić. Na skry. W tym momencie nie byłem pewny, czy sam zdołam się uratować.

— Rozmowy radiowe ucichły zaraz po tym, jak zauważono Abrahama — powiedział Cody. — Muszą mieć jakąś bezpieczną częstotliwość, na której porozumiewają się po ogłoszeniu alarmu. I nie będą używali komórek Knighthawka, możesz postawić na to swój kilt.

Wspaniale. No cóż, przynajmniej dzięki temu plecakowi Megan i ja mieliśmy jakieś szanse. Oparty plecami o ścianę przy drzwiach na siedemdziesiąte piętro wyjąłem komórkę. Jej światło oblało nas, gdy sprawdziliśmy plan tego piętra, który Cody rozsądnie nam przesłał. My byliśmy przedstawieni jako zielony punkcik, a winda jako czerwony.

Ta czerwona plamka znajdowała się w samym środku budynku. Ślicznie. Zapamiętałem drogę i położenie apartamentów Profesora. Przejdziemy w pobliżu, korytarzem, przy którym się znajdowały.

Zerknąłem na Megan, a ona kiwnęła głową. Odsunęliśmy drzwi i wskoczyła w nie z bronią gotową do strzału, kierując ją na prawo, a potem na lewo. Ruszyłem za nią, obserwując prawą stronę korytarza, podczas gdy ona pilnowała lewej. Pod sufitem zawieszono szereg żarówek, w świetle których widać było absurdalnie piękne żyły czerwonej soli przecinające czarne i szare ściany. Przypominała płonącego gołębia.

Odetchnąłem z ulgą. Na razie żadnych strażników. Poszliśmy korytarzem w lewo, mijając zamknięte drzwi prowadzące, jak wiedziałem, do luksusowych apartamentów. Zanim dotarliśmy do końca, zacząłem bardziej optymistycznie oceniać nasze szanse. Może wszystkich strażników zabrano stąd, żeby przeszukiwali inne piętra lub chronili Profesora?

Nagle jakieś trzy metry ściany przed nami znikły.

Zatoczyliśmy się w tył, gdy nocny wiatr wpadł przez ten nowy otwór w zewnętrznej ścianie budynku, wwiewając więcej słonego pyłu z siedemdziesięciu niższych pięter. Zasłoniłem dłonią usta.

Profesor unosił się na zewnątrz na płonącym zielonym dysku. Zszedł z niego do budynku i solny pył zachrząścił pod jego nogami. Megan zaklęła i cofnęła się, trzymając przed sobą wycelowaną broń. Ja nie ruszyłem się z miejsca, obserwując twarz Profesora i mając nadzieję, że zobaczę na niej jakieś ludzkie uczucia, choćby politowanie. Ujrzałem tylko szyderczy grymas.

Rozłożył ręce, wzywając lance zielonego światła — te włócznie, którymi zamierzał nas przeszyć. W tym momencie poczułem coś nieoczekiwanego.

Czysty gniew.

Gniew na Profesora, że nie był dostatecznie silny, aby oprzeć się ciemności. To uczucie kryło się we mnie, schowane głęboko pod osłoną pozornie logicznych uzasadnień. Przecież ocalił Babilar. To Regalia zmanipulowała jego upadek. To, co robił, nie jest jego winą.

Nie zmieniało to faktu, że i tak byłem na niego zły — a nawet wściekły. Powinien być lepszy. Miał być niezwyciężony!

Coś we mnie zadrżało, jak pradawny lewiatan budzący się z drzemki w swoim skalnym legowisku. Zjeżyły mi się włosy i napięły mięśnie, jakbym usiłował podnieść jakiś ciężar.

Spojrzałem Profesorowi w oczy i zobaczyłem w nich moją śmierć, i coś we mnie powiedziało „nie”.

Ta chwilowa pewność natychmiast znikła, zastąpiona przez paniczny lęk. Zginiemy!

Uskoczyłem przed włączni<sup>ą</sup> światła. Przetoczyłem się po podłodze, a Megan odskoczyła pod ścianę, unikając ostrej jak brzytwa lancy pola siłowego.

Próbowałem uciec w głąb korytarza, ale wpadłem na jarzącą się zielono ścianę. Odwróciłem się z jękiem i zobaczyłem Profesora przyglądającego mi się z pogardą. Podniósł rękę, żeby mnie zniszczyć.

Coś małego uderzyło go w skroń. Drgnął i obrócił się, a wtedy następny taki obiekt trafił go w czoło. Kule?

— O, tak — mruknął Cody. — Wszyscy to widzieli? Któż to właśnie trafił faceta z prawie tysiąca metrów? To ja.

Kule nie przebiły pola ochronnego Profesora, ale najwyraźniej go rozdrażniły. Na czworakach wróciłem do Megan.

— Możesz coś zrobić? — spytałem.

— Ja...

Pole siłowe wystrzeliło w górę, otaczając nas oboje, wyrywając przy tym spory kawał podłogi z soli.

Na skry. To koniec. Zostaniemy zmiażdżeni jak Val i Exel.

Wyciągnąłem rękę, chcąc przytulić Megan, zanim to się stanie. Patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami, ze skupionym wyrazem twarzy i zaciśniętymi zębami.

Powietrze zafalowało. Nagle oprócz nas wewnątrz kuli znalazł się jeszcze ktoś.

Zamrugąłem ze zdziwienia. Nowo przybyła była nastolatką o krótkich rudych włosach ostrzyżonych na pazia. Miała na sobie zwykłe niebieskie dzinsy i starą płócienną kurtkę. Jęknęła, patrząc na otaczającą nas kulę pola siłowego.

Profesor zacisnął pięść, chcąc zmniejszyć kulę, ale dziewczyna błyskawicznie rozpostarła rękę. Poczułem pulsujące wibracje, jakby bezdźwięczny głos. Znałem ten odgłos. Tensory?

Pole siłowe Profesora znikło i spadliśmy. Straciłem równowagę, lecz ta młoda kobieta zwinnie wylądowała na podłodze. Byłem kompletnie zaskoczony, ale żywy. Tak więc nie miałem powodu do narzekań. Złapałem Megan i odciągnąłem ją od dziewczyny.

— Megan? — syknąłem. — Co zrobiłaś?

Wciąż patrzyła niewidzącymi oczami.

— Megan?

— Cii! — warknęła. — To trudne.

— Ale...



Profesor przechylił głowę na bok.

Dziewczyna zrobiła krok naprzód.

— Ojczy? — powiedziała.

— Ojczy? — powtórzyłem.

— Nie mogłam znaleźć jego nieskażonej wersji w żadnej dostatecznie bliskiej rzeczywistości — mruknęła Megan. — Dlatego wzięłam to, co udało mi się znaleźć. Zobaczmy, czy twój plan się powiedzie.

Profesor w zadumie przyjrzał się swojej „córce”, a potem machnął ręką, tworząc nowe pole siłowe wokół Megan. Dziewczyna zniszczyła je w mgnieniu oka, wyciągając ręce i wysyłając strumień energii tensorów.

— Ojczy — powiedziała. — Jak się tu znalazłeś? Co się dzieje?

— Ja nie mam córki — rzekł Profesor.

— Co? Ojczy, to ja, Tavi. Proszę, dlaczego...

— Ja nie mam córki! — ryknął Profesor. — Twoje kłamstwa mnie nie zwiodą, Megan!

Zdrajczyń!

Rozpostarł ręce, tworząc między nimi włócznie zielonego światła, ostre jak odłamki szkła. Cisnął je w nas, lecz Tavi machnęła ręką, uwalniając strumień mocy. To istotnie była energia tensorów, bo zniszczyła nie tylko te włócznie światła, ale także fragment ściany, która rozsypała się w proch.

W rękach Tavi pojawiły się niebiesko-zielone włócznie, takie same jak te Profesora. Na skry! Miała taki sam zestaw umiejętności.

Profesor wytrzeszczył oczy. Czyżbym dostrzegł w nich strach? Niepokój? Megan nie sprowadziła do tego świata innej wersji Profesora, ale kogoś bardzo do niego podobnego. Tak, bał się jej mocy. Swojej mocy.

Staw czoło swojemu lękowi, Profesorze — pomyślałem rozpaczliwie. — Nie uciekaj. Walcz!

Ryknął gniewnie i machnął rękami, niszcząc korytarz i wysyłając na nas falę solnego pyłu. Rozbłysły nowe pola siłowe — włócznie światła ciskane w Tavi, ściany usiłujące ją skruszyć w kakofonii destrukcji.

— Tak! — zawołałem.

Nie uciekł.

Nagle i niespodziewanie podłoga usunęła mi się spod nóg.

Fala destrukcyjnej siły Profesora znikła niemal w tej samej chwili, gdy mnie uderzyła, i chociaż wpadłem w dziurę w podłodze, to zdołałem wyciągnąć ręce i złapać się krawędzi, powstrzymując upadek. Megan klęczała na skraju, nieświadoma istnienia dziury, która rozwarła się obok.

Co prawda spadłbym zaledwie z trzech metrów, ale to trochę za wysoko, żeby ryzykować. Zacząłem się podciągać.

— Davidzie — nagle usłyszałem w słuchawce głos Tii. — Co ty robisz?

— Próbuję nie zginąć — odparłem ze stęknieniem, wciąż wisząc. — A ty nadal jesteś gdzieś na siedemdziesiątym piętrze?

— W apartamencie Jona, usiłując dostać się do jego gabinetu. Może moglibyście odciąć zasilanie? Te drzwi mają elektryczny zamek...

Nade mną przeleciała z pomrukiem fala energii tensorów i usłyszałem złowieszczy trzask sklepienia.

— Usunęli nasz wyłącznik, Tia — powiedziałem, wstając. Znalazłem się w centrum szalejącej bitwy. — Teraz mamy poważniejsze problemy niż to, jak się dostać do biura Profesora. On jest tutaj.

— Na skry! — zaklęła Tia. — Co się dzieje? Nic się wam nie stało?

— Tak i nie.

W ciągu tej krótkiej chwili, gdy tkwiłem w otworze, Profesor i Tavi zniszczyli ściany działowe pomieszczeń, tworząc znacznie rozleglejsze pole bitwy. Ciskali w siebie strumienie światła i energii, pozostawiając w podłodze wyrwy i kraterę.

Wiedziałem, że sufit długo nie wytrzyma. Odszukałem wzrokiem Megan, która klęczała przy resztkach ściany. Z sykiem wciągała powietrze przez zaciśnięte zęby, nieruchomym spojrzeniem obserwując te zmagania. Chciałem do niej podejść, ale gdy na mnie spojrzała, wykrzywiła usta w paskudnym grymasie. Szyderczym.

Oho.

To było niebezpieczne. Zbyt wiele przeciągnęła do naszego świata, w zbyt krótkim czasie.

Lecz, na skry, to działało. Profesor cofał się przed atakiem Tavi ciskającej włócznie błękitnego światła, które udawało mu się neutralizować mocą swoich tensorów. Zewnętrzna ściana budynku po jego lewej ręce znikła i wiatr z wyciem wdzierał się do środka. Pokoje po prawej były podziurawione jak sito, ich ściany i podłoga niemal całkowicie zniszczone.

Rzuciłem się ku Megan, gdy sufit na prawo od Profesora runął. Mrugając — skaleczenie na ręce piekło mnie jak diabli od tej soli — zobaczyłem zielonkawę włócznie lecące w kierunku Tavi, rozświetlające swym blaskiem pył w powietrzu. W ostatniej chwili

odbiła je.

Profesor stracił swoją niezachwianą pewność siebie; pocił się i kłął, i — ku mojemu zdumieniu — zobaczyłem kilka skaleczeń na jego ręce.

Nie goiły się.

W starciu z nią istotnie tracił swoją moc. Tylko dlaczego nie wracał na stronę dobra? Czy nie pokonał swoich lęków?

— Davidzie — odezwała się zaniepokojona Tia. — Wydaje się, że cały budynek się wali. Nic wam nie jest?

— Na razie nic. Tia... Megan przywołała jego wersję z innego świata. Kogoś obdarzonego jego mocą. Walczą ze sobą.

— Na skry! Jesteście szaleni! — Tia urwała, a ja z rozdziawionymi ustami spoglądałem na Profesora, oszołomiony tym pokazem siły. — No dobrze. — W głosie Tii była niechęć. — Idę do was.

— Nie — zaprotestowałem. — Pozostań w ukryciu. Nie sądzę, żebyś coś mogła zrobić. Nikt z nas nie może.

Popatrzyłem na Megan, jak zaciska zęby, i ruszyłem do niej.

Spojrzała na mnie gniewnie.

— Nie podchodź, Davidzie — warknęła. — Po prostu... nie podchodź.

Stałem, a potem westchnąłem i pobiegłem w głąb korytarza, w kierunku Profesora i Tavi. Może to głupie, ale chciałem się temu przyjrzeć. Minałem pokój po prawej, w którym zawalił się sufit, a następnie podszedłem bliżej dwojga walczących. Tu korytarz skręcał, lecz oni walczyli nadal w luksusowym apartamencie, rozbiwszy ścianę.

Profesor wypuścił na Tavi falę tensorowej energii, która roztopiła stoły i krzesła, zanim uderzyła w nią całą siłą. Guziki jej koszuli rozsypały się w proch, lecz sama koszula nie. Energia działała tylko na nieożywioną materię o dużej gęstości.

Jej pola siłowe znikły. Poszukała osłony, ledwie unikając trafienia włócznie światła. Policzyłem do trzech, zanim zdołała ponownie przywołać pole siłowe, żeby zablokować następne ataki. To działało. Miała taki sam słaby punkt jak Profesor; była nim sama moc używana przez kogoś innego. Uderzenie tensorowe na moment pozbawiało ją mocy, tak jak ogień odbierał ją Megan.

Czy mogłem coś zrobić? Wyjaśnić jej to? Ruszyłem naprzód, ale przystanąłem, gdy powietrze obok mnie zafalowało.

Przez chwilę ujrzałem obraz innego świata: Pożar stojący na dachu z zaciśniętymi pięściami, z których tryskały płomienie. Nocne niebo. Zimne powietrze dziurawione przez Epika strumieniami ognia.

Obraz znikł i znów znalazłem się na polu bitwy w wieżowcu. Odszedłem od falującego

powietrza i schowałem się za zniszczoną solną ścianą pokoju, w którym Profesor walczył z Tavi. Kilka włócznie światła przeleciało nade mną i wbiło się w ścianę jak widelczyk w ciasto.

Teraz, kiedy wiedziałem, czego wypatrywać, zauważyłem inne miejsca, gdzie powietrze falowało i wirowało. Było ich wiele w korytarzach i pokojach. Moc Megan rozrywała naszą rzeczywistość, przetykając ją tą, w której żył Pożar.

Uznałem to za bardzo złą wiadomość.

Światła nagle pociemniały i zgasły, po czym niemal natychmiast znów się zapaliły. Profesor i Tavi nawet na moment nie przerwali walki, ale zauważyłem, że dziewczyna wygląda na o wiele bardziej zmęczoną niż on. Była spocona, miała zaciśnięte zęby i łzy spływały jej po twarzy, żłobiąc ślady w pokrywającym policzki słonym pyle.

— Na skry — zaklęła Tia. — Wciąż nie mogę sforsować tych drzwi. Jon ma gdzieś w swoim apartamencie awaryjny generator. Włączył się, gdy przecięłam druty. Słyszę jego pomruk w środku.

— Wciąż chcesz to zrobić? — zapytałem.

— Nie zamierzam siedzieć tu bezczynnie — odparła. — Jeśli odwróciliście jego uwagę, to...

Urwała, gdy Profesor wypuścił falę tensorowej energii, która zatrzymała uderzenie pola siłowego i rozwalila ścianę apartamentu, w którym walczył. Ściana runęła, ukazując następny, sąsiedni apartament, gdzie Tia klęczała na podłodze.

Zaklęła i schowała się za stertą gruzu.

— Nie wiedziałam, że jesteście tak blisko — przesłała. — Chwileczkę. Ta dziewczyna wygląda znajomo. Czy to...

*O rany.*

— Chłopcze — odezwał się Cody. — Nie widzę, co się tam dzieje. Czy wy wszyscy jakoś z nim walczyście?

— Tak jakby — odparłem, wyjmując broń z kabury.

Profesor był pochłonięty zmaganiem z Tavi. Włócznie trafiła dziewczynę, przeszywając jej ramię i opryskując krwią ścianę za jej plecami. Upadła na kolana i w następnej chwili rana już zaczęła się goić. Ściskając ją, odbiła kolejne pociski energią tensorów, po czym chwiejnie wstała. Krew przestała płynąć i rana zamknęła się.

Wciąż ukryty za ścianą sąsiedniego pokoju rozdziawiłem usta. Zagoiła ranę. I jej moc wróciła znacznie szybciej niż Megan po zetknięciu z ogniem.

*Tak jak Edmund. Jej słabość nie działała na nią tak silnie, jak na Profesora czy innych. Może już dawno stawiała czoło swoim lękom i przezwyciężyła je?*

Profesor nadal krwawił z ran, które mu zadała. Pomimo to nie mogłem się oprzeć

wrażeniu, że przegapiłem coś ważnego dotyczącego natury mocy i słabości. Profesor walczył z nią. Czy to nie oznaczało, że usiłuje pokonać swoją słabość? Dlaczego wciąż był tak wyraźnie trawiony przez mrok?

W apartamencie, za zniszczoną ścianą po zachodniej stronie budynku, Tii w końcu udało się dostać do gabinetu Profesora. Ledwie ją widziałem, gdy przemknęła obok generatora podobnego do tego, który znaleźliśmy na górze. Usiadła przy biurku i zaczęła energicznie stukać w klawiaturę stojącego na nim komputera.

A Tavi... biedna Tavi. Nie znałem jej, ale serce mi się ścisnęło, gdy widziałem, jak cofa się pod kolejnym uderzeniem mocy Profesora. Wciąż walczyła, lecz była wyraźnie mniej doświadczona w tego rodzaju walce.

Wstałem, trzymając oburącz swoją małą berettę. Kątem oka widziałem zbliżającą się korytarzem Megan. Płakała, a jej twarz była maską bólu i skupienia.

Musiałem położyć temu kres. To nie działało i wykańczało Megan. Wycelowałem w Profesora, który skupił się na Tavi. Uspokoilem oddech i znieruchomiałem. Zaczekałem, aż ogranie go fala tensorowej energii wypuszczona przez Tavi, niszcząc pole siłowe.

Wtedy strzeliłem.

Nie wiem, czy celowo przesunąłem lufę, czy sprawiła to trzęsąca się podłoga. Sufit ledwie się trzymał i tu, i w sąsiednim pokoju; zbyt wiele ścian runęło.

Tak czy inaczej mój strzał zamiast prosto w potylicę, trafił Profesora w twarz. Kula oderwała kawałek policzka i wzbijała fontannę krwi. Jego ochronne pola siłowe były wyłączone. Może mógłbym go zabić...

Jednak ta chwila minęła. Profesor wzniosł za swoimi plecami ścianę pola siłowego, osłaniając się przed następnymi strzałami — niemal machinalnym, jakby roztargnionym gestem. Na Calamity... a jeśli zabije Tavi? Wyrwaliśmy ją z jej rzeczywistości i wepchnęliśmy w wir naszej wojny. Znów spojrzałem na Megan.

Ogień — pomyślałem. Jest inny sposób, żeby to zakończyć. Sięgnąłem do kieszeni, szukając zapalniczki. Gdzie ona jest? Nawet nie zauważyłem, jak ucierpiał mój wieczorowy strój: smoking pokrywała warstwa soli, a spodnie były podarte. Nie mogłem znaleźć zapalniczki; gdzieś ją zgubiłem.

Natomiast znalazłem w kieszeni coś innego. Mały cylinder. Inkubator tkankowy Knighthawka.

Spojrzałem tam, gdzie postrzeliłem Profesora.

Czy się odważę? Czy Megan wytrzyma jeszcze chwilę?

Podjąłem decyzję i przebiegłem przez pokój, omijając pole siłowe i przeskakując przez resztki sofy do połowy stopionej przez tensor. W rezultacie znalazłem się w samym środku bitwy, gdyż Profesor i Tavi walczyli w pobliżu dobrze zaopatrzonego barku. Owiały mnie

fale pyłu, od którego piekły oczy. Od wdzierającej się do ust soli zbierało mi się na wymioty. Budynek zakołysał się, a ja upadłem na podłogę i przetoczyłem się po niej, unikając niewidzialnej wiązki energii tensorowej, która wybiła dużą dziurę w ścianie obok. Z otworu w suficie sypały się kaskady pyłu.

Wstałem i podszedłem bliżej Profesora, zmierzając do plamy krwi na podłodze. Odwrócił się i spojrzał na mnie z wściekłością. Po trzykroć skry!

Podbiegłem i w środku tej plamy krwi znalazłem kawałek skóry z jego policzka. Jego rana po postrzale już się zagoiła. Widocznie nie chciały się goić tylko te zadane włócznie światła. Zwykła rana zaczynała się goić, gdy tylko odzyskiwał pełnię swojej mocy.

Wrzuciłem tę próbkę tkanki do urządzenia Knighthawka, zbyt przestraszony, żeby się przejmować tym ponurym zadaniem. Profesor utworzył włócznie światła, tuzin lub więcej. Z rykiem cisnął je we mnie.

Uskoczyłem.

Prosto w jeden z tych falujących kręgów powietrza.

## 32

Tym razem po przeniesieniu do innego świata nie spadłem z sześciometrowej wysokości, co należało uznać za plus. Zamiast tego wylądowałem na dachu budynku w spokojnej części miasta. I nie był to wieżowiec, lecz zwykła kamienica, chociaż trzeba przyznać, że dosyć wysoka.

Nic się tu nie rozpuszczało, nikt nie strzelał i nie było niepokojącego szumu energii tensorowej Profesora. Tylko czyste nocne niebo. Piękne, bez spoglądającej na mnie gniewnie czerwonej plamki.

Ścisnąłem próbkę tkanki, leżałem tam i patrzyłem w niebo, uspokajając oddech. Przed chwilą popełniłem chyba największe szaleństwo w moim życiu, które i tak bardzo w nie obfitowało.

— To ty — usłyszałem głos za swoimi plecami.

Przetoczyłem się do przykłąku, w jednej ręce ściskając inkubator z tkankami Profesora, a w drugiej pistolet.

Pożar unosił się obok dachu, jasny i płonący, z ciałem i ubraniem trawionym przez swe wijące się płomienie. Kule nie imają się ognistego Epika; po prostu się topiły. Czyżbym wpadł z deszczu pod rynnę?

Muszę grać na zwłokę, dopóki nie zostanę przeciągnięty z powrotem do mojego świata

— pomyślałem. Tylko że... jak długo tu zostanę, jeśli Megan nie spróbuje mnie przeciągnąć? Chyba nie ugrzązłem tu na stałe?

Pożar miał nieprzeniknioną minę, a otaczająca go aura żaru i płomieni deformowała powietrze wokół niego. W końcu stanął na dachu i — co mnie zaskoczyło — jego płomienie przygasły. Wyłoniło się spod nich ubranie: kurtka, bawełniany podkoszulek, obcisłe dżinsy. Ogień wciąż płonął na jego rękach, ale w kontrolowany sposób, jak ostatnie płomyki obozowego ogniska, zanim pozostaną po nim tylko rozżarzone węgle. Miał taką samą minę jak zawsze, kiedy go widziałem.

— Co zrobiłeś z Tavi? — zapytał. — Jeśli wyrządziłeś jej krzywdę...

Oblizalem wargi, które były niesamowicie suche i słone.

— Ja... — I znów wspomnienie mojego nieetycznego czynu spadło na mnie niczym pięść bufetowej w Fabryce, kiedy próbowałem ukraść dodatkową muffinkę. — Została wciągnięta do mojego świata.

— A więc Tia ma rację. Naprawdę usiłujecie przeciągnąć nas do waszego wymiaru? — Ruszył naprzód i z jego rąk znów buchnęły płomienie. — Dlaczego to robicie? Co chcecie osiągnąć?

Cofałem się.

— To nie tak! A raczej, no, nie wiedzieliśmy... to znaczy... Megan z początku nie wiedziała, co... Chcę powiedzieć, że my nie...

Nie miałem pojęcia, co próbuję powiedzieć.

Na szczęście Pożar zatrzymał się, po czym znów przygasił płomienie.

— Rany, jesteś przerażony. — Zaczerpnął tchu. — Słuchaj, możesz sprowadzić Tavi z powrotem? Jesteśmy w trakcie czegoś... Potrzebujemy jej.

— Tia... — powiedziałem, opuszczając lufę pistoletu i składając to wszystko razem. — Czekaj. Jesteś jednym z Mścicieli?

— Czy to dlatego wciąż przeciągacie mnie do waszego świata? — zapytał. — Czy tam nie ma żadnej wersji mojej osoby?

— Ja... myślę, że tam możesz być dziewczyną — powiedziałem. W dodatku moją. Już wcześniej zauważyłem pewne podobieństwa: Pożar miał blond włosy, a jego twarz, jeśli pominąć męskie cechy, przypominała twarz Megan.

— Tak... — wymamotał, kiwając głową. — Zauważyłem ją. To ona mnie przeciąga. Dziwnie jest pomyśleć, że mogę mieć siostrę w innym miejscu, w innym świecie.

Błysk światła rozjaśnił pobliski budynek — wysoki i owalny. Ostra Wieża? Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że wciąż znajduję się w tej samej dzielnicy Ildithii. Tylko nie w wieżowcu, lecz na dachu wysokiej kamienicy podobnej do tej, w której czekał Cody.

Pożar obrócił się w kierunku wybuchu i zaklął.

— Zostań tutaj — rzucił. — Rozmówię się z tobą później.

— Zaczekaj — powiedziałem, podnosząc się. Ten błysk wyglądał znajomo. — Znikający.

Ten błysk spowodował Znikający, prawda?

— Znasz go? — spytał Pożar, znów odwracając się do mnie.

— Tak — potwierdziłem, usiłując znaleźć jakiś sens w tym, co widziałem. — Można tak powiedzieć. Dlaczego...

— Zaczekaj — rzekł Pożar, przykładając dłoń do ucha. — Tak, widziałem to. Przybył do Ostrej Wieży. Miałaś rację. — Zmrużył oczy, spoglądając na wyższy budynek. — Chcę wkroczyć. Nie dbam o to, czy próbuje mnie zwabić, Tia. W końcu i tak będziemy musieli stawić mu czoło.

Z wahaniem podszedłem do Pożara, który stał na skraju naszego budynku. Tyle rzeczy wyglądało tutaj inaczej, ale też mnóstwo pozostało takie same. Znikający, sama Ildithia. A Tia? A Tavi... jej córka?

Błysk światła Znikającego powrócił jako silnie pulsujący skwar. Sól była niepalna, lecz Znikający wciąż ją naświetlał. Poruszały się tam jakieś cienie. Wyteżyłem wzrok i nagle na tle płomieni zobaczyłem postacie wyskakujące z okien.

— Te plamki! — krzyknął Pożar. — Tia, tam są ludzie. Skaczą z okien, uciekając przed żarem, który on wytwarza. Ruszam tam.

Pożar zapalił się i śmignął w powietrzu, ale wiedziałem, że nie zdąży dotrzeć do tych ludzi. Byli za daleko i spadali za szybko. Ścisnęło mi się serce. Co za straszna decyzja: dać się spalić Znikającemu czy rzucić się z okna? Chciałem oderwać wzrok od tego widoku, ale nie mogłem. Biedni ludzie.

Ktoś wyskoczył z pokoju na ostatnim piętrze płonącego budynku. Jakaś imponująca postać w rozwianym srebrzystym płaszczu i o jarzących się dłoniach pomknęła w dół. Mknąc ku spadającym ludziom, pozostawiał za sobą jasny, szeroki strumień światła jak meteor. Wstrzymałem oddech, gdy złapał najpierw pierwszą osobę, a potem drugą.

Zatoczyłem się w tył. Nie.

Pożar zawrócił i znów wylądował obok mnie.

— Nieważne — rzekł do Tii, wygaszając część swoich płomieni. — Dotarł tam na czas. Powiniennem wiedzieć. Czy kiedyś się spóźnił?

Znałem tamtą postać. Czarny strój. Potężna budowa. Nawet z daleka, nawet w mroku nocy poznałem go. Przez całe życie studiowałem jego zwyczaje, obserwowałem go, polowałem na niego.

— Stalowe Serce — szepnąłem. Otrząsnąłem się, a potem złapałem Pożara za rękę, zupełnie zapominając, że stoi w ogniu. Na szczęście płomienie znikły, gdy go dotknąłem, więc nie zostałem poparzony. — Stalowe Serce pomaga wam?



— Oczywiście — odparł Pożar, marszcząc brwi.

— Stalowe Serce... — wykrztusiłem. — Stalowe Serce nie jest zły?

Unosząc brwi, spojrzał na mnie tak, jakbym oszalał.

— I nie ma Calamity — powiedziałem, patrząc w niebo.

— Calamity?

— Tej czerwonej gwiazdy, która sprowadziła Epików.

— Inwokacji? — rzekł. — Znikła rok po tym, jak się pojawiła. Dziesięć lat temu.

— Czy czujecie działanie ciemności? — zapytałem. — Egoistyczną żądzą władzy, której ulega każdy Epik?

— O czym ty mówisz, Charleston?

Nie ma Calamity, nie ma ciemności, jest dobry Stalowe Serce.

Na skry!

— To wszystko zmienia — szepnąłem.

— Słuchaj, już ci mówiłem, że musisz się z nim spotkać — przypomniał Pożar. — On nie chce uwierzyć w to, co widziałem, ale musi z tobą porozmawiać.

— Dlaczego ze mną? A cóż ja go obchodzę?

— No... rzekł Pożar. On cię zabił.

*W moim świecie ja zabiłem jego. W tym — on mnie.*

— Jak to się stało? Muszę...

Poczułem szarpnięcie. Zobaczyłem lśnienie.

— Idę — powiedziałem, zaczynając znikać. — Nie mogę tego powstrzymać. Odeślemy wam Tavi. Powiedz mu... powiedz mu, że wrócę. Muszę... Muszę ustalić, co się tu dzieje — dokończyłem, ale jego już nie było. Dachy też. Za to pojawił się apartament pełen pyłu i przelatujących smug światła. Dwoje walczących Epików przeniosło się na korytarz, omijając apartament Profesora. W ten sposób znaleźli się na prawo ode mnie, gdzie brakowało większości ścian.

Podczas mojej nieobecności zjawili się strażnicy i zajęli stanowiska za załomem korytarza w pobliżu miejsca, gdzie się ukryłem. Zaczęli ostrzeliwać Tavi, oddając salwy w głąb korytarza.

*Świat bez Calamity...*

Musiałem komuś o tym powiedzieć! Z łatwością zlokalizowałem Cię gorączkowo pracującą przy stanowisku komputerowym w następnym apartamencie — na wprost i trochę na lewo ode mnie. Sól posypała mi się na głowę, a sufit zatrzeszczał.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Megan idącą w moim kierunku przez apartament. Wysoka i majestatyczna, z podniesioną głową i opuszczonymi rękami, których palce pozostawiały kręgi rozchodzące się w rzeczywistości. Elita Epików w całej

swej okazałości.

Spojrzała na mnie i groźnie warknęła.

No tak. Miałem ważniejszy problem do rozwiązania.

## 33

Ogień. Potrzebny mi był ogień.

Wydawało się ironią losu, że zaledwie przed chwilą stałem obok człowieka dosłownie zrobionego z płomieni, a teraz nie mogłem znaleźć nawet skry.

Wepchnąłem do kieszeni pojemnik z komórkami Profesora, a potem wstałem i przeszedłem przez apartament, starając się nie wychylać. Strażnicy cofali się. Gdy gorączkowo szukałem jakiegoś sposobu skrziesania ognia, zauważyłem Tavi klęczącą na korytarzu i otoczoną kilkuwarstwową kulą światła. Zapewne wewnętrzna warstwa była jej wytworem. Kuliła się w niej ze zwieszoną głową i ciałem oblepionym solnym pyłem rozmytym przez pot, trzęsąc się.

Ścisnęło mi się serce, ale pobiegłem do Tii w nadziei, że może mieć zapalniczkę. Megan próbowała mnie złapać, lecz uchyliłem się. Powietrze wokół mnie nadal falowało. Dostrzegałem przebłyski innych światów, obce krajobrazy miejsc, w których ta równina stała się dżunglą. W innym zmieniała się w jałową kamienną pustynię. Widziałem armie jarzących się Epików i stosy zabitych.

Duży fragment sufitu za mną runął z potwornym rumorem kamienia trącego o kamień. Kawał podłogi zarwał się pod tym ciężarem i zwałił mnie z nóg. Upadłem, uderzając się w ramię i przelatując ślizgiem po podłodze.

Gdy wreszcie się zatrzymałem, zamrugałem, uwalniając oczy od solnego pyłu i zacząłem kaszleć. Bolała mnie noga. Przy upadku skręciłem ją w kostce.

Ilość gruzu wskazywała, że większość podłogi apartamentu znikła. Zakończyłem wędrówkę w apartamencie Profesora, przy Tii, która schowała się za biurkiem, ściskając w dłoni komórkę. Ta była połączona przewodem z komputerowym napędem dyskowym, zasilanym — razem z wiszącymi pod sufitem żarówkami — przez mały generator powarkujący w kącie. Na Megan nie zrobiło to żadnego wrażenia. Obróciła się do mnie. Za nią, po drugiej stronie dziury w ścianie, strażnicy Profesora nawoływali się i wypełzali spod gruzów. Po prawej Profesor stał nad Tavi leżącą na podłodze. Jej pole siłowe znikło. Poruszyła się, ale nie wstała.

Megan napotkała moje spojrzenie, stojąc z wyciągniętymi rękami. Wykrzywiła usta w gniewnym grymasie, ale wytrzymała mój wzrok, a następnie zgrzytnęła zębami.

Wyczułem w tym błaganie. Wciąż leżąc na usłanej gruzem podłodze, wyrwałem z kabury pistolet, wycelowałem i strzeliłem.

W generator.

Tak jak tamten na górze ten też miał zbiornik gazu. Nie eksplodował, na co liczyłem, lecz przebijające zbiornik kule zapaliły gaz, który trysnął strugami ognia.

Światła natychmiast zgasły.

— Nie! — krzyknęła Tia.

Megan zapatrzyła się w płomienie, które tańczyły w jej oczach.

— Staw temu czoło, Megan — szepnąłem. — Proszę.

Ruszyła ku temu jakby przyciągana przez ciepło. Nagle wrzasnęła i rzuciła się naprzód, ominęła mnie i włożyła rękę w płomienie.

Upadła. Tavi znikła. Rozdarcia przestrzeni zamknęły się. Odetchnąłem z ulgą i zdołałem podczołgać się do Megan, ciągnąc za sobą obolałą nogę.

Drżała, ściskając mocno poparzoną rękę. Odciągnąłem ją od generatora na wypadek, gdyby jednak wybuchł, po czym wziąłem ją w ramiona.

W zupełnie ciemnym pomieszczeniu pozostały tylko dwa źródła światła: dopalający się zbiornik gazu...

...i Profesor.

Megan zacisnęła powieki, trzęsąc się ze zmęczenia. Uratowała nam życie, umożliwiła realizację mojego planu, a i to nie wystarczyło. Pojąłem to z taką samą łatwością, z jaką Profesor maszerował teraz ku nam. Dotarł na skraj ogromnej wyrwy w podłodze i przepłynął nad nią na polu siłowym, które utworzył sobie pod nogami. Oświetlony przez nie od dołu wyglądał jak widmo, mając większość twarzy skrytą w cieniu.

Profesor zawsze sprawiał wrażenie... niedokończonego. Z twarzą jak sterta potrzaskanych cegieł i zazwyczaj pokrytą zarostem. Teraz jednak dostrzegłem również oznaki zmęczenia. Powolny krok, strugi potu na twarzy, przygarbione ramiona. Walka z Tavi była wyczerpująca. Był praktycznie niezniszczalny, ale męczył się jak każdy.

Przyjrzał się mnie i Megan.

— Zabijcie ich — powiedział, a potem odwrócił się do nas plecami i znikł w ciemności.

Dwa tuziny strażników wymierzyły w nas broń. Przytuliłem Megan i usłyszałem jej szept:

— Umrę, będąc sobą — powiedziała. — Przynajmniej umrę, będąc sobą.

Ogień. Pozbawił ją mocy. Zawsze tak było przez parę minut po tym, jak rozmyślnie się oparzyła.

Jeśli teraz umrze, to czy na zawsze?

Nie.

Nie... Co ja zrobiłem?

Przekreśliłem się, osłaniając ją, gdy strażnicy otworzyli ogień. Ściany eksplodowały fontannami solnych odłamków. Kule strzaskały monitor komputera. Ze świstem przecinały powietrze w rozdzierającym uszy huku wystrzałów.

Tuliłem Megan plecami do strzelających.

Coś znów poruszyło się we mnie. Te mroczne głębie czające się w mojej duszy, ta ciemność. Wokół poruszały się cienie, wrzaski i emocje przeszywały mnie jak włócznie, nagłe i obezwładniające uczucie z moich snów. Odchyliłem głowę do tyłu i wrzasnąłem.

Palba ucichła po kilku ostatnich wystrzałach, po których opróżniły się magazynki. Mając na celowniku wrogi Epika, ci ludzie nie wahali się i nie wstrzymywali. Kilku włączyło przymocowane do karabinów latarki, żeby obejrzeć swoje dzieło.

Czekałem na ból, a przynajmniej odrętwienie wywołane postrzałem. Niczego takiego nie czułem. Powoli odwróciłem się i popatrzyłem. Wszystko wokół zostało zniszczone — podłoga, ściany, meble były potrzaskane, podziurawione, połamane... wszędzie poza wąskim, otaczającym mnie kręgiem. W nim nie było żadnych zniszczeń. W istocie wszystko było szkliste i lśniące. Srebrzystoczarne. Metaliczne.

Byłem żywy.

*Z pamięci przytłynął głos Regalii: „Zapewniono mnie, że będziesz... tematycznie odpowiedni”.*

— Imponujące — rzekł z cienia Profesor. — Co zrobiła? Otworzyła drzwi do innego świata i wysłała przez nie kule? — Miał zmęczony głos. — Będę musiał sam to zrobić. Nie myśl, że to mnie nie boli.

— Jonathanie... — szepnął ktoś.

Zmarszczyłem brwi. Ten ktoś był niedaleko. Kto...

Zapomniałem o Tii.

Bezwładnie opierała się o biurko z soli, oświetlona migotliwym blaskiem dopalającego się gazu. Schowała się tam, ale kule i tak ją trafiły. Krwawiła z wielu ran, ściskając w palcach komórkę. Ona też była przestrelona.

— Jon — powiedziała. — Ty draniu. Bałeś się, że dojdzie do... tego. — Zakasłała. — Myliłam się, a ty miałeś rację. Jak zawsze.

Profesor wszedł w krąg światła rzucanego przez latarki jego żołnierzy. Ta zmęczona, obwisła twarz zdawała się zmieniać. Opadła mu szczeka. Wydawało się, że dopiero teraz przejrzał na oczy. Tylko po to, żeby patrzeć, jak Tia wydaje ostatnie tchnienie i umiera.

Kłęczałem oniemiały i ledwie słyszałem ryk Profesora — jego nagły krzyk bólu i żalu. Na polu siłowym przemknął nad dziurą w podłodze, minął mnie i Megan, po czym ignorując nas, złapał Cię.

— Ożyj! — rozkazał jej. — Ożyj! Daję ci ten dar!

Obejmowałem Megan oniemiałą, nie dowierzając. Tia nadal bezwładnie spoczywała w jego ramionach.

Podłoga wyparowała. Tak jak ściany, sufit, cały wieżowiec. Wszystko rozsypało się w proch pod uderzeniem udręczonego krzyku Profesora. Żołnierze runęli jak kamienie, lecz Profesora i Cię otoczyła bańka ochronnego pola siłowego.

Żołądek podszedł mi do gardła, gdy Megan i ja także zaczęliśmy spadać z siedemdziesiątego piętra.

— Megan! — krzyknąłem.

Jej powieki opadły i zamknęły się. Trzymałem ją, spadając.

Nie. Nie. NIE.

Wokół nas w ciemności spadały ciała, tumany pyłu, szczątki mebli, strzępy materiału. Mijały nas.

— Megan! — zawołałem ponownie, przekrzykując świst wiatru i wrzaski przerażonych żołnierzy. — Zbudź się!

Gwałtownie otworzyła oczy, które zdawały się płonąć w ciemności. Drgnąłem i o mało jej nie puściłem, gdyż nagle miałem na sobie uprząż spadochronową.

Opadliśmy na ziemię zaledwie chwilę później, lądując z niepokojącym trzaskiem. Później poczułem ból. Jęknąłem, gdy przeszył mnie niczym uderzenie prądu elektrycznego rozchodzącego się od nóg. Był tak obezwładniający, że nie mogłem się poruszyć. Cierpiałem, spoglądając w czarne niebo.

I na Calamity, która patrzyła na mnie.

Upłynęło trochę czasu. Niewiele, ale dość. Usłyszałem kroki.

— Jest tutaj — powiedział ponaglająco Abraham. — Mielicie rację. Na skry! To rzeczywiście był spadochron. Jeden z naszych, ale ja go tam nie zostawiłem...

Obróciłem głowę, mrugając piekącymi od soli oczami, i zobaczyłem go, a raczej jego ciemną sylwetkę.

— Trzymam cię, Davidzie — powiedział Abraham, łapiąc mnie za rękę.

— Megan — szepnąłem. — Pod spadochronem.

Ten nakrył ją, kiedy spadliśmy na ziemię.

Abraham podszedł tam i podniósł spadochron.

— Ona tu jest — rzekł z ulgą w głosie. — I oddycha. Cody, Mizzy, musicie mi pomóc. Davidzie, będziemy musieli cię ruszyć. Nie możemy tu zostać. Profesor jest tam w górze i jarzy się. Może tu opaść w każdej chwili.

Spiąłem się, gdy Abraham zarzucał mnie sobie na ramię. Dwoje pozostałych przybyło i wyciągnęło Megan z rumowiska. Nie było czasu na rozważania.

Wynieśli nas w noc, zostawiając gruzy całkowicie nieudanej operacji.

## 34

Nie zasnąłem, chociaż kiedy Cody kazał nam przystanąć w jakimś zaułku i sprawdzić, czy nie jesteśmy śledzeni, pozwoliłem, by Abraham podał mi jakiś środek przeciwbólowy. Kiedy mnie badał, Mizzy pracowała nad noszami dla Megan. Okazało się, że przy uderzeniu o ziemię złamałem obie nogi.

Zanim opuściliśmy ten zaułek, niebo poszarzało, wszystko zasnuła mgła i zaczął padać deszcz, na którym bruk zrobił się śliski od słonej wody. Jednak sól kamienna trzymała się lepiej, niż oczekiwałem. Budynki nie rozpuszczały się zbyt szybko.

Z początku deszcz był przyjemny, gdyż zmywał ze mnie słony pył, kiedy leżałem na noszach obok Megan. Jednak zanim dotarliśmy do mostu w parku, byłem zupełnie przemoczony. Widok bryłowatej bazy, wyrastającej pod mostem niczym jakiś dziwaczny grzyb, bardzo mnie ucieszył.

Megan wciąż była nieprzytomna, ale chyba w lepszym stanie niż ja. Abraham nie stwierdził u niej żadnych połamanych kości, chociaż na pewno będzie miała kilka wielkich sińców, a ponadto mocno poparzoną rękę.

— No cóż, żyjemy — powiedział Cody, gdy stanęliśmy przy drzwiach kryjówki. — O ile nie przeoczyliśmy ogona i Profesor nie czai się w pobliżu, czekając, aż doprowadzimy go do Zawłaszczacza.

— Twój optymizm jest tak krzepiący, Cody — rzuciła Mizzy.

Trochę pracy wymagało przepchnięcie noszy przez wejście, którym był wąski tunel na jednym końcu zasypany gruzem. Pomagałem w tym, odpychając się rękami. Nogi wciąż mnie bolały, ale był to raczej ból typu: „Hej, nie zapominaj o nas” niż wcześniejszy: „DO LICHA, JESTEŚMY POŁAMANE”.

W kryjówce unosił się zapach zupy, którą lubił Zawłaszczacz — zwykłego wywaru z warzyw, niemal zupełnie bez smaku. Abraham oświetlił wewnątrz swoją komórką.

— Zgaś to, idioto — warknął Zawłaszczacz ze swojego pokoju.

Pewnie znów medytuje. Usiadłem na noszach, gdy Mizzy wczołgała się do środka, westchnęła i upuściła swój sprzęt na podłogę.

— Muszę wziąć prysznic! — zawołała do Zawłaszczacza. — Co dziewczyna musi zrobić, żeby skłonić cię do wyczarowania go?

— Umrzeć! — odkrzyknął Zawłaszczacz.

— Mizzy — cicho powiedział Abraham — sprawdź sprzęt, zwróć Zawłaszczaczowi

rzeczy, które dla nas stworzył, i podziękuj. Pewnie to bez znaczenia, gdyż i tak znikną, ale może taki gest sprawi mu przyjemność. Cody, wypatruj na zewnątrz oznak pościgu. Teraz, kiedy mamy więcej czasu, chcę dokładniej zbadać tych dwoje.

Apatycznie skinąłem głową. Taak. Rozkazy. Trzeba wydać rozkazy. Jednak... ledwie pamiętałem, jak tu wróciliśmy.

— Trzeba zwołać odprawę — oznajmiłem. — Odkryłem coś.

— Później, Davidzie — łagodnie rzekł Abraham.

— Jednak...

— Jesteś w szoku. Najpierw odpocznijmy.

Westchnąłem i położyłem się. Wcale nie czułem się tak, jakbym doznał szoku. Oczywiście, byłem spocony i wychłodzony, ale to dlatego, że zmokłem. Owszem, w drodze powrotnej trząsałem się i nie mogłem zebrać myśli, ale tylko dlatego, że to wszystko było zbyt wyczerpujące.

Wątpiłem, czy wysłuchałby moich argumentów. Chociaż zgadzał się z tym, że ja dowodzę, Abraham potrafił być bardzo opiekuńczy. Jednak zdołałem go przekonać, że najpierw powinien zająć się Megan. Razem z Mizzy zabrali ją, żeby zdjąć z niej mokrą i podartą wieczorową suknię oraz sprawdzić, czy nie odniosła jakichś niezauważonych wcześniej ran. Potem Abraham wrócił, żeby unieruchomić moje nogi w łubkach.

Mniej więcej godzinę później Abraham, Mizzy i ja kuliliśmy się w najmniejszym z pomieszczeń naszej nowej bazy. Mieliśmy nadzieję, że jesteśmy na tyle daleko od Zawłaszczacza, że nas nie usłyszy. Megan leżała opatulona w kącie. Spała.

Abraham wciąż na mnie zerkał, spodziewając się, że zasnę. Z uporem nie robiłem tego, siedząc pod ścianą, wyciągnąwszy przed siebie nogi w łubkach. Podali mi silne środki przeciwbólowe, tak więc mogłem mu się odwzajemnić pewnym siebie spojrzeniem.

Abraham westchnął.

— Dajcie mi sprawdzić, co u Cody'ego — rzekł. — Potem porozmawiamy.

Zostałem z Mizzy. Popijała gorące kakao, które parę dni temu kupiła na targu. Ja nie znosiłem tego napoju. O wiele za słodki.

— A więc — powiedziała — to nie była całkowita katastrofa, prawda?

— Tia nie żyje — rzekłem ochryplym głosem. — Nie udało nam się jej uwolnić.

Mizzy skrzywiła się, patrząc w głąb kubka.

— Taak. Jednak... No wiesz... sprawdziłeś jedną z twoich teorii. Wiemy teraz więcej, niż wiedzieliśmy wczoraj.

Potrząsałem głową chory z niepokoju o Megan, sfrustrowany tym, że tyle przeszliśmy, żeby uratować Tię, a i tak straciliśmy ją na dobre. Czułem się bezsilny, pokonany i obolały. Czekałem na powrót Tii; ona jako jedna z pierwszych w zespole traktowała mnie

jak kogoś użytecznego. Teraz ją zawiodłem.

Czy mogłem zrobić więcej? Nic nie powiedziałem o tym, jak przeżyłem strzelaninę. Prawdę mówiąc, sam nie znałem odpowiedzi na to pytanie. Chcę powiedzieć, że... miałem pewne podejrzenia. Jednak nie wiedziałem na pewno, więc jaki sens miałyby rozmowa o tym teraz?

Sam się okłamujesz, co? — pytał mnie cichy gosik.

— Ten spadochron — odezwała się Mizzy, zerkając na Megan. — Ona go zrobiła, prawda?

Skinąłem głową.

— I założyła go tobie, a nie sobie. Zawsze tak robi. Pewnie ma to sens, jeśli się odradza po śmierci... — Zamilkła.

Wrócił Abraham.

— Jest szczęśliwy jak zając w norze — oznajmił. — Siedzi w pelerynie na moście, żuje suszoną wołowinę i wypatruje czegoś, co mógłby ustrzelić. Na razie niczego takiego nie widać. Może naprawdę zdołaliśmy uciec.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Potem ostrożnie zdjął z szyi wisiołek, symbol wiary, i trzymał go w wyciągniętej ręce. Wisior skrzył się srebrzyście w blasku naszych komórek.

— Abrahamie — powiedziałem. — Wiem, że... Chcę powiedzieć, że Tia była twoją przyjaciółką...

— Więcej niż przyjaciółką — cicho rzekł. — Była moją zwierzchniczką, której nie posłuchałem. Uważam, że mieliśmy rację, a ona nie, ale nie mogę bagatelizować jej straty. Proszę. Daj mi chwilę.

Zaczekaliśmy, a on zamknął oczy i odmówił cichą modlitwę po francusku. Do Boga czy do tych mitycznych Epików, którzy, jak wierzył, zbawią nas pewnego dnia? Schował w dłoni łańcuszek wisiora i trzymał go blisko, lecz jak zwykle nie mogłem odczytać jego uczuć. Żal? Cierpienie? Niepokój?

W końcu zrobił głęboki wdech i schował naszyjnik.

— Masz jakieś informacje, Davidzie. Uważasz, że są ważne i chcesz się nimi podzielić. Będziemy opłakiwali Cię, kiedy skończy się ta wojna. Mów. Co się tam stało?

On i Mizzy patrzyli na mnie wyczekująco, więc przełknąłem ślinę i zacząłem mówić. Już powiedziałem im o Tavi, ale teraz wyjaśniłem, co się stało, gdy zostałem wessany do świata Pożara. O tym, co tam widziałem. O Stalowym Sercu.

Mówiłem chaotycznie. Naprawdę byłem zmęczony. Oni zapewne też, ale nie mogłem teraz zasnąć. Przynajmniej dopóki nie zrzucę z barków ciężaru tego, co widziałem, co odkryłem. Powiedziałem im wszystko, co mogłem, po czym zamilkłem. Gdybym mówił



dalej, musiałbym im opowiedzieć o swoich podejrzeniach dotyczących mojej własnej... przemiany.

— Zabił cię? — zapytał Abraham. — W ich świecie Stalowe Serce cię zabił? Tak powiedzieli?

Skinąłem głową.

— Ciekawe. Ich świat jest podobny do naszego, a jednak różni się w tak istotnych kwestiach.

— Nie pytałeś go o mnie, prawda? — spytała Mizzy.

— Nie. Dlaczego pytasz? Powinienem?

Ziewnęła.

— Nie wiem. Może tam jestem, no wiesz, jakąś supersprawną ninja?

— Powiedziałbym, że byłaś superninją dzisiaj — rzekł Abraham. — Dobrze wykonałaś swoje zadanie.

Zarumieniła się i popiła kakao.

— Świat bez Calamity — powiedział Abraham. — Jednak jakie to ma...

Zawarczała jego komórka. Zmarszczył brwi, patrząc na nią.

— Nie znam tego numeru.

Odwrócił ją i pokazał mi.

— Knighthawk — powiedziałem. — Odbierz.

Zrobił to, przykładając aparat do ucha, a potem odsunął go, gdy Knighthawk zaczął głośno mówić. Abraham ściszył dźwięk.

— Jest czymś podekscytowany — zauważył.

— Najwyraźniej — wymamrotała Mizzy. — Przełącz na głośnik.

Abraham nacisnął odpowiednie klawisze. Na wyświetlaczu pojawiła się twarz Knighthawka, a w pokoju rozległ się jego głos.

— ...nie wierzę, jakie jaja ma ta kobieta. Co się stało z komórką Davida? Wyparowała? Od kilku godzin nie mogę jej namierzyć.

Wyjąłem ją. Przetrwała akcję, chociaż z popękany ekranem, bez tylnej osłony i baterii.

— Hm, pamięta lepsze czasy — orzekł Abraham.

— Naprawdę powinien bardziej uważać — stwierdził Knighthawk. — Te aparaty nie rosną na drzewach.

— Wiem — mruknąłem. — Kazałeś nam za nie zapłacić.

Knighthawk mruknął po nosie. Był zaskakująco, a nawet irytująco wesoły.

— Po tym wszystkim przyślę ci jeden na koszt firmy, dzieciaku.

— Po tym wszystkim? — powtórzyłem.

— Po zdobyciu danych Regalii. To niewiarygodne. Nie czytaliście ich?

— Dane? Knighthawk, one były w komórce Tii. Skopiowałeś je?

— Oczywiście, że je skopiowałem — odparł. — Myślicie, że stworzyłem ogólnokrajową sieć łączności dla zabawy? No, to istotnie dobra zabawa. Głównie dlatego, że mogę czytać, co ludzie do siebie piszą.

— Prześlij nam kompletny zrzut — powiedział Abraham.

Knighthawk zamilkł.

— Knighthawk? — rzuciłem. — Chyba nie...

— Cii! — przerwał mi. — Nie rozłączam się. Po prostu mam inne połączenie. — Zaklął gniewnie. — Chwileczkę.

Cisza. Wszyscy troje spojrzeliśmy na siebie niepewnie. Jeśli Knighthawk przechwycił te dane, to może operacja nie była kompletną katastrofą.

Odezwał się znów kilka minut później:

— Do diabła. To był Jonathan.

— Profesor? — spytałem.

— Taak. Żądał, żebym was wytropił. Nie wiem, jak odgadł, że mogę to zrobić. Zawsze mu mówiłem, że nie mogę.

— I? — naciskała Mizzy.

— Wysłałem go na drugi koniec miasta — odparł Knighthawk. — Daleko od was. Co oznacza, że kiedy z wami skończy, niemal na pewno przyjdzie mnie zamordować. Nie powinienem was wpuszczać za próg, idioci.

— Hm... dziękujemy za życzliwość — mruknęła Mizzy.

— Wysłałam wam kopię planów Regalii — powiedział Knighthawk. — Pamiętajcie, że są tam odniesienia do kilku fotografii, których nie ma w folderze. Nie dlatego, żebym je przed wami ukrywał, ale ponieważ komórka wyłączyła się, zanim zakończyła przesyłanie danych. Jednak powiedzcie Tii, że wykonała wspaniałą robotę.

— Tia nie żyje — rzekłem posępnie. — Zabili ją.

Knighthawk znów zamilkł, ale słyszałem jego oddech.

— Na Calamity — szepnął. — Nigdy nie sądziłem, że posunie się tak daleko. To znaczy... wiedziałem, że on... ale Cię?

— Nie sądzę, że tego chciał — wyjaśniłem. — Napuścił na nas swoich oprychów i zginęła.

— Twoje dane przeszły — oznajmił Abraham, pokazując swoją komórkę. — Czy wyjaśniają, co Profesor tutaj robi?

— Jasne — odrzekł Knighthawk, znowu się ożywiając. — On...

— Jest tu po Zawłaszczacza — wtrąciłem. — Chce zrobić motywator oparty na jego

umiejętnościach, a następnie wykorzystać go do wchłonięcia mocy Calamity, wszystkich, stając się w ten sposób najpotężniejszym Epikiem.

Mizzy zamrugła zaskoczona, a Abraham popatrzył na mnie.

— Och — burknął Knighthawk. — A więc przeczytałeś te dane?

— Nie — odparłem. — To po prostu logiczne. — Kawałki układanki znalazły się na swoich miejscach. — To dlatego Regalia sprowadziła Znikającego do Babilaru, prawda? Mogła znaleźć sto innych sposobów, żeby zagrozić miastu i zmusić Profesora do wykorzystania jego mocy. Jednak zaprosiła go tutaj, ponieważ chciała zrobić motywator z jego destrukcyjnych umiejętności, żeby ukryć to, co naprawdę zamierzała zrobić.

— Stworzyć teleportal — rzekł Knighthawk. — Żeby dotrzeć do Calamity, kiedy będzie miała umiejętności Zawłaszczacza. Jednak zginęła, zanim zdołała zrealizować ten plan, więc przejął go Profesor. Dobrze zgadujesz, dzieciaku. Zwiodłeś mnie. Wcale nie jesteś taki głupi, jakiego udajesz. Nawiasem mówiąc, opuszczam tę moją bazę. Manny właśnie wiezie mnie do dżipa. Nie zamierzam tu tkwić, gdy najniebezpieczniejszy Epik na świecie może w mgnieniu oka teleportować się, gdziekolwiek chce.

— Gdyby to zrobił, zaalarmowałby Znikającego — zauważyłem. — Zamierzał zdetonować bombę w Babilarze głównie po to, żeby Znikający nie zorientował się, że skradł jego umiejętności.

— Pomimo to wyjeżdżam, przynajmniej dopóki Jonathan nie ochłonie.

— Knighthawku — odezwał się Abraham. — Potrzebny nam twój wzmacniacz. Mamy rannych.

— Niedobrze — odparł. — To jedyny, jaki teraz mam. Kocham was, ludzie... no, chcę powiedzieć, że nie żywię do was niechęci, ale moja skóra jest ważniejsza od waszej.

— A gdybym dał ci coś, żebyś zrobił sobie drugi? — zapytałem, sięgając do kieszeni.

Wyjąłem próbnik tkankowy i pokazałem mu. Abraham posłusznie obrócił swoją komórkę tak, żeby Knighthawk zobaczył próbnik.

— Czy to... — zaczął.

— Tak. Profesora.

— Wszyscy pozostali niech opuszczą pokój. Chcę porozmawiać z chłopakiem.

Abraham spojrział na mnie, unosząc brew. Skinąłem głową. Niechętnie oddał mi swoją komórkę i wyszedł razem z Mizzy. Oparłem się o ścianę, patrząc na twarz Knighthawka na wyświetlaczu. Jego komórkę przytrzymało przed nim jakieś urządzenie, które miał na szyi, gdy Manny wiózł go jednym z tuneli.

— Zrobiłeś to — cicho powiedział Knighthawk. — Jak? Pola siłowe powinny go ochronić.

— Megan sięgnęła do innego wymiaru — wyjaśniłem — i przyciągnęła inną wersję Profesora. Tak jakby.

— Tak jakby?

— Jego córkę — odparłem. — Myślę, że jego i Tii. Miała takie same umiejętności, Knighthawku. I... — Nabrałem tchu. — I to jest jego słaby punkt. Jego zdolności. A przynajmniej tak twierdziła Tia.

— Hm... — mruknął. — To ma sens, znając Jonathana. Dziwne, że jego córka ma jego zdolności. Dzieci tutejszych Epików są ich pozbawione. I zdołała pokonać jego osłony?

— Tak — odrzekłem. — Udało mi się odstrzelić mu kawałek skóry i zapakować dla ciebie.

— Człowieku — powiedział Knighthawk — wiesz, że naprawdę prosimy się o kłopoty. Jeśli się dowie, że to masz...

— Już wie.

Knighthawk ze smutkiem pokręcił głową.

— Cóż, jeśli mam zostać zamordowany, to równie dobrze mogę pozwolić, żeby zrobił to stary przyjaciel. Wyślę ci dronem wzmacniacz, a ty odeślesz mi tę próbkę. Umowa stoi?

— Stoi, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Musimy znaleźć sposób, żeby pokonać Profesora — powiedziałem. — I zmusić go, żeby stawiał czoło swojej mocy.

— Niech twój ulubiony Epik przywoła jakąś inną jego wersję.

— Nie. To nie zadziałało. Zdołaliśmy osłabić jego moc, ale nie mogliśmy go przeciągnąć na naszą stronę. Muszę spróbować czegoś innego.

Była to prawda, ale tylko połowiczna. Zerknąłem na Megan, nieprzytomną i cicho oddychającą. To, co zrobiła tego wieczoru, o mało jej nie zabiło. Nie zamierzałem ponownie prosić ją, żeby znów zrobiła coś takiego. Nie byłoby to w porządku wobec niej, a także wobec osoby, którą sprowadzilibyśmy do naszego świata.

— Zatem... — zaczął Knighthawk.

Pokazałem mu próbnik.

— Jest inny sposób, aby zmusić go do zmierzenia się z kimś posiadającym jego moc, Knighthawku.

Roześmiał się.

— Poważnie?

— Jak pies przy misce — powiedziałem. — Ile czasu to zajmie? Zrobienie urządzeń dla wszystkich trzech mocy. Tworzenia pól siłowych, regeneracji i dezintegracji.

— Całe miesiące — odparł Knighthawk. — A nawet rok, jeśli którąś z nich trudno będzie rozpracować.

Tego się obawiałem.

— Jeśli to jedyny sposób, będziemy musieli to zrobić.

Nie cieszyła mnie myśl, że będziemy przed rok uciekać i ukrywać Zawłaszczacza przez Profesorem.

Knighthawk przyjrzał mi się. Jego manekin wsadził go do dżipa, a potem zapiął pas.

— Masz jaja — rzekł Knighthawk. — Pamiętasz, jak mówiłem ci, że badaliśmy wczesnych Epików i odkryliśmy, że żywy Epik cierpi, kiedy ktoś używa motywatora stworzonego z jego umiejętności?

— Tak.

— Czy mówiłem ci, na kim to sprawdzaliśmy?

— Już je masz — powiedziałem. — To dlatego tak bardzo chcesz mieć komórki Profesora. Już skonstruowałeś urządzenia powielające jego zdolności.

— Skonstruowaliśmy je razem — rzekł. — On i ja.

— Są w twoim pokoju — ciągnąłem. — Tym z pamiątkami po poległych Epikach. W gablotce bez tabliczki. Kamizelka i rękawiczki.

— Tak. Zniszczyliśmy wszystkie próbki jego tkanek, kiedy odkryliśmy, jak go to boli. Myślę, że przez cały czas bał się, że zdobędę inną próbkę jego komórek. Z pewnością dlatego trzymał się ode mnie z daleka. — Manekin Knighthawka potarł brodę jakby w zadumie. — Chyba miał powody do obaw. Przyślij mi te komórki, a ja niemal natychmiast uzyskam dla ciebie urządzenie naśladujące jego zdolności. Najpierw jednak zamierzam wypróbować jego uzdrawiające zdolności na mojej żonie.

— Zrobisz to, a natychmiast się o tym dowie — powiedziałem. — I przyjdzie, żeby cię zabić.

Knighthawk zgrzytnął zębami.

— Będziesz musiał zaryzykować i postawić na nas, Knighthawku — oznajmiłem. — Przyślij nam te urządzenia. Przeciagniemy go na naszą stronę, a potem spróbujemy uratować twoją żonę. To twoja jedyna szansa.

— Świetnie.

— Dziękuję.

— W tej sytuacji tak nakazuje instynkt samozachowawczy, dzieciaku — rzekł Knighthawk. — Dron, który wysyłam, dotrze do was za sześć godzin. Tyle samo zajmie mu powrót z próbką tkanki do mojej kryjówki. Jeśli komórki będą żywe, natychmiast rozpocznę pracę nad całym zestawem motywatorów dla was. Pól siłowych, uzdrawiania i tensorów.

— To wystarczy.

— I jeszcze jedno, Davidzie — dodał Knighthawk, gdy jego manekin uruchomił dżipa. — Nie rozczulaj się. Jeśli tym razem nie przejdzie na jasną stronę, zrób to, co, jak obaj

wiemy, jest konieczne. Po tym, jak zabił Cię... na skry, cóż to byłoby za życie, gdyby zawsze musiał o tym pamiętać? Skróć mu cierpienia. Podziękowałby ci za to.

Knighthawk zamilkł i jego twarz znikła z wyświetlacza. Siedziałem, usiłując przetrwać wszystko to, co zdarzyło się tego wieczoru. Tia, Pożar, twarz Profesora w cieniu. Plama ciemnoszarego metalu na podłodze.

W końcu odłożyłem komórkę, a potem odwróciłem się i — nie zważając na ból połamanych nóg — powlokłem się przez pokój, aż dotarłem do Megan. Oparłem głowę na jej piersi, objąłem ją i słuchałem bicia jej serca, aż w końcu zasnąłem.

---

---

# CZĘŚĆ IV

---

---

## 35

Obudziłem się zlany potem. Znowu.

Dręczyły mnie te same obrazy. Dźwięki hałaśliwe i straszne. Ostre światła. Strach, przerażenie, samotność. I brak ulgi, jaką normalnie odczuwasz, budząc się z koszmarne go snu. Żadnej pociechy przyniesionej przez świadomość, że to był tylko sen.

Te koszmary były inne. Wywoływały paniczny lęk. Byłem po nich obolały i potłuczony, niczym partner sparingowy ze starego filmu o bokserach. Po przebudzeniu musiałem z bolącymi połamany mi nogami siedzieć przez długą jak wieczność chwilę na podłodze, zanim mój puls wrócił do normy.

Na skry. Coś ze mną było bardzo nie w porządku.

Przynajmniej nie zbudziłem nikogo z pozostałych. Abraham i Cody spali na swoich posłaniach, a ja w nocy najwidoczniej wróciłem od Megan na swoje, które dla mnie przygotowali. Mizzy nie było. Stała na warcie. Sięgnąłem pod poduszkę, gdzie z przyjemnością znalazłem swoją komórkę, naprawioną przez Mizzy.

Spojrząwszy na wyświetlacz, zobaczyłem, że jest szósta rano, a jego blask ukazał szklankę z wodą i kilka tabletek na pudle stojącym przy moim posłaniu. Połknąłem tabletki, gdyż mój organizm domagał się środków przeciwbólowych. Następnie podniosłem się do pozycji siedzącej pod ścianą i dopiero wtedy poczułem, że bolą mnie bok i ramiona. Podczas tej akcji moje ciało poważnie ucierpiało.

Pomacałem plecy i znalazłem parę dziwnych sińców w kształcie ćwierćdolarówek. Coraz dotkliwszy ból był tak dokuczliwy, że siedziałem, nie wiem jak długo, dopóki leki nie zaczęły działać. Kiedy znów byłem w stanie trzeźwo myśleć, zacząłem przeszukiwać

komórkę. Abraham przesłał całemu zespołowi dane odzyskane przez Cię, więc zagłębiłem się w nie, starając się nie martwić tym, czy w końcu będę musiał zbudzić Abrahama lub Cody'ego, żeby zaprowadzili mnie do ubicacji.

Pismo Regalii było wyraźne, staranne i czytelne. Miałem wrażenie, że czytając, słyszę jej głos. Tak pewny siebie, taki chłodny, taki rozwścieczający. Ukradła nam Profesora rozmyślnie i skutecznie — tylko po to, żeby zaspokoić swoją żądzę posiadania nieśmiertelnego dziedzica.

Jednak dobrze się to czytało. Plan Regalii był niewiarygodny. A nawet zuchwały; zacząłem darzyć ją mimowolnym szacunkiem. Tak jak się domyślałem, Regalia wezwała Znikającego nie ze względu na jego umiejętność niszczenia miast, ale zdolność teleportacji.

Jej spisek sięgał około pięciu lat wstecz, lecz w końcu napotkał ostateczną i nieprzewidzianą przeszkodę: jej własną śmiertelność. Moc Epików nie jest w stanie leczyć naturalnych chorób. Była śmiertelnie chora i dlatego szukała w Profesorze następcy. Kogoś, kto mógłby pojechać do Ildithii, zrobić motywator z Zawłaszczacza, a potem teleportować się do Calamity i dokonać czegoś pozornie niewykonalnego.

Pomimo swej błyskotliwości ten szalony plan miał wiele wad. Według naszych najlepszych szacunków Calamity była źródłem wszelkiej mocy Epików. Jednak kto twierdzi, że w ogóle można ukraść jej zdolności? A jeśli nawet, czy w ten sposób po prostu nie wymieniliby się Calamity na coś innego, co działałoby dokładnie tak samo?

Jednak warto było spróbować, a nie tylko akceptować świat takim, jaki jest. Za to szanowałem Regalię, chociaż w końcu to ja ją zabiłem.

Przebrnąwszy przez jej notatki, otworzyłem zestaw fotografii. Obok map Ildithii znalazłem kilka zdjęć Calamity. Pierwsze trzy były zrobione przez teleskop. Te były niewyraźne; widziałem już takie ujęcia. Calamity wyglądała na nich jak gwiazda.

Ostatnie było inne. Niepokoiło mnie to, co powiedział Knighthawk — że nie wszystkie fotografie przeszły. Obawiałem się, że nie będzie żadnego realistycznego zdjęcia Calamity.

Jednak było i patrzyła na mnie z jasnego wyświetlacza w mojej dłoni. Nie było zbyt dobre — miałem wrażenie, że zostało zrobione ukradkiem telefonem komórkowym — ale niewątpliwie ukazywało Epika. Postać z czerwonego światła, chociaż nie mogłem orzec, czy męska, czy kobieca. Zdawała się stać w jakimś pomieszczeniu, a wokół niej światło odbijało się pod różnymi kątami od pozałamywanych powierzchni.

Szukałem w plikach czegoś podobnego, ale na próżno. Inne zdjęcia Calamity, jeśli takowe były, przepadły. Dziwne jednak było to, że Knighthawk najwyraźniej skopiował całą pamięć komórki Tii, nie tylko nowe pliki od Regalii. W istocie na moim wyświetlaczu świecił się folder o nazwie Jonathan. Wiedziałem, że zapewne powinienem zostawić go



w spokoju jako prywatne zapiski, ale nie mogłem się powstrzymać. Otworzyłem go i uruchomiłem pierwszy plik multimedialny.

Film pokazywał Profesora w sali wykładowej.

Miałem ściszony dźwięk, lecz pomimo to słyszałem w jego głosie entuzjazm, gdy wyjął zapalniczkę i szedł wzdłuż szeregu jajek z dziurkami na czubkach, zapalając je. Studenci śmiali się i podskakiwali, gdy jajka wybuchały, napełnione wcześniej przez Profesora wodorem.

Później były balony trzaskające w inny sposób, kiedy je zapalał. Nie interesowały mnie naukowe podstawy tych eksperymentów: za bardzo skupiłem się na Profesorze. Młodszym, o kruczoczarnych włosach z nielicznymi pasmami siwizny. Rozentuzjasmowanym Profesorze, który zdawał się cieszyć każdą chwilą tego pokazu; pomimo że zapewne demonstrował to po raz setny.

Wydawał się zupełnie inną osobą. Uświadomiłem sobie, że przez cały czas naszej znajomości nigdy nie widziałem go szczęśliwego. Zadowolonego, owszem. Entuzjastycznego. Ale naprawdę szczęśliwego? Nie, dopiero teraz, na tym filmie ze studentami.

Właśnie to straciliśmy. Usiłowałem opanować emocje, czekając na koniec nagrania. Pojawienie się Calamity zmieniło świat pod wieloma względami. Profesor powinien być tam i nauczać.

Pospiesznie otarłem oczy, słysząc odgłos zbliżających się kroków. Po chwili pojawiła się Mizzy i pokazała mi przedmiot wielkości piłki do koszykówki, z obrotowym śmigłem na górze. Jeden z dronów Knighthawka.

— Ten facet szybko działa — powiedziała, kładąc drona na podłodze.

Abraham i Cody poruszyli się we śnie; zapewne kazali się budzić po przybyciu drona. Megan obróciła się na drugi bok i już myślałem, że też się zbudzi, ale spała dalej, cicho pochrapując.

Gdy Mizzy kładła drona, Cody i Abraham włączyli komórki, lepiej oświetlając pokój. Patrzyłem, jak Mizzy odkręca górną połowę urządzenia, otwierając skrytkę, po czym wyjmuje z niej pudełko bardzo podobne do wzmacniacza, którego używaliśmy w Newcago. Najwyraźniej Profesor upodobił swoją imitację do prawdziwego wzmacniacza.

— Ładnie — powiedział Abraham, przecierając oczy.

— Jestem zdziwiona, że udało ci się go przekonać do przysłania tego, Davidzie — odezwała się Mizzy, odkładając wzmacniacz.

Cody ziewnął.

— Tak czy inaczej, podłączmy to, niech pracuje. Im prędzej Davidowi zrosną się nogi, tym szybciej wydestaniemy się z tego miasta.

— Z miasta? — powtórzyłem.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie.

— Ty... zamierzasz tu zostać? — ostrożnie zapytał Abraham. — Davidzie, Tia nie żyje, a twoja teoria, chociaż błyskotliwa, okazała się błędna. Konfrontacja Profesora z jego słabością nie zawróciła go z obranej drogi.

— Tak, chłopcze — rzekł Cody. — To była niezła próba, ale teraz wiemy, co on zamierza tu zrobić i mamy sposób, żeby go powstrzymać. Wymkniemy się z Zawłaszczaczem i jego plan nie wypali.

— Zakładając, że chcemy, żeby nie wypalił — dodała Mizzy.

— Mizzy! — zawołałem ze zdziwieniem. — On chce zostać najpotężniejszym Epikiem!

— Co z tego? — fuknęła. — Czy nasze życie się zmieni, jeśli on zajmie miejsce Calamity? Nie nastąpi koniec świata ani nic takiego. Uważam, że on chce tylko zabić kilku Epików. Mnie to pasuje.

— Sugeruję — cicho powiedział Abraham — żebyś nie mówiła takich rzeczy, kiedy ktoś może usłyszeć.

Mizzy skrzywiła się i obejrzała przez ramię.

— Ja tylko mówię, że nie ma żadnego powodu, żebyśmy tu byli. Nie, jeśli wiemy, co chce zrobić Profesor.

— I dokąd pójdziemy, Mizzy? — zapytałem.

— Nie wiem. Może na początek nie do miasta, w którym mieszka facet zamierzający nas zabić?

Widziałem, że dwoje pozostałych zgadza się z nią, przynajmniej częściowo.

— Słuchajcie, powód naszego przybycia tutaj wcale się nie zmienił — przypomniałem.

— Profesor wciąż nas potrzebuje. Świat nas potrzebuje. Zapomnieliście, jaki jest sens naszej misji? Musimy znaleźć sposób na przeciągnięcie Epików na naszą stronę, nie tylko ich zabijać. W przeciwnym razie równie dobrze możemy natychmiast się poddać.

— Jednak Abraham ma rację, chłopcze — rzekł Cody. — Twój plan przeciągnięcia Profesora się nie powiodł.

— Ta próba się nie powiodła — powiedziałem. — Jednak były po temu logiczne powody. Może nie postrzegali Tavi jako mającą jego moc, lecz tylko jako innego Epika, podobnego, lecz innego. Tak więc potyczka z nią nie była konfrontacją z jego umiejętnościami.

— Albo — zauważył Abraham — Tia myliła się co do jego słabości.

— Nie — rzuciłem. — Walka z Tavi istotnie osłabiła go. Ona potrafiła zniszczyć jego pola siłowe, a on nie umiał goić ran, które mu zadała. Tak jak Stalowe Serce mógł zostać zraniony tylko przez kogoś, kto się go nie bał, tak Profesora może zranić tylko ktoś dysponujący jego mocą.

— To wszystko jest nieistotne — rzekł Abraham. — Mówiłeś, że Megan przywołała tę kobietę, ponieważ nie mogła znaleźć innej wersji Profesora. Zatem jej możliwości są ograniczone, a to był jedyny sposób zmuszenia go do konfrontacji ze swoimi umiejętnościami.

— Niekoniecznie — powiedziałem, sięgając do kieszeni i wyjmując inkubator tkankowy. Przeturlałem go po podłodze do Mizzy, która go podniosła.

— Czy to... — zaczęła.

— Próbka tkanki Profesora — potwierdziłem.

Cody cicho gwizdnął.

— Możemy zmusić go, żeby stawił czoło samemu sobie, Abrahamie — powiedziałem. — Możemy zrobić to dosłownie, tworząc motywatory na bazie komórek jego ciała. Knighthawk od lat ma gotowy prototyp.

Pozostali zamilkli.

— Słuchajcie — dodałem. — Musimy spróbować jeszcze raz.

— On nas namówi — mruknęła Mizzy. — Właśnie to robi.

— Tak — przyznał Abraham i skinął na nią, żeby podtoczyła mu inkubator. Podniósł go. — Nie będę się z tobą spierał, Davidzie. Jeśli uważasz, że warto spróbować, pomożemy ci. — Obrócił w palcach inkubator. — Jednak nie podoba mi się pomysł oddawania tego Knighthawkowi. To jest jak... jak zdrada.

— Większa zdrada niż popełniona przez niego, kiedy zabił członków swojego zespołu?

Ta uwaga uciszyła wszystkich, jakbym podczas bar micwy nagle zawołał: „Kto chce dokładkę bekonu?”.

Mizzy wzięła inkubator od Abrahama, po czym umieściła pojemnik w dronie.

— Pójdę go wypuścić, dopóki jest ciemno — oznajmiła, wstając.

Cody dołączył do niej. On następny pełnił wartę. Wymknęli się na zewnątrz, a Abraham podniósł wzmacniacz i podszedł z nim do mnie.

— Najpierw Megan — powiedziałem.

— Megan jest nieprzytomna, Davidzie — rzekł. — Ten stan może nie być spowodowany tylko obrażeniami od ognia i upadku. Proponuję najpierw wyleczyć osobę, która na pewno odzyska zdolność do walki.

Westchnąłem.

— Dobrze.

— Bardzo mądrze.

— To ty powinienes dowodzić zespołem, Abrahamie — powiedziałem, gdy owijał diodami wzmacniacza odsłoniętą skórę moich stóp i kostek. — Obaj to wiemy. Dlaczego odmówiłeś?

— Nie zadałeś tego pytania Cody'emu — przypomniał Abraham.

— Ponieważ Cody to czubek. Ty masz doświadczenie, zachowujesz spokój podczas walki, umiesz podejmować decyzje... Dlaczego oddałeś mi dowodzenie?

Abraham dalej robił swoje. Włączył urządzenie. Poczulem mrowienie nóg, jakby zdrętwiały mi od spania w niewygodnej pozycji. Jeśli opierać się na moim doświadczeniu w Foundry, to urządzenie — stworzone z jakiegoś nieznanego Epika — nie uleczy obrażeń równie sprawnie jak moc Profesora. Uzdrawienie mnie może trochę potrwać.

— Byłem w JTF2 — powiedział Abraham. — Cansofcom.

— Czyli? Ten skrót nic mi nie mówi.

— Kanadyjskie siły specjalne.

— Wiedziałem!

— Tak, jesteś bardzo sprytny.

— To był sarkazm?

— Naprawdę jesteś sprytny — mruknął.

Zmierzyłem go wzrokiem.

— Jeśli byłeś wojskowym — powiedziałem — to jeszcze dziwniejsze jest to, że nie objąłeś dowodzenia. Byłeś oficerem?

— Tak.

— Wysokiej rangi?

— Wystarczająco.

— I...

— Znałeś Proch?

— Epik — powiedziałem. — Potrafił detonować proch i inne materiały wybuchowe, tylko na nie patrząc. On... — Przełknąłem ślinę, przypominając sobie coś z moich notatek. — Próbował podbić Kanadę dwa lata po akcie kapitulacji. Zaatakował ich bazy wojskowe.

— Zabił cały mój zespół, kiedy uderzył na Trenton — wyjaśnił Abraham, wstając. — Wszystkich oprócz mnie.

— Dlaczego nie ciebie?

— Siedziałem w areszcie, czekając na sąd polowy. — Popatrzył na mnie. — Doceniam twój entuzjazm i odwagę, ale jesteś jeszcze za młody, żeby zrozumieć świat w takim stopniu, w jakim wydaje ci się, że go rozumiesz.

Zasalutował mi, a potem odszedł.

Zadrapałem ścianę naszej kryjówki pod mostem, z łatwością odrywając sól i rozcierając ją w palcach. Czas znowu się przenieść. Chociaż od początku uważaliśmy tę kryjówkę za chwilową, miałem wrażenie, że dopiero co się tu wprowadziliśmy. Miałem wrażenie tymczasowości. Czy w tym mieście można czuć się jak w domu?

Przeszedłem przez pokój, rozprostowując moje wyleczone nogi. Wciąż mnie bolały — chociaż nie przyznawałem się do tego — ale czułem się rześki i silny. Gojenie trwało tylko kilka nocnych godzin; z nadejściem świtu byłem już wyleczony.

Ręka i siniaki Megan także. Wzmacniacz na szczęście na nią działał. Martwiłem się tym od czasu Newcago, kiedy nie mogła korzystać ze wzmacniacza ani używać tensorów. Obie te umiejętności pochodziły od Profesora, a jak powiedział Knighthawk, czasem magia jednego Epika interferowała z mocą innego.

No cóż, wzmacniacz działał, ale ona nadal się nie obudziła. Abraham powiedział mi, że bym się tym nie martwił; że po takich traumatycznych przeżyciach często trzeba poleżeć parę dni w łóżku. Usiłował mnie pocieszyć. Jak ktoś mógł być czegokolwiek pewny, gdy chodziło o Epika nadmiernie eksploatującego swoje siły?

Mizzy wystawiła głowę z magazynu.

— Hej, słońce. Knighthawk do ciebie wydzwania. Sprawdź swój telefon.

Wyłowilem komórkę z dna torby, która stłumiła jej brzęczenie. Czterdzieści siedem wiadomości. Calamity! Co poszło źle? Pospiesznie otworzyłem skrzynkę. Może komórki się nie mnożyły. Albo jakiś Epik przypadkowo zestrzelił drona. Albo Knighthawk postanowił nas zdradzić.

Zamiast tego zobaczyłem czterdzieści siedem wiadomości od Knighthawka z tekstami takimi jak „Hej”, „Cześć” lub „Hej, idioto”.

Natychmiast wysłałem do niego zapytanie.

*Czy coś się stało?*

*Tobie, w głowę — odpisał.*

*Komórki — napisałem. — Są zepsute?*

*A jak właściwie można zepsuć komórki, dzieciaku?*

*Nie wiem — odpisałem. — To ty przysyłasz mi rozpaczliwie sms-y.*

*Rozpaczliwe? — odpowiedział. — Jestem tylko znudzony.*

Zamrugalem, trzymając komórkę i czytając tę wiadomość.

*Znudzony? — napisałem. — Przecież szpiegujesz dosłownie cały świat, Knighthawku.*

*Możesz czytać pocztę każdego, podsłuchiwać rozmowy kogokolwiek chcesz.*

*Po pierwsze, nie cały świat — napisał. — Tylko spory kawałek Ameryki Północnej i Środkowej. Po drugie, czy masz pojęcie, jak potwornie nudna jest większość ludzi?*

Zacząłem odpisywać, ale zasypała mnie lawina wiadomości, przerywając to, co

zamierzałem powiedzieć.

*Och! — napisał Knighthawk. — Spójrz na ten piękny kwiat!*

*Hej. Chciałem wiedzieć czy mnie lubisz, ale nie potrafię zapytać, więc stąd ten niezręczny flirt.*

*Gdzie jesteś?*

*Jestem tutaj.*

*Gdzie?*

*Tu.*

*Tam?*

*Nie, tutaj.*

*Och.*

*Spójrz na mojego dzieciaka.*

*Spójrz na mojego psa.*

*Spójrz na mnie.*

*Popatrz, jak trzymam dzieciaka i psa.*

*Hej, ludzie. Dziś rano sprawiłem sobie dużego misia koala.*

*Fuj. Światem rządzą bóstwa potrafiące na przykład roztopić budynki w kałuże kwasu, a ludzie nie są w stanie wykorzystać swoich telefonów do czegoś więcej niż fotografowania swoich zwierzaków i załatwiania sobie partnerów do łóżka.*

*No cóż... — napisałem, sprawdzając, czy już skończył ten wykład. — Ludzie, których stać na twoje telefony, to uprzywilejowani bogacze. Nie powinieneś się dziwić, że są płytycy.*

*Nie — odpisał. — Jest więcej niż kilka takich miast jak Newcago, w których rządzący Epicy są dostatecznie sprytni, by zrozumieć, że populację posiadającą komórki można indoktrynować i kontrolować. Mówię ci, że biedni są równie źli. Tylko ich zwierzaki są chudsze.*

*Czy ta korespondencja ma jakiś sens? — zapytałem.*

*Owszem. Ma mnie zabawić. Powiedz coś głupiego. Mam popcorn i wszystko co trzeba.*

Westchnąłem, chowając komórkę i wracając do przeglądania listy Epików, którzy — według ostatnich plotek — zginęli w mieście zabici przez Profesora rozgniewanego wydarzeniami w Ostrej Wieży. Na przyjęciu były ich dziesiątki, a niewielu z nich umiało latać lub posiadało niezwykłość pierwszego stopnia. Zabił połowę elity Ildithii.

Mój telefon komórkowy znów zabrzczał. Jęknąłem, ale zerknąłem na wyświetlacz.

*Hej — napisał Knighthawk. — Moje drony zrobiły przelot nad twoim miastem. Chcesz zobaczyć zdjęcia?*

*Zdjęcia? — odpisałem.*

*Tak. Do imagera. Masz go, prawda?*

*Wiesz o imagerze?*

*Dzieciaku, to ja go zrobiłem.*

*To technologia Epików?*

*Oczywiście — odpisał. — A co, myślałeś, że projektor w magiczny sposób renderujący niemal trójwymiarowe obrazy na nieregularnych powierzchniach, tak że ludzie wewnątrz nie rzucają cienia, to zwykły aparat?*

Naprawdę nie miałem pojęcia. Jeśli jednak proponował mi skan miasta, chętnie go zobaczę.

*To jedna z niewielu rzeczy, które udało mi się wprowadzić do masowej produkcji — dodał Knighthawk. — Przeważnie jakość tych urządzeń znacznie się pogarsza, jeśli wykonasz więcej niż parę motywatorów z danych komórek. Jednak nie w przypadku imagerów. Na skry, komórki nawet nie wymagają motywatorów, oprócz tych, które trzymam tu w hubie. No nic, chcesz dostać ten plik do imagera czy nie?*

*Chcę, dziękuję — odpisałem. — Jakie postępy pracy nad motywatorami z komórek Profesora?*

*Najpierw muszę wyhodować kulturę — odpisał. — Minie co najmniej dzień, zanim będziemy wiedzieli, czy wszystko gra, i czy udało mi się zamknąć Jonathana w moim motywatorze, czy nie.*

*Świetnie — napisałem. — Informuj mnie na bieżąco.*

*Jasne. Jeśli tylko obiecasz nagrać się następnym razem, kiedy powiesz coś głupiego. Niech to szlag, brakuje mi internetu. W internecie zawsze można było znaleźć ludzi wypisujących głupoty.*

Westchnąłem, chowając do kieszeni komórkę. Oczywiście, zapiszczała zaraz potem. Złapałem ją, rozzłoszczony i gotowy powiedzieć Knighthawkowi, żeby się odczepił, ale to było zawiadomienie, że na moją komórkę przyszedł duży pakiet danych. Skan miasta.

Niezbyt znałem się na technice, ale zdołałem podłączyć telefon do imagera w magazynie, a potem przesłać dane. Kiedy włączyłem maszynę, znalazłem się w powietrzu nad Ildithią. Wspaniałość widoku psuły sterty zapasów w pokoju, które unosiły się pod niebo, jakbym był jakimś kosmicznym menelem ciągnącym za sobą cały swój dobytek.

Szybko obejrzałem miasto, rękami poprawiając perspektywę i oswajając się z kontrolkami. Imager wiernie ukazywał Ildithię i przez moment pozwoliłem sobie cieszyć się tym złudzeniem. Przemknąłem nad wieżowcem, aż jego okna zmieniły się w rozmazaną smugę, a następnie wbiłem się i poszybowałem nad ulicą, mijając drzewa z soli. Slalomem przeleciałem między nimi, a potem przez park wokół naszej kryjówki.

Czułem się żywy, podekscytowany, rześki i czujny. Tylko przez krótki czas byłem

unieruchomiony przez złamane nogi, ale i tak zdążyłem się poczuć niepotrzebny, bezradny, bezsilny. Wydawało się, że minęły lata, od kiedy mogłem swobodnie się poruszać bez obawy, że zdradzę mój zespół.

Napawałem się swobodą latania nad miastem. Nagle trafiłem w budynek. Przeleciałem przezeń, przy czym wszystko wokół zlało się w czarną masę, dopóki nie wyłoniłem się po drugiej stronie.

To mi przypomniało, że wszystko jest złudzeniem, kłamstwem. Obiekty deformowały się, gdy za bardzo się do nich zbliżyłem, a kiedy uważnie się przyjrzałem, dostrzegłem naroża pokoju.

Co gorsza, moim przelotom nie towarzyszyły podmuchy wiatru. Ani dezaprobata grawitacji objawiająca się podchodzącym do gardła żołądkiem. Równie dobrze mógłbym oglądać film. To nie było zabawne ani krzepiące, a powietrze dostatecznie wilgotne.

— Wyglądało nieźle — powiedział Cody od drzwi, które otworzyły się jak portal w powietrzu.

Nie zauważyłem, jak nadchodził.

Poruszyłem dłońmi, obniżając kąt widzenia kamery tak, że spoglądała z dachu niskiej kamienicy.

— Brakuje mi spirylu.

W trakcie wszystkich tych ostatnich przeprowadzek, potyczek i uciezek zupełnie zapomniałem o urządzeniu, które pozwoliło mi latać po wodnych traktach Babilaru. Teraz uświadomiłem sobie jego brak. Przez krótki czas w tym zatopionym mieście zaznałem prawdziwej wolności napędzanej dwoma strumieniami wyrzucanej pod ciśnieniem wody.

Cody zachichotał, podchodząc.

— Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłeś działający imager, dzieciaku. Wyglądałeś tak, jakbyś zaraz miał nam wszystkim pokazać, co jadłeś na lunch.

— Taak — mruknąłem. — Jednak bardzo szybko do niego przywykłem.

— Chyba tak — przyznał Cody, dołączając do mnie na dachu, po czym odwracając się, żeby popatrzeć na miasto. — Masz już dla nas plan?

— Nie — odrzekłem. — Masz ty jakieś pomysły?

— Układanie planów nigdy nie było moją mocną stroną.

— Dlaczego? Wydaje się, że dobrze ci idzie wymyślanie różnych rzeczy.

Pogroził mi palcem.

— Niejednego zdzieliłem za takie żarty. — I po chwili dodał: — Oczywiście, przeważnie Szkotów.

— Biłeś swoich? — zdziwiłem się. — Dlaczego biłeś innych Szkotów?

— Chłopcze, niewiele o nas wiesz, prawda?



— Tylko to, co mi powiedziałeś.

— No cóż, to chyba wiesz już mnóstwo rzeczy. Tylko niczego użytecznego. — Uśmiechnął się, w zadumie spoglądając na miasto. — Kiedy jeszcze byłem na służbie i musieliśmy zgarnąć kogoś niebezpiecznego, przede wszystkim staraliśmy się dopaść go, kiedy był sam.

Powoli pokiwałem głową. Cody był kiedyś policjantem — w tę część jego opowieści wierzyłem.

— Sam — powtórzyłem. — Żeby nie mógł wezwać pomocy?

— Raczej żeby nie narażać innych na niebezpieczeństwo — sprecyzował Cody. — W tym mieście jest mnóstwo ludzi. Dobrych ludzi. Chcących przeżyć. To, co się stało w Ostrej Wieży, to także nasza wina. Jasne, to Profesor ją stopił, ale my go do tego popchnęliśmy. Będę nosił ten ciężar przez resztę życia jak kolejną cegłę w i tak za dużej stercie.

— Zatem powinniśmy spróbować walczyć z nim poza miastem?

Cody skinął głową.

— Jeśli ten idiota z manekinem ma rację, to gdy tylko użyjemy mocy Profesora, będzie wiedział, gdzie jesteście. Możemy wybrać pole walki i zwabić go tam.

— Taak — powiedziałem. — Taak...

— Tylko że...? — zapytał Cody.

— Tak zrobiliśmy ze Stalowym Sercem — odparłem cicho. — Zwabiliśmy go w pułapkę, daleko od mieszkańców.

Uniosłem rękę, sterując imagerem, przenosząc nas nad miastem ku resztkom Ostrej Wieży. Dron przeleciał nad nią wczesnym rankiem i teren wokół wciąż był zasłany ciałami.

— Linia Życia — powiedziałem, licząc zauważonych Epików. — Pomniejsze zdolności posługiwania się energią elektryczną i telepatią. Nieskończona Ciemność... nawiasem mówiąc, to jej czwarte imię. Wciąż wymyślała „coś lepszego”, co zawsze było gorsze. Potrafiła przeskakiwać między cieniami. Inszallah i Thaub, z Bahrajnu. Obaj mieli zdolności lingwistyczne...

— Lingwistyczne? — powtórzył Cody.

— Hm? Och. Jeden potrafił zmusić cię do mówienia wierszem. Drugi mówił każdym językiem, jaki mógłbyś sobie wyobrazić.

— To bardzo dziwne.

— Rzadko rozmawiamy o takich niezwykłych umiejętnościach — odparłem z roztargnieniem. — Jednak jest wielu pomniejszych Epików, którzy mają bardzo specyficzne zdolności. To... — Zamarłem. — Zaczekaj.

Obróciłem nas w powietrzu tak szybko, że Cody potknął się i wyciągnął rękę, żeby przytrzymać się ściany. Przybliżyłem nas do gruzów, wybierając zakrwawioną twarz, ciało uwięzione pod resztkami wielkiego generatora wieżowca. Strumień wysłanej przez Profesora energii zamienił w parę tylko sól. Po raz pierwszy potwierdziło się moje podejrzenie, że całkowicie kontrolując swoją moc, potrafił wypuścić strumień energii niszczący wybrane rodzaje materii.

Teraz to nie było ważne. Natomiast ta twarz była ważna.

— Och, Calamity — szepnąłem.

— Co? — zapytał Cody.

— To Nawałnica.

— Ta, która...

— Umożliwia miastu produkcję żywności — dokończyłem. — Tak. Wyprodukowana przez Ildithię żywność zaopatruje dziesiątki innych miast, Cody. Ten napad szału Profesora może mieć bardzo długotrwałe konsekwencje.

Wyciągnąłem komórkę i wystukałem wiadomość do Knighthawka.

*W jakim czasie po śmierci Epika trzeba zamrozić jego komórki?*

*Krótkim — odpisał. — Większość komórek szybko ginie. Zatrucie dwutlenkiem węgla, gdyż serce nie tłoczy krwi. Na dodatek DNA Epików szybko się rozpada. Jeszcze nie znamy przyczyny. Dlaczego pytasz?*

*Myślę, że Profesor właśnie wywołał głód na świecie — odpisałem. — W nocy zabił Epika mającego ogromny wpływ na gospodarkę.*

*Możesz spróbować zebrać dla mnie próbkę. Niektóre komórki mogą zachować się dłużej. Komórki skóry... niektóre komórki rdzenia... DNA ma dziwny okres półtrwania i przeważnie rozpada się błyskawicznie, ale niektóre pojedyncze komórki mogą przetrwać. Jednak wyhodowanie kultury tkankowej ze starych komórek Epika jest naprawdę trudne, dzieciaku.*

Pokazałem te teksty Cody'emu.

— Wychodzenie na zewnątrz będzie niebezpieczne — zauważył. — Megan nie może dać nam nowych twarzy.

— Owszem, ale jeśli możemy zapobiec głodowi, czy nie warto zaryzykować?

— Jasne, jasne — rzekł Cody. — Chyba że pokażemy się Profesorowi, który mógł zostawić swoich ludzi, żeby obserwowali ciała, i dążyli się pozabijać. Wtedy zostanie tylko troje Mścicieli, zamiast pięciorga. Zakładając, że torturami nie zmusi nas do zeznań, po czym przyjdzie tu i pozabija pozostałych członków zespołu. Co zapewne zrobi. A wszystko to dla bardzo nikłej szansy, że uda nam się zrobić motywator, który być może wyżywi ludzi.

Przełknąłem ślinę.

— Racja. Świetnie. Chociaż trochę przesadziłeś.

— No cóż — powiedział. — Wy wszyscy słyniecie z tego, że nie słuchacie głosu rozsądku.

— Na przykład twoich wywodów o tym, że współczesny rock and roll wywodzi się od gry na dudach?

— To akurat prawda — rzekł Cody. — Popatrz tylko. Elvis był Szkotem.

— Pewnie — odparowałem, podchodząc, by wyłączyć imager i widok twarzy Nawałnicy. To bolało, ale dzisiaj się powstrzymam.

Po chwili do pokoju zajrzała Mizzy.

— Hej — rzuciła. — Twoja dziewczyna się ocknęła. Chcesz iść się poprzytulać czy... Już tam szedłem.

## 37

Megan siedziała oparta plecami o ścianę i oburącz trzymała butelkę z wodą. Wchodząc, minąłem Abrahama, który skinął głową. Wedle jego — przyznajmy, ograniczonej — wiedzy medycznej, nic jej nie było. Już parę godzin wcześniej odłączyliśmy ją od wzmacniacza.

Megan posłała mi nikły uśmiech i pociągnęła łyk wody z butelki. Pozostali zostawili nas samych. Abraham wziął Cody'ego za ramię i wyprowadził go z pokoju. Odetchnąłem z ulgą i objąłem Megan. Pomimo zapewnień Abrahama trochę się bałem, że ona się nie zbudzi. Tak, mogła ulec reinkarnacji, gdyby zginęła, ale gdyby nie umarła, tylko zapadła w śpiączkę?

Uniosła brew, widząc moją wyraźną ulgę.

— Czuję się — powiedziała — jak beczka zielonych kaczek na paradzie z okazji czwartego lipca.

Przechyliłem głowę w bok.

— Ach tak. Dobra metafora.

— Davidzie. To miał być nonsensowny... żart.

— Naprawdę? Ponieważ ma głęboki sens. — Pocałowałem ją. — Widzisz, czujesz się uzdrowiona i trochę zdezorientowana jak kaczki czujące się nieswojo. Jednak na takiej paradzie wszyscy są na swoim miejscu, więc one też tam pasują. Tak jak ty tutaj.

— Jesteś kompletnie stuknięty — orzekła, gdy usiadłem przy niej, obejmując ją.

— Jak się czujesz?

— Okropnie.

— A więc nie jesteś całkiem wyleczona?

— Jestem — odrzekła, wpatrując się w butelkę z wodą.

— Megan, wszystko w porządku. Owszem, operacja się nie powiodła. Straciliśmy Cię.

Dochodzimy do siebie. Pogodzimy się z tym.

— Pograżyłam się w mroku, Davidzie — wyszeptała. — Ciemniejszym niż wtedy, gdy zabiłam Sama... niż kiedykolwiek, odkąd poznałam ciebie.

— Wyrwałaś się z niego.

— Ledwie — wymamrotała, a potem spojrzała na swoją rękę. — Powinnam sobie z tym radzić. Powinniśmy być na to przygotowani.

Przytuliłem ją, a ona oparła głowę na moim ramieniu. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wszystko, co mi przychodziło do głowy, było głupie. Nie potrzebowała zdawkowej pociechy. Potrzebowała odpowiedzi.

Ja także.

— Profesor zabił Cię — szepnęła. — Ja mogłam to samo zrobić z tobą. Słyszałeś, co mówiła? Na końcu?

— Miałem nadzieję, że już straciłaś przytomność — przyznałem.

— Powiedziała, że on ją ostrzegał, ale go nie słuchała. Davidzie... ostrzegam cię. Nie mogę nad tym zapanować, nawet znając tajemnicę słabego punktu.

— Będziemy musieli jakoś sobie z tym radzić — powiedziałem.

— Jednak...

— Megan — przerwałem, unosząc jej głowę i spoglądając w oczy. — Wolałbym umrzeć, niż żyć bez ciebie.

— Naprawdę?

Skinąłem głową.

— Egoista — powiedziała. — Czy wiesz, co bym czuła, wiedząc, że cię zabiłam?

— Zatem dopilnujmy, aby tak się nie stało, dobrze? — zaproponowałem. — Nie sędzę, żeby do tego doszło, ale zaryzykuję i zostanę przy tobie.

Odetchnęła, po czym znów oparła głowę na moim ramieniu.

— Słońce.

— Tak. Dzięki za wypróbowanie mojej teorii.

— Przepraszam, że nie zdołałam jej wprowadzić w życie.

— To nie twoja wina. Nie sędzę, żebyśmy chcieli ponownie próbować z jakąś inną jego wersją.

— No to co zrobimy? — zapytała. — Nie możemy po prostu odpuścić.

Uśmiechnąłem się.

— Mam pomysł.

— Jak bardzo zwariowany?

— Bardzo.

— To dobrze. Świat oszalał. Dołączenie do szaleńców to jedyne wyjście. — Milczała przez chwilę. — Czy... mam w tym uczestniczyć?

— Tak, ale nie będziesz musiała nadużywać swojej mocy.

Odprężyła się, wtulając we mnie i przez jakiś czas siedzieliśmy tak.

— Wiesz — odezwałem się w końcu. — Naprawdę chciałbym, żeby mój ojciec mógł cię poznać.

— Ponieważ chętnie poznałby dobrego Epika?

— To też — przyznałem. — Myślę jednak, że polubiłby cię.

— Davidzie, jestem szorstka, nieprzyjemna i pyskata.

— I błyskotliwa — dodałem. — I świetnie strzelasz. Umiesz dowodzić. Podejmować decyzje. Mój ojciec lubił prostolinijnych ludzi. Mawiał, że woli być szczerze skarcony niż nieszczerze chwalony.

— Musiał być wspaniałym facetem.

— Był.

Z rodzaju tych, których inni ignorują lub zakrzykują jako zbyt małomównych i flegmatycznych, ale także tych, którzy biegną z pomocą, gdy wszyscy inni uciekają.

Calamity, jak mi go brakowało.

— Miałem koszmarne sny — szepnąłem.

Megan usiadła i przeszła mnie wzrokiem.

— Jakie?

— Uporczywe. Straszne. Słyszałem przerażające dźwięki, byłem wstrząśnięty. Nie pamiętam, ale to nie było coś, czego się boję.

— Jakieś inne... niezwykle rzeczy? — spytała.

Napotkałem jej wzrok.

— Co pamiętasz z Ostrej Wieży?

Zmrużyła oczy.

— Słowa Tii. A przedtem... strzelaninę. Gwałtowną. Jak ją przeżyliśmy?

Zacisnąłem wargi.

— Na skry! — zakłęła. — Czy myślisz, że to możliwe... Chcę powiedzieć...

— Nie wiem — odrzekłem. — Może się mylę. W tym pomieszczeniu użyto mnóstwo mocy. Być może to była jakaś pozostałość pola siłowego albo jakaś kieszeń innej rzeczywistości...

Położyła dłoń na moim ramieniu.

— Jesteś pewna, że chcesz zostać przy mnie? — zapytałem.

— Wolałabym zginąć, niż cię opuścić. — Uścisnęła moją rękę. — Jednak to wszystko mi się nie podoba, Davidzie. Mam wrażenie, że wstrzymujemy oddech, czekając, kto pierwszy wybuchnie. Myślisz, że Profesor i Tia prowadzili takie rozmowy, zastanawiając się, czy warto ryzykować i zostać razem?

— Może. Jednak nie widzę innego wyjścia. Nie zostawię cię ani ty mnie. Jest tak, jak powiedziałem. Musimy zaakceptować ryzyko.

— Chyba że jest inny sposób — powiedziała Megan. — Gwarantuję, że już nigdy nie będę zagrożeniem dla ciebie ani nikogo innego.

Zmarszczyłem brwi, nie wiedząc, co ma na myśli. Jednak zdawała się podejmować jakąś decyzję, patrząc na mnie i podnosząc dłoń, żeby pogłodzić mnie po policzku.

— Nie powiesz, że nie rozważałeś tego — wyszeptała.

— Czego?

— Rozwiązanie było tu cały czas. Zastanawiałam się. Czy to jest wyjście?

— Megan, nie rozumiem.

Wstała.

— Nie wystarczy składać obietnice. Nie wystarczy mieć nadzieję, że w końcu cię nie skrzywdzę.

Odwróciła się i chwiejąc się, wyszła z pokoju.

Podniosłem się z podłogi i poszedłem za nią, usiłując zrozumieć, co zamierza zrobić. Sól chręściła nam pod nogami, gdy przechodziliśmy obok stołu w głównym pomieszczeniu, gdzie siedzieli pozostali; przyszedł czas na ten budynek, gdyż znajdował się zbyt blisko ruchomego krańca Ildithii. Nie przetrwa tej nocy.

Megan przeszła przez pokój i weszła do pokoiku Zawłaszczacza. Na skry! Potruchtalem za nią i wpadłem do środka. Był stuprocentowo pewny sposób na to, żeby Megan już nigdy nikogo nie skrzywdziła swoją mocą. Był tutaj, w naszej bazie.

— Megan — powiedziałem, chwytając ją za rękę. — Jesteś pewna, że chcesz zrobić coś tak drastycznego?

Przyglądała się Zawłaszczaczowi, który leżał na kanapie ze słuchawkami na głowie. Nie zauważył nas.

— Tak — szepnęła. — Od kiedy jesteśmy razem, zaczęłam coraz bardziej oswajać się ze swoją mocą. Zaczęłam myśleć, że można ją kontrolować. Jednak po tym, co się stało zeszłej nocy... Już jej nie chcę, Davidzie.

Spojrzała na mnie pytająco.

Potrząsnąłem głową.

— Nie będę cię powstrzymywał. Wybór należy do ciebie. Może jednak powinniśmy to

jeszcze przemyśleć?

— I ty to mówisz? — odparła z ponurym uśmiechem. — Nie. Mogłabym stracić odwagę.

Podeszła do Zawłaszczacza, a kiedy jej nie zauważył, kopnęła go w nogę zwisającą z kanapy.

Natychmiast zdjął słuchawki i podniósł się.

— Ty wsiaro — warknął. — Bezużyteczna idiotko. Zaraz...

Megan wyciągnęła do niego rękę, przegubem w górę.

— Odbierz mi moc.

Zawłaszczacz rozdziawił usta, a potem cofnął się, spoglądając na jej rękę, jakby to było tykające pudło z napisem „TO NIE BOMBA”.

— Co ty bredzisz?

— Moja moc — powiedziała Megan, robiąc krok ku niemu. — Weź ją. Jest twoja.

— Oszalałaś.

— Nie — odrzekła. — Jestem po prostu zmęczona. No już.

Nie wyciągnął ręki. Podejrzywałem, że żaden Epik nigdy nie chciał dobrowolnie oddać mu swojej mocy. Stałem przy Megan.

— Spędziłam wiele miesięcy w Babilarze, służąc Regalii — powiedziała do Zawłaszczacza Megan — ponieważ sądziłam, że dzięki niej Calamity może pozbawić mnie mocy. Szkoda, że nie wiedziałam o tobie; po prostu przyszedłbym tutaj. Weź ją. Uczyni cię nieśmiertelnym.

— Ja już jestem nieśmiertelny — warknął.

— No to będziesz podwójnie nieśmiertelny — fuknęła Megan. — Albo poczwórnice, czy ile tam chcesz. Weź ją albo sięgnę w inny wymiar i...

Złapał ją za rękę. Jęknęła i wyprostowała się, ale nie wyrwała mu się. Podtrzymałem ją zaniepokojony. Na skry. Obserwowanie tego było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłem. Czy powinienem był ją przekonać, żeby zaczekała? Przemyślała to?

— Jak lodowata woda — syknęła — w moich żyłach.

— Tak — powiedział Zawłaszczacz. — Słyszałem, że to nieprzyjemne.

— A teraz zmienia się w ogień! — powiedziała Megan, drżąc. — Wlewający się we mnie!

Jej spojrzenie stało się szkliste i nieobecne.

— Hm... — mruknął Zawłaszczacz niczym troskliwy lekarz. — Tak...

Megan drgnęła i napięła mięśnie, patrząc w dal.

— Może powinnaś była to przemyśleć, zanim przyszłaś tu domagać się tego — rzekł Zawłaszczacz. — Ciesz się, że zostaniesz jeszcze większą wieśniaczką. Z pewnością

będziesz doskonale pasowała do reszty tego zespołu, jeśli w ogóle będziesz potem w stanie trzeźwo myśleć. Większość nie jest w stanie, wiesz...

Pokój stanął w ogniu.

Uskoczyłem, gdy wstęgi płomieni przemknęły po suficie i spłynęły po ścianach. Żar był słaby, ledwie wyczuwalny.

Megan stała wyprostowana i przestała drżeć.

Zawłaszczacz puścił ją, a następnie spojrzął na swoje dłonie. Ponownie złapał Megan z gniewnym pomrukiem, a ona spojrzała mu w oczy. Tym razem nie zadrżała, nie jęknęła z bólu, tylko jej twarz się ściągnęła, gdy zacisnęła zęby.

Płomienie nie zgasły. Były widmowe. Mówiła, że nauczyła się tworzyć te międzywymiarowe cienie, żeby ukrywać swoją słabość i lęk przed ogniem. Robiła to instynktownie.

W pokoju zrobiło się bardzo gorąco.

Zawłaszczacz puścił jej dłoń i cofnął się.

— Wygląda na to, że nie możesz jej wziąć — powiedziała Megan.

— Jak to możliwe? — zapytał. — Jak możesz mi się oprzeć?

— Nie wiem — odparła. — Jednak pomyliłam się, przychodząc tutaj.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Ruszyłem za nią. Abraham i Mizzy stali w progu, a Megan precyzyjnie się obok nich. Wzruszyłem do nich ramionami i poszedłem za nią do dużego pokoju.

— Naprawdę nadal masz moc? — zapytałem.

Skinęła głową ze znużeniem. Opadła na posłanie.

— Powinnam się domyślić, że to nie będzie takie łatwe.

Ukląknęłem przy niej, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Niemniej czułem ulgę. Emocje zmieniały się szybko jak podczas jazdy kolejką górską — starą i rozklekotaną, bez pasów bezpieczeństwa.

— Wszystko w porządku? — zapytałem.

— Taak — odpowiedziała. — Ja też tego nie rozumiem. To było dziwne, Davidzie. W momencie, gdy odbierał mi moc i omyła mnie lodowata fala zimna, uświadomiłam sobie, że ta moc jest teraz częścią mojej osobowości. — Zamknęła oczy. — Zrozumiałam, że nie mogę mu jej oddać. Gdybym to zrobiła, postąpiłabym jak tchórz.

— Tylko jak mu się oparłaś? — spytałem. — Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

— Ta moc jest moja — szepnęła. — Nie oddam jej. To moje brzemię, moje zadanie, to ja sama. Nie wiem, dlaczego to ma znaczenie, ale tak jest. — Otworzyła oczy. — I co teraz?

— Kiedy byliśmy w Ostrej Wieży — powiedziałem — odwiedziłem inny świat. Taki, w którym Pożar żyje. Nie ma tam ciemności, Megan. A Stalowe Serce jest bohaterem.



— A więc urodziliśmy się jeden wymiar od raj.

— Będziemy po prostu musieli sprowadzić raj tutaj. Regalia zamierzała wysłać Profesora do Calamity, żeby skradł jej moc. Jeśli zdołamy odzyskać Profesora, odda nam urządzenie teleportacyjne, które skonstruowała. To powinno dać nam sposobność do zabicia Calamity i uwolnienia nas wszystkich.

Uśmiechnęła się i wzięła mnie pod rękę.

— Zróbmy to. Ocalmy Profesora, obalmy Calamity i uratujmy świat. Jaki masz plan?

— No cóż — przyznałem. — Nie jest jeszcze całkiem gotowy.

— To dobrze — odparła. — Masz wspaniałe pomysły, Davidzie, ale fatalnie je realizujesz. Teraz przynieś trochę papieru do pisania. Wymyślimy jakiś sposób, żeby to zrobić.

## 38

Postawiłem swój plecak w środku dużego, pustego budynku. Wszędzie unosił się ostry zapach soli. Nowo powstałej budowli. Posadzka z gładkiej białej soli kamiennej odbijała światło mojej komórki. Po kryjówce, która dosłownie rozsypywała się w oczach, to miejsce wydawało się niemal schludne. Jak dziecko na moment przed tym, zanim cię obrzyga.

— Coś jest nie tak — powiedziałem i mój głos odbił się echem w rozległej sali.

— Pod jakim względem? — zapytała Mizzy, przechodząc obok z workiem zapasów na ramieniu.

— Za dużo miejsca — odparłem. — Mając dla siebie cały magazyn, wcale nie czuję, że się ukrywam.

— Można by pomyśleć — zauważył Abraham, ze szczękiem stawiając swój pakunek — że będziesz uszczęśliwiony, opuszczając ciasnotę naszej poprzedniej kryjówki.

Obróciłem się i zdecydowanie poczułem się nieswojo, gdy przy słabym świetle komórki nie dostrzegłem ścian pomieszczenia. Jak miałem to wyjaśnić, nie wychodząc na głupca? Każda kryjówka Mścicieli była na odludziu i bezpieczna. Ten pusty magazyn był ich przeciwieństwem.

Cody twierdził, że mimo to będziemy tu bezpieczni. Nasz pobyt w Ildithii pozwolił jemu i Abrahamowi przeprowadzić mały rekonesans i znaleźć ten kompletnie nieużywany magazyn jako dogodną bazę wypadową do ataku na Profesora.

Potrząsnąłem głową, biorąc plecak i taszcząc go przez pomieszczenie pod przeciwległą ścianę, gdzie Abraham i Mizzy postawili swoje. W pobliżu Cody już zaczął formować mniejszy pokój. Pracował ostrożnie dłonią, odrzucając sól w rękawiczce, jakby rzeźbił

w glinie i wygładzał kanty kielnią. Jego rękawica z cichym pomrukiem rozbudowywała krystaliczną strukturę soli. Pracował dopiero przez godzinę, ale już widać było zarysy mniejszego pomieszczenia.

— Nikt nas nie będzie tu niepokoił, chłopcze — zapewnił mnie Cody.

— Dlaczego? — zapytałem. — To wygląda na idealne miejsce do schowania dużej grupy ludzi.

Mogłem sobie wyobrazić ten magazyn pełen rodzin, każda z własnym blaszanym piecykiem, co zmieniłoby to wnętrze. Zamiast przypominać pusty grobowiec, byłoby pełne dźwięków i życia.

— To miejsce jest zbyt oddalone od centrum miasta, czyli od północnego skraju dawnej Atlanty, która stała się Ildithią. Po co wybierać stary magazyn, kiedy można znaleźć dla rodziny kilka ładnych kamienic?

— Pewnie ma to sens — przyznałem.

— Ponadto zamordowano tu mnóstwo ludzi — dodał Cody. — Dlatego nikt nie chce się zbliżać do tego miejsca.

— Że co?

— No — burknął. — To był nieszczęśliwy wypadek. Grupa dzieciaków zaczęła się tu bawić, zbyt blisko terytorium innej rodziny. Tamci się przestraszyli, myśląc, że konkurencja chce ich załatwić, więc wrzucili trochę dynamitu przez drzwi. Mówiono, że jeszcze przez kilka dni słychać było krzyki zasypanych, ale zaczęła się wojna na całego i nikt nie miał czasu, by pomóc tym biednym dzieciakom.

Patrzyłem na niego, oniemiały. Cody zaczął pogwizdywać i wrócił do swojej pracy. Na skry. Na pewno to wymyślił, no nie? Odwróciłem się i popatrzyłem na rozległe, puste pomieszczenie, po czym zadrzałem.

— Nienawidzę cię — mruknąłem.

— No, nie bądź taki. Jak wiesz, negatywne emocje przyciągają duchy.

Powiniennem być mądrzejszy: rozmowa z Codym zwykle była najmniej produktywnym zajęciem, jakie można sobie wyobrazić. Zamiast ją kontynuować, poszedłem poszukać Megan, mijając Zawłaszczacza, który — oczywiście — odmówił pomocy w przenoszeniu czegokolwiek do naszej nowej bazy. Wszedł do niewykończony przez Cody'ego komnaty i wyciągnął się na przydużym posłaniu, które nagle zmaterializowało się pod nim.

— Jestem zmęczony tym zamieszaniem — oznajmił, wskazując na ścianę. Pojawiły się oparte o nią drzwi. — Umieście je w tej konstrukcji, a ja wstawię do nich zamek. Och, i zróbcie należycie grube ściany, żebym nie musiał wciąż słuchać waszego gładzenia i stękania.

Cody posłał mi udręczone spojrzenie, a ja nie miałem wątpliwości, że rozważa pomysł

zamurowania Epika w środku.

Znalazłem Megan z Mizzy w pobliżu Abrahama, który rozpakowywał broń. Przystanąłem zaskoczony. Megan i Mizzy siedziały na podłodze otoczone kręgiem naszych notatek — niektórych napisanych moim starannym pismem, innych jej... No cóż, charakter pisma Megan można było wziąć za rezultat przejścia tornada przez sklep z ołówkami.

Mizzy kiwnęła głową, gdy Megan wskazała jedną kartkę, a potem wyciągnęła rękę w górę. Megan zastanawiała się przez chwilę, po czym pochyliła się nad kartką i zaczęła pisać.

Dołączyłem do Abrahama.

— One rozmawiają — zauważyłem.

— A co, spodziewałeś się, że będą gdakać?

— Raczej wrzeszczeć. Albo się uduszą.

Abraham znów się zajął wypakowywaniem sprzętu z toreb.

Chciałem podejść do kobiet, ale Abraham, nie podnosząc oczu, złapał mnie za rękę.

— Może najlepiej będzie po prostu zostawić je w spokoju, Davidzie.

— Ale...

— Są dorosłe. Nie musisz rozwiązywać ich problemów.

Założyłem ręce na piersi, sapiąc. Co to ma do rzeczy, że są dorosłe? Mnóstwo dorosłych chciało, żebym rozwiązał ich problemy — w przeciwnym razie Stalowe Serce wciąż by żył. Ponadto Mizzy miała siedemnaście lat. Czy można było ją uznać za dorosłą?

Abraham wyjął coś z jednej z toreb i z cichym stuknięciem postawił na podłodze.

— Zamiast wtykać nos tam, gdzie nie trzeba — powiedział do mnie — może pomożesz tam, gdzie jesteś potrzebny? Przydałaby mi się twoja pomoc.

— W czym?

Abraham podniósł wieko skrzynki, pokazując rękawice i słoik z lśniącą rtęcią.

— Twój plan jest śmiały, tak jak się spodziewałem. A także prosty. Najlepsze często takie są. Jednak wymaga ode mnie zrobienia pewnych rzeczy... A ja nie wiem, czy będę potrafił je zrobić.

Miał rację: ten plan był prosty. A także nadzwyczaj ryzykowny.

Knighthawk użył dronów do eksploracji kilku jaskiń pod Ildithią, które dawno temu stworzył Digzone. Było ich tu wiele wydrążonych w skale. Ildithia przechodziła nad niektórymi, a my wybraliśmy magazyn w tej jej części, ponieważ tu mogliśmy się dokopać do jednej z nich i w niej ćwiczyć.

Nasz plan przewidywał miesiąc treningu. Później Ildithia przesunie się dalej, ale te jaskinie pozostaną idealnym miejscem na pułapkę. Mnóstwo tuneli, miejsc do podłożenia

ładunków wybuchowych lub użycia jako awaryjne drogi ucieczki.

Kiedy będziemy gotowi, wymkniemy się z miasta i wrócimy do tych jaskiń. Zwabimy tam Profesora. Wystarczy użyć motywatorów opartych na jego mocy, a sam do nas przyjdzie. Ildithia będzie wiele kilometrów stąd, bezpieczna, niezależnie jakie zniszczenia spowoduje ta bitwa.

Abraham i Megan uderzą pierwsi. Chodziło o to, żeby zmęczyć go, zanim wkroczy Cody w pełnym „garniturze tensorowym”, jak nazywaliśmy zestaw urządzeń naśladowujących zakres umiejętności Profesora. Ten jeszcze nie nadszedł, lecz Knighthawk twierdził, że jest w drodze. Tak więc, gdy Abraham i Megan trochę zmęczą Profesora, pojawi się Cody posiadający całą jego moc.

Musieliśmy mieć nadzieję, że Profesor nie rozpoznał mocy Tavi jako „swojej”. W końcu jej pola siłowe miały inny kolor.

Coś mi mówiło, że możemy mieć większy problem. Profesor ucierpiał od pól siłowych Tavi, ale one nie pozbawiły go całkowicie mocy tak jak Megan i większość Epików.

Czy Tia mogła się mylić? Uważałem, że nie, ale teraz — mając ostatnią szansę powstrzymania Profesora — wahałem się. Nie zgadzały mi się niektóre fakty dotyczące Profesora i jego zdolności.

Czego naprawdę bał się Profesor?

— Aby to się udało — rzekł pracujący obok Abraham, wyrывая mnie z tych rozważań — będę musiał użyć rtich, żeby stawić czoło Profesorowi. A stawię mu czoło, tylko jeśli nie zostanie zmiażdżony przez jego pola siłowe.

— Rtich powinien wystarczyć — powiedziałem. — Spójność strukturalna rtęci będzie...

— Wierzę w twoje obliczenia — przerwał mi Abraham, zakładając rękawice.. — Jednak wolałbym kilka testów oraz dużo praktyki.

Wzruszyłem ramionami.

— O czym myślisz?

Najwyraźniej myślał o tym, żeby zagonić mnie do roboty. Nasz magazyn miał nieduży strych. Przez następną godzinę pracowałem z Codym, który utworzył tam kilka dużych bloków soli. Następnie związałem je razem i ustawiłem w kilku miejscach tak, żeby łatwo można było je zrzucić.

W końcu otarłem czoło już i tak mokrą szmatą, a potem usiadłem, zwieszając nogi za krawędź.

Pode mną ćwiczył Abraham.

Opracował pewien reżim treningowy z rtich, oparty na jakiejś dawnej sztuce walki. Stawał w środku kręgu lamp rozstawionych na ziemi, wyciągał obie ręce w jedną stronę, a potem energicznie wypychał je w drugą.

Rtęć tańczyła wokół niego. Z początku pokrywała jedną rękę, niczym srebrzysty rękaw i rękawiczka. Gdy wypychał ręce do przodu, rozpływała się i zmieniała w dysk połączony z jego dłonią. Gdy znów zaczynał ćwiczyć pozycje sztuk walki, cofała się i ponownie pokrywała jego rękę, po czym przybierała kształt włóczni, gdy wyciągał ręce w przeciwną stronę.

Obserwowałem to uważnie. Metal poruszał się z piękną, nieziemską gracją, odbijając światło, gdy owijał ręce Abrahama — najpierw jedną, a następnie prześlizgując się po ramionach, drugą niczym żywa istota. Abraham odwrócił się, rozpędził i skoczył — a rtęć spłynęła po jego nogach i uformowała krótki filar, na którym wylądował. Ten utrzymał jego ciężar, chociaż wydawał się cienki i kruchy.

— Gotowy? — zawołałem z góry.

— Gotowy! — odkrzyknął.

— Uważaj. Nie chcę, żeby to cię zgmiotło.

Nie odpowiedział, więc westchnąłem, a potem wstałem i za pomocą łomu oderwałem jeden duży blok soli, po czym zrzuciłem go na niego. Chodziło o to, żeby utworzył cienką linię rtęci na drodze spadającego bloku i sprawdził, w jakim stopniu rtęć się ugnie pod uderzeniem.

Zamiast tego Abraham stanął dokładnie pod spadającym blokiem soli i podniósł rękę.

Miałem częściowo zasłonięty widok, ale domyśliłem się, że Abraham wysłał rtęć w górę po swoim boku i ręce, tak że utworzyła długą wstęgę od jego dłoni i wzdłuż boku, aż do stóp — rodzaj podpory.

Wstrzymałem oddech, gdy bryła soli runęła na niego. Wyciągnąłem szyję, żeby spojrzeć w dół, a wiązka solnych płyt uderzyła z impetem i odbiła się od Abrahama, przy czym pękły sznury. Płyty rozleciały się na boki, ukazując stojącego i uśmiechniętego Abrahama, wciąż wyciągającego rękę pokrytą rtęcią. Wspornik wystarczył, żeby odbić uderzenie solnych płyt.

— To było lekkomyślne — zawołałem do niego. — Przestań sabotować mój plan!

— Lepiej sprawdzić teraz, czy on zadziała — odkrzyknął — niż odkryć to w trakcie walki z Profesorem! Ponadto byłem pewny wyniku.

— Wciąż chcesz sprawdzić następny punkt? — zapytał Cody, wyrastając przy mnie z karabinem snajperskim na ramieniu.

— Tak, proszę — rzekł Abraham, wyciągając ku nam rękę i tworząc tarczę. Była równie wysoka jak on, migocząca i niewiarygodnie cienka.

Spojrzałem na Cody'ego, a następnie wzruszyłem ramionami i zakryłem rękami uszy. Padło kilka strzałów, na szczęście stłumionych, tak więc zatykanie uszu nie było konieczne.

Rtęć wyrzuciła się, przechwytyjąc kule. A raczej zatrzymując je — co po zastanowieniu nie było takie nadzwyczajne, gdyż każde ciało w zasadzie robi to samo. Przynajmniej moje — czasem.

Jednak rtęć nie rozerwała się i nie pękła, tak więc była skuteczną tarczą, choć niestety o ograniczonym zastosowaniu. Abraham nie miał nadludzkiego refleksu. Nie był w stanie zatrzymać już wystrzelonych kul.

Odwrócił się i rtęć popłynęła z powrotem do niego, wypuszczając kule na podłogę. Spłynęła po jego ręce i nodze, po czym uformowała szereg stopni od jego stóp do mnie. Wszedł po nich z szerokim uśmiechem.

Stłumiłem zazdrość. Wątpiłem, czy kiedykolwiek zdołam zmusić to urządzenie do pracy, ale przynajmniej mogłem nie zachowywać się w związku z tym jak dziecko. Razem z Codym poklepaliliśmy Abrahama po plecach, chwając go. Na twarzy Kanadyjczyka zagościł rzadki u niego uśmiech zadowolenia, który dobrze było widzieć. Nie żeby nigdy się nie uśmiechał, tylko że jego uśmiech na ogół był zdawkowy. Rzadko wyrażał radość życia. Jakby pozwalał, by przepływało obok niego, przyglądając się mu z zaciekawieniem, jak głąz obserwujący rzekę.

— Może to naprawdę zadziała — powiedział mi. — Może nie zginiemy przy tym wszyscy.

Podniósł rękę i rtęć popłynęła po niej w górę, tworząc kulę nad jego dłonią. Kula falowała i drżała jak miniaturowy ocean mający fale i pływy.

— Teraz zrób szczeniaka! — zawołała z dołu Mizzy. — Och! A potem kapelusz. Zrób mi srebrne nakrycie głowy. Tiarę.

— Zamknijcie się, wszyscy! — zawołał Abraham.

Zabrzęczała komórka w mojej kieszeni. Wyjąłem ją i znalazłem następną wiadomość tekstową od Knighthawka. Najwyraźniej ten facet uważał mnie za swojego nadwornego błazna.

*Jonathan znów się dziś ze mną skontaktował.*

*Odkrył, że wysłałeś go szukać wiatru w polu?*

*Wiatru?*

*Nigdy nie widziałem króliczka — odpisałem mu. — Nie wiem, po co się za nim uganiać. Jednak wiatru w Newcago nie brakuje.*

*I uganasz się za nim zamiast za... Nieważne. Chłopcze, Jonathan przysłał mi wiadomość. Dla ciebie.*

Przeszedł mnie dreszcz, a potem skinąłem na Abrahama i Cody'ego, żeby podeszli i przeczytali to razem ze mną.

*Powiedział — ciągnął Knighthawk — że masz dwa dni na wydanie mu Zawłaszczacza,*

*inaczej zniszczy Newcago. I wszystkich jego mieszkańców. A następnego dnia Babilar.*

Spojrzeliśmy po sobie.

*Myślisz, że naprawdę mógłby to zrobić? — napisał Knighthawk. — Zniszczyć całe miasto?*

— Tak — cicho odparł Abraham. — Jeśli zabił Cię, jest zdolny do wszystkiego.

— Myślę, że on pyta, czy Profesor ma środki, żeby to zrobić — wyjaśniłem.

— Czy nie mówiłeś, że na przyjęciu rozmawiałeś ze Znikającym? — przypomniał Abraham.

— Owszem. A on sugerował, że Profesor wezwał go za pomocą urządzenia zrobionego na bazie zdolności Znikającego. Nawet pomimo że Regalia zrobiła te bomby, żeby ukryć swój rzeczywisty cel, czyli urządzenie teleportujące, myślę, iż możemy założyć, że Profesor ma dostęp do co najmniej jednej takiej bomby.

— Zatem ma możliwość — rzekł Abraham. — I musimy zakładać, że to robi. Co oznacza...

— ...że czas nagli — dokończyłem, chowając komórkę.

No i tyle z miesiąca przygotowań.

## 39

Dron wylądował tej nocy na dachu naszego magazynu.

Czekaliśmy w czwórkę schowani w ciemnościach, gdy Cody oglądał miasto ze stanowiska snajperskiego, które zrobił sobie na dachu pobliskiego budynku.

Sięgnąłem do kieszeni i wcisnąłem klawisz komórki; jej ekran pociemniał. Tym kliknięciem wysłałem wcześniej przygotowaną wiadomość: *Dron dostarczył towar. Sprawdzamy go teraz.*

Uklękliśmy przy dronie, przez noktowizory oglądając zabarwiony na zielono świat. Mizzy otworzyła go.

W środku, zapakowany w słomę i stare gazety, leżał wyczekiwany towar: kamizelka, metalowe pudełko oraz para rękawic. Odetchnąłem z ulgą. Rękawice wyglądały dokładnie tak jak tensory — czarne, z metalowymi taśmami jak strumyki płynące po palcach i rozlewające się kałużami na ich końcach. Rozjarzą się zielono przy użyciu.

— Łaaadne — szepnęła Mizzy, dotykając kamizelki. — Trzy różne powłoki motywacyjne. Pierwsza gojąca, sądząc po sensorach podłączanych do skóry; zapewne aktywuje się automatycznie przy zranieniu. Druga jest połączona z tensorami. I ostatnia pól siłowych.

Podala mi jedna rękawicę. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ten strój reprezentował nową jakość, kolejny krok tworzenia technologii opartej na Epikach. Zamiast jednej umiejętności odtwarzał wszystkie posiadane przez Profesora. Mnóstwo przewodów i motywatorów tworzących imitację ulepszonego człowieka. Czy powinienem być zaniepokojony, czy urzeczony?

„Bohaterowie przyjdą, synu”. Słowa mojego ojca. Myślałem o tym, wodząc palcami po gładkim metalu motywatorów. Jednak czasem trzeba im pomóc...

— Jest z tym pewien problem — rzekł Abraham. — Cody nie może ćwiczyć z tym urządzeniem, ponieważ to zaalarmuje Profesora i ujawni naszą obecność.

— Mam pewien pomysł — oznajmiłem — chociaż to będzie wymagało użycia mocy przez Megan.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

— Wątpię, czy Profesor zdoła wyczuć trenującego Cody’ego — powiedziałem — jeśli ten będzie w innym wymiarze.

— Sprytnie. Jednak będzie tam mógł pozostać tylko przez krótki czas. Dziesięć, może piętnaście minut, jeśli się sprężę.

— Nie musisz — odparłem. — Może to nie będzie długo, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, czy motywatory działają.

Wszystkim najwyraźniej spodobał się ten pomysł i razem wyjęliśmy kombinezon tensorowy. Pod nim znajdował się inny sprzęt, który zdołaliśmy wyzebrać od Knighthawka: trochę materiałów wybuchowych, kilka małych dronów, niewiele większych od kamer na nóżkach, oraz parę gadżetów zaproponowanych przez Mizzy jako uzupełnienie planu Megan i mojego.

Załadowaliśmy to wszystko na wózek, a Mizzy umieściła w dronie stary wzmacniacz — ten, który wyleczył Megan i mnie — po czym odesłała go Knighthawkowi. Mieliśmy teraz coś lepszego, chociaż powinniśmy używać tego ostrożnie, żeby nie zaalarmować Profesora.

Gdy reszta zespołu odchodziła z wózkiem, złapałem Megan za rękę. Skinęła mi głową. Nie miała nic przeciwko używaniu swojej mocy. Nie poszedłem za nią do magazynu na dole, lecz udałem się na snajperskie stanowisko Cody’ego. Była moja kolej pełnić wartę.

Stanowisko było szerokim i płytkim pudłem na środku dachu. Za pomocą namnażalnika kryształów Cody pokrył je daszkiem i upodobił do zwyczajnej nadbudówki. Jednak miało szczeliny strzelnicze z każdej strony oraz otwór z tyłu, dostatecznie duży, żeby można było się tam wczołgać i położyć.

Zajrzałem do środka. Tyczkowaty południowiec leżał tam skulony jak w kangur w torbie matki, chociaż ludzie nie powinni dawać kangurzątkom do zabawy karabinu Barrett .50 z przeciwpancernymi pociskami.



— Czy przyszła moja nowa zabawka? — spytał Cody, odkładając karabin i wypełzając rakiem z pudła.

— Taak — odparłem, usuwając mu się z drogi, gdy wstawał. — Wygląda wspaniale.

— Jesteś pewny, że nie chcesz sam tego użyć, dzieciaku?

Pokręciłem głową.

— Masz większe doświadczenie z tensorami, Cody.

— Tak, ale ty masz większy talent.

— Ja... — Przełknąłem ślinę. — Nie, muszę dowodzić operacją z daleka.

— Zatem dobrze. — Ruszył ku schodom wiodącym na dół.

— Cody?! — zawołałem.

Przystanął, po czym odwrócił się.

— Hm?

— Któregoś dnia rozmawiałem z Abrahamem i... no, chciał mi urwać łeb.

— Ach. Grzebałeś, tak?

— Grzebałem?

— W jego przeszłości.

— Nie, jasne, że nie. Ja tylko zapytałem, dlaczego nie chce dowodzić.

— No to grzebałeś — rzekł Cody, klepiąc mnie po ramieniu. — Abraham jest dziwny, dzieciaku. Pozostałych z nas można zrozumieć. Ty walczysz dla zemsty. Ja, ponieważ byłem policjantem i złożyłem przysięgę. Mizzy walczy za swoich bohaterów, takich jak Val i Sam. Chce być taka jak oni. A Abraham... dlaczego walczy? Nie potrafię ci powiedzieć. Za swoich poległych braci i siostry z sił specjalnych? Może, ale nie wydaje się żywić urazy do Epików. Może chce bronić swojej ojczyzny? Jednak jeśli tak, to dlaczego tutaj, w Cząstkowych Stanach? Jedyne, co zdołałem ustalić, to że nie chce o tym mówić. I nie powinieneś zakładać, że jest delikatny tylko dlatego, że jest taki opanowany, dzieciaku. — Cody potarł szczękę. — Kiedyś dotkliwie mi tego dowiódł.

— Uderzył cię?

— Złamał mi szczękę — ze śmiechem rzekł Cody. — Nie wścibiaj nosa, dzieciaku. Tego się nauczyłem!

Zdawał się wcale tym nie przejmować, choć złamana szczęką wydawała mi się poważnym powodem, żeby żywić urazę.

Jednak kto czasem nie miał ochoty przyłożyć Cody'emu?

— Dzięki — powiedziałem, siadając, żeby zająć miejsce na stanowisku snajperskim. — Jednak mylisz się co do mnie, Cody. Ja nie walczę z chęci zemsty, już nie. Walczę za mojego ojca.

— Czy to nie to samo co chęć zemsty?

Sięgnąłem za koszulę i wyjąłem symbol wiary w kształcie litery „S”, który nosiłem na szyi. Znak tego, kto czeka na dzień nadejścia bohaterów.

— Nie, nie walczę dlatego, że on zginął, Cody. Walczę o jego marzenia.

Cody skinął głową.

— To dobrze, dzieciaku — rzekł, odwracając się, aby zejść po schodach. — Dobrze.

Wczołgałem się na stanowisko snajperskie, ocierając głowę o niski sufit, po czym wzięłem karabin Cody’ego i podłączyłem do niego moją komórkę. Zdjąłem gogle noktowizyjne i zamiast nich użyłem lunety snajperki — ta miała wprowadzoną mapę terenu, jak również termowizję. Co jeszcze lepsze, karabin miał zaawansowany system wykrywania dźwięków. Ostrzegłby mnie, gdyby usłyszał coś w pobliżu, tworząc migający punkt na mapie.

W tym momencie niczego nie wykrywał. Nawet gołębi.

Leżałem wygodnie na poduszkach zostawionych przez Cody’ego. Co pewien czas przekręcałem się w tym prostokątnym pudle, wystawiając lufę karabinu przez inną ściankę.

Z dołu, z magazynu, dochodziły mnie dźwięki. Zapytałem Mizzy i powiedziała mi, że mój pomysł wysłania Cody’ego do jakiegoś równoległego świata, żeby tam poćwiczył, sprawdza się. Mówił, że musiał przepędzić grupkę dzieciaków mieszkających w tamtym wymiarze w magazynie, ale poza tym nie napotkał nikogo.

Później sprawdziłem dziwne dźwięki wychwycone przez karabin, ale okazało się, że to grupka zbieraczy złomu kręcących się w zaułku. Nie zatrzymali się przy naszym magazynie, lecz poszli dalej w kierunku przedmieścia. To dało mi dłuższą chwilę do spokojnego namysłu. Błądziłem myślami w ciszy i uświadomiłem sobie, że coś mnie męczy. Byłem niezadowolony, chociaż nie miałem pojęcia dlaczego. Coś mnie dręczyło, albo związanego z tym miejscem, albo z naszym planem. Co przegapiłem?

Rozmyślałem o tym prawie przez godzinę i właściwie byłem rad, kiedy znów odezwał się alarm w moim karabinie. Zrobiłem zbliżenie źródła tych zakłóceń, ale to tylko bezpański kot chodził na pobliskim dachu. Czujnie go obserwowałem, czy nie jest przypadkiem jakimś zmiennokształtnym Epikiem.

Do tej pory zaczęło świtać i ziewnąłem, oblizałem wargi i poczułem smak soli. Bez żalu opuszczę to miejsce. Niestety, moja warta miała trwać całe osiem godzin, czyli jeszcze sześć nudnych godzin do południa.

Ponownie ziewnąłem i potarłem palcem o krawędź solnego dachu przede mną. Dziwne, ale nasz magazyn nadal rósł. Zmiany były nieznaczne, lecz przyjrząwszy się uważnie, zobaczyłem cienkie kreski pojawiające się w soli, jakby wyryte niewidzialną ręką.

Największe zmiany w mieście zachodziły podczas pierwszych i ostatnich dni cyklu, ale

okres pomiędzy nimi też nie był statyczny. Często pojawiały się drobne ozdoby, które miały zniknąć po paru dniach, zerodowane w nieuchronnym procesie rozpadu będącym niekończącym się cyklem tego miasta.

Alarm w moim karabinie znów się odezwał — spojrzałem na mapę w lunecie. Dźwięk dochodził z góry naszego magazynu i po chwili usłyszałem chrzęst kroków na sypkiej soli. Odgłos dobiegał od strony klatki schodowej budynku prowadzącej z poddasza na dach. Zapewne ktoś z mojego zespołu. Pomimo to ostrożnie wyjąłem komórkę ze szczeliny z boku snajperki, żeby posługując się jej kamerą — do tej pory połączonej z lunetą — zobaczyć kto to.

Był to Zawłaszczacz.

Nie spodziewałem się go. Nie pamiętałem, żeby w którejkolwiek z trzech baz wystawił nos ze swojego pokoju, chyba że przenosiliśmy się z jednej do drugiej. Stał, ocieniając dłonią twarz, krzywiąc się w promieniach słońca.

— Zawłaszczaczu! — odezwałem się, wpełzając ze stanowiska snajperskiego i ciągnąc za sobą karabin. — Wszystko w porządku?

— Ludzie cieszą się tym — powiedział.

— Czym? — zapytałem, podążając za jego wzrokiem. — Wschodami słońca?

— Zawsze mówią o wschodzie słońca — rzekł z irytacją. — Jaki jest piękny, bla, bla, bla. I że każdy jest wyjątkowy i cudowny. Ja tego nie widzę.

— Oszalałeś?

— Nabieram coraz większego przekonania — sucho odrzekł — że jako jedyny na planecie nie oszalałem.

— Zatem musisz być ślepy — powiedziałem, patrząc na wschód słońca. Rzeczywiście, nie był dziś szczególny. Nie było chmur, od których by się odbijał, a ponadto miał jednolity kolor, a nie całe ich spektrum.

— Kula ognia — rzekł Zawłaszczacz. — Krzykliwa pomarańcza. Ostre światło.

— Tak — mruknąłem z uśmiechem. — Zdumiewające.

Myślałem o latach spędzonych w mroku Newcago, gdzie określaliśmy czas po gęstości cieni. Myślałem o tym, jak po raz pierwszy od lat znalazłem się pod gołym niebem i patrzyłem, jak słońce wschodzi i oblewa wszystko swym ciepłym blaskiem.

Wschód nie musi być piękny, żeby był piękny.

— Czasem przychodzę na nie popatrzeć — rzekł Zawłaszczacz — tylko po to, żeby sprawdzić, czy uda mi się zobaczyć to, co wszyscy zdają się widzieć.

— Hej — powiedziałem — co wiesz o tym, w jaki sposób rośnie to miasto?

— Dlaczego cię to interesuje?

— Ponieważ to jest interesujące. Widzisz te żyłki? Wciąż rosną. Czy to dlatego, że

pierwotny magazyn miał taki wzór z cegieł idrewna? Chcę powiedzieć, że nie miałyby to sensu, gdyby tak było, ale z drugiej strony świadczyłyby, że moc tworzy tu dzieło sztuki. Czy to nie jest dziwne?

— Naprawdę nie potrafię powiedzieć.

Popatrzyłem na niego.

— Nie wiesz tego, prawda? Wchłonałeś tę moc, kiedy przejąłeś władzę nad miastem, ale nie wiesz, jak ona działa.

— Wiem, że robi to, czego chcę. Czy coś poza tym ma jakieś znaczenie?

— Piękno — odparłem, przesuwając palcem po jednej z żyłek. — Mój ojciec zawsze mówił, że Epicy są cudowni. Zdumiewające. Przebłysk prawdziwej boskości, wiesz? Łatwo skupiać uwagę na zniszczeniach takich, jakich Znikający dokonał w Kansas City. Jednak jest też piękno. To niemal sprawia, że przykro mi zabijać Epików.

Prychnął pogardliwie.

— Przejrzałem twoją grę, Davidzie Charlestonie.

— Moją grę? — Wstałem i odwróciłem się do niego.

— Udajesz, że gardzisz Epikami — powiedział. — Nienawidzisz ich, owszem, ale tak jak mysz kota. Jako wroga. To nienawiść małuczkich, którzy chcą być wielcy.

— Nie bądź głupi.

— Głupi? Myślisz, że to nie jest oczywiste? Człowiek nie studiuje, nie uczy się, nie ma takiej obsesji jak ty z nienawiści. Nie, to oznaki pożądania. Szukałeś ojca wśród Epików, ale i kochanki. — Zrobił krok ku mnie. — Przyznaj. Niczego nie pragniesz bardziej, jak stać się jednym z nas.

— Pokochałem Megan, zanim zdałem sobie sprawę z tego, kim jest — odrzekłem, zaciskając zęby, zaskoczony nagłym gniewem, który poczułem. — Nic nie wiesz.

— Nie? Wiele razy widziałem takich jak ty. Prawda o ludziach objawia się w tych pierwszych chwilach, Davidzie. Nowi Epicy. Mordują, niszczą, pokazują, do czego jest zdolny każdy człowiek pozbawiony hamulców. Ludzie są rasą potworów nieskutecznie spętanych. Oto, co jest w tobie. Zaprzecz, jeśli możesz. Zaprzecz, człowieku uważający, że znasz Epików lepiej niż samego siebie!

Nie zamierzałem. Odwróciłem się do niego plecami i wszedłem z powrotem do pudła, żeby dokończyć wartę. W końcu zamruczał coś i odszedł.

Mijały godziny. Nie potrafiłem negować tego, co powiedział Zawłaszczacz, chociaż próbowałem. Gdy nadeszło południe i koniec mojej warty, przyłapałem się na roztrząsaniu czegoś, co mi powiedział.

*Człowieku uważający, że znasz Epików lepiej niż samego siebie...*

Czy naprawdę ich znałem? Znałem ich moc, owszem, ale nie samych Epików; ci nie

myśleli tak samo. To był jeden z błędów często popełnianych przez ludzi. Epicy cechowali się potworną arogancją, więc można było przewidzieć niektóre ich działania, ale nadal byli ludźmi. Indywidualnymi osobowościami. Nie, nie znałem ich.

Jednak znałem Profesora.

Och, Calamity — pomyślałem.

W końcu do tego doszedłem. Do tego, co mnie niepokoiło. Wyczołgałem się z gniazda snajperskiego i zbiegłem na dół, do magazynu.

Zataczając się, wpadłem na poddasze i podbiegłem na jego skraj, żeby spojrzeć na magazyn w dole. Mizzy siedziała na stole, kręcąc kluczykami na palcu, a Megan ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, skupiona. Obok Megan powietrze zamigotało i pojawił się Cody.

— No cóż — powiedział — myślę, że załapałem, jak się to robi. Chyba ma znacznie większą moc niż tensory w Newcago. Ściany pól siłowych też działają.

— Ludzie! — krzyknąłem.

— Davidzie? — zawołał Cody. — Ten pomysł z innym wymiarem się sprawdza!

— Dlaczego Profesor miałby dać nam dwa dni czasu? — zawołałem.

Wszyscy popatrzyli na mnie w milczeniu.

— Chciał... żebyśmy spanikowali? — spytała Mizzy. — Zmusić nas do kapitulacji? Zwykle po to wyznacza się termin?

— Nie, spójrzcie na to jak Mściciele — powiedziałem sfrustrowany. — Załóżmy, że Profesor układa plan tak jak my. Załóżmy, że sformował własny zespół i plan ataku. Traktujemy go jak anonimowego despotę, choć nie jest nim. Jest jednym z nas. Ten dwudniowy termin jest bardzo podejrzany.

— Na skry — Megan wstała. — Skry! W takim razie wyznaczasz dwudniowy termin...

— ...ponieważ zamierzasz zaatakować następnego dnia — dokończył Abraham. — Jeśli nie prędeż.

— Musimy się stąd wynieść — oświadczyłem. — Z tej bazy, z tego miasta. Ruszać się!

## 40

W gorączkowej krzątaninie, która po tym nastąpiła, był jednak pewien ład, gdyż nigdy nie zakładaliśmy bazy, nie przygotowując planu jej opuszczenia. Zespół wiedział, co robić, chociaż było trochę przekleństw i zamieszania.

Zbiegłem po schodach, prawie wpadając na Mizzy. Szła na poddasze po zapasową amunicję i materiały wybuchowe, które trzymaliśmy z daleka od pomieszczenia, gdzie

spaliśmy. Abraham poszedł po ogniwa i broń, którą ustawił pod ścianą.

Cody biegł do drzwi. Zatrzymałem go krótkim:

— Czeka!

Znieruchomiał i odwrócił się do mnie, nadal w kombinezonie tensorowym.

— Megan — powiedziałem — ty pójdiesz na zwiady zamiast Cody'ego. Natomiast Cody zastąpi cię przy przygotowywaniu racji żywnościowych. Ten kombinezon jest zbyt cenny, żeby ryzykować jego utratę, gdyby zastawili pułapkę na zwiadowcę.

Megan natychmiast posłuchała, a ja rzuciłem jej karabin Cody'ego, kiedy mnie mijiała. Cody odszedł trochę urażony, ale zaczął pakować nasze plecaki, sprawdzając, czy w każdym jest żywność, woda i śpiwór.

Pospiesznie wysłałem wiadomość do Knighthawka.

*Mogą znać nasze położenie. Opuszczamy bazę. Zechciałbyś mi użyzyć paru dronów, które wysłałeś, żeby patrolowały tę okolicę?*

Nie odpowiedział od razu, więc pospieszyłem pomóc Mizzy z amunicją i materiałami wybuchowymi. Z wdzięcznością skinęła głową, gdy wziąłem od niej naręczę tego wszystkiego.

— Pożegnalny prezent? — zapytała.

— Tak — odrzekłem. — Jednak tylko, jeśli zdołasz go szybko przygotować. Za pięć minut chcę się stąd wynieść.

— Jasne — odparła, gramoląc się na poddasze.

Zanim skończyliśmy się pakować, już założyła ładunek wybuchowy mogący zamienić cały magazyn w pył.

— Dopilnuj, żeby można go było zdalnie rozbroić! — zawołałem do niej, pamiętając opowieść Cody'ego o zabitych dzieciach, choć niemal na pewno była zmyślona.

Umieściłem amunicję w plecakach — które Cody ustawił rzędem ze śpiworami przytroczonymi na wierzchu — a następnie je pozapinałem. Każdy z nas miał nieść plecak, jedynie Abraham miał duży wór z grawatonicznymi nosilkami pełen naszej broni i ogni w zasilających.

Zabrzęczała moja komórka.

*Skąd wiedziałeś, że nadal mam tam drony?* — napisał Knighthawk.

*Może dlatego, że jesteś paranoikiem* — odpisałem mu — *i chcesz mieć na oku Profesora.*

Zarzuciłem jeden plecak na ramię, a drugi postawiłem przy nogach — będę niósł plecak Megan, dopóki do nas nie dołączy.

*Naprawdę jesteś sprytniejszy, niż wyglądasz* — dorzucił. — *Dobrze. Obejrzę teren i prześlę ci film.*

Niecierpliwie czekałem, aż Abraham skończy się pakować. Mizzy przybiegła po plecak

i skinęła mi głową. Cody już taszczył swój. Nie minęło pięć minut, gdy w pobliżu pojawił się Zawłaszczacz, który wyszedł z pokoiku zrobionego dlań przez Cody'ego.

— Coś przeoczyłem? — zapytał.

— Cholera — zaklęła Megan.

Osłoniłem dłonią słuchawkę.

— Co jest?

— Zebrał całą armię, która ciągnie na nas ulicami, Klęczko. Nasze główne drogi odwrotu są odcięte. Zanim zauważylibyśmy to ze stanowiska snajperskiego, byłibyśmy już otoczeni. Może już jesteśmy.

— Wycofaj się — nakazałem. — Drony Knighthawka przekażą mi obraz.

— Przyjęłam.

Spojrzałem na pozostałych.

— Fałszywe twarze? — spytała Mizzy.

— Jakikolwiek by były i tak będziemy wyglądać podejrzanie z całym tym sprzętem — powiedziałem.

— Zatem zostawmy go — zaproponował Abraham. — Nie jesteśmy gotowi do walki.

— A za dwadzieścia cztery godziny będziemy? — spytałem. — Kiedy on zniszczy Newcago?

Mój telefon ponownie zabrzączał; Knighthawk dzwonił do mnie, co było niezwykle. Odebrałem, przełączając rozmowę na nasz zakres łączności, żeby wszyscy słyszeli ją w słuchawkach.

— Jesteście załatwieni — oświadczył. — Wysyłam ci obraz w podczerwieni.

Abraham podszedł, pokazując swoją komórkę, więc stłoczyliśmy się wokół niego, żeby popatrzeć. Na mapie okolicy widać było setki, a może nawet tysiące osób zbliżających się do naszej bazy i widocznych jako punkciki w podczerwieni. Zamykały krąg.

— East Lane — powiedział Knighthawk. — Widzisz trupy? Postronni, którzy próbowali uciec. Strzelają do każdego, kto próbuje wymknąć się z okrążenia. Wysyłają zespoły do każdego budynku i trzymając mieszkańców na muszce, na ile widzę to na ujęciach zrobionych przez okna, obmacują ich twarze.

— Obmacują twarze? — zdziwiła się Mizzy.

— Sprawdzając, czy nie są złudzeniem — wyjaśniłem. — Profesor wie, że Megan może oszukać radiostetę, ale stworzone przez nią twarze są złudzeniem. Usiłują sprawdzić, czy nos lub coś innego zgadza się z obrazem, i w ten sposób nas zdemaskować.

— Jak powiedziałem — dodał Knighthawk — jesteście załatwieni.

Megan wpadła do środka i zamknęła za sobą drzwi, opierając się plecami o blok soli.

— Jesteśmy otoczeni? — zapytała, widząc nasze miny.

Skinąłem głową.

— To co robimy?

Popatrzyłem na pozostałych. Po kolei pokiwali głowami.

— Walczymy — cicho powiedział Abraham.

— Walczymy — potwierdziła Mizzy. — Będzie się spodziewał, że spróbujemy się przebić; tak nakazuje protokół Mścicieli w razie okrążenia lub napotkania przeważających sił wroga.

Uśmiechnąłem się z nagłą dumą.

— Gdybyśmy byli jednym z zespołów Profesora — powiedziałem — ucieklibyśmy.

— Jednak nie jesteśmy jego zespołem — rzekł Cody. — Już nie. Mamy zmienić świat i nie dokonamy tego bez walki.

— To głupota — zauważyłem.

— Czasem głupi ma rację — stwierdziła Megan i zamilkła na chwilę. — Do diabła. Mam nadzieję, że nikt nie będzie tego cytował. Zatem, gdzie nasze pole bitwy?

— Tam, gdzie zawsze miało być — odparłem.

Potem pokazałem palcem w dół. Pod nami był tunel i kompleks podziemi.

— Cody, wytnij nam drogę. Zejdziemy w pełnym uzbrojeniu, tak jak planowaliśmy. Nie będziemy mieli przewagi zaskoczenia, na jaką liczyliśmy, ale mamy mapy tych jaskiń, dzięki którym przynajmniej będziemy mieli szansę uniknąć strat wśród ludności.

— Zaczekaj — wtrąciła Megan. — Jeśli Cody użyje tych tensorów, to przyciągnie tutaj Profesora. Będzie wiedział, że mamy to urządzenie.

— Tak — powiedział przez telefon Knighthawk. — Teraz trzyma się za plecami swojej małej armii, ale to nie potrwa długo. Przed laty, kiedy to sprawdzaliśmy, użycie motywatora wprawiało go furję. Natychmiast was zaatakuję.

Cody spojrzał na swoje ręce.

— Ja... Chłopcze, dopiero co zacząłem ćwiczyć z tymi tensorami. Są silniejsze od tych, które mieliśmy dotychczas, ale i tak wycięcie otworu może mi zabrać wiele godzin.

— Nie powinno — rzekłem. — Widziałeś, co potrafi Profesor: równać z ziemią budynki, zamieniać w parę ogromne połacie ziemi. Teraz ty masz taką moc, Cody.

Zacisnął zęby. Tensory znów zaczęły się jarzyć.

Nikt z nas nie pytał, jak Profesor nas znalazł. Mógł tego dokonać na wiele sposobów — nasze bazy w Ildithii nie były superbezpieczne. Może zauważył nas jakiś informator albo Profesor miał Epika, który nas wyczuł, a może spostrzegł dostawy za pomocą dronów.

— W porządku — powiedział Cody. — Wszyscy przygotować się, bo zaraz zaczynam. Czas walczyć.



Byliśmy uzbrojeni, komórki mieliśmy przymocowane do kurtek, a w uszach słuchawki. Mizzy rzuciła każdemu z nas pudełko ze skompresowaną liną zjazdową. Przyczepiłem je sobie do pasa.

Zostawiliśmy plecaki, biorąc tylko trochę amunicji. Plecaki umożliwiały wielodniowe przetrwanie. Po tym starciu nie będą nam potrzebne — tak czy inaczej.

W powietrzu czuć było napięcie, jak zapach dymu sygnalizujący pożar w oddali. Nie byliśmy gotowi, ale musieliśmy podjąć walkę. Na razie wszystko zależało od Cody'ego. Stał na środku magazynu, patrząc na zakurzoną podłogę z soli. Zawsze wydawał mi się niemal komicznie tyczkowaty, ale teraz — w kombinezonie tensorowym z zielono świeącymi rękawicami i w grubej, futurystycznej kamizelce — wyglądał imponująco.

Podszedłem do niego.

— To jest tam, Cody! — rzuciłem. — Cały kompleks jaskiń. Pole bitwy, które wybraliśmy. Musimy tylko tam dojść.

Zaczerpnął tchu.

— Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy po raz pierwszy uczyłeś mnie posługiwać się tensorami? — zapytałem.

— Taak... musisz używać ich tak, jakbyś pieścił piękną kobietę.

— Myślałem raczej o czymś innym. O tym, że trzeba mieć duszę wojownika, jak William Wallace.

— On został zamordowany, dzieciaku.

— Och.

— Jednak nie zginął bez walki — dodał Cody, prostując się. — W porządku. Trzymajcie haggis w brzuchach, wszyscy.

Wyciągnął ręce przed siebie i zielonkawa poświata przemknęła przewodami przymocowanymi do jego rąk, aż do dłoni. Potem wysunął ręce do przodu i poczułem wibracje, które — choć bezdźwięczne — zdawały się wstrząsać całym moim ciałem.

Jednometrowy kwadrat podłogi znikł, tworząc szyb głębokości około trzech metrów. To był imponujący postęp w porównaniu z działaniem starych tensorów, ale za mało, żeby dostać się do podziemnych jaskiń.

— Jonathan ruszył! — zameldował Knighthawk przez telefon. — Na skry. Macie duży problem. Nie wygląda na zadowolonego!

Cody zaklął pod nosem, patrząc na fragment podłogi zamienionej w drobne ziarenka soli. Wiatr wpadający przez otwarte drzwi wzbił na dach tuman pyłu.

Złapałem Cody'ego za ramię.

— Spróbuj jeszcze raz.

— Davidzie, większego nie potrafisz zrobić!

— Cody — zachęciłem. — Skoncentruj się. Dusza wojownika!

— Jeśli to spieprzę, chłopcze, będziemy martwi. Uwięzieni tutaj. Wystrzelani. To dla mnie cholerna presja.

— Jasne. — Jednak... hm... nie większa presja niż wtedy, kiedy powstrzymałeś terrorystów zamierzających zrzucić na Szkocję ładunki nuklearne, prawda?

Zerknął na mnie, czoło miał mokre od potu. Następnie uśmiechnął się.

— Skąd o tym wiesz?

— Domyśliłem się. Cody, potrafisz to zrobić.

Ponownie skupił się na podłodze przed sobą. Jego kombinezon znów się rozjarzył, a szmaragdowe wstęgi popłynęły po jego rękach, pulsując jak bijące serce. Stojąc tak blisko, miałem znajome wrażenie, jakbym słyszał głos starego przyjaciela. Przypominało mi to dawne czasy w jaskiniach Newcago, czasy niewinności i pewności siebie.

Cody uniósł ręce nad głowę i pomruk przybrał na sile.

— Jakbym pieścił kobietę — szepnął. — Bardzo, bardzo dużą kobietę.

Z bojowym okrzykiem uwolnił moc, która z taką siłą uderzyła w posadzkę, że powaliła mnie na kolana.

Kilkanaście centymetrów przede mną skała znikła, pozostawiając wielką dziurę pełną sproszkowanej soli. Patrzyłem, jak ten pył osuwa się, odsłaniając ponad półtorametrowy otwór. Ten szyb o gładkich i szklistych ścianach opadał łagodnym łukiem przez warstwę soli i skały. Osypująca się sól świadczyła o tym, że tunel prowadził do znacznie większego pomieszczenia na dole.

— Przypomnij mi — powiedziałem Cody'emu — żebym nigdy nie pozwolił ci się pieścić.

Pokazał zęby w uśmiechu, trzymając uniesione i świecące jasnozielono dłonie.

— Będzie tam lada chwila, słoneczka — powiedział przez telefon Knighthawk. — Porusza się wolniej, niż oczekiwałem. Jest ostrożny, to pewne, ale już prawie was dopadł. Na waszym miejscu zmyłbym się.

— Na dół — zakomenderowałem, chwytając swojego gottschalka rzuconego przez Abrahama. — Pamiętajcie o pozycjach wyjściowych!

Mizzy doskoczyła do otworu i pistoletem o grubej lufie wstrzeliła kilka kolców w podłogę. Do jednego z nich przywiązała swoją linę zjazdową i skoczyła. Megan przywiązała się do innej szpilki i poszła w jej ślady, zsuwając się tunelem, jakby to była zjeżdżalnia w parku.

Spojrzałem na Zawłaszczacza i dałem mu znak, żeby ruszał.

— Ja zostanę — powiedział.

— On chce cię zabić! — przypomniałem mu.

— Zajmie się wami — odparł Zawłaszczacz, splatając ręce na piersi. — Będę bezpieczny w mojej kryjówce na górze.

— Nie z tym ładunkiem wybuchowym, który podłożyła Mizzy. Słuchaj, przydałaby nam się twoja pomoc. Dołącz do nas. Zmień świat.

Prychnął i odwrócił się.

Odczułem to jak cios pięścią w brzuch.

— Davidzie — popędzał Cody obserwujący sufit. — Ruszajmy, chłopcze!

Zaciskając zęby, wyjąłem koniec sznura z pudełka przy pasie i przywiązałem go do wolnej szpilki, po czym wskoczyłem do szybu. W ciemnościach sunąłem po jego gładkiej ścianie, usiłując pogodzić się z rozczarowaniem. Może moje oczekiwania były nierozsądne, lecz mimo wszystko zakładałem, że Zawłaszczacz przyłączy się do nas w tej walce.

Zawsze chciałem dłużej z nim porozmawiać, ale nieustannie byłem zajęty czymś innym. Czy powinienem zrobić coś inaczej? Czy mogłem coś zrobić inaczej? Czy gdybym był sprytniejszy lub bardziej przekonujący, znalazłbym sposób, żeby przeciągnąć go na naszą stronę?

Moja komórka automatycznie włączyła przyrząd na odpowiedniej głębokości, hamując wypuszczanie liny tak, że zwolniłem, wpadając do podziemnej komory i zawisłem zaledwie metr nad jej dnem. Odciałem się i spadłem na ogromną stertę solnego i skalnego pyłu. Przedarłem się przez nią, odsuwając się spod otworu.

Mizzy i Megan świeciły swoimi komórkami, oświetlając szereg naturalnych jaskiń pokrytych imponującą ilością graffiti. Te jaskinie przeważnie były niskie — mniej więcej trzymetrowej wysokości, chociaż nie wszystkie — i połączone tunelami o licznych załomach. Nie wyglądały naturalnie, ale i tak o wiele mniej sztucznie niż tunele pod Newcago. Czyżby Digzone był tak szalony jak Kopacze, którym użyczył swej mocy? Sądząc po ogromnej liczbie tych jaskiń, było to całkiem możliwe.

Abraham jako następny zsunął się po stercie soli, z rąk pokrywającym mu jedną rękę. Na końcu zjawił się Cody, który nie używał sznura — wypadł z otworu na pole siłowe, które błyskawicznie pojawiło się pod jego nogami.

— Cody, odłącz moc — powiedziałem i wskazałem załom jaskini. — Znajdź tam odpowiednie miejsce i przygotuj się. Nie zdołamy go zaskoczyć twoimi zdolnościami, ale pomimo to chcę, żebyś z początku się ukrywał. Mizzy, przygotuj się do zdetonowania prezentu, kiedy dam znak.

— A Zawłaszczacz? — zapytała.

— Wie o ładunku. Wyniesie się stamtąd.

A jeśli nie, to cóż, sam będzie sobie winien.

Złapałem komórkę i pospieszyłem po nierównym dnie do bocznego korytarza. Ten kompleks jaskiń był bardzo złożony, ale mapa w mojej komórce pokazywała kilka stosunkowo bezpiecznych miejsc, z których mogłem dowodzić operacją. Nie była to ta część kompleksu jaskiń, w której pierwotnie zamierzaliśmy zastawić pułapkę, ale nie mieliśmy innego wyjścia.

Megan dołączyła do mnie.

— Dobra robota ze Szkotem na górze.

— Potrzebował tylko małej zachęty — powiedziałem — żeby stać się tym, kogo zawsze udaje.

— Nie on jeden — skomentowała. Przystanęliśmy na skrzyżowaniu tuneli i przyciągnęła mnie, po czym szybko ucałowała. — Zawsze myślałeś, że chcesz dowodzić, Davidzie. Miałeś po temu dobry powód.

Odwróciła się, chcąc odejść. Przytrzymałem ją za ramię, a potem za dłoń, gdy mi się wymknęła.

— Nie eksploatuj się za bardzo, Megan.

Uśmiechnęła się — na skry, co za uśmiech — i przytrzymała moje palce w swoich.

— Mam to, Davidzie. Jest moje. Już się tego nie boję. Jeśli mnie porwie, znajdę powrotną drogę.

Puściła mnie i przeszła przez jaskinię, gdy ja schowałem się za załomem. Kryjówka była ciasna i musiałem przeciskać się przez przewężenie korytarza, ale ten zasłoni światło mojej komórki przed wzrokiem Profesora, a mnie przed wybuchami. Znalazłem się w niewielkiej jaskini, z której nie było drugiego wyjścia.

Odczepiłem od pasa hełmofon ze szklaną kopułką na przodzie. Niechętnie podarowany przez Knighthawk i przysłany razem z kombinezonem tensorowym mógł pokazywać wiele ekranów jednocześnie.

— Mizzy, kamery rozmieszczone? — zapytałem.

— Mocuję ostatnią — odparła. — Knighthawk, one są naprawdę upiorne.

— Mówi to do faceta, który skonstruował manekina poruszanego siłą woli — mruknął pod nosem Abraham.

— Daruj sobie — prychnął Knighthawk, jednak trudno go było zrozumieć z powodu jakiegoś hałasu na jego końcu linii.

— Knighthawk — powiedziałem — masz jakieś zakłócenia statyczne po twojej stronie.

— Hm? Och, nie przejmuj się. Prażona kukurydza już jest prawie gotowa.

— Robisz popcorn? — zdziwił się Abraham.

— Jasne, a czemu nie? To powinno być niesamowite widowisko...

Na wyświetlaczu mojego hełmu po kolei włączyły się cztery ekrany, ukazując mi szereg obrazów głównej jaskini i pobliskich korytarzy. Mizzy rozrzuciła światła chemiczne, chociaż kamery działały jak czujniki termowizyjne i noktowizory. Dostarczył je Knighthawk — małe podobne do krabów drony z kamerami w korpusach. Za pomocą komórki włączyłem kamerę w jednym z nich. Działała doskonale.

— Ładnie — pochwalił Knighthawk.

On i Mizzy też mieli obserwować ekrany, chociaż Mizzy będzie zajęta materiałami wybuchowymi. Megan i ja byliśmy zdesperowani, stawiając czoło swoim słabościom. Miałem nadzieję, że jeśli zmęczymy Profesora i staniemy się realnym zagrożeniem, łatwiej będzie doprowadzić go do takiego samego stanu.

— Knighthawk — odezwałem się, przeglądając obrazy z kamer, najpierw oczami Cody'ego, a potem Megan. — Kiedy zjawi się Profesor?

— Właśnie wylądował na waszym budynku — odrzekł.

— Są z nim inni Epicy?

— Nie. No dobrze, zniszczył sufit i opada do środka.

— Mizzy — powiedziałem. — Wysadź prezent.

Poczuliśmy wstrząs wybuchu i przez zrobiony przez nas otwór posypał się gruz. Czekałem spięty, próbując obserwować wszystkie ekrany jednocześnie. Z której strony nadejdzie?

Sklepienie jaskini zatrzęsło się i runęło, zrzucając chyba z tonę soli do głównej komory. Do środka wpadły smugi światła. Profesor nie zadowolił się niewielką dziurą, którą zrobiliśmy. Zerwał całe sklepienie jaskini.

Spłynął na dół na jasnym dysku światła, w tumanie kłębiącego się wokół niego pyłu, w goglach na twarzy i w rozwianym czarnym kitlu laboratoryjnym. Oddech uwiązał mi w gardle.

Nie widziałem potwora. Oczami duszy wciąż patrzyłem na człowieka, który wpadł przez inny sufit w kłębach kurzu. Człowieka, który zrobił, co mógł — przedzierając się, żeby stawić czoło oddziałowi wojska, ryzykując utratę życia i zdrowych zmysłów — żeby mnie uratować.

Czas na rewanż.

— Teraz — szepnąłem do mikrofonu.

grawatonicznego minidziałka. Zawsze z dreszczem emocji patrzyłem, jak z niego strzela, gdyż sypało gradem kul jak banda pijanych wsioków dziurawiących znak drogowy.

— Niech nikt się nie wychyla — ostrzegłem, gdy broń Abrahama błysnęła w ciemnościach, zasypując Profesora lawiną pocisków.

Pole siłowe Profesora odbiło kule — aczkolwiek te pola siłowe nie były niepokonane. Używanie ich wymagało wysiłku. Może uda nam się go zmęczyć.

Posłał Abrahamowi drwiący uśmiech, po czym machnął ręką, tworząc swoją kulę pola siłowego wokół Kanadyjczyka. Zacisnął pięść, żeby go zmiażdżyć, ale pole nie skurczyło się, gdyż Abraham stworzył z rtich rozporę opartą o przeciwległe boki kuli.

Kamera wyraźnie pokazała mi zaskoczoną minę Profesora.

— Cody, ruszaj — powiedziałem.

Z cienia wytrysnęła struga światła i pole siłowe wokół Abrahama rozpadło się. Dobrze. Tak jak przedtem tensor wyłączał pola siłowe. Chociaż musieliśmy zachować ostrożność, żeby przy okazji nie wyparowała broń Abrahama.

Profesor wrzasnął i wycelował palec w Cody'ego, ale nic się nie stało. Zmarszczyłem brwi, widząc ten gest, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, gdyż Cody i Abraham zaatakowali Profesora. Cody nie miał wprawy w posługiwaniu się polem — i chyba zamiast otoczyć go kulą pola siłowego, wznosił między nimi ścianę. To przypadkowo uchroniło go przed włócznie światła. Uderzyły w tę ścianę, przebiły ją i uwięzły.

— Abrahamie, zajdź go z lewej — poleciłem. Na mojej mapie podziemi pojawił się migający punkt w miejscu, gdzie Mizzy podłożyła ładunek wybuchowy. — Megan, zobacz, czy uda ci się zwabić go do tego tunelu po prawej, do niespodzianki Mizzy.

— Przyjęłam — zameldowała Megan.

Moja maleńka jaskinia zadygotała, gdy Profesor starł się z Codym i strumienie energii tensorowej zniszczyły pola siłowe. Abraham osłaniał się rtich, formując z niego tarczę i odbijając nią włócznie światła. Niestety, Cody słabo sobie radził ze swoimi polami siłowymi. Po kilku godzinach ćwiczeń nie jest się ekspertem.

Miał jednak mnóstwo wprawy w posługiwaniu się tensorami i z tym szło mu nieźle. Niszczył pola siłowe Profesora, chroniąc siebie i — co ważniejsze — Abrahama. Kombinezon Cody'ego miał podłączony wzmacniacz, ale Abraham nie miał tego zabezpieczenia.

Dowodziłem zespołem najlepiej, jak mogłem i chociaż raz nie miałem czasu żałować, że nie jestem tam z nimi. Byłem zbyt zajęty kierowaniem ich tak, żeby spychali Profesora w kierunku podłożonych ładunków. Zdetonowaliśmy kilka, osłabiając go i nie pozwalając mu załatwić Cody'ego i Abrahama. Ponadto obserwowałem Profesora, gdy czasem

odskakiwał w głąb jaskiń, usiłując ich okrążyć i uzyskać przewagę.

Na mój znak Megan wkroczyła do akcji, tworząc iluzoryczne wersje siebie i Pożara, żeby przyciągnąć uwagę i ataki Profesora. Dopóki nie przykładała się za bardzo, były to zaledwie cienie z innych wymiarów, tak jak fałszywe twarze, które nosiliśmy. To nie naraziło na niebezpieczeństwo nikogo z tamtych wymiarów, a jej — miejmy nadzieję — na utratę zdrowych zmysłów. Tylko cienie i zjawy — byle odwrócić uwagę Profesora i wytrącić go z równowagi.

Obserwowałem to wszystko z rosnącym przygnębieniem. Im dłużej walczyli, tym bardziej stawało się oczywiste, że moce Cody'ego — chociaż jeszcze bardziej zbliżone do umiejętności Profesora niż te, którymi dysponowała Tavi — nie wymuszają natychmiastowej przemiany.

Skupiłem kamery na twarzy Profesora, obserwując jego minę. Drwiący i wyniosły grymas szybko zmienił się w ponurą determinację. Wtedy ujrzałem człowieka, którego znałem.

Staw temu czoło, Profesorze! — pomyślałem, skulony w swoim skalnym kokonie, wykrzykując rozkazy i kierując kamery. No już. Dlaczego to wszystko nie wystarcza? Dlaczego jego moc nie ustępuje pod naporem jego obaw?

— Megan, Cody — powiedziałem. — Chcę czegoś spróbować. Tensory niszczą jego pola siłowe, nawet te chroniące jego skórę. Znajdź sposób, żeby trafić go strumieniem energii tensorowej, Cody. A wtedy ty, Megan, strzelisz do niego.

— Przyjęłam — rzuciła Megan. — Mam go trafić w jakieś konkretne miejsce?

— Nie — odrzekłem. — Jego moc jest wystarczająco silna, żeby wygoić każdą ranę zadaną z broni ręcznej. — Zamilkłem i dodałem: — Może jednak niech pierwsze trafienia nie będą śmiertelne, na wszelki wypadek.

Oboje jednocześnie zameldowali, że zrozumieli.

Cody ciężko dyszał.

— Trafienie go tensorami nie będzie łatwe, dzieciaku. On też próbuje trafić nas i stopić moje motywatory. Na razie trzymamy się z daleka.

Skierowałem kamerę na niego. Najwyraźniej posługiwanie się kombinezonem tensorowym było wyczerpujące. On i Megan zajęli pozycje, a Mizzy podkładała kolejne ładunki wybuchowe w głębi korytarza.

— Będziemy musieli zaryzykować — powiedziałem. — Ja...

— Ach! — przerwał mi Cody. — Co do...

— Cody? — rzuciłem pytająco.

Nie wyglądał na rannego, ale zatoczył się na ścianę jaskini i z trudem otoczył się sześcianiem świecących na zielono pól siłowych.

— Czy to była wiewiórka? — wybełkotał. — Przebiegła po mnie. Cholerna wiewiórka.

— O czym ty mówisz? — spytała Mizzy.

Cody sprawiał wrażenie oszołomionego.

— Może to był szczur albo coś takiego. Nie przyjrzałem się dobrze.

Zmarszczyłem brwi, gdy wyłączył pola i pobiegł do Abrahama, który zamierzał zaatakować Profesora, uformowawszy rękawicę w nabijaną kolcami rękawicę.

— Knighthawk, Mizzy — powiedziałem. — Czy ktoś z was widział to coś? To, co zaatakowało Cody'ego?

— Widziałem rozmazaną smugę — odparł Knighthawk. — Przewijam nagranie. Przyślę ci obraz, jeśli coś znajdę.

Profesor ominął Abrahama, który potknął się o wykreowany pod jego nogami pręt pola siłowego. Profesor uderzył dłonią w dno jaskini i wzbił tuman pyłu, spowijając nim Cody'ego, który potknął się i zwolnił.

Profesor utworzył w obu rękach włócznie światła i cisnął je przez komorę, trafiając Cody'ego w ramiona. Cody krzyknął i upadł.

Na skry. Było oczywiste, kto lepiej posługiwał się mocą.

— Megan! — zawołałem.

— Już — powiedziała i sklepienie jaskini runęło z łoskotem, zmuszając Profesora do odskoku. Zaledwie cień innego świata, ale miejmy nadzieję, że da Cody'emu dość czasu na uleczenie ran.

— Profesor zaczął coś mówić do telefonu komórkowego — odezwał się zdziwiony Knighthawk. — Widocznie wie, że monitorujemy jego linię... Chyba mówi do ciebie.

— Połącz go ze mną — powiedziałem — ale nie pozwól, żeby słyszał, co mówimy.

— ...zamierzasz pobić mnie moim przekleństwem — zabrzmiał znajomy głos Profesora, szorstki i basowy. — Od lat nosiłem w sobie ten jad, czując, jak zatruwa mnie dzień po dniu. Znam go tak, jak człowiek zna bicie swego serca.

— David, chłopcze — rzekł Cody, kaszląc. — Ja... moje rany się nie leczą...

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Skierowałem kamerę na Cody'ego i zobaczyłem, że miał rację. Czołgał się w pyle pozostawionym przez Profesora, krwawiąc z obu ramion trafionych przez świetlne włócznie. Dlaczego wzmacniacz nie działał?

— Mam — powiedział Knighthawk. — Dzieciaku, macie kłopoty.

Przesłał na mój ekran obraz z kamery sprzed kilku chwil. Zobaczyłem niewyraźną plamę oddalającą się od Cody'ego, nie większą od myszy. Albo małej postaci.

— Jest tu Luka! — ostrzegłem zespół. — Nie przyszedł tu sam! Uwaga, w jaskini jest drugi Epik. — Zawahałem się. — Na skry, ona odłączyła jeden z motywatorów od kombinezonu Cody'ego i uciekła z nim.



— Kamery działają na podczerwień — poinformował nas Knighthawk, przejmując kontrolę nad kilkoma z nich. Wydawał się podekscytowany, a nawet zaangażowany. — Przełączam... Tam! Mam ją. Ha. Myślisz, że zdołasz się ukryć przed moimi wszystkowidzącymi oczami, mały Epiku? Nie wiesz, z kim masz do czynienia.

Knighthawk skierował jedną z naszych kamer na małą postać kryjącą się w cieniu pod jednym z licznych skalnych odłamków. Miała na sobie dzinsy, obcisłą koszulę i gogle. Nie zauważyłem motywatora, ale zapewne zmniejszyła go, żeby łatwiej było go nieść.

— Megan! — krzyknąłem, gdy Profesor omijał iluzoryczny zawał. — Ty i Abraham będziecie musieli zająć się nim przez chwilę. Odwracajcie jego uwagę; będzie próbował wykończyć Cody'ego. Mizzy, idź i zabandażuj jego rany. Nie daj mu się wykrwawić!

Usłyszałem potwierdzenia. Zacząłem się gramolić z mojej skalnej kryjówki.

— Powinienem był wiedzieć — powiedział przez telefon Knighthawk. — Oczywiście, Jonathan ma plan. Chyba jednak nie przewidział, że wyposażę tę wersję kombinezonu w kilka motywatorów, dlatego nie wydał Luce odpowiednich rozkazów.

— Chcę, żebyś przez chwilę dowodził operacją, Knighthawku.

— Dobrze — odparł niechętnie. — Zamierzasz sam załatwić tego mini-Epika?

Wygramoliłem się z niszy i wstałem z gottschalkiem przyciśniętym do ramienia.

— Ona nie należy do Elity Epików. Kula ją zabije.

— Tak. Jeśli trafisz ją kulą takiej wielkości, jaką akurat ma, to na pewno nie uszkodzisz motywatora, który niesie.

Skrzywiłem się, przemykając korytarzem. Miał rację.

— Miej ją na oku.

— Już mam. Ustawiłem jedną z kamer tak, żeby samoczynnie ją śledziła. Jonathan znów coś mówi.

— Połącz go ze mną, ale nie z innymi. Nie chcę, żeby ich rozpraszał. I proszę, Knighthawku... utrzymaj ich przy życiu.

— Spróbuję. Odbierz jej ten motywator, dzieciaku. Szybko.

## 43

— Nie chciałem tu być.

Musiałem słuchać Profesora, skradając się z powrotem tunelem jadownicie oświetlonym zielonym blaskiem świateł chemicznych.

— Chciałem siedzieć cicho — ciągnął Profesor, sapiąc, odpierając ataki. — Nie chciałem nadmiernie eksploatować siebie i moich zespołów. To twoja wina, Davidzie. Wszystko, co

się teraz dzieje, jest przez ciebie.

Nie widziałem potyczki. Nadal miałem na głowie hełm z wizjerem, ale teraz musiałem się zająć Luką i tym motywatorem. Na jednym z ekranów miałem mapę jaskiń z zaznaczonym jej położeniem; drugi pokazywał obraz z obserwującej ją kamery. Oba znajdowały się na skraju mojego pola widzenia; chciałem dobrze zobaczyć to, co znajdowało się przede mną.

Szedłem ostrożnie, jakbym zamierzał przyłączyć się do walki z Profesorem. Nie chciałem zaalarmować Luki.

— Tia... — szepnął Profesor. — Ty mnie do tego zmusiłeś, Davidzie. Ty i te twoje idiotyczne marzenia. Naruszyłeś równowagę. Powinieneś był zaakceptować to, że mam rację.

Zgrzytnąłem zębami i poczerwieniałem. Nie mogłem dać mu się sprowokować. Jednak jego słowa były niebezpieczne z powodów, których zapewne nie znał. Podczas ostatniej potyczki w Ostrej Wieży coś się stało.

Coś czało się we mnie. Tak więc, chociaż wyniosły głos Profesora był irytujący, to naprawdę raniące były wcześniejsze drwiny Zawłaszczacza na dachu budynku.

*Prawda o ludziach objawia się w tych pierwszych chwilach, Davidzie... Nowi Epicy. Mordują, niszczą, pokazują, do czego jest zdolny każdy człowiek pozbawiony hamulców. Ludzie są rasą potworów nieskutecznie spętanych.*

Luka. Powiniennem się skupić na Luce. To ona była teraz problemem. Co potrafi?

Ona... chwilowo zmieniała bieg czasu i wielkość obiektów, z sobą włącznie. Najpierw jednak musiała ich dotknąć. Efekt jej manipulacji wielkością utrzymywał się przez kilka minut — nie był trwały, ale mogła coś zmniejszyć i zostawić w tym stanie. Po chwili obiekt sam wracał do swojej normalnej wielkości albo kiedy go dotknęła i znów ją zmieniła.

Na szczęście, w przeciwieństwie do innych obdarzonych podobnymi umiejętnościami Epików, zmniejszając się, nie zachowywała swojej siły i ciężaru. Była szybka, sprytna i niebezpieczna, ale nie należała do Elity Epików, a jej słabością było... Usiłowałem sobie przypomnieć...

Jej słabością było kichanie. Kichając, traciła moc. Miałem wyczerpujące notatki na ten temat.

No cóż, sam fakt, że nie należała do Elity Epików, nie oznaczał, że nie jest niebezpieczna. Dotarłem do tej części korytarza, gdzie się kryła, i poszedłem dalej w kierunku pozostałych, udając nieświadomego jej obecności. Światło wpadało przez otwór wybity w sklepieniu przez Profesora. Podniosłem z ziemi garść skalnego pyłu i wepchnąłem go do kieszeni. Przede mną, w oddali, słychać było odbijające się echem

trzaski i krzyki. Powstrzymałem chęć przełączenia kamer i sprawdzenia sytuacji.

— I gdzie jesteś, Davidzie? — spytał w moim uchu Profesor. — Pozwalasz, by inni umierali, walcząc ze mną, a sam się chowasz? Nigdy nie sądziłem, że jesteś tchórzem.

Na ekranie po prawej Luka czekała, stojąc za głazem, przycisnięta do niego plecami. Nie wyglądała na przejętą; była najemną siłą znaną ze sprzedawania swoich usług każdemu potężnemu Epikowi, który jej płacił. Profesor zapewne zatrudnił ją tylko do kradzieży motywatora. Nie chciała mieszać się do tej walki.

Tym gorzej dla niej.

Teraz.

Skoczyłem w kierunku głazu, za którym się chowała, i pchnąłem go ku ścianie jaskini w nadziei, że ją unieruchomię. Jednak w połowie drogi pchany przeze mnie głaz znikł, kurcząc się do rozmiarów kamyka. Upadłem, usiłując złapać umykającą postać.

Chwyciłem ją, ale natychmiast poczułem silne szarpnięcie. Luka znów była mojej wielkości, ale znajdowała się w połowie tunelu. Dlaczego był on teraz znacznie większy?

O cholera — pomyślałem. — Zmniejszyła mnie!

Podniosłem się i stanąłem między kamykami, które teraz były wielkości głazów. Przede mną szczelina w skale nagle stała się przepaścią — choć trzeba przyznać, że zaledwie dwukrotnie głębszą od mojego wzrostu. Zostałem zmniejszony wraz ze wszystkim, co miałem na sobie.

Luka, również małeńka, oddaliła się ode mnie o piętnaście metrów, a przynajmniej tak mi się wydawało przy moich obecnych rozmiarach. Zdolność manipulowania czasem pozwoliła jej niekiedy szybko uciec, chociaż nie z nadludzką szybkością. Tylko trochę szybciej niż przeciętny człowiek.

To oznaczało, że nie mogła uciec przed kulami i innymi pociskami. Zdjąłem z ramienia gottschalka, wycelowałem i wypuściłem serię, celowo chybiając. Inaczej mogłem trafić w motywator i w ten sposób zabić Cody'ego. Byłem gotowy zaryzykować, gdyby się nie zatrzymała, ale najpierw spróbowałem strzału ostrzegawczego.

— Mam cię, Luka! — zawołałem. — Oddaj mi motywator i odejdz. To nie twoja walka, a ja nie chcę cię zabić.

Przystanęła na środku korytarza i spojrzała na mnie.

A potem wróciła do swych normalnych rozmiarów. Następnie ruszyła na mnie i przy każdym jej kroku dno jaskini drżało jak podczas trzęsienia ziemi. Z krzykiem wskoczyłem do pobliskiej szczeliny, zsunąłem się i zatrzymałem na skalnym występie, gdy Luka pojawiła się nade mną. Wyciągnęła rękę, a ja wystrzeliłem z gottschalka. Najwidoczniej nawet seria z małeńkiego automatu nie przypadła jej do gustu. Cofnęła rękę i zakłęła głosem jak huk gromu.

Odłamki skały posypały się do szczeliny, spadając na mnie jak grad. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem garść pyłu, który podniosłem wcześniej; zmniejszył się wraz ze mną.

Musiałem cisnąć go w jej twarz. Wspaniale. Wyjście na górę będzie jak wspinaczka na Everest. Ponadto widziane z dołu nosy wyglądają naprawdę dziwnie. Zauważyłem jednak woreczek wiszący na sznurku na jej szyi. Może z motywatorem?

Zaatakowała mnie nożem. Dźgała nim w szczelinę. Jedną ręką złapałem za jego rękojeść, pozwalając, by karabin zawisł na taśmie na moim ramieniu. Nie puściłem noża, kiedy cofała rękę, ale udaremniła mój plan wspięcia się po niej, strząsając mnie energicznym machnięciem na odległą o sześć metrów podłogę.

Przygotowałem się na uderzenie, ale prawie nie poczułem upadku. Niewielkie rozmiary mają swoje zalety. Przetoczyłem się po ziemi i zerwałem na równe nogi, gdy próbowała mnie rozdeptać. Ledwie uniknąłem zmiżdżenia. Do licha, przy upadku wypuściłem tę garść pyłu. W rzeczy samej...

W rzeczy samej... ja...

Kichnąłem i rąbnąłem głową o ścianę jaskini, wpadając na nią. Odzyskałem swoją naturalną wielkość. Luka i ja popatrzyliśmy na siebie jednakowo zaskoczeni.

— Kichanie działa na nas oboje, co? — odezwałem się. — Dobrze wiedzieć.

Warknęła i sięgnęła do kabury przy pasie po pistolet. Natychmiast kopniakiem wytrąciłem go z jej dłoni i wycelowałem gottschalka.

— Na pewno nie chcesz oddać mi motywatora?

Próbowała mnie złapać, więc niechętnie wypuściłem serię.

Każda uderzająca ją kula kurczyła się do rozmiarów komara. Pomimo to zabolalo ją, sądząc po tym, jak się krzywiła, jednak seria nie spełniła moich oczekiwań i nie położyła jej trupem.

W następnej chwili złapała mój karabin, który znikł, zmniejszając się w moich rękach do mikroskopijnej wielkości i upadł na ziemię. Otworzyłem usta ze zdumienia. Zmniejszała kule w momencie, kiedy ją trafiały.

— To było imponujące — powiedziałem.

Powaliła mnie, przy czym znów uderzyłem głową o ścianę jaskini i rozbiłem hełm. Zakląłem, kopnąłem ją i podniosłem się z ziemi.

— Naprawdę — mruknąłem — chyba będę musiał zmienić twoją klasyfikację. Może jednak należysz do Elity Epików.

— Masz nie po kolei w głowie? — zapytała i zamachnęła się.

Uniosłem ręce i zdołałem zablokować cios. Niestety, mój prawy prosty chybił i ponownie uderzyła mnie w twarz. Na skry. Kiedy spróbowała to powtórzyć, złapałem ją chwytem, którego nauczył mnie Abraham. Byłem większy od niej, więc wydawało się to sensowne.

Skurczyła moją koszulę.

Ta o mało mnie nie udusiła, ale na szczęście wcześniej pękła. Pomimo to puściłem Luke, łapiąc oddech. Uderzyła mnie dłonią w pierś i zrobiłem się sześciometrowym drągalem, waląc głową o sklepienie jaskini.

— Davidzie! — wykrzyknęła Mizzy. — Pospiesz się! Źle z nim.

— Próbuję — wykrztusiłem, gdy Luka znów zmniejszyła mnie do normalnych rozmiarów i ponownie uderzyła w twarz. Jaskinia dygotała i trzeszczała, kawałki skały spadały z jej sklepienia, a z oddali dochodziły mnie krzyki Profesora, Megan i Abrahama.

Chwiejnie odskoczyłem od Luki, a potem uniosłem ręce, by zablokować jej ciosy. Mój lekko zamroczony mózg z trudem reagował w wyćwiczony sposób. Gradem ciosów przyparła mnie do ściany i dosłownie waliła mnie po twarzy i brzuchu, na przemian. Zdołałem wyciągnąć pistolet, który miałem w kaburze na udzie, ale wytrąciła mi go z ręki.

Jakby urosła o kilkanaście centymetrów, wznosząc się nade mną. Gdy mój pistolet ze szczękiem upadł na skałę, jedyne co mi przyszło do głowy, to skoczyć i uderzyć w nią całym ciężarem ciała. Udało mi się to i oboje potoczyliśmy się po ziemi.

Podniosła się pierwsza. Byłem oszołomiony, koszulę miałem w strzępach. Z jękiem przetoczyłem się po ziemi i zobaczyłem, że Luka podnosi swój pistolet.

Coś spadło ze sklepienia na jej kark. Mechaniczny krab? Następny skoczył na nią z boku, a trzeci spadł z góry. Nie wyglądały szczególnie groźnie, ale zaskoczyły ją. Okręciła się, usiłując zdjąć je z pleców.

To mnie uratowało, pozwoliło złapać oddech. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem trochę skalnego pyłu. Kule na nią nie działały. Musiałem użyć sprytu.

— Dzięki, Knighthawku — wymamrotałem, gdy Luka skurczyła się, żeby wymknąć się krabom.

Wyciągnąłem ręce, żeby ją złapać, a ona — tak jak poprzednio — zmniejszyła mnie do swoich rozmiarów, gdy tylko jej dotknąłem. Tym razem byłem na to przygotowany i natychmiast się na nią rzuciłem. Znów na nią wpadłem, łapiąc za woreczek zawieszony na szyi. Przez skórę wymacałem cienkie metalowe pudełko. Motywator!

— Uparty mały idiota, no nie? — warknęła, gdy oboje, wciąż zmniejszeni i spleceni w uścisku, runęliśmy na ziemię.

Sapnąłem i zdołałem przetoczyć się tak, że znaleźliśmy się tuż przy szczelinie. Nagle uderzyła mnie bykiem w twarz, co naprawdę mnie zabolowało. Jaskinia zadrżała i jęknąłem, puszczając zarówno Luke, jak i woreczek.

Podniosła się i stanęła nade mną, tuż przed szczeliną.

— Znam jego plan — powiedziała. — Chce być Epikiem nad Epikami. To mi się podoba.

Pozwolę mu zebrać potrzebne rzeczy, a potem zniknę z nimi. Sama złożę wizytę starej Calamity.

Spojrzałem na nią oszołomiony, krwawiąc z nosa.

— Ja... — wykrztusiłem.

— Tak?

— Ja... — jęknąłem — sędzę, że... byłaby to dziwna chwila, żeby poprosić o autograf.

— Co?

Cisnąłem jej w twarz garść pyłu, po czym — gdy zakłęła — uderzyłem ją barkiem, łapiąc woreczek, gdy leciała do tyłu. Sznurek pękł i woreczek został mi w ręku. Luka wpadła do szczeliny, a ja zachwiałem się na jej krawędzi, o mało nie wpadłszy za nią.

Poleciała na sam dół, z cichym stuknięciem uderzając o dno.

— Ty idioto! — zawołała. — Zdajesz sobie sprawę, że przy tych rozmiarach... — Urwała na moment, pociągając nosem. — Przy tych rozmiarach upadek wcale mi nie zaszkodzi. Mogłabym spaść z budynku i... i... Och, do diabła...

Odskokczyłem od szczeliny. Z jej głębi doleciało do mnie ciche kichnięcie.

A potem obrzydliwe plaśnięcie. Skrzywiłem się, patrząc na masę zmiażdżonego ciała i połamanych kości, w którą zmieniała się Luka, rosnąc zbyt szybko w o wiele za małej przestrzeni. Częściowo wylała się ze szczeliny, jak drożdżowe ciasto niemieszczące się w dzieży.

Przełknąłem ślinę, czując mdłości, a następnie chwiejnie wstałem i wyjąłem z woreczka motywator. Po garści pyłu i jeszcze jednym kichnięciu obaj wróciliśmy do normalnych rozmiarów, chociaż nigdzie nie mogłem znaleźć mojego gottschalka.

Zamiast niego podniosłem pistolet.

— Mizzy, mam motywator — powiedziałem do mikrofonu. — Gdzie jesteście?

## 44

Powlokłem się przez jaskinie pod Ildithią, mijając ściany rozwalone tensorami i sterty piasku. Światła chemiczne oblewały tunele blaskiem przypominającym radioaktywną poświatę. Przystanąłem, łapiąc równowagę przy kolejnym wstrząsie, a potem poszedłem dalej w kierunku załomu, za który Mizzy wciągnęła Cody'ego. Czy to ich widziałem przed sobą?

Nie. Stałem jak wryty. Światło wpadało przez wyrwę w przestrzeni przypominającą ranę ciętą ze skórą podwiniętą na brzegach. Przez nią zobaczyłem inną jaskinię oświetloną jasnym pomarańczowym blaskiem. W niej Pożar walczył z Luką.

Rozdziawiłem usta, patrząc, jak kobieta, którą dopiero co zabiłem, kurczy się i ucieka przed nim, jednocześnie zmieniając spadające kamienie w głązy. Pożar odskoczył w tył, a jego płomień rozżarzył głązy do czerwoności.

Spojrzałem w głąb przejścia i dostrzegłem inne wyrwy w przestrzeni. Wyglądało na to, że Megan się nie oszczędzała. Przełknąłem ślinę i znów ruszyłem ku Mizzy. Rozbłysk światła po mojej lewej oświetlił postacie walczące w cieniu — w tej części systemu jaskiń, w której Mizzy jeszcze nie zdążyła rozrzucić świateł chemicznych.

Profesor pojawił się nagle w głębi korytarza, materializując się jakby ze światła. Wykorzystywał telepatyczne zdolności Znikającego. Na skry! W chwili, gdy się pojawił, spora część sklepienia runęła. Tym razem nie było to złudzenie, ale prawdziwy zawał, który Profesor musiał odbić, tworząc pole siłowe nad głową. Ryknął z wściekłości, przytrzymując spadające głązy, po czym cisnął przed siebie kilka włóczy światła.

Wyglądało na to, że oboje musieli użyć desperackich środków. Profesor korzystał ze skrywanego urządzenia teleportującego, a Megan sięgała coraz dalej do innych rzeczywistości. Jak daleko odeszła? A jeśli ją stracę tak jak Profesora?

Spokojnie — powiedziałem sobie. Była pewna, że sobie poradzi. Musiałem jej zaufać.

Pochyliłem głowę i wskoczyłem do bocznego korytarza, dostrzegłszy ślady krwi na kamieniach. Minąłem kolejny zakręt, a potem zatrzymałem się, o mało nie wpadłszy na Mizzy i Cody'ego.

Leżał na ziemi z zamkniętymi oczami i bladą twarzą. Mizzy musiała zdjąć z niego prawie cały kombinezon tensorowy, żeby opatrzyć mu rany. Strój leżał teraz obok z odłączonym układem wzmacniacza, ale przewody wciąż były podłączone do jego ręki. Na mój widok Mizzy krzyknęła, a następnie wyrwała mi z ręki motywator. Ponownie podłączyła go do kombinezonu.

— Knighthawk — rzuciłem do mikrofonu. — Naprawdę musisz lepiej zabezpieczać te motywatory.

— To prototyp — warknął. — Skonstruowałem go tak, żeby umożliwiał szybki dostęp i wymianę motywatorów. Skąd miałem wiedzieć, że Jonatahan go zabierze?

Mizzy spojrzała na mnie, gdy wzmacniacz zaczął się jarzyć.

— Na skry, Davidzie! Wyglądasz, jakbyś spadł z klifu!

Wytarłem nos, który wciąż krwawił. Twarz zaczęła mi puchnąć od otrzymanych ciosów. Osunąłem się na ziemię obok Mizzy. Byłem wyczerpany.

— Jak przebiega starcie?

— Twoja dziewczyna jest niesamowita — niechętnie przyznała Mizzy. — Abraham co chwilę zostaje zamknięty w polach siłowych, ale ona go uwalnia. Razem przykuwają uwagę Profesora.

— Czy ona wygląda na...

— Szaloną? — dokończyła Mizzy. — Nie wiem. — Spojrzała na Cody'ego, którego rany, na szczęście, zaczęły się zamykać. — Jeszcze przez chwilę będzie nieprzytomny. Miejmy nadzieję, że tych dwoje wytrzyma. Obawiam się, że skończyły mi się ładunki. Może więc...

Ktoś gwałtownie zmaterializował się obok nas. W nagłym rozbłysku, bezgłośnie, lecz ogłuszającym, jeśli go dostrzegłeś. Odskoczyłem z krzykiem, sięgając po pistolet w kaburze na udzie. To nie był Profesor. Niestety, to pozostawiało tylko jedną możliwość.

Znikający okręcił się, zamiatając połami płaszcza dno jaskini. Omiótł wzrokiem Mizzy, Cody'ego i mnie, przyglądając się nam przez szkła okularów.

— Zostałem wezwany — rzekł.

— Hmm, tak — powiedziałem, drżącymi rękami trzymając wycelowaną w niego broń. — Przez Profesora. Ma motywator skonstruowany z twojego ciała.

— Chce zniszczyć to miasto? — spytał Znikający, przechylając głowę na bok. — Ona zrobiła jeszcze jakąś bombę oprócz tych, które mi dała?

— Które ci dała? — powtórzyłem. — Zatem masz ich więcej?

— Oczywiście — spokojnie odparł Znikający. — Jesteś poległym, Davidzie Charlestonie.

Pokręcił głową i znikł, pozostawiając swój ceramiczny posążek, który zaraz rozsypał się i rozwiął jak dym.

Odpreżyłem się. Nagle Znikający znów pojawił się przy mnie i chwycił mój pistolet. Ten gwałtownie się rozgrzał, tak że krzyknąłem i wypuściłem go z poparzonych palców. Znikający kopniakiem odrzucił go na bok i klęknął przy mnie.

— I jest siedmiu królów: pięciu poległych, jeden obecny, a jeden dopiero nadejdzie — szepnął. Drgnął, gdy Profesor najwyraźniej teleportował się w oddali. Potem uśmiechnął się, zamykając oczy. Na skry. Chyba mu się to podobało. — Nadeszła godzina twojej śmierci i zniszczenia tego miasta. Żałuję, że nie mogę dać ci więcej czasu.

Położył dłoń na moim czole i poczułem ciepło jego skóry.

— Zamierzam zabić Calamity — wypaliłem.

Znikający otworzył oczy. Żar osłabł.

— Co powiedziałeś?

— Calamity — powtórzyłem to imię. — To Epik i stoi za tym wszystkim. Mogę go zabić. Jeśli chcesz wywołać Armagedon, czy nie jest to najlepszy sposób? Zniszczyć tego straszliwego... hmm... anioła? Stwora? Ducha?

To brzmiało religijnie, prawda?

— On jest daleko, człowieczku — w zadumie rzekł Znikający. — Nigdy go nie dosięgniesz.



— Ty jednak mógłbyś się tam teleportować, prawda?

— To niemożliwe. Calamity jest za daleko, żebym zdołał sformować w myślach właściwy obraz jego lokalizacji, a nie mogę przenieść się do miejsca, którego nie widzę i nie mogę sobie wyobrazić.

No to jak znalazłeś się tutaj? Na skry. Czyżby jakoś nas obserwował? Teraz nie miało to znaczenia. Wciąż drżącą ręką sięgnąłem do kieszeni i odpiąłem komórkę. Wyjąłem ją i podałem mu, pokazując obraz Calamity z plików Regalii.

— A gdybyś miał zdjęcie?

Znikający cicho gwizdnął, szeroko otwierając oczy.

— „A bestia, która była i nie ma jej, i ona jest ósmym, a jest spośród siedmiu i zdąża na zagładę...” — Zamrugnął, patrząc na mnie. — Znów mnie zadziwiasz. Jeśli pokonasz swego byłego mistrza, a robiąc to, zaimponujesz mi, spełnię twoje życzenie.

Ponownie znikł w rozbłysku. Tym razem nie wrócił. Z jękiem oparłem się o ścianę, machając oparzoną dłonią.

— Calamity! Co jest nie tak z tym człowiekiem? — zapytała Mizzy, wpychając pistolet do kabury. Udało się jej to dopiero za trzecim razem, tak trzęsła się jej ręka. — Myślałam, że już po nas.

— Taak — mruknąłem. — Niemal spodziewałem się, że mnie zamorduje za zuchwalstwo, jakim było stwierdzenie, że chcę zabić Calamity. Doszedłem do wniosku, że równie dobrze może oddawać jej cześć, jak ją nienawidzić.

Wyjrzałem zza rogu, spoglądając w głąb tunelu jarzącego się wyrwami i dziurami wiodącymi do innych wymiarów.

— Abraham właśnie padł! — zameldował mi do ucha Knighthawk. — Powtarzam, Abraham padł. Jonathan odciął mu rękę, razem z rtich, polem siłowym.

— Na skry! — zakląłem. — A Megan?

— Nie widzę — odrzekł Knighthawk. — Zostały mi tam tylko dwie kamery. Myślę, że przegrywacie tę bitwę, ludzie.

— Przegrywaliśmy ją, jeszcze zanim się zaczęła — stwierdziłem, odwracając się i podchodząc do kombinezonu tensorowego. — Mizzy, pomóż mi.

Spojrzała na kombinezon, a potem na mnie, szeroko otwierając oczy. Podbiegła do mnie i pomogła mi zakładać kombinezon.

— Stan Cody’ego powinien już być stabilny; ten wzmacniacz dobrze działa.

— Odłącz go i ponownie podłącz do kombinezonu — powiedziałem. — Knighthawk, jaki ciężar podniosą twoje drony?

— Około pięćdziesięciu kilogramów każdy. Cięższe przedmioty przenoszą zespołowo. Dlaczego pytasz?

— Przyślij tu kilka, niech podniosą Cody’ego i zabiorą go stąd. Czy Abraham jeszcze żyje?

— Nie wiem — odparł. — Jednak jego komórka wciąż działa, więc mogę ci pokazać, gdzie jest.

Spojrzałem na Mizzy, a ona skinęła głową, łącząc przewody wzmacniacza z bluzą kombinezonu tensorowego, który teraz miałem na sobie.

— Znajdę go — powiedziała — i ustabilizuję jego stan, dopóki nie wrócisz ze wzmacniaczem.

— Najpierw dopilnuj, żeby drony zabrały Cody’ego.

— Zakładając, że do was dotrą — rzekł Knighthawk. — Oddziały Jonathana okrążyły magazyn. Jednak nie kwapią się zejść do jaskiń i przyłączyć do walki.

— I wejść między dwóch Epików? — dopowiedziałem. — Będą się trzymać z daleka, dopóki nie dostaną wyraźnego rozkazu. Wiedzą, co się stało ze strażnikami w Ostrej Wieży. Dziwię się, że po tym zdołał skłonić Lukę, żeby tu zeszła.

— Taak — mruknęła Mizzy. Wyglądała na wykończoną i wciąż drżała jej ręka.

Sam nie czułem się wiele lepiej, chociaż już odczuwałem działanie wzmacniacza. Ból osłabł.

— Wynoś się stąd, Mizzy — rozkazałem. — Zrobiłaś, co mogłaś. Spróbuj wyprowadzić Abrahama i Cody’ego w bezpieczne miejsce. Ja przekażę wzmacniacz Abrahamowi, jak tylko będę mógł. Jeśli nie wrócę, trzymajcie się Knighthawka.

Kiwnęła głową.

— Powodzenia, Davidzie. Ja... hm... cieszę się, że nie zastrzeliłam cię w Babilarze.

Uśmiechnąłem się, zakładając najpierw prawą rękawicę tensorową, a potem lewą.

— Potrafisz się tym posługiwać? — zapytała Mizzy. — Bez treningu?

Lampki rękawic rozjarzyły się ciemną zielenią. Poczułem, jak przechodzą przeze mnie ich vibracje, odległa muzyka, którą kiedyś uwielbiałem, a potem zapomniałem. Uwolniłem ją, zmieniając pobliską kamienną ścianę w pył.

— Jakbym wrócił do domu — oznajmiłem.

W rzeczy samej czułem się gotowy stawić czoło Epikowi z Elity.

## 45

Przebiegłem tunelem, mijając migoczące wyrwy po obu stronach — okna do innych światów. Kilka prowadziło do królestw Pożara, ale inne — słabiej widoczne, mgliste i niewyraźne — wyglądały na odleglejsze. Były też światy, w których w tych tunelach

walczyły jakieś nieznanne postacie lub gdzie panowały nieprzeniknione ciemności, albo nawet światy, w który w ogóle nie było żadnych podziemi, tylko skała.

Tensory mruczały na moich dłoniach, niecierpliwiąc się. Jakby... jakby sama moc wiedziała, że próbuję ocalić Profesora. Śpiewały mi bojową pieśń. Gdy dotarłem do komory, w której wcześniej widziałem Profesora, wypuściłem strumień wibrującej energii, rozbijając skalną półkę przede mną i tworząc szereg pokrytych pyłem stopni, po których podążyłem.

Profesor płonął zielonym blaskiem na środku komory. Miał podwinięte rękawy fartucha odsłaniające porośnięte ciemnymi włosami przedramiona. Odwrócił się do mnie i zaśmiał się.

— David Charleston — powiedział, a jego głos odbił się donośnym echem w komnacie. — Zabójca Stalowego Serca! W końcu chcesz ponieść odpowiedzialność za to, co zacząłeś w Newcago? Przyszedłeś za to zapłacić?

Dno jaskini było tu usiane dziurami po uderzeniach tensorów oraz zasłane stertami gruzu i pyłu, który spadł z sufitu. Na skry. Sklepienie tej jaskini trzymało się na włosku i słowie honoru.

Stałem przed Profesorem, mając nadzieję, że zdołam włączyć pola siłowe kombinezonu. Gdzie się podziała Megan? Odrodziłaby się, gdyby umarła, więc to mnie nie martwiło tak bardzo, jak istnienie wszystkich tych dziur w rzeczywistości.

Jedna z nich unosiła się w pobliżu. Ciemność widoczna tylko dzięki migoczącym brzegom.

Megan wyszła z niej.

Podskoczyłem. Na skry, to była ona, ale... jakaś inna jej wersja. Niewyraźna.

Ponieważ to nie ona jedna — uświadomiłem sobie. Nie patrzyłem na jedną Megan, ale na całe ich setki. Nakładające się na siebie, wszystkie podobne, a zarazem każda inna. Pieg w innym miejscu, grzywka przystrzyżona inaczej. Oczy zbyt jasne lub za ciemne.

Uśmiechnęła się do mnie. Tysiącem uśmiechów.

— Mam Abrahama — zgłosiła Mizzy. — Żyje, ale byłoby naprawdę dobrze, gdybyś nie uszkodził wzmacniacza, Davidzie. Przynajmniej jeśli znów chcesz mieć Abrahama w jednym kawałku. A teraz znikam.

— Przyjąłem — rzuciłem, patrząc na Profesora. Ubranie miał zakurzone i podarte. Krwawił z wielu zasklepionych ran na twarzy. Jedna nie zagoiła się: miejsce, gdzie Cody trafił go mocą.

Chociaż przyparty do muru Profesor nie wyglądał na przestraszonego. Stał wyprostowany, pewny siebie. Wokół niego pojawiły się cztery płonące lance światła.

— Oto cena, Davidzie — cicho rzekł.

Wypuścił te lance, kierując je we mnie. Zdołałem zniszczyć je tensorami, które rozbiły pola siłowe w pył. Ten obsypał mnie, po czym się rozwiął. Nie zamierzając dać się popychać, zaatakowałem Profesora, próbując utworzyć własne pola siłowe.

Otrzymałem tylko kilka migotliwych zielonych fal, przypominających błyski światła na powierzchni stawu. Cholera.

Profesor wysłał kolejny zestaw lanc, ale — tak jak Cody — byłem dostatecznie obeznany z tensorami, żeby i te zatrzymać. Przeskoczyłem przez dziurę w ziemi, a następnie uderzyłem dłonią w skalne podłoże, z głuchym łoskotem wybijając w niej otwór.

Profesor wpadł w nią ledwie na kilka centymetrów, zanim wylądował na dysku zielonego światła. Potrząsnął głową, a potem machnął ręką w moim kierunku, wysyłając strumień tensorowej energii, która wybiła dziurę pod moimi nogami.

Rozpaczliwie próbowałem stworzyć pole siłowe, żeby powstrzymać upadek, ale zdołałem uzyskać tylko kolejną migotliwą falę. Jednak w następnej chwili dziura stała się płytsza i wylądowałem zaledwie metr niżej.

Megan stanęła przy dziurze.

— Jest wiele światów, w których nie wybił dostatecznie głębokiego otworu — wyjaśniła głosem, na który nakładało się sto szeptów.

Profesor warknął coś, atakując mnie włóczniami światła, jedną po drugiej. Wskoczyłem z dziury i stanąłem przy Megan, niszcząc kolejne pociski.

Po każdej zniszczonej włóczni Profesor krzywił się.

— I jak z nim walczymy? — zapytała Megan nakładającymi się głosami. — Na razie mogę go tylko rozpraszać. Czy nadal chcesz go jakoś zmusić do konfrontacji z jego obawami?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odrzekłem, wyciągając przed siebie ręce i wyteżając wszystkie siły. W końcu utworzyłem ścianę pola siłowego. Tak jakbym przełączył tensory na wsteczny bieg. Zamiast wypuszczać vibracje, pozwalałem, by narastały we mnie i zestalały się.

— Co możesz zmienić? — spytałem, patrząc na Megan.

— Niewiele — odrzekła. — W granicach rozsądku. Moja moc się nie zmieniła, Davidzie. Po prostu teraz ją znam. Widzę światy... tyle światów. — Zamrugła, przy czym jej rzęsy zdawały się rzucać niezliczone cienie. — Jednak wszystkie one są w pobliżu. To zdumiewające, ale i frustrujące. Jakbym mogła podać dowolną ilość liczb, ale tylko w przedziale pomiędzy zerem a jedyneką. Nieskończoność, lecz ograniczona.

Profesor rozbił nasze pole siłowe, a potem podniósł ręce, wstrząsając sklepieniem. Przywołałem moc tensorów, przewidziawszy ten ruch — istotnie, próbował zwalić na nas

strop jaskini, wybijając w nim owalny otwór i spuszczać przez ten szyb wielki głaz.

Zamieniłem ten głaz w parę tuż nad naszymi głowami. Obsypał nas kurz, a sposób, w jaki pokrył Megan, dowodził, że była tutaj naprawdę, a nie tak jak trochę się obawiałem, był tylko jej cień.

Profesor znów się skrzywił.

*Używam jego mocy. To go boli.*

— W porządku, mam plan — powiedziałem do Megan.

— Jaki?

— Uciec — odparłem, odwróciłem się i wskoczyłem do bocznego korytarza.

Megan zakłęta i poszła w moje ślady. Biegliśmy razem, a ja używałem tensorów do niszczenia pasm skały na ścianach tunelu. Nie wiedziałem, co mam zrobić, żeby go zmienić lub zmusić do powrotu na naszą stronę. Dotychczas wszystkie moje plany zawiodły; najlepsze, co w tym momencie mogłem zrobić, to nadal używać kombinezonu, żeby cierpiał.

Za nami Profesor wściekle ryknął. Teleportował się przed nas, ale ja po prostu złapałem Megan za rękę i pobiegłem w inną stronę, jednocześnie rozbijając pole siłowe, którym Profesor usiłował nas zatrzymać. Wpadliśmy do zupełnie ciemnego tunelu, ale zaraz rozjaśniły go światła chemiczne przywołane przez Megan z rzeczywistości, w której Mizzy oświetliła ten korytarz.

Gdy Profesor ponownie teleportował się przed nas, czerwony i wściekły, ruszyłem w inną stronę, nieustannie rozbijając tensorami kombinezonu napotykaną po drodze głazy. Każde uderzenie tensorów wprawiało go w większą furję.

To już było — pomyślałem, czując echa innego wydarzenia. Innej walki. Doprowadź Epika do szału...

Profesor znów się pojawił i tym razem Megan zareagowała pierwsza, szarpnięciem odciągając mnie na bok, gdy włącznie światła — lecące tak szybko, że nie mogłem uchwycić ich wzrokiem — posypały się na nas jak grad. Na skry! Ledwie je zatrzymałem. Może nie był to taki dobry plan.

— Zawsze to robisz! — wrzasnął Profesor. — Nie myślisz! Nie przejmujesz się konsekwencjami! Nie obchodzi cię, co się stanie? Czy nigdy nie bierzesz pod uwagę możliwości porażki?

Teleportował się przed nas, gdy próbowaliśmy uciec, lecz sekundę później stworzona przez Megan skalna ściana odgrodziła nas od niego.

— To nie działa — powiedziała.

— No, teoretyczne działa. Chcę powiedzieć, że mój plan przewidywał ucieczkę.

— W porządku, poprawka: ten plan nie wystarczy na długo. Prędzej czy później

wpadniemy w pułapkę. Co masz w zapasie?

— Chcę go rozwścieczyć — oświadczyłem.

— I?

— Liczę, że... hm... to go przestraszy. Stając w obliczu naszych słabości, jesteśmy zrozpaczeni, przerażeni, spanikowani. Może on musi też być w takim stanie.

Posłała mi sceptyczne spojrzenie, które — wzmocnione przez te wszystkie jej cienie — było jeszcze wymowniejsze niż zwykle.

Ściana obok nas rozsypała się w pył. Zebrałem energię tensorów, przygotowując się do odparcia ataku włóczyniami światła, ale Profesora już za nią nie było.

Hm?

Z trzaskiem pojawił się tuż za nami i jedną ręką złapał mnie za ramię. Drugą usiłował zniszczyć motywatory mojego kombinezonu. Wrzasnąłem i wypuściłem strumień tensorowej energii — kierując ją w dół, tak że wybiła pod moimi nogami ponad metrowej głębokości otwór, w który wpadłem. Ten nieoczekiwany ruch uwolnił mnie z uścisku Profesora i uchronił przed strumieniem energii, który przeleciał nad moją głową.

Zamieniłem w pył skałę pod jego nogami, a on instynktownie stworzył pole siłowe jako oparcie dla nóg, a wtedy przeturlałem się pod nim. Musiał się obrócić, żeby mnie zobaczyć, ale przy tym odsłonił Megan. A ona, oczywiście, strzeliła do niego.

Kule nie wyrządziły mu krzywdy, gdyż — jak zwykle — był chroniony przez cienkie, niewidzialne pola siłowe otaczające całe jego ciało. Jednak na moment odwróciły jego uwagę, a to wystarczyło, żebym wyczołgał się spod dysku po jego drugiej stronie. Wycelowałem broń i też zacząłem strzelać.

Obrócił się ku mnie, rozgniewany, a ja uderzyłem go strumieniem energii tensorowej, rozbijając jego pola siłowe. Kule Megan zaczęły wyrywać kawałki jego ciała i klnąc, teleportował się w ciemność.

Megan podeszła do mnie z twarzą zmienianą przez sto różnych tożsamości.

— Pomyliliśmy się co do jego słabego punktu, Davidzie.

— Jego moc nie może go zranić — powiedziałem. — A tensory osłabiają go tak, że można go postrzelić.

— Natychmiast goi te postrzały — rzekła — a uderzenie energią tensorową nie osłabia jego mocy w należyтым stopniu. Tak jakbyśmy... częściowo poznali jego słaby punkt, ale nie ogarniali całości. Dlatego nie zmienia się. Konfrontacja jest niewystarczająca.

Nie mogłem się sprzeczać. Miała rację. Czułem to w głębi duszy, z rosnącym przygnębieniem.

— I co teraz? — zapytałem. — Masz jakiś pomysł?

— Musimy go zabić.

Zacisnąłem wargi. Nie byłem pewny, czy zdołamy to zrobić. A nawet jeśli zdołamy, to miałem wrażenie, że robiąc to, możemy wygrać bitwę, ale przegrać wojnę.

Megan zerknęła na moją broń.

— Załadowałam ci ją na nowo, nawiasem mówiąc.

Nagle pistolet zrobił się trochę cięższy.

— Przyda się.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że powinnam zrobić coś więcej, niż ładować broń i odtwarzać ściany. Widzę tyle... To przytłaczające.

— Musimy wybrać jedną rzecz, którą zmienisz — powiedziałem, trzymając broń i czekając na ponowne pojawienie się Profesora. — Coś bardzo użytecznego.

— Broń — odparła, kiwając głową.

— Minidziałko Abrahama?

Uśmiechnęła się, a potem zachichotała jak dziewczynka.

— Nie. To za mało.

— Ta broń jest za mała? Kobieto, kocham cię.

— Właściwie — dodała, odwracając głowę i patrząc na coś, czego ja nie mogłem zobaczyć — bardzo blisko jest świat, w którym Abraham dowodzi naszym zespołem...

— A co to ma wspólnego z bronią? Ty...

Urwałem, gdy jaskinia zatrzęsła się. Obróciłem się i chwiejnie odskoczyłem, bo cała ściana tunelu — na odcinku kilkudziesięciu metrów — zmieniła się w pył pod niewiarygodnie silnym uderzeniem energii. Profesor stał za osuwiskiem i nie próżnował. Wokół niego unosiły się setki świetlnych włócznie.

My gadaliśmy, a on planował.

Krzyknąłem, wyciągnąłem rękę i uwolniłem energię tensorów, gdy włócznie mknęły ku nam. Zatrzymałem pierwszą falę i większość drugiej, lecz moja energia wyczerpała się, gdy leciała na nas trzecia fala.

Uwięzły w lustrzanej, metalicznie srebrzystej powierzchni, która utworzyła przed nami tarczę. Megan sapnęła, trzymając rtęć i blokując dwie następne fale.

— Widzisz? — powiedziała, pokazując mi rękawicę kontrolującą rtęć. — W świecie, w którym Abraham dowodzi zespołem, ktoś inny musiał się nauczyć tym posługiwać. — Uśmiechnęła się i stęknęła pod kolejnym uderzeniem. — A zatem... jak go pokonamy? — Musimy go przynajmniej wystraszyć. W ten sposób my się zmieniliśmy, gdy byliśmy przerażeni, stojąc w obliczu śmierci. Dopiero kiedy naprawdę byliśmy w niebezpieczeństwie, strach zrobił swoje.

Coś mi nie pasowało, jakbym wciąż coś pomijał, ale w tym zamieszaniu nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

— Czas na odrobinę zuchwalstwa? — zapytała, trzymając w jednej ręce rtich, a w drugiej pistolet.

— Lekkomyślności — potwierdziłem, waząc w dłoni swój pistolet. — Śmiałości.

Skinąłem jej głową i nabrałem tchu.

I zaatakowaliśmy.

Megan opuściła tarczę, pozwalając, by rtich wpełzł z powrotem na jej ramię. Ja wysłałem następną falę tensorowej energii i przebiegliśmy przez nią, strzelając jak opętani. Trzask pistoletów wydawał się cichy w porównaniu z szalejącymi wokół boskimi siłami, ale brzmiał znajomo. Dodawał otuchy. Krzepił.

Przerwaliśmy Profesorowi tworzenie następnej fali świetlnych włóczni. Wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta, jakby zdumiony tym, że idziemy na niego. Machnął ręką, przywołując duże pole siłowe, żeby nas zatrzymać, ale rozbiłem je strumieniem tensorów. Megan podążyła za mną.

— Świetnie — rzekł, uderzając dłonią o ziemię. Skała w tym miejscu znikła, a z otworu wyciągnął duży kamienny pręt. Zrobił krok naprzód i uderzył nim Megan, która przyjęła cios na rękę wzmocnioną przez rtich.

Rtęć spłynęła na rękę Profesora, przytrzymując go, a ja wysłałem ku niemu strumień energii tensorowej, zamierzając poprzeć go kilkoma strzałami w twarz. Jednak Profesor odparł mój niewidzialny cios swoim. Strumienie wygasily się wzajemnie, zderzając się z trzaskiem, od którego o mało nie popękały mi bębenki w uszach.

Zatrzymałem się poślizgiem, a potem mimo wszystko strzeliłem mu w twarz. W końcu powinno go to rozpraszać, no nie? Nawet jeśli kule się od niego odbijały? Może ze sklepienia powinienem wpakować mu jedną w dziurkę od nosa albo gdzieś.

Warknął, wrywając rękę z uścisku rtich i odpychając Megan. Zamachnął się na mnie kamienną lagą, ale zdołałem ją zamienić w pył. Następnie zrzuciłem na niego ze sklepienia pół tony gruzu, w którym pośliznął się i zachwiał.

Kiedy się wyprostował, Megan doskoczyła do niego z rtich pokrywającym całą jej dłoń, przedramię oraz bok — po czym uderzyła go pięścią w twarz. Pomimo osłony pół siłowych Profesor zaklął i zatoczył się w tył. Megan dopadła go, a on wybił pod jej nogami głęboki szyb, który zapewne prowadził do jakiejś znajdującej się daleko w dole jaskini, ale Megan uformowała z rtich długi pręt, który — trzymany poziomo — powstrzymał jej upadek.

Uderzyłem Profesora barkiem, odrzucając go. Przykląkłem, podałem Megan rękę i wyciągnąłem ją z dziury.

Znów zaatakowaliśmy razem. Najwyraźniej naładowała naszą broń, gdyż nie zabrakło mi kul. A kiedy Profesor zdematerializował mój pistolet, rzuciła mi inny, niemal identyczny, który przeciągnęła z równoległej rzeczywistości.



Zdumiewająco sprawnie posługiwała się rtich, który był na jej ciele niczym druga skóra: blokował ciosy, atakował i bronił. Ja nieustannie wytrącałem Profesora z równowagi i jeśli mogłem, rozbijałem jego pola siłowe, co pozwalało nam zasypywać go kulami.

Przez pewien czas ta walka wydawała się wyrównana. Megan i ja atakowaliśmy razem, rozumiejąc się bez słów. Mieliśmy do dyspozycji niewiarygodną moc i broń w rękach. Razem zmuszaliśmy znacznie bardziej doświadczonego Epika do odwrotu. Przez moment wierzyłem, że możemy zwyciężyć.

Niestety, uzdrawiająca moc Profesora wciąż wypluwała nasze kule. Nie byliśmy w stanie jej osłabić, niewystarczająco. Megan celowała w jego głowę, nie oszczędzając go, a ja jej nie powstrzymywałem. Jednak i ten atak zakończył się niepowodzeniem.

W końcu znaleźliśmy się w jednej z głównych jaskiń, w osypującym się ze sklepienia pyłe. Odparłem atak rzuconych przez Profesora włóczni, stęknąwszy, gdy jedna trafiła mnie w ramię. Wspomagana motywatorem zdolność gojenia ran pozwoliła mi natychmiast wydobrzeć. Megan doskoczyła i osłoniła mnie, ale sądząc po spływającym jej po twarzy pocie, zaczynała się męczyć. Ja też czułem zmęczenie. Takie wykorzystywanie mocy było wyczerpujące.

Przygotowaliśmy się, czekając na następny atak Profesora. Mój pistolet szczęknął, przeładowany przez Megan, a ja spojrzałem na nią.

— Kolejny atak? — szepnęła.

Już nie byłem tego pewny. Usiłowałem wykrztusić odpowiedź, lecz wtedy runęło na nas sklepienie jaskini.

Zatoczyłem się, patrząc w górę, ale Megan za pomocą rtich zdołała zatrzymać lawinę skał i pyłu. Ostre światło wpadło przez wybity przez Profesora otwór, w który zmienił sklepienie jaskini. Zamrugałem w tym rażącym oczy świetle i spojrzałem na Profesora, który zszedł z drogi lawinie, a teraz stał pod skalnym nawisem, w cieniu.

— Ognia! — warknął.

Dopiero wtedy zauważyłem, że wokół tej niemal idealnie owalnej dziury o średnicy dziesięciu metrów stał pięćdziesięcioosobowy oddział żołnierzy.

Mieli miotacze płomieni.

## 46

Wystrzeliły ku nam strugi ognia. Przygotowali to — wcale nie zmusiliśmy Profesora do odwrotu. Wprowadził nas w zasadzkę!

Rtich znikł, gdy otoczyły nas płomienie. Wszystkie obrazy i cienie Megan połączyły się

z trzaskiem i nagle pojawiła się tylko jedna jej wersja. Rzuciła się na ziemię, gdy pomknęły ku nam strumienie ognia.

— Nie! — wrzasnąłem, wyciągając do niej rękę z migoczącą rękawicą. Nie mogłem sobie pozwolić na nieudolność. Nie teraz! Wyteżyłem wszystkie siły, jakbym próbował unieść zbyt wielki ciężar.

Na szczęście wokół Megan pojawiła się świecąca kopuła ochronna, zatrzymując płomienie. Megan przycisnęła dłonie do utworzonej przeze mnie tarczy, szeroko otwartymi oczami patrząc na jej płonąca powierzchnię.

Odskoczyłem przed żarem, osłaniając dłonią twarz. Płomienie buchnęły przerażająco blisko, ale moje oparzenia natychmiast się zagoiły.

Na górze żołnierze otworzyli ogień z broni automatycznej. Z krzykiem puściłem strumień tensorowej energii, zmieniając ich broń w obłok pyłu. Pistolety i miotacze płomieni rozpadły się w proch. Otwór na górze powiększył się, gdy posypały się z niego bloki soli, a potem ludzie, którzy stracili oparcie dla stóp.

Strugi płomieni przestały tryskać, ale zrobiły swoje. Na dnie pozbawionej sklepienia jaskini płonęły kałuże ognia, śląc w niego czarne jęzory dymu. Było tak gorąco, że pot perlił mi czoło. W tych warunkach moc Megan nie działała. Zamrugąłem w kurzu i dymie, gdy z cienia wyłonił się Profesor — ponury, zakrwawiony, ale wciąż nieprzestraszony.

Na skry. Wcale się nie bał.

— Myślałeś, że nie będę miał planu? — powiedział cicho do mnie. — Myślałeś, że nie przygotuję się na odparcie Megan i jej mocy? — Solny pył chrząścił pod jego nogami, gdy przeszedł obok jęczącego żołnierza. — Zapomniałeś o tym, Davidzie. Mądry człowiek zawsze ma jakiś plan.

— Czasem plany zawodzą — warknąłem. — Czasem staranne przygotowania nie wystarczą!

— I dlatego wpadasz tu, nie przejmując się niczym?! — krzyknął, zaskakująco rozgniewany.

— Niekiedy po prostu trzeba działać, Profesorze! Czasem nie wiesz, czego potrzebujesz, dopóki tego nie napotkasz!

— To nie daje ci powodu do marnowania życia innych! Nie daje ci powodu do ignorowania wszystkich, żeby realizować swoje głupie zachcianki! Nie usprawiedliwia całkowitego braku kontroli!

Z rykiem zebrałem maksymalną ilość tensorowej energii. Nie skierowałem jej w dno ani w ściany jaskini. Cisnąłem nią w niego: ładunek potwornej mocy niosący całą moją frustrację i gniew. Nic nie działało. Wszystko waliło się w gruzy.

Strumień trafił go i Profesor zatoczył się w tył jak pod uderzeniem pięści. Guziki jego

koszuli znikły.

Wrzasnął i w odpowiedzi też cisnął we mnie strugą tensorowej energii. Odparłem ją swoją. Obie zderzyły się jak dwa nieskładne akordy i jaskinia zadygotała, a skały zafalowały jakby były z wody. Omyła mnie fala wibracji.

Pistolet w mojej dłoni rozsypał się w proch, tak samo jak tensorowa rękawica, w której go trzymałem. Jednak uderzenie nie sięgnęło reszty. Niemniej wstrząs zwałił mnie z nóg.

Jęknąłem, przetoczyłem się po ziemi i wstałem. Profesor już był przy mnie. Wyciągnął rękę, złapał trzy pudełka na mojej kamizelce i wyrwał je z materiału, pozbawiając kombinezon tensorowy motywatorów.

— One należą do mnie — powiedział

*Nie...*

Uderzył mnie na odlew, tak mocno, że poleciałem między kamienie i piach.

Zatrzymałem się obok Megan, która nie miała teraz ochronnej kopuły, gdyż nie miałem już mocy, żeby ją utrzymać. Wstała w blasku ognia, trzymając oburącz broń, i strzeliła do Profesora.

Kule się go nie imały. Profesor zdawał się nie zwracać na nie uwagi. Leżałem z ręką zakopaną w zwale kolorowego pyłu.

— Jesteście głupcami — rzekł Profesor, odrzucając motywatory. — Oboje.

— Lepiej być głupcem niż tchórzem — syknąłem. — Ja przynajmniej próbowałem coś zrobić! Próbowałem coś zmienić!

— Próbowałeś i nie zdołałeś, Davidzie. — Profesor zrobił krok naprzód, gdy Megan zabrakło kul. W jego głosie usłyszałem niepokój. — Spójrz na siebie. Nie zdołałeś mnie pokonać. Zawiodłeś.

Podniosłem się na klęczki, po czym usiadłem, nagle bez sił. Megan opadła obok mnie, poparzona, wyczerpana.

Może to brak wzmacniacza mnie pobudził. A może świadomość tego, że jesteśmy załatwieni. Jednak nie miałem siły wstać. Ledwie mogłem mówić.

— Jesteśmy pokonani, tak — powiedziała Megan. — Ale to nie klęska, Jonathanie. Klęską jest odmowa walki. Klęska to siedzieć cicho i mieć nadzieję, że ktoś inny rozwiąże problem.

Napotkałem jego spojrzenie. Stał półtora metra przed nami w jaskini, która teraz zmieniła się w krater. Kryształ soli już zaczęły wpełzać na krawędź dziury, nawarstwiając się na jej bokach. Jeśli na górze byli jeszcze jacyś żołnierze, to rozsądnie się poukrywali.

Twarz Profesora była siecią skaleczeń od odłamków wyrzucanych gwałtownymi eksplozjami energii tensorowej, które chwilowo dezaktywowały jego pola siłowe. Jakby

przekreślając moje nadzieje, te rany zaczęły się goić.

Megan... Megan miała rację. Coś mi się przypomniało.

— Odmowa działania — powiedziałem do Profesora. — Tak, to jest klęska, Profesorze. Tak jak... może... odmowa wzięcia udziału w konkursie, nawet kiedy bardzo pragnie się nagrody.

Zatrzymał się tuż przy mnie. Kiedy byliśmy w Babilarze, Tia opowiedziała mi pewną historię o nim. Rozpaczliwie chciał wyklądać w NASA, ale nie przystąpił do konkursu, który mógł mu to umożliwić.

— Tak — powiedziałem. — Nigdy do niego nie przystąpiłeś. Obawiałeś się przegranej, Profesorze? Czy może zwycięstwa?

— Skąd o tym wiesz? — ryknął, zapalając wokół siebie sto świetlnych włóczni.

— Tia mi powiedziała — odrzekłem, podnosząc się na klęczki i opierając dłoń na ramieniu Megan. Wszystko zaczęło się układać. — Zawsze taki byłeś, no nie? Stworzyłeś Mścicieli, ale nie chciałeś za bardzo ich angażować. Nie chciałeś stawić czoła najpotężniejszemu Epikom. Chciałeś pomóc, Profesorze, ale nie zamierzałeś wykonać decydującego ruchu. Bałeś się.

Linie światła wokół niego przygasty.

— Częściowo z powodu mocy — ciągnąłem. — Jednak nie tylko. Dlaczego się ich boisz? Zamrugał.

— Ponieważ... ja...

— Ponieważ, jeśli jesteś taki potężny — szepnęła Megan — jeśli posiadasz taką moc, to nic nie usprawiedliwia twojej klęski.

Zaczął płakać, ale zacisnął zęby i próbował mnie złapać.

— Zawiodłeś, Profesorze — powiedziałem.

Jego pola siłowe znikły i zachwiał się.

— Tia nie żyje — dodała Megan. — Zawiodłeś ją.

— Zamknij się! — Rany na jego twarzy przestały się goić. — Zamknijcie się, oboje!

— Zabiłeś swój zespół w Babilarze — kontynuowałem. — Zawiodłeś ich.

Rzucił się naprzód i złapał mnie za ramiona, odpychając Megan. Jednak drżał i łzy płynęły mu z oczu.

— Byłeś silny — powiedziałem mu. — Miałeś moc, z jaką nikt nie mógł się równać. Mimo to zawiodłeś. Tak bardzo zawiodłeś, Profesorze.

— Nie mogłem — wyszeptał.

— A jednak. Wiesz, że tak było. — Napiąłem mięśnie w jego uścisku, szykując się do okłamania go. — Zabiliśmy Zawłaszczacza, Profesorze. Nie zdołasz zrealizować planu Regalii. Nieważne, czy umrę. Zawiodłeś.

Puścił mnie. Chwiejnie wstałem, ale on osunął się na kolana.

— Zawiodłem — szepnął. Krew ciekła mu po brodzie. — Miałem być bohaterem...

Miałem taką moc... a mimo to zawiodłem.

Megan dokuśtykała do mnie, z twarzą szarą jak popiół, masując policzek, w który uderzył ją Profesor.

— Do diabła — wyszeptała. — Zadziałało.

Spojrzałem na Profesora. Wciąż płakał, lecz gdy obrócił do mnie twarz, w jego oczach ujrzałem czystą nienawiść. Nienawidził mnie i całej tej sytuacji. Tego, że stał się słabym, zwykłym śmiertelnikiem.

— Nie — powiedziałem z przygnębieniem. — Nie stawiał temu czoła.

Odkryliśmy jego prawdziwą słabość. Tia myliła się. Jego strach był wywołany czymś głębszym niż sama jego moc, chociaż ta — oraz jego charakter — z pewnością były tego częścią. Bał się pójść na całość, zostać tym, kim mógł się stać — wcale nie dlatego, że przerażała go własna moc. Dlatego, że gdyby spróbował, klęska mogłaby być o wiele dotkliwsza.

Jeśli się powstrzymywał, to nawet w razie klęski mógł sobie wmówić, że nie była to wyłącznie jego wina. Ani że było to częścią planu i zawsze chciał, żeby tak się stało. Tylko gdyby użył wszystkich swych zdolności, ewentualna klęska byłaby całkowita.

Jakim straszliwym brzemieniem była moc. Rozumiałem, w jaki sposób stała się dla niego najważniejsza i uosabiała wszystkie jego zdolności, a także tworzyła nieustanną groźbę całkowitej klęski.

Megan wcisnęła mi coś do ręki. Swój pistolet. Spojrzałem nań, a potem — uniósłszy ciężką jak z ołowiu dłoń — skierowałem lufę w głowę Profesora.

— Zrób to — warknął. — Zrób to, draniu!

Pewnie trzymając broń w ręku, wycelowałem, położyłem palec na spuście — i przypomniałem sobie coś.

Inny dzień, w stalowej komnacie, z kobietą, którą doprowadziłem do szau.

Siebie klęczącego na polu bitwy.

Ojca plecami opartego o filar w banku, w cieniu boskości.

— Nie — rzekłem, odwracając się.

Megan nie zaprotestowała. Dołączyła do mnie. Razem zaczęliśmy odchodzić od Profesora.

— I kto teraz jest tchórzem? — zapytał, klęcząc w półmroku, w migotliwym blasku ognia. Płacząc. — David Charleston! Zabójca Epików. Miałeś mnie powstrzymać.

— To — powiedział ktoś — da się zrobić.

Odwróciłem się zaskoczony, gdy Zawłaszczacz wyszedł z cienia pobliskiego nawisu

skalnego. Czyżby był tam cały czas? Wydawało się to niedorzeczne. Jednak...

Wyciągnął rękę i delikatnie położył dłoń na karku Profesora. Ten wrzasnął i zeszywniał.

— Mówiono mi, że to jest jak lodowata woda w żyłach — rzekł Zawłaszczacz.

Pobiegłem ku nim po dnie jaskini.

— Co robisz?

— Rozwiążę wasz problem — odparł Zawłaszczacz, trzymając Profesora. — Chcesz, żebym przestał?

— Ja... — przełknąłem ślinę.

— I tak już za późno — powiedział Zawłaszczacz, odrywając dłoń od karku ofiary i przyglądając się jej. — Doskonale. Tym razem się udało. Musiałem to sprawdzić po naszym małym... niepowodzeniu z twoją dziewczyną.

Spojrzał w niebo, a potem na słoneczny blask i z powrotem skrył się w cieniu. Na skry. Słońce zawisło tuż nad horyzontem; najwidoczniej była piąta lub później. Nie zdawałem sobie sprawy, że walczyliśmy tak długo.

Ukląknęłam przy Profesorze. Spoglądał w dal oszołomiony. Trąciłem go lekko, ale nie poruszył się, nawet nie mrugnął.

— To dobre rozwiązanie, Davidzie — odezwała się Megan, dołączając do mnie. — Albo to, albo musielibyśmy go zabić.

Spojrzałem w jego niewidzące oczy i skinąłem głową. Miała rację, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że zawiodłem w potworny sposób. Powstrzymałem Profesora, odkryłem jego słaby punkt i pozbawiłem go mocy. Jednak nie wyrwał się z mroku.

Może moglibyśmy znaleźć inny sposób? Wykorzystywać jego słabość, aż dojdzie do siebie? Chciało mi się płakać, lecz byłem zbyt zmęczony nawet na to.

— Chodźmy odszukać pozostałych — powiedziałem i wstałem. Zdjąłem kamizelkę, wciąż z przewodami do motywatorów. Będziemy musieli znów uruchomić wzmacniacz, żeby wyleczyć Abrahama. Położyłem ją obok metalowych pudełek z motywatorami, a następnie popatrzyłem w niebo, mając nadzieję zauważyć jeden z dronów Knighthawka.

Błysk światła.

Dłoń Znikającego na moim ramieniu.

— Dobra robota — powiedział. — Bestia jest pokonana. Czas, żebym spełnił moją obietnicę.

Znikliśmy.

Pojawiliśmy się na nagim klifie wznoszącym się nad porośniętą rzadkimi kępami krzaków pustynią, w rozprężonym powietrzu o zapachu spalonej ziemi. Z gleby sterczały czerwone skały, ukazujące mnóstwo różnych warstw, niczym sterta naleśników.

Za mną coś jasno świeciło. Odwróciłem się i mrużąc oczy, popatrzyłem na to.

— To bomba — poinformował Znikający. — Zrobiona z mojego ciała. Mój syn, można by rzec.

— Użyłeś takiej, żeby zniszczyć Kansas City?

— Tak — odparł stropiony. — Nie mogę odbywać dalekich podróży, kiedy jestem pełen energii. Muszę przenieść się ze słońcem do miejsca, które mam zniszczyć, ale to rodzi pewien problem. Im bardziej rośnie moja sława, tym więcej ludzi przede mną ucieka. Tak więc...

— Tak więc przyjąłeś ofertę Regalii. Twoje ciało w zamian za broń.

— Ta była na Atlantę — rzekł, a potem niemal ojcowskim gestem położył dłoń na moim ramieniu. — Daję ci ją, Zabójco Stalowego Serca. Na twoje polowanie. Czy zdołasz jej użyć do zniszczenia władcy na górze, Epika nad Epikami?

— Nie wiem — odparłem z oczami załzawionymi od blasku.

Na skry... Byłem taki zmęczony. Wyczerpany. Wyżęty jak płócienna ścierka, tak dziurawa, że nienadająca się do niczego prócz podpierania krótszej nogi kuchennego stołu.

— Jeśli jednak coś może tego dokonać, to tylko to.

Nawet potężni Epicy z Elity padali ofiarami potwornych emanacji energii atomowej lub niszczycielskiej siły Znikającego.

— Przeniosę cię i to do pałacu na górze — powiedział. — Do Nowej Jerozolimy. Zdetonuj bombę tym.

Wręczył mi mały pręt wielkości długopisu wyglądający dziwnie znajomo. Uniwersalny detonator. Kiedyś miałem taki.

— Czy mogę... można zdetonować ją stąd? — spytałem.

Znikający zaśmiał się.

— Pytasz, czy mogę odstawić na bok twój puchar? To naturalne. Jednak nie, musisz stawić temu czoło osobiście. Przedłużyłem ci życie, abys to zrobił, ponieważ znam rezultat. Ten detonator ma krótki zasięg.

Ścisnąłem detonator w spoczonej dłoni. A więc to wyrok śmierci. Może dałoby się podłączyć do bomby zapalnik czasowy, ale wątpiłem, aby Znikający się na to zgodził.

Nawet nie pożegnałem się z Megan — pomyślałem z żalem. Jednak to była szansa, której uparcie szukałem. Zakończenie.

— Mogę to... przemyśleć?

— Przez chwilę — rzekł, spoglądając w niebo. — Jednak niedługo. On wkrótce

wzędzie, a nie możemy pozwolić, żeby zobaczył, co planujemy.

Usiadłem, próbując oczyścić umysł, zebrać siły i zastanowić się nad okazją, jaką mi dano. Próbowałem to uporządkować. Profesor pokonany, ale pozbawiony mocy. Kiedy ostatni raz na niego spojrzałem, sprawiał wrażenie tak oszołomionego, jakby otrzymał bardzo silne uderzenie w głowę. Jednak dojdzie do siebie, prawda? Niektórzy zawłaszczający pozostawiali swoje ofiary otępiałe, a nawet odmóždzone, odebrawszy im moc. Ci ludzie dochodzili do siebie, odzyskawszy moc, ale Zawłaszczacz nigdy nie oddawał tego, co skradł. Dlaczego nie wziąłem tego pod uwagę?

Na skry, jak mogłem przeoczyć słaby punkt Profesora? Jego skromne plany, sposób, w jaki szukał wymówek, żeby oddawać swoją moc i ograniczać porażki — to wszystko wskazywało na jego obawy. Przez cały czas nie chciał się w pełni angażować.

— I co? — w końcu spytał Znikający. — Nie mamy już czasu.

Wcale nie czułem się wypoczęty, pomimo tej przerwy.

— Pójdę — powiedziałem ochryplym szeptem. — Zrobię to.

— Dobry wybór. — Podprowadził mnie do bomby, która, jak założyłem, została umieszczona na tym pustkowiu, żeby pobierać ciepło słońca. Podeszedłem bliżej i raczej wyczułem, niż zobaczyłem jej kształt — metalowego pudła wielkości szafki na odzież. Nie było gorące, chociaż wydawało się, że powinno być.

Znikający uklęknął i oparł na nim dłoń. Drugą położył na moim ramieniu.

— „Bo z pracy rąk swoich będziesz pożywał, będziesz szczęśliwy i dobrze ci będzie”<sup>1</sup>.  
Żegnaj, Zabójco Stalowego Serca.

Zaparło mi dech, gdy pochwycił mnie rozbłysk światła. W następnej chwili już spoglądałem na Ziemię.

Ledwie usłyszałem trzask za plecami, gdy Znikający teleportował się, zostawiając mnie. Byłem w przestrzeni. Klęczałem naczymś, co wydawało się jakąś szklaną powierzchnią, spoglądając na wspaniały, powodujący ściskanie w dołku widok: Ziemię w całej jej krasie, spowitą mgiełką atmosfery i chmur.

Jakże spokojną. Widziane z góry wszystkie moje troski wydawały się nieistotne. Oderwałem oczy od tego widoku, żeby spojrzeć wokół, chociaż musiałem przycisnąć się plecami do bomby i zmrużyć oczy, żeby dostrzec coś w jej ostrym świetle. Znajdowałem się w jakimś... budynku czy statku? O szklanych ścianach?

Chwiejnie wstałem, dostrzegając zaokrąglone narożniki ścian i czerwone światło palące się gdzieś w oddali w tej szklanej budowli. Potem uświadomiłem sobie, że chociaż znajdowałem się w kosmosie, stałem na jakiejś powierzchni. Spodziewałbym się raczej, że będę się unosił w powietrzu.

Bomba za mną świeciła jak gwiazda. Wymacałem detonator. Czy powinienem zrobić to



teraz?

Nie. Nie, najpierw musiałem go zobaczyć. Z bliska. Jarzył się szkarłatem, jasny jak bomba, ale był gdzieś przede mną na tym statku, a jego światło przeświecało przez szklane ściany i naroża.

Mój wzrok stopniowo się przyzwyczajał do tej jasności i dostrzegłem drzwi. Chwiejnie poszedłem ku nim po nierównej podłodze usianej uchwytnymi dla rąk i poręczami. Ściany także były nierówne, złożone z różnych segmentów pełnych przewodów i dźwigni — ale wszystkie były ze szkła.

Z trudem przeszedłem przez korytarz. Na jednej ścianie było coś wyryte i przesunąłem ręką po wypukłościach. Litery? Zdołałem odczytać napis — najwyraźniej była to nazwa jakiejś firmy.

Z poczuciem dziwnego oderwania od rzeczywistości szedłem dalej ku temu światłu. Szkło było tak przezroczyste, że niemal można było uwierzyć, że wcale go tam nie ma. Mijałem kolejne pomieszczenia, wyciągniętą przed siebie ręką upewniając się, że nie wejść w jakąś ścianę, a to czerwone światło rosło.

W końcu dotarłem do ostatniego pomieszczenia. Było większe od tych, które minąłem po drodze, a Calamity czekał na jego drugim końcu — chyba zwrócony do mnie plecami, chociaż świecił tak jasno, że trudno było w ogóle go zobaczyć.

Oślaniając oczy podniesioną ręką, w drugiej mocniej ścisnąłem detonator. Byłem głupi. Powinienem być zdetonować bombę. Calamity może mnie zabić, gdy tylko mnie zobaczy. Kto wie, jaką dysponuje mocą?

Jednak musiałem wiedzieć. Musiałem zobaczyć go na własne oczy. Musiałem się spotkać z tym, co zniszczyło mój świat.

Przeszedłem przez pokój.

Światło Calamity przygasło. Oddech uwiązał mi w piersi, a żołądek podszedł do gardła. Co pomyśleli ludzie na dole? Ze Calamity gaśnie? Jego światło ściemniało do słabej poświaty, ukazując młodego człowieka w prostej szacie, o czerwono świecącej skórze. Odwrócił się twarzą do mnie...

Znałem go.

— Cześć, Davidzie — rzekł Zawłaszczacz.

## 48

— To ty — wyszeptałem. — Byłeś na dole! Z nami, przez cały czas!

— Tak — rzekł Zawłaszczacz, odwracając się, by popatrzeć na świat. — Potrafię

stworzyć swego sobowtóra; wiesz o tym. Nawet o tym wspomniałeś.

Oszołomiony próbowałem połączyć fakty. Był z nami.

Calamity żył pośród nas.

— Dlaczego... Co...

Zawłaszczacz westchnął — szokująco ludzki dźwięk. Gniew. Uczucie, które bardzo często w nim wyczuwałem.

— Wciąż na to patrzę — rzekł — usiłując zrozumieć, co wy w nim widzicie.

Po krótkim wahaniu stanąłem przy nim.

— W świecie?

— Jest zniszczony. Straszny. Koszmarny.

— Taak — łagodnie przyznałem. — Piękny.

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

— Ty jesteś źródłem tego wszystkiego — powiedziałem, opierając palce na szkle przed sobą. — Ty... cały czas... Moc, którą ukradłeś innym Epikom?

— Po prostu odebrałem to, co kiedyś dałem — oznajmił. — Wszyscy tak ochoczo uwierzyli w istnienie Epika, który kradnie zdolności, że nigdy nie zorientowali się, że jest wprost przeciwnie. Nie jestem złodziejem. Nazwali mnie Zawłaszczaczem. Małostkowe.

Pokręcił głową.

Przełknąłem ślinę.

— Dlaczego? — zapytałem Calamity. — Proszę, powiedz mi. Dlaczego to robiłeś?

Zastanowił się, z założonymi do tyłu rękami. Był Zawłaszczaczem. Miał nie tylko jego twarz, ale te same przyzwyczajenia. W ten sam sposób prychał, zanim coś powiedział, jakby wypowiedanie słów w rozmowie ze mną było poniżej jego godności.

— Zmierzacie do samozagłady — cicho odparł. — Ja jestem tylko jej zwiastunem; przynoszę moc. To wy wykorzystujecie ją, żeby się zniszczyć. Tak było w niezliczonych królestwach. Tak mi powiedziano.

— Powiedziano ci? Kto ci powiedział?

— To jest cudowne miejsce — rzekł, jakby mnie nie słyszał. — Nie byłbyś w stanie tego pojąć. Spokój. Cisza. Żadnych strasznych świateł, jakichkolwiek. Nie używamy takich okropnych narządów jak oczy. Żyjemy jako jedność, dopóki nie przyjdzie czas, by spełnić obowiązek. — Drwiąco się uśmiechnął. — A moim jest ten. Tak więc przybyłem tu i zostawiłem to wszystko. Zamieniłem to na...

— Ostre światła — dokończyłem. — Głośne dźwięki. Ból wywołany skwarem, odczuwaniem.

— Tak — potwierdził.

— To nie moje koszmary — powiedziałem, przyciskając dłoń do skroni. — Tylko twoje.

Na skry... one wszystkie są twoje, nieprawdaż?

— Nie bądź głupi. Znów gadasz o swoich głupich koncepcjach.

Zatoczyłem się w tył i przytrzymałem prostopadłościanu sterczącego ze ściany. Widywałem to w sennych koszmarach. Jak rodziłem się na tym świecie, miejscu tak obcym dla Calamity. Dla jego zmysłów — straszliwym.

Te rażące światła z moich sennych koszmarów były po prostu zwykłymi lampami.

Zgiełk i wrzawa? Rozmawiający ludzie lub odgłos przesuwanych mebli.

Straszliwy charakter tego wszystkiego wynikał z porównania z miejscem, w którym żył przedtem. Innym miejscem, którego nie mogłem sobie wyobrazić, w którym nie było takich intensywnych bodźców.

— Miałeś nas opuścić? — spytałem.

Calamity nie odpowiedział.

— Calamity! Po obdarzeniu nas mocą, czy miałeś nas opuścić?

— Dlaczego miałbym pozostać w tym strasznym miejscu dłużej, niż musiałem? — odparł wymijająco.

— W równoległym świecie Megan — szepnąłem. — Tam odszedłeś i ciemność nigdy nie pochłonęła Epików. Tutaj pozostałeś... i w jakiś sposób nas zaraziłeś. Twoją nienawiścią i pogardą. Zmieniłeś każdego Epika w swoją kopię, Calamity.

Megan mówiła, że jej strach przed ogniem nie był tak silny, zanim uzyskała moc. Mój lęk przed głębinami zaczął się, kiedy na mnie spojrzał. Cokolwiek Calamity uczynił, czymkolwiek był, kiedy wniknął w kogoś, potęgował jego obawy.

A kiedy ludzie odczuwali te obawy — których nienawidził — Calamity uciekał. Nie było mocy, nie było ciemności.

Konfrontacja z obawami też w jakiś sposób się z tym łączyła. Musiała. Gdy stawiasz czoło swoim obawom, co się dzieje?

„Są moje — powiedziała Megan. — Akceptuję je”.

Na skry. Czy to oznaczało, że zaakceptowała swoją moc i całkowicie odrzuciła Calamity? Oddzieliła moc od jej ciemnej strony?

— Wszyscy wynajdujecie tyle wymówek — powiedział Calamity. — Nie chcecie widzieć, kim naprawdę jesteście, gdy otrzymujecie odrobinę władzy. — Spojrzał na mnie. — Czym ty jesteś, Davidzie Charlestonie? Ukryłeś to przed innymi, ale nie zdołasz zwieść samego źródła. Wiem, czym jesteś. Kiedy uwolnisz tę siłę? Kiedy zaczniesz niszczyć, zgodnie ze swoim przeznaczeniem?

— Nigdy.

— Nonsens! To leży w twojej naturze. Widziałem to niezliczoną ilość razy. — Zrobił krok ku mnie. — Jak tego dokonałeś? Jak powstrzymywałeś mnie tak długo?

— Czy to dlatego przyszedłeś do nas? — spytałem. — W Ildithii? Z mojego powodu?

Calamity spojrział na mnie gniewnie. Nawet teraz, widząc go w całej jego chwale, miałem to samo wrażenie, co zawsze: że mam przed sobą wielkie rozpuszczone dziecko.

— Calamity — powiedziałem. — Musisz odejść. Zostawić nas w spokoju.

Prychnął.

— Nie wolno mi odejść, dopóki nie wykonam swojego zadania. Jasno to powiedzieli, po tym, jak...

— Co?

— Nie widzę, żebyś ty odpowiadał na pytania, które ci zadaję — fuknął, po czym odwrócił się z powrotem do okna. — Dlaczego odrzuciłeś swoją moc?

Z mocno bijącym sercem oblizałem wargi.

— Nie mogę być Epikiem — oznajmiłem. — Mój ojciec czekał na nich...

— Co z tego?

— Ja... — Zamikłem. Nie mogłem tego powiedzieć.

— Jedenaście lat, a tacy jak ty wciąż przetrwali — mruknął Calamity. — Jest ich coraz mniej, ale uparcie trwają. Dziesięć lat mieszkałem wśród was jako dziecko, zanim umknąłem tutaj.

To wtedy pojawił się Calamity — pomyślałem. Kiedy miał dziesięć lat... i postanowił zacząć rozdawać swoją moc.

— To miejsce — rzekł Calamity — jest bardziej zbliżone do mojego domu niż jakiegokolwiek inne w tym zwariowanym królestwie. Jednak odkryłem, że muszę znów zacząć schodzić pomiędzy was. Musiałem się dowiedzieć. Co widzieliście w tym wszystkim? Minęło jedenaście lat, ale nie zdołałem tego odkryć.

Spojrzałem na cienki pręt detonatora, który wciąż ścisnąłem w dłoni. Otrzymałem odpowiedzi, których szukałem. Jednak rodziły kolejne pytania. Co to za miejsce, z którego przybył? Dlaczego jego rodzaj usiłował nas zniszczyć? Zachowywał się tak, jakby to było z góry przesądzone, ale przez kogo i dlaczego?

Na te pytanie zapewne nigdy nie otrzymam odpowiedzi. Żałowałem tylko, że nie pożegnałem się z Megan. Chciałbym pocałować ją jeszcze raz, na pożeganie.

*Nazywam się David Charleston.*

Nacisnąłem guzik.

*Zabijam Epików.*

Bomba eksplodowała.

Eksplodacja rozerwała szklaną stację kosmiczną na drobne kawałki. Przez moment poczułem żar i silny podmuch. Jedno i drugie wpadło w wyciągniętą dłoń Calamity, wessane jak woda przez słomkę.

W mgnieniu oka było po wszystkim. Wokół mnie stacja odbudowała się, odłamki szkła poskładały się i połączyły.

Stałem jak idiota, raz po raz naciskając guzik.

— Myślałeś — rzekł Calamity, nie patrząc na mnie — że może mnie zniszczyć moja własna moc? Zapewne byłaby w tym jakaś poetycka sprawiedliwość. Jednak jestem panem mocy, Davidzie. Znam ją doskonale we wszystkich jej odmianach. Tak, mógłbym ci powiedzieć, jak się odradza Ildithia. Tak, mógłbym ci wyjaśnić, co robi Megan, przeskakując w inne wymiary — zarówno podstawowe możliwości, jak i bardziej efemeryczne. Jednak jestem naprawdę nieśmiertelny. Ta moc nie może wyrządzić mi żadnej szkody, a na pewno nie trwałą.

Osunąłem się na podłogę. Wywołane tym wszystkim napięcie pozbawiło mnie sił. Walka z Profesorem. Teleportacja ze Znikającym. Naciśnięcie tego guzika z przekonaniem, że umrę.

— Zastanawiałem się, czy po prostu im nie powiedzieć — głośno myślał Calamity, odwracając się do mnie. — Powinniście wiedzieć, że waszym przeznaczeniem jest samozagłada. Jednak nie wolno mi się wtrącać. Niepokoją mnie nawet drobne interwencje, takie jak konieczność zrobienia dla was tych urządzeń do ataku na Ostrą Wieżę. To wbrew naszym zasadom, chociaż akurat tego wymagało utrzymanie mojej przykrywki.

— Calamity, przecież ty już się wtrącasz. I to bardzo. Doprowadzasz ich do oblędu! Kazesz im niszczyć!

Zignorował mnie.

Na skry, jak miałem go przekonać? Jak mu dowieść, że to on był powodem tego szaleństwa i zniszczenia, że to nie leży w ludzkiej naturze, wbrew temu, co twierdził?

— Jesteście bezwartościowi, wszyscy — wyszeptał. — Zniszczycie się, a ja będę tego świadkiem. Nie będę się uchylał od moich obowiązków, tak jak inni. Mamy obserwować, to nasze powołanie. Jednak nie będę się wtrącał, już nie. Młodzieńcze błędy są wybacalne. Chociaż tak naprawdę nigdy nie byłem dzieckiem, byłem nowym. A wasz świat jest szokiem. Straszliwym szokiem.

Skinął głową, jakby sam się przekonał.

Z trudem się podniosłem. Następnie wyjąłem pistolet z kabury na udzie.

— To twoja odpowiedź na wszystko, Davidzie Charlestonie? — z westchnieniem spytał Calamity.

— Warto spróbować — odparłem, unosząc broń.

— Władam siłami całego Wszechświata. Rozumiesz to? One wszystkie są moje. Jestem po tysiącokroć Epikiem z Elity.

— Jesteś pod każdym względem potworem — wymamrotałem. — Boska moc nie czyni cię bogiem. Tylko brutalem, który przypadkiem ma największy pistolet.

Nacisnąłem spust, lecz broń nie wypaliła.

— Usunąłem proch — wyjaśnił Calamity. — Nic, co mógłbyś zrobić, czy to używając mocy Epików, czy urządzeń stworzonych przez ludzi, nie zdoła mnie zranić. — Zawahał się. — Ty jednak nie masz takiej ochrony.

— Hm... — mruknąłem.

A potem pobiegłem.

— Naprawdę?! — zawołał za mną. — Myślisz, że to ci pomoże?

Wypadłem z tego pomieszczenia, wracając tą samą drogą, którą tu przyszedłem, co nie było łatwe, zważywszy, że stworzono je do poruszania się w stanie nieważkości, a nie chodzenia.

Dotarłem do pokoju, w którym znalazłem się, kiedy tu przybyłem. Ślepa uliczka.

Calamity pojawił się tuż przy mnie.

Przełknąłem ślinę.

— Nieingerowanie, co?

— Oczywiście, Davidzie — rzekł Calamity. — Chociaż zniszczyłeś stację. Nie muszę cię ratować przed... naturalnymi rezultatami twoich poczynań. To miejsce bywa tak kruche.

Uśmiechnął się.

Doskoczyłem do uchwyty w podłodze — w samą porę, gdyż w bocznej ścianie pomieszczenia otworzyła się wielka dziura. Powietrze uciekało z wyciem.

— Żegnaj, Davidzie Charlestonie — powiedział Calamity, podchodząc, żeby kopniakiem rozerwać mój chwyt.

W pomieszczeniu rozbłysło światło.

Potem ktoś rąbnął Calamity pięścią w twarz, powalając na podłogę. Powietrze przestało uciekać, a ja ciężko dysząc, spojrzałem na nowo przybyłego.

Profesor.

Miał na sobie swój czarny fartuch, a jego oczy nie miały już tego nieobecnego wyrazu jak wtedy, kiedy go opuściłem. Teraz widać w nich było determinację i wyzwanie.

— To ty — rzekł Calamity, leżąc na wznak. — Przecież odebrałem ci moc!

Profesor rozchylił fartuch laboratoryjny. Miał tam motywatory przytwierdzone na piersi zrobionej przez Knighthawka i pospiesznie naprawionej kamizelki.

— Bezużyteczne! — orzekł Calamity. — Jeśli odebrałem ci moc, nie będą działać. To...

ja...

Ze zdziwieniem spojrział na pole siłowe na ścianie, jarzące się zielono.

Profesor podał mi rękę.

Odetchnąłem z ulgą.

— Jak się czujesz? — zapytałem, chwytając ją.

— Okropnie — szepnął. — Dziękuję ci za to, że sprowadziłeś mnie z powrotem.

Nienawidzę cię za to, Davidzie. Jednak dziękuję ci.

— Nie ja cię sprowadziłem z powrotem — odparłem. — Stawiłeś temu czoło, Profesorze.

Nagle zrozumiałem, że przymocowując motywatory i próbując przywołać swoją moc po tym, co się stało, istotnie stawił temu czoło. Zaryzykował porażkę. Zrobił to.

Wezwał moc. Tak jak Megan oddzielił mrok od zdolności i odrzucił go, zatrzymując wszystko poza tym.

Teraz to była jego moc, a nie Calamity. Pudełka z motywatorami nie miały znaczenia.

Profesor złapał mnie, zapewne zamierzając nas teleportować, lecz nagle uderzyła w nas fala czegoś, zwalając nas z nóg. Calamity znów zaczął się jarzyć ostrym czerwonym blaskiem i przemówił...

Na skry, ten głos. Nieludzki, nierealny.

Coś wypadło z ręki Profesora i znikło, gdy Calamity wycelował w to palec.

— Co to było? — zapytałem, przekrzykując straszliwy skrzek, który teraz był głosem Calamity przemawiającego w jakimś nieznanym mi języku

— Nasza droga ucieczki — odrzekł Profesor. — Biegniemy.

Teleporter. Do diabła. Podniosłem się z podłogi, gdy Profesor między nami a Calamity wzniósł pole siłowe, które znikło w mgnieniu oka. Walka z nim była niemożliwa, gdyż...

Jakaś niewidzialna siła rzuciła mnie na podłogę. Calamity świecił i uniósł rękę, tworząc promień, którym cisnął we mnie.

Znów zobaczyłem błysk i promień chybił.

W pomieszczeniu pojawiła się Megan, ściskając szyję Znikającego. Najwyraźniej się dusił. Rozdziawiłem usta ze zdziwienia, gdy odrzuciła go na bok i w następnej chwili znikł, ale nie tak, jak zawsze to robił, lecz zupełnie zwyczajnie. Megan wycelowała pistolet i zaczęła strzelać do Calamity. Jej kule też nie wyrządzały mu szkody, chociaż ponownie krzyknął coś w tym obcym języku.

Megan zakłęła i przykucnęła obok mnie.

— Jaki masz plan? — zapytała.

— Ja... Megan, jak ty...

— To było łatwe — powiedziała, znów otwierając ogień. — Ściągnęłam Znikającego z innego wymiaru, pokazałam mu zdjęcie tego miejsca i kazałam się tu przenieść. Musisz

wiedzieć, że tam też jest takim słoneczkiem. A teraz... plan?

Plan.

Czasem nie wiesz, czego potrzebujesz, dopóki się o to nie potkniesz.

— Wyślij nas obu — poprosiłem, chwiejnie wstając. — Wyślij Calamity i mnie do świata Pożara. Tylko nie w kosmos, proszę. Wyślij nas do Pożara, gdziekolwiek on jest.

— Davidzie, Calamity cię zabije!

— Proszę, Megan. Proszę. Zaufaj mi.

Zacisnęła wargi i gdy w trzęsącym się pomieszczeniu skoczyłem na Calamity, użyła swojej mocy.

Złapałem go i razem znaleźliśmy się w innym miejscu.

## 50

Chwiejnie wylądowaliśmy na dachu budynku w Ildithii, w pobliżu dymiącej dziury w ziemi. Zapadła noc. Miasto z soli spowiła ciemność, ale rozpoznałem to miejsce. Znajdowało się nad jaskinią, w której stawilem czoło Profesorowi.

W pierwszej chwili pomyślałem, że coś poszło źle. Czy naprawdę znaleźliśmy się w innym wymiarze? Zaraz jednak zauważyłem różnice. Ta dziura wyglądała na powstałą w wyniku eksplozji, a nie z powodu działania tensorów. Ponadto wokół niej leżało znacznie mniej ciał.

Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego, gniewnie patrzącego na mnie Calamity. Podniósł ręce, przywołując światło.

— Mogę ci pokazać — szepnąłem — co widzimy w Ziemi. Mówisz, że jesteś ciekaw. Mogę pokazać ci coś, co zechcesz zobaczyć. Obiecuję.

Drwiąco prychnął. Jednak zobaczyłem, że jego gniew słabnie. Jak... no cóż, jak u Epika tracącego moc.

— Jesteś ciekaw — powtórzyłem. — Wiem, że jesteś. Nie chcesz, żeby przestała cię w końcu dręczyć ta ciekawość?

— Ba — rzekł, ale opuścił ręce i zmienił się w Zawłaszczacza.

No cóż, zawsze nim był, ale przestał się jarzyć, jego skóra odzyskała ludzką barwę, a szata zmieniła się w koszulę i spodnie, które często nosił.

— Co chcesz tutaj zrobić? — zapytał, rozglądając się wokół. — To świat alternatywny, tak? Przylegający do waszego? Rozumiesz, że mogę po prostu przenieść nas z powrotem.

— Na atomy! — zakrzyknął Pożar.

Obróciłem się i zobaczyłem go na dachu sąsiedniego budynku, stojącego przy Tavi. Ona



została tam, przyglądając mi się, gdy Pożar skoczył i przeleciał w powietrzu, ciągnąc za sobą warkocz płomieni.

— Jest tutaj! — powiedział, najwyraźniej rozmawiając przez komórkę. Gdzie znalazł jedną niespaloną? — Tak, on.

— Możesz wezwać osobę, która chce się ze mną spotkać? — zapytałem go, zerkając na Calamity.

— Och, nie martw się — odrzekł Pożar. — Już przybywa.

— Jest coś dziwnego w tym miejscu — zauważył Calamity, patrząc w górę i mrużąc oczy. — Coś nie tak...

— To świat, który zostawiłeś, Calamity. Świat, w którym niektórzy Epiccy nie niszczą. Gdzie niektórzy bronią ludzi przed tymi, którzy zabijają.

— Niemożliwe. — Obrócił się do mnie. — Kłamiesz.

— Znasz swoją moc — rzekłem. — Wiesz, co robi Megan. Sam mi powiedziałaś, że jesteś panem mocy. Przedtem żądałaś, żebym zaprzeczył, kim jestem. No cóż, nie zaprzeczam, już nie. Jestem jednym z was. A teraz ty to zrób! Wzywam cię, żebyś zaprzeczył temu, co widzisz. Zaprzecz, że to miejsce, ta możliwość, istnieje!

— Ja... — Wyglądał na oszołomionego. Popatrzył na ciemne niebo, na którym powinien być Calamity. — Ja...

Silne reflektory oświetliły teren wokół budynku, gdzie ludzie szukali ocalałych z walki, którą stoczył Pożar i jego zespół. Gdy zobaczyli go stojącego obok mnie, na dole rozległy się wiwaty.

Na skry, oklaskiwali Epika.

— Nie... — wykrztusił Calamity. Popatrzył na Pożara, a potem na tych ludzi. — On musi być... musi być anomalią... tak jak twoja Megan...

— Czyżby? — zapytałem, rozglądając się.

Zauważyłem postać unoszącą się nad miastem, postać, na którą czekałem. Leciał ku nam w trzepoczącym za nim płaszczu. W stroju, który znałem aż za dobrze.

Złapałem Calamity za koszulę na piersi.

— Spójrz na to! — nakazałem. — Spójrz na miejsce, gdzie Epiccy są wolni od twojego zepsucia. Patrz na tego, który przybywa, najstraszniejszego ze wszystkich. W naszym świecie to morderca i niszczyciel. Spójrz i zobacz, Calamity, że sam Stalowe Serce jest tu bohaterem!

Wyciągnąłem rękę, gdy postać wylądowała na dachu.

— To... — rzekł Calamity. — To nie jest Stalowe Serce.

Co?

Ponownie spojrzałem na tę postać. Wspaniałe srebrzysty płaszcz. Luźne czarne spodnie

i koszula ciasno opinająca potężny tors. Strój Stalowego Serca, chociaż z jakimś symbolem na piersi. Ten znak był jedyną różnicą...

Lecz jego twarz... była to twarz miłego człowieka, nie tyrana. Owalna, okolona przeredzonymi włosami, o szerokim uśmiechu i pełnych zrozumienia oczach.

Blain Charleston.

Mój ojciec.

## 51

— Mój David — szepnął ojciec. — Mój mały David...

Nie mogłem wykrztusić słowa. Nie mogłem się ruszyć. To był on. W tym świecie mój ojciec był Epikiem.

Nie, w tym świecie mój ojciec był TYM Epikiem.

Zrobił niepewny krok naprzód, jakże nieśmiało jak na kogoś o takiej muskulaturze, posturze i otaczającej go aurze potężnego Epika.

— Och, synu. Tak mi przykro. Przepraszam.

Puściłem Calamity, oszołomiony. Ojciec zrobił kolejny krok naprzód, a wtedy złapałem go w ramiona.

Wszystko ze mnie uszło. Obawy, strach, frustracja i potworne zmęczenie. Wylało się w łkaniu.

Pozbyłem się dziesięciu lat cierpienia i smutku, dekady poczucia straty. Trzymał mnie w objęciach i pachniał jak mój ojciec, Epik czy nie.

— Synu — powiedział, ściskając mnie i płacząc. — Zabiłem cię. Nie chciałem. Próbowałem cię ochronić, uratować. Jednak umarłeś. Pomimo to zginąłeś.

— Pozwoliłem ci umrzeć — szepnąłem. — Nie pomogłem ci, nie stawiłem mu czoła. Patrzyłem, jak cię morduje. Stchórzyłem.

Nasze słowa zlewały się ze sobą. Jednak przez momenty, w jakiś sposób, wszystko było w porządku. Byłem w ramionach ojca. Niemożliwe, ale prawdziwe.

— Przecież... to on — wyszeptał stojący za nami Calamity. — Czuję jego moc. To ta sama moc.

W końcu puściłem ojca, chociaż on opiekuńczo wciąż trzymał mnie za rękę. Calamity znów spojrzał w niebo.

— Ty go tu sprowadziłeś? — zapytał ojciec.

Calamity z roztargnieniem skinął głową.

— Dziękuję ci, bohaterze — rzekł ojciec z pewnością siebie, jakiej nie widziałem u niego

od śmierci matki. — Dziękuję ci za ten dar. W swoim królestwie musisz być wielkim człowiekiem, pełnym współczucia.

Calamity spojrział na nas, marszcząc brwi. Na mojego ojca, na mnie i znów na niego.

— Na wieczyste skry — szepnął. — Widzę to.

Poczułem znajome osłabienie. Moc Megan wyczerpywała się i wkrótce wrócimy.

Znów uścisnąłem ojca.

— Wracam — powiedziałem. — Nie mam wyboru. Jednak... ojcze, wybaczam ci. Wiedz, że ci wybaczam.

Nie musiałem tego mówić, ale wiedziałem, że powinienem to powiedzieć.

— Wybaczam ci — rzekł ojciec ze łzami w oczach. — Mój Davidzie... wystarczy mi wiedzieć, że gdzieś tam ty nadal żyjesz.

Świat znikł, a wraz z nim mój ojciec. Spodziewałem się bólu, przeszywającego, rozdzierającego, ale czułem tylko spokój.

Miał rację. To wystarczało.

Calamity i ja ponownie pojawiliśmy się na szklanej stacji kosmicznej. Megan i Profesor stali przygotowani, ona z pistoletem, a Profesor z włócznie światła. Uniosłem ręce, powstrzymując ich.

Calamity pozostał w swojej ludzkiej postaci. Nie zmienił się, tylko uklęknął na szklanej podłodze, patrząc niewidzącym wzrokiem. W końcu zaczął się jarzyć czerwono i spojrział na nas.

— Jesteście źli — powiedział, niemal błagalnie.

— Ja nie jestem — odparła Megan.

— Wy... zniszczycie wszystko... — rzekł.

— Nie — szorstko sprzeciwił się Profesor. — Nie.

Calamity skupił wzrok na mnie.

— Twoje zepsucie nie wystarczy — oznajmiłem mu. — Twoje obawy nie wystarczą. Ani twoja nienawiść. Nie zrobimy tego, Calamity.

Objął się rękami i zaczął się kołysać.

— Czy wiesz, co zmieniło wszystko? — zapytałem go. — Dlaczego nasza moc oddzieliła się od twojej? Wszystkim nam przydarzyło się to samo. Megan wbiegła do płonącego budynku. Ja zanurzyłem się w oceanie. Edmund spotkał psa. A Profesor przybył tutaj. Nie była to tylko konfrontacja z lękami...

— ...ale przezwyciężenie ich — wyszeptał Calamity, patrząc na mnie i pozostałych — żeby kogoś ocalić.

— Czy tego się boisz? — łagodnie go zapytałem. — Tego, że nie jesteśmy tacy, jak sądziłeś? Czy przeraża cię świadomość tego, że w głębi serca ludzie nie są potworami? To,

że wprost przeciwnie, z natury jesteśmy dobrzy?

Gapił się na mnie, a potem upadł, zwijając się w kłębek na szklanej podłodze. Jego czerwony blask przygasł, po czym — tak po prostu — zupełnie znikł. Nie zostało nic.

— Czy my... zabiliśmy go? — spytała Megan.

— Prawie — odparłem.

Stacja zatrzeszczała i zadygotała.

— Wiedziałem, że stacja orbituje o wiele za nisko! — zawołał Profesor. — Na skry.

Musimy wywołać Cię i...

Zbladł.

Cała stacja zadrżała, podrzucając nas pod sufit. Calamity utrzymywał ją na orbicie. Teraz zaczęła się rozpadać i szkło pokryło się pajęczyną pęknięć pod wpływem ciśnienia z zewnątrz. Po kilku sekundach spadaliśmy na Ziemię, w rozsypującej się wokół nas stacji.

Pomimo to byłem spokojny.

Ponieważ w innym świecie na koszuli mojego ojca widniał symbol. Rozpoznałem ten symbol — stylizowaną literę S. Symbol, który coś oznaczał.

Symbol wiary.

*Bądź bohaterowie. Tylko zaczekaj.*

Pochwyciłem tę moc, która była we mnie.

---

<sup>1</sup> *Stary Testament. Księga Rodzaju* (przyp. red.).

# Epilog

Siedziałem na zboczu, odpoczywając w cieniu stacji kosmicznej, którą przemieniłem w stalową, gdy spadaliśmy. Dokonałem tej przemiany, po czym wyszedłem przez jeden z otworów w burcie. Złapałem ją, spowolniłem, a następnie wyprowadziłem z korkociągu i w końcu umieściłem tutaj.

No... raczej spuściłem ją tutaj. Okazuje się, że latanie jest trudniejsze, niż ludzie myślą. W powietrzu byłem równie zręczny jak siedemnaście podstarzałych morsów próbujących zonglować żywym miecznikiem.

Może będę musiał nad tym popracować.

Megan podeszła, promienna jak zawsze, pomimo siniaków po... hm... nieco twardym lądowaniu. Usiadła i uściśniła moją rękę.

— A zatem — powiedziała — zamierzasz być supermaniakiem?

— Sam nie wiem — odrzekłem, przeciągając się. — Stalowe Serce był nim, a mój ojciec jest. Może to część inwentarza.

— Powinno powetować nieumiejętność całowania.

— Hej, żeby to poprawić, musisz tylko dać mi poćwiczyć.

— Zanotowałam w pamięci.

Znajdowaliśmy się gdzieś w Australii, według Knighthawka, który przysyłał po nas helikopter. Minie jeszcze parę godzin, zanim przyleci. Nie zamierzałem zaufać swoim umiejętnościom latania, żeby przenieść nas z powrotem do Ameryki Północnej.

Ruchem głowy wskazałem wzgórze.

— Co z nim?

— Źle — mruknęła Megan, patrząc na sylwetkę Profesora siedzącego i spoglądającego w niebo. — Będzie musiał z tym żyć tak jak ja. To, co robiliśmy pochłonięci przez ciemność... no cóż, to były nasze czyny. Czasem wydające się snem, ale zawsze dokonywane świadomie. I pamiętasz, jaką sprawiały satysfakcję...

Zadrżała, a ja przytuliłem ją. Po tym wszystkim Profesor nie będzie taki sam. Tylko czy ktokolwiek z nas będzie?

— Wciąż ma swoją moc? — spytałem. — Tak jak ty?

Skinęła głową, zerkając na swoją komórkę.

— Abraham i Cody dochodzą do siebie, chociaż Profesor będzie musiał odtworzyć Abrahamowi rękę. No i... hm... powinieneś to przeczytać.

Pokazała mi wiadomość od Knighthawka, którą wywołała na ekranik.

— Mizzy? — zapytałem.

Megan kiwnęła głową.

— Na skry. Ciekawe jak ona przyjmie to, że jest Epikiem.

— Cóż, bez ciemności... — Megan wzruszyła ramionami.

Wszystko dobrze się skończyło, na ile mogliśmy to stwierdzić. Megan wciąż uważała, że Calamity może wrócić. Ja byłem innego zdania.

Przed nami pojawił się błysk światła, który zmienił się w mężczyznę w okularach i z kocią bródką, noszącego szynel.

— Ach — burknął Znikający. — Tu jesteście.

Schował komórkę, którą trzymał w ręku.

Wyjął z pochwy miecz — tak, nadal miał ten miecz — i wycelował go we mnie.

— Dobrze się spisałeś i jesteś błogosławiony, albowiem strąciłeś smoka z jego niebios. Dam ci tydzień odpocząć. Moim następnym celem jest Toronto. Możesz tam stawić mi czoło i zobaczymy, czym się skończy nasze starcie, rycerzu.

— Znikający — powiedziałem błagalnie. — Calamity już nie ma.

— Tak — przyznał, chowając miecz.

— Nie ma ciemności — dodałem. — Nie musisz być złym.

— Nie jestem — odparł. — Dziękuję za wyjawienie mi tajemnic, które znasz, Zabójco Stalowego Serca. Wiem, dlaczego mrok opuścił mnie przed pięcioma laty, gdy stawiłem czoło moim obawom. Od tego czasu uwolniłem się od nich. — Skinął mi głową. — „I na wschód od rajskiego ogrodu postawił cherubina z mieczem ognistym, aby strzegł drogi do drzewa życia”<sup>1</sup>.

W rozbłysku zmienił się w biały ceramiczny posążek i znikł.

— Na Calamity — zakląłem, bezsilnie siadając zniechęcony. — Na Calamity.

— Wiesz co? — odezwała się Megan. — Może będziemy musieli wymyślić coś nowego.

— Miałem nadzieję, że może po naszej stronie on będzie dobry. Kiedy zniknie Calamity.

— To ludzie. I jako ludzie mają swobodę wyboru. Bo tak powinno być. A to oznacza, że niektórzy z nich wciąż będą samolubni lub pokręceni.

Przysunęła się bliżej.

— Czuję się wypoczęta i gotowa podjąć nowe wyzwanie.

Uśmiechnąłem się.

— Poćwiczymy!

Przewróciła oczami.

— Nie żebym miała coś przeciwko temu, Klęczko, ale mówiłam o mojej mocy.

No tak. Wiedziałem.

— Nadal chcesz spróbować? — zapytała.

— Och, jak najbardziej. On będzie czekał.

— W porządku. Siedz spokojnie.

W następnej chwili znów znalazłem się w tym innym świecie. Raz już tu wróciłem. Zaraz po lądowaniu stacji kosmicznej wpadłem, żeby im powiedzieć, że moja wizyta nie była ostatnią, ale zostałem tylko przez moment. Megan była zmęczona.

Jednak zanim odszedłem, uzgodniłem miejsce spotkań. Ojciec stał na dachu budynku. Na Ostrej Wieży, która w tej rzeczywistości nie została zniszczona. Podeszedłem do niego, patrząc na jego rozwiany płaszcz. Patrzcie, co zrobiły z tobą te komiksy. Symbol na piersi i pelerynka? Na skry, ależ z niego nerd.

Pewnie niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Zauważył mnie i odwrócił się z szerokim uśmiechem. Powoli podeszedłem do niego. Jedenaście lat — sporo do nadrobienia. Od czego zacząć?

— Hm — mruknąłem. — Megan uważa, że staje się w tym coraz lepsza i nie grozi jej pochłonięcie przez mrok, więc może wytrzymać dłużej. Teraz, kiedy odpoczęła i nie musi zapobiegać katastrofie oraz tym podobnym rzeczom, uważa, że może dać nam ponad piętnaście minut. Może nawet pół godziny.

— To dobrze — rzekł ojciec. Zmieszany przestąpił z nogi na nogę. — Hm, Pożar mówi, że ty i ja mamy taki sam zestaw mocy.

— Tak — potwierdziłem. — Strumienie energii, nieśmiertelność. Och, i zamienianie wszystkiego w stal. Nie jestem pewny, do czego to się może przydać.

— Zdziwiłbyś się.

— Jednak potrzeba będzie trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. I nawiasem mówiąc, latanie kiepsko mi idzie.

— Z początku latanie sprawia trudności.

Staliśmy naprzeciw siebie, nie wiedząc, co powiedzieć, aż ojciec ruchem głowy wskazał balustradę.

— Czy... może... chciałbyś, żebym cię nauczył?

Uśmiechnąłem się i nagle poczułem w sercu miłe ciepło.

— Tato, chyba niczego bardziej nie pragnę.

---

<sup>1</sup> *Stary Testament. Księga Rodzaju* (przyp. red.).

# Podziękowania

Pisanie podziękowań to zwykle ostatnia czynność, którą wykonuję, pisząc książkę. Siedząc tu, późną listopadową nocą, rozmyślam o całym tym cyklu. *Stalowe Serce* ma jedną z najoryginalniejszych intryg z moich powieści sf, wymyśloną — niemal całkowicie — podczas długiej jazdy na Wschodnie Wybrzeże w trakcie trasy promującej jeden z tomów *Z mgły zrodzonego*.

Było to w 2008 roku. Teraz jest rok 2015, czyli siedem lat później, i podróż, jaką było tworzenie tego cyklu dla was, była nadzwyczaj satysfakcjonująca. Wymienione poniżej osoby miały w tym niemały udział. Chcę jednak wykorzystać tę szczególną chwilę, aby podziękować wam wszystkim za towarzyszenie mi w tej szalonej podróży. Czytelnikom — zarówno starym, jak i nowym — którzy zaryzykowali lekturę tego cyklu, składam szczere podziękowania. Zawdzięczam wam środki na urzeczywistnienie marzeń.

Zatem dziękuję mojemu własnemu zespołowi Mścicieli, który tak ubarwia moje życie. Krista Marino z Delacorte Press była redaktorką tego tomu, jak również dwóch poprzednich. Te trzy powieści sukces zawdzięczają jej, od początku jednej z propagatorek cyklu. Chcę również podziękować Beverly Horowitz za jej mądrość i pomoc; była orędowniczką tych powieści u wydawcy.

Inne osoby z Random House zasługujące na moją wdzięczność to Monica Jean, Mary McCue, Kim Lauber, Rachel Weinick, Judith Haut, Dominique Cimina i Barbara Marcus. Redaktorem wydania była Colleen Fellingham.

Mój agent, Joshua Bilmes, był pierwszy, który musiał znosić podekscytowane przechwałki, jak dobry będzie to cykl, kiedy wreszcie zabrałem się do pisania. Był bardzo cierpliwy. Drugi mój agent, Eddie Schneider, negocjował publikację tych książek i dzielnie ich bronił. Ponadto w agencji na podziękowania zasługują Swam Morgan, Krystyna Lopez i Tae Keller.

Chcę również owacyjnie podziękować mojemu agentowi w UK, Johnowi Berlyne z Zeno Agency. Redaktorem brytyjskiego wydania był Simon Spanton, wspaniały człowiek i pierwszy tamtejszy wydawca, który dał mi szansę.

Mój własny zespół obejmuje Petera Ahlstroma, wiceprezesa firmy i redaktora naczelnego, który w znacznym stopniu ujedynolicił tekst i wykonał jego korektę, jak również wstępny skład. Jak zwykle, Isaac Stewart zajmował się grafiką, a moim asystentem był Adam Horne. Kara Stewart zasługuje na podziękowania za prowadzenie



naszego sklepu internetowego (który, nawiasem mówiąc, ma na sprzedaż mnóstwo fajnych rzeczy).

Do grupy pracującej nad tą książką należeli: Emily Sanderson, Karen & Peter Ahlstrom, Darci & Eric James Stone, Alan Layton, Kathleen Dorsey Sanderson, Kaylynn ZoBell, Ethan & Isaac Skarstedt, Kara & Isaac Stewart oraz Ben Olsen, niszczyciel światów.

Specjalne podziękowania składam naszemu zespołowi lokalizującemu z Atlanty, Jennifer & Jimmy Liang, którzy wyszukiwali dla nas miejsca niczym superszpiecy i dostarczali informacje dotyczące wszystkiego, co wiązało się z tym miastem. Pierwszymi czytelnikami tej książki byli Nikki Ramsay, Mark Lindberg, Alyx Hoge, Corby Campbell, Sam Sullivan, Ted Herman, Steve Stay, Marnie Peterson, Michael Headley, Dan Swint, Aaron Ford, Aaron Biggs, Kyle Mills, Cade Shiozaki, Kyle Baugh, Justin Lemon, Amber Christenson, Karen Ahlstrom, Zoe Hatch i Spencer White.

Korektorami książki było wiele z powyższych osób, a ponadto Bob Kluttz, Jory Phillips, Alice Arneson, Brian T. Hill, Gary Singer, Ian McNatt, Matt Hatch i Bao Pham.

I, oczywiście, moralne wsparcie zapewniali mi Emily, Dallin, Joel i Oliver Sandersonowie. Szczególnie ci trzej chłopcy dostarczyli mi wiele informacji o superbohaterach i o tym, jak ich traktować.

To była szalona, niewiarygodna podróż. Jeszcze raz dziękuję, że wyruszyliście w nią razem ze mną.

BRANDON SANDERSON



CALAMITY